

**BRIAN** Jedną z największych zagadek  
III wojny światowej

**CALLISON**



**KONWÓJ  
STOLLENBERGA**

**Brian Callison**

**Konwój Stollenberga**

*(The Stollenberg Legacy)*

*Przekład Sławomir Kędziński*

# 1

Jego rysy wciąż były prawie takie same. W gruncie rzeczy przez dziewięć miesięcy, które minęły od chwili, gdy Kyle widział go po raz ostatni, zmienił się bardzo mało. Oczywiście z tą tylko różnicą, że tym razem był martwy.

– Czy jest pan w stanie stwierdzić, proszę pana, że... że to... jest David Wallace McDonald?

– Doktor McDonald – Kyle usłyszał jak poprawia swojego rozmówcę matowym głosem. – Ale nie jest lekarzem. Ma doktorat z historii wojskowości. Chyba z King's College.

Z jakiegoś powodu wydało mu się bardzo ważne, aby policjant docenił osiągnięcia Davida.

– Doktor David Wallace McDonald – z zakłopotaniem powtórzył funkcjonariusz stojący obok Kyle'a przy wewnętrznym oknie kostnicy. Jest młody, zdecydowanie za młody, pomyślał Kyle, by zlecać mu przeprowadzenie tak ponurej ceremonii. Jeżeli już o to chodzi, jest też zbyt młody, żeby być prawdziwym policjantem i wyraźnie czuje się tu nieswojo. Chociaż ten koszmar spadł na niego tak nagle, nie mógł nie zauważyć, że jego towarzysz także jest zestresowany. Wydawało się to klócić z jego powołaniem.

Być może, zastanawiał się Kyle, nasza wspólna pielgrzymka do tego smutnego miejsca jest również jego pierwszą podróżą na biurokratyczne wody wzburzone nagłą śmiercią?

Na chwilę ogarnęła go zazdrość, połączona prawie z niechęcią. W każdym razie i tak ma więcej szczęścia niż ja. Po prostu po raz pierwszy musi doświadczyć jednego z mniej sympatycznych aspektów zawodu policjanta. Właściwie jest niezaangażowanym obserwatorem, reprezentującym państwo – i to wszystko. Ma być tylko świadkiem, nie musi natomiast dokonywać identyfikacji kolejnego, prowizorycznie ometkowanego denata, być głównym uczestnikiem procedury związanej z czymś nieplanowanym przejściem do tego godnego pożałowania stanu...

– Proszę pana, czy może pan – naciskał młody policjant – zidentyfikować denata jako doktora Davida Wallace'a McDon...

– Tak – odparł Kyle, nie mogąc dłużej udawać, że nie poznaje widocznego za szkłem woskowego sobowtóra Davida. – To on... To był on.

Chyba wtedy podpisał też jakiś dokument. Na dobrą sprawę nie mógł sobie jednak tego przypomnieć. Minęły wieki, zanim chłopiec w mundurze mężczyzny doszedł do wniosku, że inicjatywa znowu należy do niego i ostrożnie skinął głową następnemu eksponatowi znajdującemu się po drugiej stronie okna. Ten ubrany był w wypłowiały, zielony kitel i miał zawodowo ponurą minę.

– Dziękuję – powiedział do interkomu, lakonicznie żegnając jednocześnie zmarłego i żywego, a potem zerknął na Kyle'a. Można było odnieść wrażenie, że czuje ogromną ulgę; jego podopieczny nie załamał się, nie wprawił wszystkich w zakłopotanie, wpadając z łkaniem przez drzwi prowadzące do małej szpitalnej kaplicy, aby rzucić się na ciało najdroższego przyjaciela, który obecnie został oficjalnie skatalogowany jako zmarły David Wallace McDonald.

– To już... no cóż, to tyle, proszę pana – rzucił ostrożnie.

Problem w tym, że zdenerwowany młodzieniec zapomniał zasunąć firankę, którą zawieszono właśnie po to, aby odgrodzić Kyle'a od źródła bolesnych przeżyć i Kyle nie zareagował na jego słowa. Nie mógł tak po prostu odwrócić się i roztrwonić tych kilku dodatkowych sekund bezcennej ostateczności. Zorientował się jednak, że wciąż niemal z masochistyczną determinacją wpatruje się w widniejący przed nim obraz skąpany w zimnym świetle jarzeniówki.

Pracownik kostnicy, chyba nieco zaskoczony faktem, iż jego widownia najwyraźniej nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca, ostatecznie podjął decyzję, że zakończy ten dość nietypowy występ improwizacją. Przez chwilę pochyłał głowę, jakby przekazując wyrazy współczucia, a potem dyskretnym gestem przesunął całun, aby przykryć martwe oczy, które oglądały tak wiele tych samych horyzontów co Kyle. Czekał przez kilka sekund, aby wreszcie zapadła kurtyna, a potem, gdy niedoświadczony reżyser wciąż nie przekazywał mu żadnej wskazówki, zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, jakby przepraszając Kyle'a. W końcu, nie mogąc się doczekać jakichś sugestii, zdecydowanym krokiem zaczął wywozić Davida z tego sterylnego pomieszczenia do jakiegoś przejściowego miejsca spoczynku, o którym Kyle nie miał nawet odwagi pomyśleć.

Ręce Kyle'a drgnęły nagle, a paznokcie wbiły się boleśnie w mokre z przerażenia dłonie. Był to płonny akt wymierzania samemu sobie kary, ale tak rozpaczliwie musiał poczuć ból – poczuć cokolwiek do cholery! Aż do tego momentu absolutnego rozstania miał tylko irracjonalne poczucie winy, że wbrew wszystkiemu jest tak bardzo obojętny – i zupełnie nie czuje smutku. Dopiero po zakończeniu tego rytuału może będzie w stanie stawić czoło prawdzie, że nigdy, nigdy więcej go już nie zobaczy... to znaczy, nie zobaczy Davida. Nie pracownika kostnicy.

Kyle mimo woli zwrócił uwagę na muchę, która brzęczała w kącie kaplicy. Mucha domowa... mucha kostnicowa? Choć bardzo się starał, nie był w stanie oprzeć się pewnej dygresji. Twoje właściwe miejsce, Mucho, jest tam, przy Zmarłym po drugiej stronie szyby – nagle zdał sobie sprawę, że robi owadowi wymówki. W kwestii formalnej w ogóle nie powinnaś się tu znajdować, jeżeli masz zamiar okazywać taki brak szacunku. Tylko sobie bzykasz bez celu? Chodzi mi o to, że bzyczenie w czasie czegoś, co właściwie powinno być chwilą milczenia i poważnej refleksji, ujawnia zupełnie niewybaczalny brak...

Drzwi służbowego wejścia zamknęły się płynnie, nieubłaganie za zielonym człowiekiem oraz już-nie-człowiekiem i David zniknął. Kyle dalej wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w pustkę, słuchał brzęczenia muchy i próbował pogodzić się z czymś, z czym pogodzić się nie był w stanie. Nie mógł zaakceptować faktu, że człowiek, który był jego najlepszym przyjacielem nie, kimś więcej – który był dla niego jak brat, nagle przestał być, no cóż... przestał być czymkolwiek.

Nie po raz pierwszy jednak przeżywał taki ból i smutek.

Michael Kyle i David McDonald przez większość swojego życia byli sobie bliżsi niż wielu rodzonych braci.

Oczywiście, początkowo było to dość wymuszone porozumienie dwóch dzieciaków. Sojusz w nieszczęściu zawarty przez zupełnie różnych małych chłopców, przeżywających identyczne cierpienia. Rodzice każdego z nich umarli na długo przed czasem, kiedy rodzice powinni umierać. Kyle stracił ich w katastrofie lotniczej, ponieważ jego matka poleciała do Korei wraz z ojcem, który miał tam objąć dowództwo nowego statku pasażerskiego. Rodzice Davida stracili życie niecały tydzień później, jadąc z jednego biura projektowego, w którym jego ojciec pracował jako architekt,

do drugiego. Z niewyjaśnionych powodów przy prędkości stu piętnastu kilometrów na godzinę, ich samochód wypadł z szosy i eksplodował, uderzając w drzewo.

W czasie lat spędzonych później w sierocińcu, David, zdolniejszy od Kyle'a, z wyróżnieniem zdawał kolejne egzaminy, co budziło niepokój przyjaciela. Kyle rozpaczliwie starał się uzyskać wyniki, które pozwoliłyby mu pójść w ślady ojca i zrobić karierę na morzu. McDonald pomagał mu bez cienia egoizmu – poświęcał całe godziny, naprowadzając go na kulawą odpowiedź na pytania, które on sam uważał za elementarne. Z kolei Kyle starał się spłacić swój dług, zachęcając, a niekiedy – z typową dla młodych ludzi zjadliwą brutalnością – zmuszając Davida, żeby osiągnął sprawność fizyczną, niezbędną do zrealizowania jego największego marzenia, czyli wstąpienia do wojska.

Ale nic z tego nie wyszło i McDonald był tym ogromnie rozczarowany. W czasie badań lekarskich wykryto u niego jakąś drobną dolegliwość, która skutecznie zamknęła przed nim drogę do służby wojskowej. Kyle pamiętał jego reakcję.

– No cóż – parsknął David, starając się, aby jego słowa zabrzmiały lekceważąco. – Może są w stanie powstrzymać mnie przed tworzeniem historii wojskowości, Mike, ale jestem cholernie pewny, że nie mogą mnie powstrzymać przed jej pisaniem.

Uśmiechnął się nawet i spojrzał tryumfalnie na Kyle'a.

– Tak samo jak ty nie będziesz już mnie mógł zmusić, żebym zagrał kolejny mecz w to cholerne rugby.

W chwili gdy Kyle zaokrętował się na swój pierwszy statek, David dostał się do King's College w Londynie. Uzyskał doktorat z historii wojskowości mniej więcej wtedy, gdy Kyle'owi udało się wymęczyć dyplom kapitana żeglugi wielkiej. McDonald podróżował najdalej trzy kilometry na drugi brzeg Tamizy, na naukowe spotkania w Imperial War Museum, a Kyle pokonywał setki tysięcy mil morskich, pływając po oceanach najpierw jako praktykant pokładowy, potem jako młodszy oficer, by ostatecznie zostać pierwszym oficerem na kontenerowcu kuwejckiego armatora.

Kyle od dawna już prowadził żywot włóczęgi, ale dzięki przyjaźni z Davidem nadal mógł rozkoszować się oczekiwaniem na pobyt w domu pomiędzy rejsami. Było nim mieszkanie, które wspólnie wynajmowali w londyńskiej dzielnicy Bayswater. David McDonald był rodziną Kyle'a i na odwrót. Dzielili nadzieje, obawy, sukcesy i klęski, i tak samo martwili się nimi lub cieszyli.

W międzyczasie David nigdy nie wpadł na pomysł, żeby się ożenić, zadowolając się kontaktami z kolejnymi dziewczynami, ładnymi, choć – jak niezbyt obiektywnie oceniał światowiec Kyle – będącymi raczej molami książkowymi. Z kolei Kyle zakochiwał się raz po raz w dziewczynach spotykanych w różnych portach, ale nigdy nie spotkał takiej, dla której mógłby porzucić swoją karierę.

Tak więc rodzinę zawsze stanowili tylko oni dwaj.

Aż do tego ponurego listopadowego ranka.

Nawet mucha przestała brzęczeć w chwili, gdy policjant w skupieniu, niemal z wysuniętym językiem, precyzyjnie umieścił na głowie nowiutki hełm, po czym upewnił się, że ten obcy przedmiot tkwi dobrze na swoim miejscu, próbując ostrożnie poruszyć go czubkami palców. W końcu odchrząknął.

– To wszystko. Skończyliśmy, proszę pana – oznajmił z coraz większym zdecydowaniem. Kyle podniósł wzrok w samą porę, aby dostrzec w szybie odbicie młodego człowieka. Z utęsknieniem spoglądał na drzwi wyjściowe.

Wyciągnął rękę i sam zaciągnął zasłonę. Jego młody, pozbawiony jeszcze zarostu opiekun

odwrócił się gwałtownie, ogromnie zawstydzony.

– O Jezu, strasznie pana przepraszam!

– Nie ma sprawy. Jestem przekonany, że następnym razem będzie pan pamiętał – pocieszył go Kyle, odwracając się w końcu od okna. Dyskretnie dał w ten sposób do zrozumienia, że policjant powinien znowu przyjąć na siebie rolę przewodnika i wyprowadzić go z tej antyseptycznej nekropolii.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo chce zamrużyć. Zauważył, że podobnie jak w przypadku z muchą, skupianie uwagi na drobiazgach – takich jak równiutko przycięte włosy pod dziewczęco czystym, granatowym hełmem – pomagało przewyciężyć ogarniające go nagle poczucie pustki. Wydawało mu się, że koniecznie musi dalej udawać, że jest wytrwałym morskim wędrowcem, który powrócił do domu. Pierwszym oficerem-twardzielem.

Ale wiedział, że prawdziwy ból dopiero nadejdzie. Tak było po śmierci rodziców. Dopiero po zakończeniu prawnych procedur związanych z przypadkiem nagłej śmierci, zacznie naprawdę zdawać sobie sprawę, że już nigdy więcej nie zobaczy przyjaciela. Jest już dorosły i zgodnie z zasadami prawdziwie brytyjskiego postępowania będzie musiał poczekać, aż znajdzie się w mniej publicznym miejscu, w którym swobodnie i bez wstydu będzie mógł opłakać Davida. Potem zaś zajmie się podejrzeniem, które zaledwie kilka godzin temu było nie do pomyślenia, ale teraz stało się tak natarczywe, że zmieniło się w dodatkowy odrażający koszmar.

Według policji McDonald był ofiarą wypadku w londyńskim metrze. Mówiąc konkretnie, David zginął, ponieważ upadł na szyny przed pociągiem wjeżdżającym o siódmej trzydzieści pięć na położoną najbliżej ich mieszkania w Bayswater stację Lancaster Gate. Uruchamiając hamulce, motorniczy nie zauważył niczego niezwykłego i do chwili, gdy pociąg stanął, nie zdawał sobie sprawy, że ktoś jest pod kołami.

– Musi to być jeszcze potwierdzone w czasie dochodzenia, proszę pana, ale jak powiedział mi mój inspektor, wygląda na to, że w chwili wypadku na tym odcinku peronu ktoś się przepychał, żeby pierwszy wsiąść do wagonu. Przypuszczam, że to był pech – stwierdził smarkaty opiekun Kyle’a z zawodową pewnością siebie, zrodzoną podczas całego prawie tygodnia przepracowanego na ulicach.

Kyle nie mógł – nie chciał – przyjąć policyjnej wersji za dobrą monetę.

Chociaż wiedział, że wszelkie przecucia, jakie może mieć on – nowicjusz w kwestii badań wypadków komunikacyjnych – niewiele znaczą wobec opinii doświadczonych funkcjonariuszy.

Rzeczywiście, jego koncepcja była wyjątkowo naciągana – i nieskończenie bardziej przerażająca. Ale mimo to Kyle nie mógł pozbyć się coraz bardziej nasilającego się podejrzenia, że David McDonald, najmiłszy, najłagodniejszy i najmniej agresywny człowiek na świecie mógł zostać, no cóż...

Popchnięty?

## 2

Kyle sam pierwszy byłby skłonny przyznać, że jego umysł wciąż jeszcze przebija się wolno przez mgłę niedowierzania. Nie był w stanie obalić tezy, że śmierć nastąpiła na skutek fatalnego zbiegu okoliczności – nie potrafił przedstawić choćby wstępnej alternatywy. Nawet jakaś mgliście wyrażona sugestia, że policja może się mylić, nie zasługiwała na poważniejsze rozpatrzenie, skoro nie przemawiały za nią ani dowody rzeczowe, ani nawet logika.

Z drugiej jednak strony miał jedną, dość wątpliwą przewagę. Osobiście rozmawiał z ofiarą zaledwie kilka godzin przed jej zgonem i coś, co David powiedział – nie, to było coś nawet nie tak konkretnego jak słowa – coś, co David zasugerował w czasie bardzo krótkiej rozmowy telefonicznej, powracało, by nękać Kyle'a. Nic konkretnego, jedynie przekazane przez McDonalda jakieś ulotne wrażenie, do którego wówczas nie przywiązywał żadnego znaczenia.

Aż do tej chwili. Dopóki nie zobaczył tego w świetle kolejnego, straszliwego wydarzenia.

Statek Kyle'a zacumował przy kontenerowym terminalu w Tilbury wczesnym rankiem. Teraz, kiedy wygasł jego dziewięciomiesięczny kontrakt pierwszego oficera, miał zamiar wyruszyć do domu natychmiast, gdy tylko przekaze obowiązki swojemu następcy i złapie taksówkę. Nagle ni stąd, ni zowąd, zaledwie kilka minut po podłączeniu linii telefonicznej z lądu, do jego kabiny zadzwonił David.

Od samego początku była to bardzo chaotyczna rozmowa, taka jaką mogą prowadzić tylko osoby, które były nierozłączne w dzieciństwie. Kyle znał irytującą umiejętność Davida zachowywania całkowicie zimnej krwi w chwili, kiedy on sam wpadał w panikę. Teraz jednak wyczuł, że McDonald jest podniecony.

– Jak prędko uda ci się urwać, Mike? – dopytywał się David, po krótkiej pogawędce na temat ostatniego rejsu Kyle'a.

– Stary, weź na wstrzymanie. Dopiero zacumowaliśmy. Mój zmiennik jeszcze się nie objawił, a przecież muszę przekazać mu obowiązki. Jak sądzę, najwcześniej późnym popołudniem.

– Późnym popołudniem?

– Jeżeli stary będzie w dobrym humorze. Ale tak się nie stanie, ponieważ przed powrotem do domu będzie musiał doprowadzić statek do Rotterdamu, by go tam do końca rozładowali.

– Och – mruknął nieco rozczarowany David. Kyle uświadomił sobie, że na pokładzie wciąż jest ciemno i zmarszczył czoło, spoglądając na telefon. Czy zdajesz sobie sprawę, że jest dopiero wpół do siódmej rano? Moje mieszkanie się pali, czy co?

– Nasze mieszkanie – przypomniał mu zasadniczym tonem David.

– Nasze mieszkanie – przyznał Kyle. – Spłacam hipotekę. Ty mieszkasz za friko, ponieważ jesteś naukowcem i pieniądze nie są ci potrzebne.

– To się wkrótce zmieni – odparł David. – Dla nas obu. Chociaż oznacza to, że będzie mi potrzebna twoja pomoc.

– Pomoc? – Przerwał mu ostrożnie Kyle, który już napawał się perspektywą spędzenia kilku tygodni wypełnionych gnuśnym brakiem jakiejkolwiek odpowiedzialności. – Masz na myśli moją pomoc?

– Tylko przez miesiąc. Może nawet mniej.

– Miesiąc?

– Ale nie od razu – nie zaczniemy jutro czy coś w tym rodzaju – zapewnił go pospiesznie David. – On jest teraz w Norwegii, w Narwiku. Nie dotrze tu przez najbliższe dziesięć dni... – Zawahał się nagle, zdradzając odrobinę niepokoju. – Nie będziesz robił trudności, prawda? Chodzi mi o to, że, no... musiałem przyjąć, że się zgodzisz. Musisz wszystko zorganizować zawczasu. W przeciwnym razie mogę nie zdążyć.

– Maszyny stop, mój panie, cała wstecz – oświadczył Kyle. – Co zorganizować? W jakiej konkretnie sprawie mam ci pomóc?

– Nam pomóc, Mike. Będzie tego więcej niż potrzeba dla nas obu, zaufaj mi.

– Patrz uważnie na moje usta, stary – w dość nielogiczny sposób polecił Kyle słuchawce telefonicznej. – W... jakiej... konkretnie... sprawie...

– Moje badania dotyczące Stollenberga. – Bez wątpienia w słowach tych brzmiała nutka radości. – Jestem pewien, że to rozgryzłem, Mike. Natrafiłem na coś fascynującego. Cholernie fascynującego, co poza wszystkim innym sprawi, że każdy egiptolog od Canberry po Kair będzie podskakiwał ze szczęścia.

– Twoje badania dotyczące Stollenberga... – Powtórzył niepewnie Kyle. Z dotychczasowego doświadczenia wiedział, że chociaż właśnie spędził dziewięć miesięcy w niebycie na pokładzie oceanicznego kontenerowca o wyporności siedemdziesięciu tysięcy ton, oczekuje się od niego, by natychmiast przypomniiał sobie każdy skomplikowany zwrot w poszukiwaniach, które David prowadził w labiryncie wojskowych dokumentów. A skoro o tym mowa, czemu McDonald w ogóle tak bardzo zainteresował się jakąś egiptoczymś? Czy nie zajmował się historią współczesną? Od kiedy zaczął być specem od piramid?

– Manfreda Stollenberga... Standartenführera Stollenberga. Zacząłem się nim interesować w czasie twojego ostatniego urlopu. Musisz pamiętać Mike, że opowiadałem ci o tym pułkowniku SS? Zweite Regiment, SS-Polizei-Panzer-Grenadier-Division?

– Ach, chodzi ci o tego Stollenberga – plątał się Kyle, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi. – Niemieckiego Stollenberga.

– Podpuszczasz mnie? – zapytał podejrzliwie David.

– Chryste, nie. Nigdy w życiu. Nie w sprawie Stollenberga.

– No dobra, posłuchaj. Wreszcie udało mi się wytropić faceta, którego od wielu miesięcy usiłowałem odnaleźć. Myślałem, że umarł – tak jak większość tych, którzy byli w to wmieszani. Najwyraźniej Williamson działa teraz trochę na własną rękę, ale rzecz w tym, że kiedy się z nim zobaczyłem.. David zrobił dramatyczną pauzę, a potem oznajmił. – Mike, pewnie uznasz, że to niemożliwe, ale wreszcie ustaliłem, że to Rusek.

– Rusek?

– Rusek, Mike. On w rzeczywistości jest Ruskiem!

– Ładne rzeczy – odparł Kyle, rozpaczliwie grając na zwłokę. Miał mnóstwo spraw na głowie



i w gruncie rzeczy nie chciał tak z marszu dać się wciągnąć w obsesję Davida, albo tracić czas, próbując dowiedzieć się, jakie jeszcze zobowiązania poczynił w jego imieniu. W końcu wkrótce i tak się spotkają. Gdy tylko załatwi sprawy na statku, z największą radością zrelaksuje się w jego towarzystwie przy buteleczce czy dwóch i da się zanudzić na śmierć szczegółami tego, co kolejny esesman narozrabiał w czasie drugiej wojny światowej.

– No, i?

– No i co?

Teraz usłyszał nutkę irytacji.

– Nie masz zamiaru zareagować? Czegoś powiedzieć?

– A co z tym Egipcjaninem? – Kyle słabiutkim głosem spełnił jego życzenie.

– Rzeczywiście mnie nie podpuszczasz, do cholery. – W głosie McDonalda dało się wyczuć napięcie. – To śmiertelnie poważna sprawa, Mike. I wyjątkowo delikatna. Może nawet nieco niebezpieczna, jeżeli trafi w niewłaściwe ręce. Konwój Stollenberga był jak dynamit. Bóg raczy wiedzieć, co niektórzy ludzie mogliby zrobić, gdyby odkryli, że faktycznie udało mi się ustalić...

Z perspektywy czasu widział, że w chwili tej zawarte było wszystko nie tylko odpowiedź, ale również cień napięcia, niemal obawa, jednak wówczas Kyle nie chciał się tym zajmować. Był w euforii, jak zawsze gdy wracał. Gdyby był choć odrobinę bardziej czujny, nie przerwał mu w najważniejszym momencie...

– Sam powiedziałeś o Egipcie – bronił się uparcie. – Nawet nie myślałem o nim, dopóki nie powiedziałeś „Egipt”.

– Egiptolodzy... – David rozluźnił się, pewnie uśmiechał się do słuchawki. – Słuchaj, mam coś do zrobienia i muszę już lecieć. Chcę wpaść do Battersea i jeszcze raz pogadać z Williamsonem. Jeżeli pamięć wciąż mu dopisuje, może dostarczy mi ostatni kawałek układanki Stollenberga.

W tej właśnie chwili do kajuty wszedł drugi oficer.

– Zmiennik jest na pokładzie i poszedł prosto do biura, Mike. Powiedział, że może przejmować statek, gdy tylko będziesz gotów.

– Za dwie minuty. – Kyle skinął głową, a potem zdjął dłoń z mikrofonu. – Słuchaj, muszę iść. Ale pamiętaj, to nie znaczy, że nie mam strasznej ochoty posłuchać o tej twojej sprawie Stollenberga.

– Stollenberga! – poprawił go David, ale w jego głosie znowu dawało się wyczuć wesołość. – Oczywiście mówimy o niemieckim Stollenbergu, no nie, stary?

Kyle posłał uśmiech słuchawce.

– Przejrzałeś mnie.

– Nie miałeś pojęcia o czym mówię, prawda?

– Nie miałem.

– Ale dziś wieczorem będziesz je miał. Dziś wieczorem mózg ci się zlasuje. A tymczasem, jeżeli dotrzesz do mieszkania przede mną, znajdziesz w lodówce butelkę czegoś specjalnego. I wiesz co... Mike?

– Co, Davidzie?

– Cieszę się, że jesteś w domu.

Kyle uśmiechnął się, czując jak ogarnia go szczęście i ciepło.

– Niedługo się zobaczymy.

Ale już go nie zobaczył. W każdym razie – żywego.

Koło południa poszedł przespacerować się po nabrzeżu. Musiał zrobić sobie przerwę, znowu

poczuć ziemię pod stopami i oderwać się na chwilę od nudnej harówki nad oficjalnymi papierkami, której żąda się od ludzi, wyruszających w morze na współczesnych, pływających według stopera, statkach handlowych.

– Obecnie – oznajmił żalonym i pełnym zadumy głosem, przechodząc w cieniu sprawiających wrażenie kruchych jak bocianie nogi dźwigów do przenoszenia kontenerów – obecnie marszpikiel i końcówkę liny zastąpiły formalności przywozowej odprawy celnej, zaświadczenie klarowania statku, atest tonażu i te cholerne komputery...

Nie zauważył policyjnego samochodu, dopóki nie znalazł się obok niego.

– Kapitan Kyle?

Zatrzymał się i odwrócił w ich stronę. Dwaj funkcjonariusze patrzyli na niego beznamiętnie z wnętrza radiowozu.

– Pan Kyle – odparł, ruchem głowy wskazując statek. – Jestem tylko pierwszym oficerem, czyli po prostu panem Kyle, ale kapitan jeszcze jest na pokładzie, jeżeli macie panowie...

– To on nam powiedział, że pana tu znajdziemy.

Obaj wysiedli i założyli czapki. Ten gest sprawił, że sytuacja zaczęła robić wrażenie strasznie urzędowej. Kierowca przeszedł przed maską białego samochodu z czerwonym poziomym pasem. Kyle przypomniał sobie niewyraźnie, że nazywali je „kanapkami z dżemem” – to znaczy policyjne samochody, a nie ich załogi. Pomyślał też, że to samo źródło nieistotnych informacji powiedziało mu, że gliniarze z Policji Miejskiej sami o sobie mówią Czarne Szczury, chociaż w tym przypadku etymologia tego przezwiska była mniej oczywista.

– A więc, pan Kyle? Pan Michael Kyle?

– Tak. – Kyle zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę z nagłego, choć niezrozumiałego poczucia winy. Nie było go tu przez prawie rok, nie mógł więc w tym czasie złamać żadnego prawa Zjednoczonego Królestwa, a poza tym starał się tego nie robić nawet wtedy, gdy był w kraju. Ale mimo wszystko, policjanci mieli zbyt posępne miny, aby chodziło o jakieś bezosobowe śledztwo związane, powiedzmy, ze sprawami statku.

– Pan Michael Kyle zamieszkały przy Ringtree Gardens, dzielnica Bayswater w Londynie?

– Tak jest. Numer dwadzieścia jeden, mieszkanie trzy – w każdym razie pomiędzy rejsami. Przepraszam, ale o co chodzi?

– O pana McDonalda. Pana Davida Wallace’a McDonalda. Zamieszkałego pod tym samym adresem.

– Doktora McDonalda. – Od samego początku dnia zanosilo się na kłopoty z tytułami. – To tytuł naukowy, nie lekarski. Ale czemu? Co takiego David zrobił?

– Miał... – Popatrzyli po sobie niemal błagalnie. Kyle odniósł wrażenie, że każdy z nich ma nadzieję, iż to ten drugi przejmie inicjatywę. Wreszcie odezwał się kierowca:

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale to nigdy nie jest łatwa sprawa.

Wiedział, że David nie żyje, zanim kierowca uporał się z tym, co było absolutnie najgorszym aspektem doli policjanta. Kyle poczuł nagle, że właściwie współczuje funkcjonariuszowi. Na ogół policjanci uświadamiają sobie fakt, że bardzo rzadko czyjaś nagła śmierć niszczy tylko jedno życie. Przekazanie takiej wiadomości, choćby tylko z obowiązku służbowego, można chyba porównać do egzekucji na tych, co pozostali.

Coraz bardziej oszołomiony i z pełną współczucia kapitańską dyspensą, Kyle zorientował się, że

siedzi w „kanapce z dżemem” z dwoma Czarnymi Szczurami, którzy, na szczęście, w niczym szczurów nie przypominali. Na swój burkliwy sposób starali się okazać zrozumienie dla sytuacji, w jakiej znalazł się Kyle.

Wszystko wskazywało na to, że policja, nie mogąc odnaleźć żadnego krewnego, który mógłby dokonać oficjalnej identyfikacji, wykorzystwała znaną w portfelu Davida karteczkę z nagryzmołonym numerem telefonu na statku Kyle’a. A potem, ustalwszy dzięki magistrackiej dokumentacji, że Kyle jest współwłaścicielem mieszkania przy Ringtree Gardens, postanowili poprosić go o przeprowadzenie niezbędnego rytuału.

Na komisariacie Paddington dostał kubek herbaty, a siwowłosy oficer dyżurny zrelacjonował mu wydarzenia związane z wypadkiem. Nie zgłosił się nikt, kto byłby świadkiem upadku Davida i nie było w tym nic szczególnie dziwnego. Gdy pociąg wypada z tunelu, pchając przed sobą falę sprężonego powietrza, większość pasażerów nie zwraca uwagi na swoich sąsiadów, ale stara się ustalić miejsce, w którym, gdy wagony staną, znajdą się najbliższe drzwi. Dzięki pomocy tych nielicznych osób, które w ogóle przyznały, że być może przed tym koszmarnym wydarzeniem zerknęły w stronę ofiary, zdołano ustalić, że David znajdował się w grupie przynajmniej trzech niektórzy twierdzili, że czterech... a może pięciu? – przyszłych pasażerów. Większość twierdziła, że wszyscy byli mężczyznami. „Nie, wśród nich znajdowała się kobieta – przysięgał jeden świadek, bawiąc się okularami. – Z całą pewnością kobieta. Albo facet z długimi włosami”.

– Niestety, z powodu modernizacji stacji kamery służące do obserwacji peronu były tymczasowo wyłączone, kapitanie.

– Panie Kyle, nadkomisarzu – skorygował go Kyle, starając się być bardziej konkretny niż świadkowie. – Tylko „panie Kyle”.

– Inspektorze, panie Kyle – zripostował inspektor z identyczną pokorą. – Jestem tylko inspektorem. W każdym razie, jak już powiedziałem, kamery były wyłączone, w związku z czym nie możemy się posłużyć zapisem wideo. Oczywiście policja z metra wciąż pisze swój oficjalny meldunek z wypadku i będzie przeprowadzone oficjalne dochodzenie, ale, jak do tej pory okoliczności towarzyszące śmierci pana McDonalda...

Doktora McDonalda – poprawił go zmęczonym głosem Kyle i jednocześnie pomyślał sobie, że w dniu dzisiejszym wszystko układałoby się o wiele prościej, gdyby David nie poszedł na ten cholerny uniwersytet. – Był doktorem nauk, a nie medycyny.

– ...towarzyszące śmierci doktora McDonalda, proszę pana, wskazują) na to, że stracił równowagę i upadł na tory, zanim motorniczy zdążył cokolwiek zrobić.

Pięść inspektora zacisnęła się i w jego oczach przez chwilę pojawił się niepokój.

– Wie pan, to mogło się zdarzyć każdemu z nas. To mógł być mój najlepszy kumpel. Albo moja żona, czy nawet któryś z dzieciaków.

– Wiem – odparł Kyle, czując do niego jeszcze większą sympatię za to, że ujawnił tak ludzką słabość. – Na szczęście to mało prawdopodobne.

– W tej pracy czasem już nie wiadomo co jest prawdopodobne, a co nie. – Inspektor odchrząknął i znowu wycofał się pod osłonę swojego munduru. – Oczywiście dalej przesłuchujemy personel stacji i świadków, którzy się zgłosili, ale... – W ledwo dostrzegalny sposób wzruszył ramionami i spojrzął na leżące na biurku inne, rutynowe meldunki dotyczące zakłócenia po – rządki, rękoczynów i zaginionych psów.

Ten podświadomy gest uświadomił Kyle’owi, że to, co zdarzyło się Davidowi nie było niczym

wyjątkowym dla ludzi, którzy na co dzień mają do czynienia z takimi tragediami. Przypadkowa śmierć kolejnego osobnika w mrowisku jakim był Londyn, wywoływała ich troskę i wymagała podjęcia przewidzianych prawem kroków, ale raczej nie wymagała pełnej mobilizacji sekcji zabójstw Scotland Yardu – w każdym razie do momentu, w którym nie uzyskają przynajmniej jakiejś przesłanki, aby uznać, że śmierć Davida miała podejrzany charakter. Ale czy rzeczywiście go miała? Chociaż z perspektywy czasu zaczął uważać tajemnicze uwagi Davida za bardzo niepokojące, w tym momencie nie miał możliwości ani odwagi zastanowić się, co się za nimi kryło.

O ile rzeczywiście coś się kryło.

W tej właśnie chwili jego największej niepewności, inspektor uznał za stosowne nieoczekiwanie unieść brew.

– Powiedział pan, że na krótko przed wypadkiem rozmawiał pan z doktorem. Czy nic w tej rozmowie nie wydaje się panu istotne dla sprawy?

Kyle zawahał się, wciąż nie mogąc skupić myśli na niczym innym, poza czekającą go wizytą w kostnicy. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jeżeli bierze pod uwagę istnienie alternatywnego scenariusza, opartego na czymś zbrodniczym działaniu, a nie na nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, to właśnie teraz ma możliwość podzielić się swoimi wątpliwościami. Ale jakimi? Co konkretnie mógłby powiedzieć inspektorowi?

Nieszkodliwy historyk budzi się, jak na niego, bardzo wcześnie i zaniepokojony dzwoni do Kyle'a, a zaraz potem ginie w wypadku? W jego śmierć zamieszany jest jakiś Rosjanin, który otrzyma w końcu nazwisko, ale na razie nic o nim nie wiadomo. Można przyjąć, że w całą sprawę zamieszana jest druga osoba, która ma nazwisko; David powiedział coś jak „Williams” albo „Williamson”. Wszystko co o nim wiadomo to to, że mieszka w Battersea i jest już bardzo stary, albo nawet nie żyje.

A może to wszystko to jakaś kielkująca marynarska paranoja? – pomyślał Kyle zrezygowany.

Zmarszczył czoło i niepewnie popatrzył na stos dziennych meldunków, leżący na biurku inspektora. Czy naprawdę może prosić tego umęczonego oficera, aby otwierał jeszcze jedną sprawę, opierając się na tak niewyraźnych podejrzeniach? A potem zasugerować, aby skomplikował je nieco, dorzucając tajemniczą uwagę Davida, iż egiptolodzy z jakiegoś powodu powinni być pod dużym wrażeniem i wyjaśnić – tylko po to, by podkreślić, że nie proponuje jakiegoś zwyczajnego, rutynowego, pięciominutowego śledztwa – że rozwiązanie tych zagadek, to jedynie wstępna faza śledztwa, ale żeby je rozwiązać trzeba, najpierw wyjaśnić liczącą sobie pięćdziesiąt lat tajemnicę drugiej wojny światowej, otaczającą jakiegoś pułkownika Waffen SS o nazwisku Stollenberg.

Będzie musiał wtedy przyznać, że nic nie wie o rzeczywistym charakterze owej tajemnicy, ani o samym Stollenbergu. Poza tym, że z całą pewnością jest to niemiecki Stollenberg.

Kyle starannie sformułował swoje zaprzeczenie.

– Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, by David powiedział cokolwiek, co mogłoby panu pomóc w tej sprawie, inspektorze.

– Miał powrotny bilet do East Putney, co oznacza, że na Notting Hill Gate przesiadałby się na District Line. Czy wie pan może, z kim miał się tam spotkać w Putney? Gdziekolwiek w rejonie Wandsworth, Battersea, jeżeli już o to chodzi?

– Nie mam pojęcia – odparł całkowicie szczerze Kyle.

Inspektor niezgrabnie bawił się ołówkiem.

– Muszę zadać to pytanie, proszę pana. Czy doktor wywarł na panu wrażenie człowieka, który mógłby być... przygnębiony lub coś w tym rodzaju?

– Na pewno sam nie skoczył pod pociąg, jeżeli o to panu chodzi – zaprotestował Kyle.

– To się zdarza. Dość często rzucają się na szyny ludzie, którzy wcale nie robią wrażenia kandydatów na samobójców. A kiedy nie ma świadków albo, jak w tym przypadku, nie są warci złamanego grosza – wtedy można dojść jedynie do takiego wniosku, przekazać go koronerowi i mieć nadzieję, że nikt nie będzie cierpiał.

– David McDonald nie popełnił samobójstwa. – Kyle zastanawiał się chwilę, wspominając, jak rozważnie David traktował pieniądze. – A poza tym, jak wielu ewentualnych samobójców kupuje bilet powrotny, zamierzając odbyć podróż w jedną stronę?

– To logiczny argument, zakładając, iż samobójca działa logicznie. Jednak jestem pewien, że koroner rozpatrzy pańską opinię z należytą uwagą, zwłaszcza że nie ma w chwili obecnej przesłanek, by ją podważać. – Inspektor zerknął dyskretnie na zegarek. – Czy coś jeszcze, panie Kyle? Czy chciałby pan jeszcze coś dodać, zanim mój konstabl zaprowadzi pana do kostnicy?

Właśnie wtedy Kyle uświadomił sobie, że jest tylko jeden sposób, aby dowiedzieć się, co się naprawdę stało. I że korzystając z tego sposobu nie powinien – nie może – mieszać w tę sprawę policjantów. Chyba że ma ochotę na zamknięcie w dość szczególnej celi i na poddanie się badaniom przez wielu ludzi w białych fartuchach. A tymczasem trop Stollenberga, jeżeli w ogóle taki istnieje, porośnie trawą.

– Chciałbym jedynie podziękować panu za herbatę, inspektorze – Kyle wstał, szykując się psychicznie na czekające go katusze. – To była świetna herbata. Naprawdę, bardzo mi się przydała.

Godzinę później Kyle pożegnał się z Davidem i życzył młodemu policjantowi wszelkiej pomyślności w pracy zawodowej. Mógł uznać, że odegrał niewielką rolę w jej kształtowaniu. Wydawało się całkiem nieprawdopodobne, aby chłopak jeszcze kiedyś zapomniał zaciągnąć zasłonę na oknie w kostnicy.

– Bardzo mi przykro, proszę pana – oznajmił niezgrabnie chłopak, zanim pozostawił Kyle’a w tłumie urzędników wracających do domu. – Z powodu pana McDonalda i wszystkiego.

– Doktora McDonalda! – Kyle próbował zawołać w ślad za nim, ale nie mógł, ponieważ uczucie samotności ścisnęło mu gardło. – Nauk, nie medycyny.

Kyle patrzył na odchodzącego policjanta, na jego nowiutki hełm górujący nad tłumem przechodniów. Nagle przestał być pewny, że istotnie odegrał jakąś rolę w jego karierze zawodowej. Nie był już w pełni przekonany, czy on sam jest predestynowany, by prowadzić śledztwo i wymierzyć sprawiedliwość.

Był jednak przekonany, że jeśli dopisze mu szczęście i zdoła ustalić, że śmierć Davida nastąpiła w wyniku popchnięcia, a nie upadku, będzie wiedział, co zrobić. Dzięki marynarskiej umiejętności improwizacji znajdzie sposób, aby wykonać tę niezbędną czynność.

Wykonać wyrok na mordercy.

# 3

Gdy Kyle wszedł do mieszkania, stwierdził, że jest w nim niezwykle cicho. Jak w grobie.

Wydawało mu się, że odgłosy ruchu ulicznego, dobiegające z położonej nieopodal Bayswater Road, były przygłuszone, jakby starały się okazać mu w ten sposób współczucie. Albo być może zjawisko to nie było wcale czymś wyjątkowym i nie miało żadnego związku ze zgonem Davida. Po czwartej szklance wachty 0.00-4.00 – czyli o drugiej w nocy według lądowej terminologii, do której znowu będzie musiał się przyzwyczaić – ruch uliczny był słaby, nawet w centrum Londynu.

Było też dziwnie gorąco. Lepki, cieplarniany upał, który ogarnął go w chwili, gdy wyjmował klucz z zamka. Ale Kyle pocił się już w taksówce, która przywiozła go z doków i nie miało to nic wspólnego z temperaturą. Było raczej fizycznym objawem lęku, który czuł przed tą chwilą prawdy. Może powinien był od razu wziąć byka za rogi, okazać więcej odwagi i przyjechać do mieszkania natychmiast po pożegnaniu z młodym policjantem, zamiast – jak postanowił bez entuzjazmu – wrócić na statek, aby zakończyć przekazywanie obowiązków.

Oznaczało to, że teraz, w środku nocy, kiedy ludzka odporność jest najslabsza, miał rozpocząć coś, co z całą pewnością miało się stać najbardziej przykrymi badaniami w całym jego życiu.

Kyle wniósł swój morski dobytek do wąskiego korytarza. Z niepokojem zamknął za sobą drzwi, a potem ponownie zawahał się, stojąc w smudze pomarańczowego światła lampy ulicznej, padającego przez otwarte drzwi saloniku.

Teraz szelest ruchu ulicznego zastąpiło dobiegające z końca korytarza nierówne tykanie starego, stojącego zegara. David pod wpływem jakiegoś impulsu kupił go pewnego razu na King's Road i taszczył przez pół Londynu, przywiązując go do kierownicy roweru, ponieważ zawsze chciał mieć stary zegar stojący. Kyle nigdy nie rozumiał, dlaczego David pragnął posiadać właśnie coś takiego, tym bardziej że ten konkretny egzemplarz spóźniał się przynajmniej o dwie minuty dziennie. Spóźnienia takie zdarzały się po okresach bardziej precyzyjnego funkcjonowania, chociaż każdego sobotniego ranka, od nowa podkładali pod niego małe kawałki korka i tektury. Dla Davida regulacja zegara stała się wymagającą pełnej koncentracji rytualną demonstracją uporów.

Weź się w garść, człowieku! – przywoływał się Kyle do porządku. Uświadom sobie wreszcie, czym są te nostalgiczne rozważania – dygresjami, których chwytasz się łapczywie, aby jeszcze bardziej odwlec to, co musisz zrobić. Skup się na zadaniu, które tylko ty, przyznaj to z ręką na sercu, możesz we właściwy sposób wykonać, ponieważ nie zdołasz – nie możesz tego uniknąć. Wszędzie, gdzie pójdziesz w tym do niedawna tak bezcennym sanktuarium, natkniesz się na wspomnienia. Zastygłe w chwili, w której David wyszedł z tego mieszkania na spotkanie z wiecznością, pozostawiając wszystko w oczekiwaniu na szczęśliwy powrót. Będą one odbiciem życia, które prowadził, życia nie zakończonego, ale zawieszzonego w domowej codzienności i ta znacząca

niezakończoność będzie boleśnie raniła, ale mimo wszystko będziesz musiał się z nią uporać...

W korytarzu czuć było jakiś niesprecyzowany, lecz znajomy zapach. Nie był to zapach ciepłarni, ale raczej... Kyle zmarszczył brwi i przesunął palcem pomiędzy kołnierzykiem koszuli a szyją. O Boże, ależ w tym mieszkaniu jest gorąco! Było to tym dziwniejsze, że David, który nigdy nie oznaczał się rozrzutnością, gdy przychodziło do uruchamiania centralnego ogrzewania, przejawiał oszczędność graniczącą niemal ze skąpstwem. Ledwo dająca się wytrzymać temperatura, którą najwyraźniej lubił utrzymywać w tym cholernym mieszkaniu, poprzedniej zimy stawała się często kością niezgody, ponieważ Kyle rozpieszczony w klimatyzowanych i wyposażonych w regulację ogrzewania pomieszczeniach statku, na próżno narzekał i ostentacyjnie wkładał rybacki sweter tak gruby i ciężki, że używał go właściwie tylko wówczas, gdy wybierali się na piesze wędrówki po szkockich górach.

Czy to znowu jego bezcelowa nostalgia? Znowu próba uniknięcia nieuniknionego?

Na Kyle'a zamrugało czerwone oko stojącej przy drzwiach automatycznej sekretarki – trzy mrugnienia, a potem przerwa. Trzy wiadomości czekające na odpowiedź Davida, ale zapewne nie w środku nocy.

Odruchowo wyciągnął rękę, by wyprostować przywieziony kiedyś z Hongkongu oprawiony w ramki sztych ze smokiem. Pewnie wisiał przekrzywiony, od chwili, kiedy po raz ostatni wyprostował go dziewięć miesięcy temu. Należało przyznać, że jednym z powodów, dla którego zegar nie był w stanie poprawnie odmierzać czasu, a jego wahadło zaczynało kołysać się, zataczając coraz dziwniejsze łuki, było to, że całe to cholerne mieszkanie było krzywe. Zupełnie jak jeden z tych dziwacznych domków, które stały na końcu każdego nadmorskiego mola i które pamiętał z dzieciństwa. Budynki na Ringtree Gardens były najczęściej stare, dickensowskie i ze skłonnością do osiadania. Nawet prosty proces wybierania drzwi lub okna, które można byłoby otworzyć bez pomocy łomu przekształcał się zazwyczaj w łagodną formę rosyjskiej ruletki. Ołówki miały przykry zwyczaj staczania się w środku nocy ze stołów. W każdym ogłoszeniu anonsującym sprzedaż nieruchomości w tym rejonie niezmiennie pojawiała się określenie: Dom mieszkalny z charakterem.

Kyle zmarszczył brwi, nasłuchując uważnie. Teraz zaczął słyszeć jakiś inny i niewątpliwie obcy dźwięk. Ciągły. Uporczywy. Całkowicie różny od przerywanego szmeru odległego ruchu ulicznego – ciągły syk...?

I tym razem nie mógł sobie niczego wyobrazić. W żaden sposób!

Ogarnął go niezrozumiały lęk – przekonanie, że coś jest cholernie nie tak. Nie zatrzymując się nawet, by zapalić światło w przedpokoju, ruszył ostrożnie w stronę otwartych drzwi po prawej – by natychmiast zatrzymać się znowu i popatrzeć z niedowierzaniem do środka.

W saloniku – albo raczej umeblowanej szafie nazywanej eufemistycznie salonem przez agenta, który sprzedał im mieszkanie – stał bardzo duży i niezwykle skuteczny piec gazowy. Liczył chyba ze sto lat i nie mieli serca się go pozbyć. Piec był niewątpliwie wiktoriański: kafelki w kwiaty i żeliwne ozdoby otaczały ogromne, koronkowe palniki gazowe, które wydawały się pasować bardziej do pieca, w którym wypala się cegły. Zapalili go tylko raz i od chwili przeprowadzenia tego eksperymentu nigdy nie zdecydowali się zaryzykować i uruchomić go ponownie, choćby w najzimniejsze noce i nawet na długo po tym, jak odrosły im brwi. Zbliżenie się na odległość ręki do tej maszyny piekielnej wiązało się z udarem cieplnym i osmaleniem spodni.

A jednak teraz, chociaż noc była względnie ciepła, pogrążony w pomarańczowych cieniach piec jarzył się i syczał, rozkręcony na cały regulator i wyrzucał z siebie żar, który ogrzewał policzki

Kyle'a niczym tropikalne słońce.

Ktoś go zapalił, a upiorny upał buchający z pokoju świadczył, że zrobił to dobrych kilka godzin temu. Ale kto? Przecież nie David? Nie mógł go rozpalić, a potem zapomnieć o nim i wybrać się do Battersea, gdy tymczasem licznik gazowy kręcił się niczym szalony derwisz w tańcu, a mieszkanie z wdzięcznością przyjęło w czasie tych kilku godzin więcej jednostek cieplnych, niż otrzymało w ciągu kilku minionych lat.

A więc kto to zrobił? A zapewne jeszcze ważniejszym pytaniem było po co? I skoro już o tym mowa, w jaki sposób ten „ktoś” dostał się do mieszkania?

Kyle westchnął zamyślony, zakrztusił się gwałtownie i zaczął kaszleć i w tej samej chwili lekki niepokój przekształcił się w całkowicie uzasadnioną panikę!

Po kilku rejsach na zbiornikowcach Kyle doskonale zaczął zdawać sobie sprawę, na czym polega alchemia potencjalnej katastrofy. Nauczył się także, jak wyczuwać niewidzialne zagrożenia ukryte w transporcie łatwopalnych ładunków.

Z drugiej strony jednak, nauczył się też, z typowym dla marynarzy ze zbiornikowców spokojem ducha, akceptować fakt, że chociaż w pewnych sytuacjach wydobywające się do atmosfery petrochemiczne opary mogą być zabójcze, to jednak warunki, w jakich dochodzi do zapłonu są dość ściśle określone. Przy normalnej eksploatacji, do eksplozji może dojść wtedy, gdy powietrze zawiera od dwóch do ośmiu procent lotnych węglowodorów i gdy w pobliżu znajduje się źródło zapłonu. Nie był jednak pewien, jakie stężenie gazu w londyńskim powietrzu spełnia naukowe warunki zaistnienia dużego „bum”.

Nie przypuszczał również, że ma zbyt wiele czasu na roztrząsanie tego w gruncie rzeczy technicznego problemu. Uświadomił sobie bowiem, że ten cieplarniany zapach, który poczuł po wejściu do mieszkania, nie ma nic wspólnego z roślinami doniczkowymi, tylko z miejską siecią gazowniczą. Mieszanka powietrza i gazu od dawna zbierającego się w zamkniętym pomieszczeniu, w którym pogrążony w rozważaniach, roztrwoniał już zbyt wiele czasu, jaki pozostał mu na przeżycie, szybko osiąga stopień koncentracji grożący rozpętanem się piekła.

W każdej sekundzie spodziewał się eksplozji i zdawał sobie sprawę, że stężenie gazu stworzy mieszanę tak wybuchową, iż w powietrze wyleci nie tylko jego mieszkanie, ale cały budynek numer 21 przy Ringtree Gardens oraz domy znajdujące się po obu jego stronach.

Nie miał czasu na bezmyślne gapienie się na otwarty płomień w niewytłumaczalny sposób wydobywający się z każdego otworu nadaktywnego wiktoriańskiego urządzenia grzewczego, które znajdowało się od niego w odległości jednego, rozpaczliwego skoku.

Poza lekką skłonnością do napinania każdego ścięgna w oczekiwaniu na nieuniknione rozczłonkowanie, pierwszą reakcją Kyle'a na myśl, że może to nastąpić po następnym, ekscentrycznym tiknięciu starego zegara, było uczucie perwersyjnej satysfakcji. Potwierdziły się jego najczarniejsze przypuszczenia. Tajemniczy przeciek gazu? Ogień pozostawiony przez Davida w chwili, gdy wychodził, by stać się ofiarą tragicznego wypadku?

Logika podpowiadała mu, że takie katastrofy nie zdarzają się bez powodu. W każdym razie, nie zdarzają się zwykłym ludziom – takim nieskomplikowanym facetom jak oni dwaj. Tak samo jak nie traci się życia w nagły i niespodziewany sposób, potykając się i padając przed pociągiem londyńskiego metra wjeżdżającym o 7.53 na stację Lancaster Gate!

O Jezuu! – zawyła logika w umyśle Kyle'a, gdy paraliżujące zrozumienie ustąpiło wreszcie przed zmuszającym do praktycznych działań przerażeniem. Kyle błyskawicznie przebiegł przez pokój



i zaczął gorączkowo szukać po omacku ukrytego w głębokim cieniu antycznego kurka do gazu – mosiężnego, wyslizgującego się z palców, zbyt małego i zbyt cholernie trudnego do znalezienia... jest! Obrócił go o dziewięćdziesiąt stopni na pozycję „Wyl”. Zmusił się, by doczekać do chwili, gdy rozżarzone do białości części niechętnie nabiorą czerwonej barwy i zaczną przygasać – i dopiero wtedy znowu rzucił się w stronę najbardziej prawdopodobnego źródła śmiertelnych oparów.

Miał rację! Gdy tylko wybił ramieniem drzwi do kuchni, nagromadzona w niej mieszanina powietrza i gazu runęła przez próg, odbierając oddech oraz siły i otaczając go skłębioną chmurą. Jednocześnie wysyłała wybuchowe macki i szukała możliwości detonacji w każdym zakamarku korytarza i za otwartymi na oścież drzwiami do saloniku.

Kyle zamienił się w słuch, tkwiąc w półmroku i doskonale zdając sobie sprawę, że nawet poruszenie przełącznikiem światła może spowodować powstanie łuku elektrycznego, który wywoła eksplozję i pożar. Mimo to jednak zdołał dostrzec szeroko otwartą, ale całkowicie ciemną paszczę piekarnika. Słychać było dźwięk, jakby każdy palnik ze wszystkich sił wypluwał w powietrze niewidzialne świństwo. Cała kuchnia była w niewytłumaczalny sposób – nie, cofnij słowo „niewytłumaczalny”! Może motywy wciąż pozostawały niejasne, ale rzeczowe dowody tego, co się stało, były aż nadto ewidentne. Kuchenka Davida McDonalda – kuchnia denata – została z premedytacją zmieniona w bombę zegarową, której zapalnik już działał.

Kyle, dusząc się i krztusząc, sięgnął po krzesło kuchenne i cisnął nim w szybę, a potem odwrócił się gwałtownie, by wyłączyć gaz. Jego przerażenie zmieniło się w głuchą wściekłość. Niepewność minionego, koszmarne dnia – dręcząca niepewność, która sprawiała, że jego smutek był tak trudny do zniesienia – zastąpiło posępne przekonanie, że oto miał przed sobą mrozący krew w żyłach przykład bezwzględnej determinacji kogoś, kto spowodował śmierć jego najdroższego przyjaciela.

Było to jeszcze straszliwsze niż brutalność, z jaką zlikwidowano Davida – zważywszy, jaką rzeź mógł spowodować ten zbrodniczy zamach. O ile pomiędzy Davidem a jego zabójcą – albo zabójcami – musiała istnieć jakaś, choćby nie wiadomo jak słaba, więź, ci, którzy byli obiektem tych ostatnich działań byli całkowicie niewinnymi ludźmi. Dziesięć, a może dwadzieścia rodzin mieszkało na tyle blisko, że z pewnością wielu ich członków zginęłoby, albo zostało straszliwie okaleczonych, gdyby drzwi nie naśladowały dziwaczne zachowania zegarów, ołówków i innych nieożywionych przedmiotów i – dzięki silnemu wiatrowi wdzierającemu się do kuchni przez mnóstwo powodujących przeciągi szczelin – nie zatrzasnęły się samoistnie i nie powstrzymały rozprzestrzeniania się zabójczych wyziewów z piecyka.

Kyle był wstrząśnięty, ale przynajmniej otrząsnął się ze zubożonej na wszystko apatii. W chwili, gdy jego puls bił już tylko dwukrotnie szybciej niż normalnie, zaczął nawet myśleć pozytywnie.

Sprawca, lub sprawcy, za drugim razem nie mieli szczęścia. Świadomość, że on... ona... oni, nie są wcale wszechmocni i nie muszą być wcale bardziej niezniszczalni niż on sam, przyniosła mu nawet niewielką pociechę.

Najwyraźniej nikt w sąsiednich budynkach nie usłyszał dźwięku rozbijanego szkła ani stłumionych przez chusteczkę do nosa przekleństw, rzucanych przez Kyle'a, gdy próbował otworzyć pozostałe okna. A może słyszał, tylko przezornie postanowił nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Nieco rozgoryczony faktem, że nie okrzyczano go zbawcą, uznał ponuro, że nawet gdyby ten cholerny dom wyleciał w powietrze, mieszkańcy Ringtree Gardens uparcie nie daliby sobie przerwać

nocnego snu.

Po prostu spaliby nieco dłużej niż zamierzali. To wszystko!

Długo siedział na zewnątrz, na wyłożonej kamiennymi płytkami i przyjemnie zimnej podłodze podestu pierwszego piętra, z kolanami pod brodą i plecami opartymi o ścianę. Czekał, aż gaz się ulotni, i jakby pragnąc podsycić nerwową frustrację, zmagał się nie z dotychczasowymi zagadkami, lecz z następną łamigłówką.

Dlaczego, na litość boską? – zastanawiał się ponuro. – Jaki mogli mieć powód, żeby wysadzać w powietrze mieszkanie człowieka, po tym jak już go zabili?

Jedynym wnioskiem, do jakiego doszedł było to, że gdzieś w mieszkaniu musiało pozostać coś, co mogło obciążyć zabójcę Davida. Jakiś przedmiot, notatki, jakieś dowody rzeczowe, które ktoś miał zamiar obrócić w popiół razem z sąsiadami Davida.

Ta hipoteza miała ręce i nogi. Komuś bardziej zależało na zniszczeniu materiału dowodowego znajdującego się w budynku, niż na życiu jego mieszkańców. Zamienienie domu w kulę ognia dawało tę dodatkową korzyść, że cała ta operacja równie dobrze mogła zostać uznana za wypadek spowodowany przez roztargnionego historyka, który zajmował mieszkanie numer trzy na parterze. Gdyby Kyle nie miał już wcześniej wątpliwości, nawet on mógłby przyjąć takie wyjaśnienie za dobrą monetę.

Ale kto konkretnie zaaranżował te „wypadki” i dlaczego?

Uwzględniając fakt, że nie rozpoznałby tropu, nawet gdyby zderzył się z nim na środku oceanu, Kyle nie miał właściwie innego wyjścia, jak uznać, że jak dotąd tylko sam David dał mu jedyną wskazówkę. „Niezwykle delikatny, być może nawet trochę niebezpieczny w niewłaściwych rękach”. Tak właśnie brzmiała uwaga, którą wygłosił zaledwie niecałą godzinę przed swoją śmiercią.

Trochę niebezpieczny, na litość boską?

Albo może ten mało zdecydowany wyraz niepokoju był jedynie ostatecznym dowodem skłonności Davida do niedopowiedzeń? Może David, w czasie gdy Kyle plótł swoje idiotyzmy przez telefon, bał się o swoje życie? Z całą pewnością nie. Nawet on nie byłby wtedy tak powściągliwy. Najprawdopodobniej rzeczywiście nie spodziewał się, że ktoś podejmie przeciwko niemu tak barbarzyńsko ekstremalne kroki. Nie zdawał sobie również sprawy, że wypowiada słowa, które tak szybko miały się okazać aż za dokładnym proroctwem.

Kyle uświadomił sobie, że chociaż David wykazywał się ostrożnością, wyszukując drogę przez meandry historii, to jednak wczorajsze upiorne wydarzenie spowodowane zostało faktem, że jego przyjaciel nie zdołał we właściwy sposób docenić potęgi zła, które chociaż minęło już ponad pół wieku, dalej chroniło przedmiot jego badań.

Problem polegał więc na tym, że śmierć może zagrażać każdemu, kto okaże się na tyle nierozważny, by wyruszyć wystygłym już od pięćdziesięciu lat tropem byłego nazisty, który nazywał się Manfred Stollenberg?

I że tym „kimś” jest na przykład on – Kyle?

# 4

O ile Kyle mógł się zorientować, od strony klatki schodowej nie było śladów włamania. Nie musiało to wcale oznaczać, że ten, kto zmontował przy Ringtree Gardens amatorski zestaw kremacyjny, rzeczywiście dysponował kluczem. By otworzyć kiepskie drzwi frontowe mógł na przykład posłużyć się kartą kredytową, czy jakąś inną sztuczką, widzianą przez Kyle'a w telewizji. Postanowił wymienić zamek z samego rana, gdy tylko otworzą sklepy.

W chwili gdy uznał, że może już wejść do mieszkania, stary zegar pokazywał w przybliżeniu za pięć czwarta. Jego fałszywy, tajwański rolex był zdania, że jest raczej dwadzieścia po. Oba były w równym stopniu dokładne. W każdym razie, rozlegający się od czasu do czasu szum przejeżdżających pojazdów zmienił natężenie, zmieniając się w przerywany łoskot, znak, że służby miejskie szykowały się do rozpoczęcia kolejnego zwykłego dnia. Natomiast Kyle, wręcz przeciwnie, czuł się psychicznie i emocjonalnie wyczerpany. Nie było niczego zwykłego w morderstwie i próbie masowej eksterminacji.

Powinien się wreszcie przespać, albo przynajmniej spróbować to zrobić, ale w chwili, gdy wyciągnął się na zbyt krótkiej kozetce, wiedział, że nie będzie w stanie zasnąć. Gapił się w sufit pokreślony światłem i cieniami rzucanymi przez lampę. W podsycanej przez adrenalinę niepewności próbował sobie wyobrazić, jaki byłby następny krok prawdziwego detektywa.

Najrozsądniejsze posunięcie oczywiście narzuca się samo. Powinien pójść prosto na miejscowy komisariat i podzielić się swoimi podejrzeniami, pomimo że przemilczał je w rozmowie z inspektorem w Paddington. Ale czy teraz miał czym podeprzeć swoje przypuszczenia? Jakie niezbite dowody mógłby przedstawić policji i skłonić ją do wszczęcia dochodzenia w sprawie morderstwa?

Na drzwiach wejściowych nie było śladu włamania? Odkręcono kurki gazowe kuchenki, ale nie zapalono palników? Włączono ogień w piecyku?

Jeżeli nawet usnął, to tylko po to, by dygocąc, obudzić się parę minut później. Wszystkie okna były otwarte i resztki ciepła ulotniły się z pokoju razem z ostatnimi śladami gazu. W końcu Kyle zwłókł się z sofy i przeszedł przez wciąż jeszcze ciemny korytarz do kuchni. Tu runął na samo dno smutku, widząc dwa kieliszki do szampana ustawione obok siebie na tacy, przygotowane do napełnienia stojącym w lodówce Bollingerem '86. Nie zauważył ich wcześniej, ponieważ był zbyt zajęty wyrzucaniem krzeseł przez okno.

Mrugając gwałtownie, zbyt przygnębiony, by zwrócić uwagę na odłamki szkła chrzęszczące pod stopami, zaparzył kawę tak mocną, że można w niej było postawić łyżeczkę, a potem zaczął w zadumie wędrować po mieszkaniu z kubkiem w dłoniach, poszukując jakiejś godnej Sherlocka Holmesa inspiracji.

Nie spodziewał się raczej, że ujrzy nagle teczkę z napisem „Stollenberg” i za jednym zamachem

rozstrzygnie wszystkie swoje wątpliwości. Wiedział, że McDonald nie pracował w taki sposób. Gdy mieszkanie stało się za ciasne, aby przechowywać w nim wszystkie maszynopisy, David zaczął prowadzić swoje badania w archiwach Imperial War Museum i w Bibliotece Narodowej. Nader prawdopodobnym powodem było również to, że było tam o wiele cieplej. Wszystkie istotne informacje wprowadzał do laptopa. O ile Kyle dobrze zapamiętał, do dość starej Toshiba.

Gdy szukał laptopa, towarzyszyło mu raczej uczucie rezygnacji, niż oczekiwania. Był właściwie pewien, że McDonald nie zabrał go ze sobą do Battersea, ponieważ znajdowałyby się wśród rzeczy pozbieranych na miejscu wypadku. Istniała szansa, że David, wychodząc na krótko – jak sądził – zostawił go na wierzchu, i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby zabrał go ten sam intruz, który najprawdopodobniej zaaranżował wybuch w mieszkaniu, by usunąć inne, mniej oczywiste dowody rzeczowe.

Obawiając się, że w mieszkaniu mogą znajdować się jeszcze miejsca wypełnione gazem, postanowił nie włączać więcej światła, niż było to konieczne. Ta powściągliwość podyktowana była nie tylko ostrożnością, ale wynikała również z faktu, że nie czuł się jeszcze emocjonalnie gotów do wejścia do sypialni Davida. Ani też, by pchać nos w najintymniejsze, osobiste obszary przyjaciela, takie, które zazwyczaj wydawane są na łup oczom postronnych ludzi dopiero w sytuacji ostatecznej – czyli po śmierci. Tym bardziej że samo odnalezienie Toshiba i tak nie wiele by pomogło. Każda ważna i delikatna informacja, która znajdowała się w komputerze musiała być chroniona hasłem, nawet jeżeli uwzględniło się irytującą, być może śmiertelną, naiwność Davida. Kyle posiadał ograniczoną znajomość oprogramowania występującego na statku i nie obejmowała ona łamania kodów komputerowych. Jeżeli nawet udałoby mu się odnaleźć laptop, aby odtworzyć znajdujące się w komputerze informacje, musiałby skorzystać z czyjejś pomocy.

Jak dotąd, pomyślał ponuro, spis specjalistów, których wsparcia zaczynał wyraźnie potrzebować, obejmował: magika komputerowego, egiptologa, speców od drugiej wojny światowej mówiących płynnie po niemiecku i rosyjsku, szklarza, ślusarza, który poprawiłby zabezpieczenie mieszkania, a zwłaszcza naczelnego dyrektora Interpolu.

Wróciwszy do gabinetu, Kyle po raz pierwszy włączył tu światło i zaczął bez przekonania grzebać w stosach książek i papierów na biurku. Nie był w stanie stwierdzić, czy ktoś już tu wcześniej myszkował. Prawdę mówiąc, nie mógłby tego ustalić nawet, gdyby tę operację przeprowadzano widłami. David mógł się poruszać infostradami ze sprawnością zawodowca, ale nigdy nie należał do zdyscyplinowanych administratorów własnej przestrzeni mieszkalnej.

Zakrawało na ironię, że na samym wierzchu papierzyśk zalegających biurko znajdował się list ze sformułowaną stanowczo groźbą, że o ile doktor McDonald w czasie najbliższych siedmiu dni nie ureguluje załączonego rachunku, dostawa do jego mieszkania zostanie przerwana. Ultimatum pochodziło od firmy British Gas i zostało wysłane przed szesnastoma dniami.

Gdyby byli uprzejmi odcinać ludziom gaz w obiecany terminie, pomyślał ponuro Kyle, zapobiegło by to chociaż piekielnemu obciążeniu jego własnego systemu nerwowego.

Jedna z publikacji zakopanych w papierach z tyłu biurka rozpaliała iskierkę nadziei. Była to cienka książka w taniej oprawie, zatytułowana Waffen SS: śmierć narodowego mitu. Wyciągnąwszy ją spod stosu korespondencji, zaczął ją kartkować w oczekiwaniu na olśnienie, ale zawierała przede wszystkim czarno-białe fotografie i bardzo niewiele tekstu. Był to raczej zbiór fotografii wojennych, niż jakieś pogłębione studium. Zdjęcia dobrano najwyraźniej tak, aby ilustrowały tytuł książki, uwidaczniając rozpad jednego z najgroźniejszych elementów maszyny wojennej Hitlera. Organizacji,

której członkowie nosili nordyckie runy – dwie srebrne błyskawice na czarnym tle – i w tak straszliwy sposób zapisali się w historii drugiej wojny światowej.

Jedna ze stron została założona skrawkiem papieru, ale gdy Kyle do niej doszedł, nie był w stanie odgadnąć, dlaczego. Było to po prostu kolejne zdjęcie z pobojuwiska – wykonane wśród ruin dawnego kompleksu fabrycznego i przedstawiające poskręcane ciała martwych mężczyzn. Na pierwszym planie widoczne były zwłoki ubranego w kurtkę maskującą żołnierza Waffen SS, który patrzył niewidzącym wzrokiem w niebo spod stalowego okapu głębokiego hełmu, w ostateczny sposób pożegnawszy się z marzeniami o Trzeciej Rzeszy. Jego rozczarowanie miało zapewne wiele wspólnego z dziurą po pocisku, widniejącą nieco ponad krawędzią hełmu.

Przez chwilę zastanawiał się, czy może to być Stollenberg – jeżeli zdjęcie miało jakikolwiek związek ze sprawą – ale chociaż zupełnie nie orientował się w dystynkcjach SS, odniósł wrażenie, że denat jest trochę za młody na pułkownika. Raczej sprawia wrażenie przewodniczącego klasy, pomyślał smętnie. Akcesoria wojownika i gładkie rysy dziecka zrodzonego po to, by umrzeć w ślepym posłuszeństwie wobec potwornej ideologii.

Nad zwłokami stało czterech brytyjskich żołnierzy o pobrużdżonych zmęczeniem twarzach, spoglądających obojętnie w obiektyw aparatu. Jeden z nich – sierżant ze stenum, którego trzymał niedbale, niczym leśniczy, w zgięciu ręki – palił papierosa, zwisającego z pobitewną swobodą z kącika ust. Kyle zwrócił uwagę, jak bardzo obraz ten przypomina owe sepiowe fotografie, uwieczniające łowy na grubego zwierza, cenione w nieco wcześniejszej i chyba bardziej współczującej epoce. Należało jednak przyznać, że takie wiktoriańskie trofea nie posiadały trzonkowych granatów ręcznych i pistoletów maszynowych schmeisser.

Podpis głosił: *Zmierzch boga. Bremerhaven, maj 1945.*

Kyle zamknął książkę i zajął się stertą czasopism – przeważnie starych broszur dotyczących uzbrojenia i wojskowych publikacji – tkwiącą w chwiejnej równowadze pomiędzy biurkiem a rogiem pokoju. Przekładając je, zauważył, że jedno zostało założone tak, jakby i tutaj zaznaczono stronę, chociaż i w tym przypadku nie był w stanie uświadomić sobie, dlaczego. Znajdowało się na niej zdjęcie lotnicze statku, gdy tymczasem zawodowe zainteresowania Davida sprawami marynarki wojennej były w najlepszym przypadku marginesowe. Jeszcze bardziej zastanawiający był fakt, że fotografia przedstawiała statek handlowy, a nie okręt wojenny. Spojrzawszy z zaciekawieniem na stronę tytułową, przekonał się, że jest to sponsorowany przez NATO magazyn poświęcony rozpoznaniu. Wydany został w listopadzie 1976 roku i zawierał fotografie, sylwetki i rysunki statków oraz towarzyszące im dane techniczno-taktyczne oraz szczegółowy katalog narzędzi śmierci, poczynając od pojazdów pancernych, okrętów wojennych i samolotów byłego Układu Warszawskiego, po najnowocześniejszy sprzęt używany wówczas przez mocarstwa zachodnie.

Jednostka na fotografii nie sprawiała wrażenia jakiegoś wyjątkowego statku. Kyle widział takie prawie w każdym porcie – stary, sowiecki frachtowiec, który łatwo było zidentyfikować dzięki sierpowi i młotowi na kominie. Zdjęcie wykonano z samolotu rozpoznawczego Nemrod, przelatującego nad zachodnim wejściem do portu. Podpis potwierdzał, że jest to: *Typowy frachtowiec wykorzystywany przez Układ Warszawski do zbierania danych wywiadowczych „Jurij Rogów”.* Zwraca uwagę widoczny supernowoczesny zestaw elektronicznej aparatury przechwytyjącej za mostkiem, który zupełnie nie pasuje do rzekomych zadań transportowych jednostki.

Zgodnie z wymogami rachunku ekonomicznego tę jednostkę powinni byli pociąć na żyłki już

w latach siedemdziesiątych, w chwili, gdy wykonywano fotografię, pomyślał z rozrządzeniem. Przy tak ograniczonych możliwościach ładunkowych i licznej załodze w żaden sposób nie mogła konkurować z zachodnimi statkami przewozowymi. Jednak ogromne subsydia, jakie sowieccy wojskowi przekazywali w czasie zimnej wojny marynarce handlowej, umożliwiały jej swobodne pękanie się po całym świecie i realizowanie tajnej roli podsłuchiacza.

Ale przecież coś musiało Davida w nim zainteresować?

Kyle wzdrygnął się i postanowił, że zanim zamarznie na śmierć, musi uszczelnić rozbite okno. Potem zdrzemnie się i dopiero wtedy podejmie próbę dalszego pościgu za duchem SS-Standartenführera Manfreda Stollenberga.

Jego system nerwowy nadwerężony został ponownie, kiedy po zakończeniu prac remontowych prowadzonych przy pomocy znalezionych w kuchni plastikowych worków na śmiecie, zaskoczył go gwałtowny grzechot przy drzwiach wejściowych. Stojąc gotowy do kontrataku z pluskiewką kreślarską w ręku, uświadomił sobie, że to tylko wrzucona przez otwór na listy poranna gazeta Davida upadła z trzaskiem na wycieraczkę... Boże, to już tak późno? Ziewając przeraźliwie, przeszedł przez korytarz, aby podnieść złożone pismo.

Migoczące czerwone światelko automatycznej sekretarki spowodowało, że się zawahał. Fakt, że niemal został wysadzony w powietrze sprawił, iż zapomniał o nagranych informacjach. Ostrożnie odstawił kubek i nacisnął guzik „Odtwarzanie”. Aparatura zabrzęczała, przewijając taśmę, a potem odezwała się.

Głos młodej dziewczyny: „Panie McDonald, odkurzacz, który zostawił pan do naprawy, można już odebrać”. Kyle zmarszczył brwi. Dzieciak nie powiedział, skąd ma go odebrać, w związku z czym z filozoficznym spokojem dodał do listy zagubionych rzeczy Davida Jeden odkurzacz”. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że zawsze może spróbować przesunąć palcem przez strony informacji handlowej, szukając najbliższych punktów naprawy odkurzaczy i poczuł się niezwykle zadowolony. Kłopot polegał na tym, że nawet wykazanie tego rodzaju dochodzeniowej pomysłowości w gruncie rzeczy wyczerpało pomysły na detektywistyczne działania, które czuł się na siłach podjąć.

Potem odezwał się Hackman. Kyle nie wiedział, kim jest Hackman. Ani Lockwood – oczywisty powód telefonu Hackmana. Z informacji wynikało, że również nie żyje.

Tu Hackman – zazgrzytał głos z lekko dosłyszalnym północnym akcentem. – Miał pan rację w sprawie Lockwooda, doktorze. Facet nie wrócił do domu. Poległ w walce kilka godzin po wydarzeniu. Powiadają, że był ofiarą tego, co obecnie nazywamy „własnym ogniem”, ale wydaje się, że to właśnie on dał cynk Profosom [członkowie Provisional IRA, Provost żandarm wojskowy] – co oczywiście nie oznacza, że ruszyli choćby palcem w bucie. – Bezcielesny Hackman przerwał na chwilę. – Zresztą pewnie wcale nie mieli na to ochoty. Można powiedzieć, że było to doraźne wymierzenie sprawiedliwości, prawda? Proszę posłuchać, jest tego jeszcze więcej. Niektóre rzeczy są dość interesujące. Niech pan przedzwoni po powrocie do domu, to spotkamy się przy kuflu piwa. Cześć!

Kyle ponownie odtworzył nagranie. Nie było tu niczego, co konkretnie wiązałoby się z prowadzonymi przez Davida badaniami w sprawie Stollenberga, chociaż określenie „poległ w walce” w niewątpliwy sposób sugerowało, że był to incydent związany z wojną. Ale jaką wojną? I ten „własny ogień”? Fragment o Provosach go zdezorientował. O ile pamiętał, w czasie drugiej

wojny światowej IRA nie przejawiała szczególnej aktywności, ale z drugiej strony, może wędrówki Davida po historii skierowały go na bardziej współczesne, związane z terrorystami wody...?

Ale pomijając kwestię uzgodnień pokojowych, czy współcześni, dysponujący wyrafinowanym sprzętem specjaliści od przemocy, nie są bardziej skłonni używać do wysadzania czyichś domów semtek, a nie wiktoriańskich pieców gazowych?

A poza tym, o ile słowa Hackmana o doraźnym wymierzaniu sprawiedliwości brzmią wiarygodnie, to czy jest prawdopodobne, że tego rodzaju paramilitarna organizacja będzie wymagała od kogoś złożenia oficjalnych zeznań, zanim go skasuje?

Kyle uznał, że musi porozmawiać z tym Hackmanem, nie przypuszczał jednak, by „Hackman” występował jako kategoria zawodowa w informatorze o usługach. Postanowił starannie przepisać całą informację, zanim skasuje taśmę, a potem włączył trzecią wiadomość.

Była od Jagjivana Singha. Gdy tylko Kyle poznał jego precyzyjnie modulowany głos, uznał, że stygnąca kawa jest ważniejsza od czegokolwiek, co pan Singh może mieć mu do powiedzenia i zatrzymał taśmę. Singh był brokerem okrętowym oraz agentem załogowym i miał biuro niedaleko Covent Garden. Tak jak David, był doktorantem w King's College, lecz porzucił akademię, by robić pieniądze. Obecnie Kyle darzył starego, dobrego „Jaggersa” Singha niechęcią, ponieważ reprezentował on wyłącznie pływające pod obcą banderą statki-trumny. Szczególnie takie, których armatorzy przejawiali większe zainteresowanie odebraniem ubezpieczenia za statki, które zatoniły podczas rejsu, niż zyskami, jakie przyniosłyby, przybywając bezpiecznie do portu przeznaczenia.

Wykorzystując swoją przyjaźń z McDonaldem, Singh namówił Kyle'a, by dopomógł mu i zajął wakujące stanowisko na rozpadającym się frachtowcu zarejestrowanym w Monrovi. Dzięki temu statek mógłby odpłynąć zgodnie z planem. Jego dotychczasowy pierwszy oficer, Turek, wyładował w szpitalu – tak przynajmniej utrzymywał Jaggers. Okazało się, że w rzeczywistości „pierwszy” w Singapurze dał dyla ze statku i nie było w tym nic dziwnego. Podczas tego rejsu Kyle spędził większość swoich wacht pod pokładem, leżąc całkowicie ubrany na koi, z pasem ratunkowym na wyciągnięcie ręki i z drzwiami kabiny zablokowanymi w otwartej pozycji, aby nie zatrasnęły się w chwili, gdy statek przewróci się bez ostrzeżenia. Wyteżał słuch, by uchwycić pierwszy odgłos morskiej wody pojawiającej się po niewłaściwej stronie przeżartych rdzą płyt poszycia.

Nie oznacza to, że tak precyzyjnie przeciwiczona paranoja w czymkolwiek by mu pomogła. Łodzie ratunkowe nadawały się do wszystkiego, tylko nie do ratowania. Kyle z przerażeniem zorientował się, że są one w jeszcze gorszym stanie niż statek i wiszą na taliach tak skorodowanych, iż pęknięte stalowe druty nadawały im wygląd ogona wyjątkowo przestraszonego kota.

Mimo wszystko jednak Singh był przyjacielem Davida. Zadzwoń do niego później i opowie mu o wszystkim, zanim ten dowie się o tym od kogoś innego.

Kyle zorientował się, że znowu zaczyna mrugać i poczuł, że przytłacza go sterylna pustka mieszkania. Pociągając nosem, grzebał przez chwilę w szufladzie stolika pod telefonem, znalazł zapasową taśmę do automatycznej sekretarki i włożył ją do aparatury, wyjąwszy uprzednio kasetę z zapisem informacji od Hackmana. Potem ruszył korytarzem, żeby podnieść gazetę. Kiedy zaniósł ją do kuchni, postanowił, że po wypiciu kawy skończy sprzątać potłuczone szkło, a potem jeszcze raz spróbuje się zdrzemnąć.

Ogólnie rzecz biorąc, poczuł się nieco lepiej. Przewyciężył psychiczny dołek, w jaki nieco wcześniej wtrącił go widok przygotowanych przez Davida kieliszków do szampana albo przynajmniej tak mu się wydawało.

W rzeczywistości za kilka następnych minut miał poczuć się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Słowo „nieszczęśliwy” nie oddawało jednak gamy emocji, jakich Kyle miał doświadczyć, czyniąc kolejne odkrycie w mieszkaniu, które jak dotychczas przypuszczał, dzielił jedynie z łagodnym, chociaż cholernie nieporządnym historykiem.

Odnalazł zwłoki.

Nagiej dziewczyny?

W szafie w korytarzu?



# 5

Wspomniane ciało zostało wciśnięte w niewielką przestrzeń z dość dużą siłą. A jego właścicielka została usunięta z tego świata z zastosowaniem wyjątkowej przemocy.

– Jasna cholera! – zawołał starszy z dwóch policjantów, którzy jako pierwsi odpowiedzieli na wymamrotane chaotycznie przez Kyle’a wezwanie.

A potem obaj odwrócili się, by wymownym spojrzeniem obrzucić jego liczącą sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu postać. W każdym razie zrobił to ten, który wygłosił ów komentarz. Drugi, o wiele młodszy, pobladł i prawie wybiegł na ulicę.

– Chciałem tylko znaleźć szczotkę – wyjaśnił Kyle. – Żeby zamieść szkło ze stłuczonego okna w kuchni.

– A czemu było stłuczone? – wciąż roztrzęsionym głosem zapytał policjant, który pozostał na posterunku.

– Ponieważ wyrzuciłem przez nie krzesło.

– Aha – gliniarz pokiwał ze zrozumieniem głową. – W takim razie domowa.

– Co domowe?

Kłótnia. Po tym jak oboje odbyliście swoją tradycyjną bójkę, posunął się pan za daleko, prawda?

Kyle zachmurzył się. Nie pomyślał o tym, że uznają, iż to on jest sprawcą.

– Nie zabiłem jej – zapewnił skwapliwie swojego rozmówcę. – Była tu, kiedy otworzyłem drzwi do szafy.

– Jak pan już powiedział, próbował pan znaleźć tam szczotkę. O... Funkcjonariusz ostentacyjnie spojrział na zegarek – ...siódmej dziesiątej rano. Czy zazwyczaj wykonuje pan prace domowe o siódmej rano, proszę pana?

– To zależy, według którego zegara – uściślił Kyle.

Drugi policjant wszedł ponownie przez drzwi frontowe, starając się nie patrzeć na szafę.

– Zadzwoń do nich z samochodu, Bili. Potwierdziłem, że to awantura z morderstwem. Powiedzieli, żeby niczego nie dotykać, Wydział Zabójstw będzie tu lada chwila.

To było po prostu niesamowite. Szok, jak sądził Kyle. Cała trójka prowadziła utrzymaną w towarzyskim tonie konwersację właśnie tutaj, w przedpokoju, w towarzystwie martwej kobiety, której tym razem raczej nie można było wziąć za przypadkową ofiarę. Przeczył temu fakt, że z dużą siłą ktoś przeciął jej pionowo gardło czymś, co robiło wrażenie noża do filetowania.

Dokładnie w miejscu, w którym David i ja mieliśmy zwyczaj łaskotać dziewczyny kwiatem jaskra, przypomniał sobie z niepokojem Kyle. Żeby przekonać się, czy lubią kwiatki, prawda?

A może po to, żeby się dowiedzieć, czy ich kochają?

Kyle zastanawiał się, czy ta dziewczyna kochała Davida. Ta do niedawna ładna dziewczyna o kruczoczarnych włosach i oliwkowej skórze, która po śmierci zaczęła tracić kolor? I czy David

kiedyś ją kochał. W swoich pisanych od czasu do czasu listach nigdy nie wspominał o żadnych romansowych związkach, ale z drugiej strony mogło być bardzo wiele rzeczy dotyczących McDonalda, o których Kyle nie wiedział. Czy David przez tyle lat mógł ukrywać przed nim jakieś mroczne i ponure pragnienia? Czy, skoro już o tym mowa, ktoś, kogo uważał za brata, naprawdę mógł popełnić tak potworny czyn, a następnie skrupulatnie wstawić szampana do lodu i zadzwonić, aby powitać go w domu? A następnie opuścić mieszkanie, aby spotkać swoją Nemezis pod kołami pociągu metra?

Kyle bardzo w to wątpił. David nie mógłby – nie potrafiłby! – zrobić czegoś takiego. Nie był w stanie zaszlachtować tej dziewczyny, wiedząc, że to właśnie Kyle musiałby ją znaleźć. Poza tym pozostawało pytanie, kto próbował wysadzić mieszkanie w powietrze? Z całą pewnością McDonald nie był potworem, który chciałby spopielić niewinnych ludzi.

Doprawdy?

– Przypuszczam jednak, że wie pan, kim ona była, panie McDonald?

Pytanie przywołało na nowo zniechęcające uczucie déjà vu.

– Doktor McDonald, doktor nauk, nie medycyny... Nie, nie wiem, kim była. Nie tym razem.

– Tym razem? – Starszy policjant zmarszczył brwi. – Pozwoli pan, że upewnię się, że dobrze pana zrozumiałem. Mówi pan, że nie jest pan doktorem medycyny, ale niedawno miał pan do czynienia z innymi zwłokami?

– Oczywiście do diabła, że nie miałem! – Kyle eksplodował dość niefortunnie, biorąc pod uwagę okoliczności. – No cóż, tylko marginalnie. Tylko z jednym – wczoraj, jak sądzę? I w gruncie rzeczy wcale nie jestem żadnym doktorem. Nazywam się Kyle. Michael Kyle.

Gliniarz mruknął.

– Nie spuszcza go z oka, Tim – a potem poszedł korytarzem, by przeczytać przymocowaną do drzwi wejściowych mosiężną tabliczkę z nazwiskiem McDonald. Kyle, jako zawodowy koczownik, nigdy nie uznał, że warto powiesić tam również swoją własną.

Konstabl wracając, zaczął wyciągać kajdanki.

– Jak ci się udało tak elegancko wyłamać drzwi doktora, Kyle? – zapytał krótko, najwyraźniej czując ulgę, że wreszcie wykrył przestępstwo, nad którym może zacząć pracować. – Posłużyłeś się kartą kredytową, co? Pewnie widziałeś to w telewizji?

Gdy przesłuchiwali go policjanci z Wydziału Zabójstw, to, co mówił chyba nie było bardziej spójne, zwłaszcza gdy przedstawiał czynności wykonane podczas ostatniej doby. Życie po śmierci Davida zdążyło się już przekształcić raczej w absolutny bezsens, niemożność uwierzenia w to, co się dzieje, niż w osadzony w czasie i przestrzeni zapis koszmaru. Sytuację pogarszał fakt, że przeżywane przezeń wcześniej i dziwaczne samo w sobie złudzenie normalności, już dawno temu zdążyło przekształcić się w surrealistyczny brak jakichkolwiek emocji.

Nie sądził, by zrobił na rozmówcach szczególnie dobre wrażenie, ponieważ w końcu wsadzili go do saloniku, w którym tkwił pod baczny i nieprzyjazny okiem obu mundurowych policjantów, którzy go zatrzymali. Czuł się teraz nie jak przysły Młot Sprawiedliwości, ale raczej jak osobnik, którego Sprawiedliwość zaraz walnie młotem w głowę. Zapewne nie pomogło mu również i to, że nie mając nic lepszego do roboty poza daremnymi próbami zidentyfikowania odgłosów nasilonej działalności w przedpokoju, Kyle ostatecznie uległ straszliwemu zmęczeniu i zapadł w niespokojną drzemkę. Przestał już dbać o to, czy tego rodzaju nonszalancja przejawiana przez osobnika

podejrzanego o seryjne morderstwo może wyrzucić na policjantach wrażenie paskudnego przypadku braku uczuć wyższych.

Mimo wszystko, unosząc się w swojej strefie cienia, Kyle wyczuwał, że policjantom sprawy układają się nie najlepiej – i że coś się tu zakorkowało. Gdy co jakiś czas się budził, widział jak drzwi się otwierają, zagląda przez nie nowa twarz i patrzy, jak mu się wydawało, z pewną konsternacją na jego uszpiętą postać. Potem drzwi zamykały się znowu i rozlegał się za nimi stłumiony dźwięk głosów. Starał się jak tylko mógł, by nie zwracać uwagi na te zakłócenia i zgromadzić pewne rezerwy sił, niezbędnych do uporania się z czekającymi go jeszcze obciążeniami psychicznymi.

Po kilku godzinach rozległy się kroki nowych osób, a dobiegający z przedpokoju szmer głosów stał się bardzo ożywiony.

W końcu Kyle ocknął się na dobre, gdy gwałtownie potrząśnięto go za ramię. Większość policjantów już sobie poszła, a jego umundurowani strażnicy niechętnie zabierali ze sobą puste kajdanki, przekazując Kyle'a – i najwyraźniej całe dochodzenie – kolejnym funkcjonariuszom, którzy oznajmili, że są... no cóż, z Wydziału Specjalnego!

– Myślałem, że wzywają was tylko wtedy, gdy chodzi o szpiegów – powiedział zdenerwowany Kyle do pierwszego przedstawiciela Nowej Fali, ubranego w nieco wyświechtany, tweedowy garnitur mężczyzny o ponurej minie, który przedstawił się jako starszy inspektor Cox z SO 13, cokolwiek ten skrót miał znaczyć. Kyle starał się mówić możliwie jak najspokojniej, ponieważ uznał, że jeśli Wydział Zabójstw ze zrozumiałych względów uznał go za psychicznego, to niezmiernie ważne było, by ci, którzy teraz zaczęli przesłuchiwać go od początku, przekonali się, iż jest spokojny i całkowicie zrównoważony.

– Myśli pan o Piątce – mruknął roztargnionym głosem Cox, który ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w szafę. Wydawał się tak samo zaniepokojony jej zawartością jak Kyle, co było dość dziwne, biorąc pod uwagę stanowisko, jakie zajmował. – W chwili obecnej jest to trochę szara strefa, ale zasadniczo szpiegami zajmuje się MI-5. Do nas należą wywrotowcy i niepokoje społeczne. Nawet kiedyś nazywali nas Wydziałem Politycznym.

Trzech nowo przybyłych nałożyło białe kombinezony i z trzaskiem wciągnęło na dłonie gumowe rękawiczki. Teraz grzebali w walizeczkach z przedmiotami o naukowym wyglądem, a fotograf w skórzanej kurtce zakładał film do Pentaksa.

Starszy inspektor Cox poświęcił Kyle'owi chwilę wstrzemięźliwego zainteresowania.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy wyszli z przedpokoju, prawda? Przejdźmy do saloniku i tam sobie porozmawiamy. Nie będziemy wchodzić w drogę mojemu sierżantowi i technikom zabezpieczającym miejsce zbrodni. A poza tym, może się pan czuć nieswojo.

– Nie jest mi nieswojo. Już od dawna przestało mi być nieswojo. – Zaprotestował oziębłe Kyle. – Nie jestem polityczny... I nie przypuszczam, by można mnie było uznać za wywrotowca. – Pomyślał o tym przez chwilę. Chyba że uznajecie za takiego członka Związku Zawodowego Oficerów Marynarki Handlowej. Dlaczego więc nie mogę być w dalszym ciągu aresztowany przez zwykłych policjantów?

Facet z Wydziału był uprzejmy przejawiać zaskoczenie.

– Ci z Zabójstw nie wpadli na pomysł, by panu powiedzieć? Bardzo pana przepraszam, ale nie jest już pan aresztowany. – Przestał robić minę kompetentnego funkcjonariusza przepraszającego za

kolegów. – No cóż, w każdym razie nie w tej chwili.

Nie jestem? – zapytał Kyle słabo, jakby z rozczarowaniem.

– Jak się wydaje, pański kapitan potwierdził, iż zszedł pan ze statku dopiero po północy, a nie potrzebuję lekarza z sądówki, aby stwierdzić, że zabójstwo miało miejsce kilka godzin wcześniej. Daleko posunięte stężenie pośmiertne górnych kończyn i tułowia zdaje się świadczyć, że została zabita od dwunastu do dwudziestu godzin temu. Wyraźna sinica, a poza tym – wskazał dywan przed szafą. – To musiało mieć jakiś czas, żeby zaschnąć.

Plama. Kyle nie zauważył jej, ponieważ nie chciał podejmować ryzyka i włączać więcej świateł niż to było konieczne, ale teraz wyglądała w tak oczywisty sposób – lśniąca i z ostrymi wypustkami. Inne ślady krwi wskazywały, któredy wleczono coś z sypialni od ulicy, która należała do Davida. Kyle nie czuł się jednak na siłach, by zastanawiać się, jak i dlaczego się tu znalazły. Ani też, kto mógł być siłą pociągową.

– Wydział Zabójstw uznał również, że czas, jaki upłynął od opuszczenia przez pana kostnicy do powrotu na statek późnym popołudniem nie dawał możliwości, żeby tu wskoczyć i... inspektor ponownie wskazał palcem – zrobić to.

Kyle poczuł przyływ ulgi. Może w mniejszym stopniu na wieść, że nie zostanie oskarżony o morderstwo, niż dlatego, że nie wszedł do sypialni Davida i nie natknął się na widoki, które swoimi makabrycznymi skojarzeniami zakasowałyby ten skondensowany koszmar, jakiego odkrycie stało się ostatecznie jego udziałem.

– Natomiast, jeżeli chodzi o pańskiego przyjaciela, doktora McDonalda – mówił dalej Cox, cierpliwie oczekując na reakcję. – No cóż, to zupełnie inna sprawa.

Uczucie ulgi, jakie ogarnęło Kyle'a ulotniło się i zastąpił je już coraz bardziej znajomy konflikt pomiędzy lojalnością a logiką. Albo musiał pogodzić się z możliwością, iż David rzeczywiście w bestialski sposób zabił tę wciąż jeszcze anonimową dziewczynę, albo też nieugięcie wierzyć, iż przyjaciel został wplątany w coś więcej, niż tylko własne morderstwo.

Lojalność i tym razem wygrała. Lojalność, podbudowana rozmową telefoniczną, w której pojawili się Standartenführerzy Waffen SS, konwoje z czymś, co w czasie drugiej wojny światowej było najwidoczniej dynamitem, Rosjanie, Egipcjanie... nie egiptolodzy!

– David też nie mógł tego zrobić – oznajmił zdecydowanie.

– Ale ktoś jednak to zrobił – zwrócił łagodnie uwagę starszy inspektor Cox. – I jeżeli chce pan mówić o przypadku, to chciałbym zauważyć, iż twierdzenie, że doktor przypadkiem wpadł pod pociąg metra zaledwie kilka godzin przed odnalezieniem w jego mieszkaniu ciała młodej kobiety, byłoby bardzo trudne do przełknięcia nawet przez najbardziej łatwowiernych ludzi.

– Sądzi pan, że David zabił ją, a potem popełnił samobójstwo?

– Z całym szacunkiem, ale to pan wysunął możliwość samobójstwa. Ja w dalszym ciągu jestem bezstronny.

– Dlaczego?

– Jezu Chryste, czy nie uważa pan, że powinienem? – odparł nieco zaskoczony Cox.

– Chodzi mi o to, dlaczego miałyby ją zabić? Jaki mógł mieć motyw? Krwawy ślad ciągnący się od sypialni do szafy nagle uświadomił Kyle'owi bezsens tego pytania i postarał się szybko zmienić temat. – Proszę posłuchać, pewnie coś mi umknęło, ale stawiając sprawę jasno, dlaczego tu jesteście? To znaczy Wydział Specjalny.

– Ponieważ jakiś bystry posterunkowy uznał za stosowne sprawdzić numery rejestracyjne

samochodów zaparkowanych na ulicy. A kiedy poprosił o informację o pewnym fordzie mondeo, komputer wyświetlił polecenie: „powiadomić SO 13”.

– David nie miał forda mondeo – zaprotestował kategorycznie Kyle. O ile mi wiadomo, nie miał żadnego samochodu.

– Wcale nie twierdzę, że miał – zapewnił go beznamiętnie Cox.

Kyle ściągnął brwi. Nie bardzo mógł zrozumieć, dlaczego fakt, że David nie nabył konkretnego modelu konkretnej firmy samochodowej, automatycznie skłonił komputer do zainicjowania dochodzenia Wydziału Specjalnego. Chyba że Ford Motor Company była jeszcze bardziej na bakier z prawem, niż uważał to za możliwe.

– A więc?

– A więc obowiązujące przepisy nakazują Wydziałowi Zabójstw zasięgnąć opinii Wydziału Specjalnego odnośnie pojazdów zarejestrowanych na osoby podejrzane o powiązania te-er.

– Te-er?

– Terrorystyczne.

– Doktor McDonald nie był terrorystą – zaprotestował Kyle. Po tym jak zaprzeczył, by jego przyjaciel był zboczeńcem seksualnym, mordercą, człowiekiem podkładającym bomby, samobójcą i właścicielem forda mondeo, składanie takich oświadczeń zaczynało już przechodzić w rutynę.

– Wiem, że się powtarzam, proszę pana, ale nigdy nie powiedziałem...

W tym momencie procesy myślowe Kyle’a natychmiast przerodziły się w słowa.

– A więc to był jej samochód... To z jej powodu tu jesteście? I to ona była... – Zorientował się, że z niedowierzaniem patrzy na tkwiącą w szafie dziewczynę, przypominającą woskową lalkę. Niewątpliwie do niedawna była piękna. Bardzo piękna. Zdecydowanie zbyt piękna, aby wyobrazić sobie, że jest... – Terrorystką?

# 6

Czy nazwisko Abdeljalil coś panu mówi, panie Kyle? Czy może doktor McDonald wymieniał je kiedyś?

Głos inspektora, starannie wymawiającego sylaby cudzoziemskiego nazwiska, przerwał stan oszołomienia wywołany przez wyeksponowane w sterylnych warunkach trupy. Trupy w szafach, trupy na fotografiach, trupy żołnierzy Waffen SS, Rosjan, uznanych za zmarłych Williamsów – a może Williamsonów – i wprowadzony właśnie, zapewne najbardziej paradoksalny element tej w coraz większym stopniu morderczej łamigłówki przekazanej w spadku Kyle'owi przez Davida McDonalda. Czynniki terrorystyczne.

Czy rzeczywiście było to pierwsze podejrzenie, że McDonalda łączy coś z terrorystami? Tajemnicza informacja Hackmana, zawierała aluzję do dawniejszych powiązań z irlandzkimi Provo, chociaż nazwisko Abdeljalil raczej nie budziło skojarzeń z Guinnessem i Kamieniem z Blarney.

– Nie – zmusił się do odpowiedzi. – Czy... to było jej nazwisko?

– Fałszywe. Pod takim występowała – uściślił Cox. – Paszport marokański. Również lipa. Od jakichś osiemnastu miesięcy mieszkała w Chelsea, a przedtem w Monachium i Frankfurtach. Tam, według niemieckiego Bfv nazywała się Loukach. – Przygryzł dolną wargę i znowu zaczął sprawiać wrażenie dziwnie zaniepokojonego. – Pracowała na Fulham Road. Uważali ją tam za dobrą fryzjerkę.

– David brzydził się terroryzmem – zapewnił go wyzywającym tonem Kyle – Był również patriotą do szpiku kości, takim typem „za Królową i Ojczyznę”. Zameldowałby o każdym, kogo podejrzewałby o działanie na szkodę interesów Wielkiej Brytanii.

– Jestem o tym całkowicie przekonany, proszę pana – stwierdził wymijająco Cox. – Ale z drugiej strony, pan doktor niekoniecznie mógł sobie zdawać sprawę z wywrotowych powiązań tej młodej damy. Terrorysty nie noszą odznak. Ich wzajemne stosunki mogło zapoczątkować zupełnie niewinne spotkanie – podobnie jak jej morderstwo. Innymi słowy, mogła zostać zabita, ponieważ była kobietą, a nie dlatego, że była terrorystką.

– Chyba nie sugeruje pan, że ona i David w ogóle utrzymywali jakieś stosunki? – Kyle zdał sobie sprawę, że zaczyna się stawać nieco agresywny.

– To bardzo mało prawdopodobne. Muszę przyznać, iż fakt, że jej zwłoki znalazły się w mieszkaniu doktora, wcale nie dowodzi, że kiedykolwiek się spotkali.

A kiedy Kyle gratulował sobie w duchu, że zdobył punkt na korzyść Davida, funkcjonariusz Wydziału Specjalnego dodał zniechęcająco:

– Przy okazji, kiedy ustalał pan w kostnicy tożsamość doktora, czy przypadkiem nie zauważył pan...

– Co, panie starszy inspektorze? Co jeszcze mogłem zauważyć poza tym, że mój najbliższy przyjaciel został właśnie przejechany przez pieprzony pociąg. Proszę mi powiedzieć, co?

– No cóż... czy był niedawno u fryzjera?

– Czy wolno mi zapytać, kim ona naprawdę była? – zainteresował się Kyle, gdy już się uspokoił. Doskonale zdawał sobie sprawę, że im więcej dowie się od Coksa, tym łatwiej trafi do osoby, która pozostawiła pod jego tymczasową opieką te zwłoki o podwójnym nazwisku.

– Dlaczego nie? I tak za kilka dni wszystko będzie w tych cholernych gazetach. – Cox przez chwilę poddał się irytacji wywołanej pracowitością brytyjskiej prasy, a potem wzruszył ramionami. – Ustaliliśmy wstępnie, że naprawdę nazywała się Inadi. Obywatelka syryjska, mniej więcej trzydzieści dwa lata.

A więc ma już trzy nazwiska do wyboru.

– Czy miała jakieś imię? – Kyle miał zamiar powiedzieć „chrześcijańskie imię”, ale w samą porę uznał, że byłoby to raczej niemożliwe.

– Spokojnie, mam dosyć problemów, żeby wymówić Abdeljalil – mruknął starszy inspektor. – O ile mi wiadomo, miejscowi znali ją jako Wandę.

– Przepraszam, panowie, ale czy mógłbym już zacząć? – przerwał im zaniepokojonym głosem fotograf. – Przed końcem zmiany muszę jeszcze załatwić gwałt.

– Nie dotykaj niczego, zanim nie przyjedzie anatomopatolog, Harry ostrzegł go Cox. – Siedzimy już tak głęboko w gównie, że nie musimy dawać Wydziałowi Zabójstw powodu do składania na nas skarg.

Kyle po prostu musiał zadać to pytanie:

– A właściwie dlaczego siedzicie w gównie, panie inspektorze?

– Bo ona nie żyje, właśnie dlatego. – Coksovi udało się nadać swojemu głosowi żalną nutę. – Nie powinna być martwa. To bardzo kłopotliwe dla służb bezpieczeństwa. Prasa zaraz zacznie robić aluzje, że zrobiliśmy to umyślnie. Poprosiliśmy SAS, [Powietrzne Siły Specjalne] albo kogoś w tym rodzaju, żeby ją sprzątnęli i oszczędzili podatnikom kosztów obserwacji.

Kyle znowu pomyślał o przeszłości Davida, jego bliskich związkach z sprawami wojskowymi, ale doszedł do wniosku, że przyjaciel nigdy nie był członkiem SAS, nawet zakonspirowanym. Nienawidził ostrej gry i żaden ptaszek o jego inteligencji nie zapaskudziłby tak własnego gniazda.

– Skoro ją obserwowaliście, to dlaczego jest w mojej szafie? – drażył temat z, jak mu się wydawało, nieubłaganą logiką.

– O obserwowaniu jej mówiłem raczej metaforycznie. Fizycznie nie mogliśmy robić tego bez przerwy. Wszystko sprowadza się do środków, jakimi dysponujemy. Społeczeństwo otrzymuje taki parasol ochronny, za jaki jest gotowe zapłacić. Gdyby się podwoiło personel policji miejskiej, przydzieliło jego większość do Wydziału Specjalnego, to może udałoby się nam mieć dzisiejszej nocy na oku jedną czwartą potencjalnych zamachowców, kretów, wtyczek, śpiochów, agentek, agentów i rezydentów, a także rozmaitych anarchistów, którzy aktualnie na terenie Wielkiego Londynu starają się podkopać fundamenty naszego państwa. – Antyterrorysta zastanowił się przez chwilę, a potem uściślił. – No, przynajmniej do pieprzonej trzeciej nad ranem.

– Już jest po trzeciej – zwrócił mu uwagę Kyle.

– Sam pan widzi. To dowodzi mojej racji. – Cox z trudnym do pojęcia tryumfem rozłożył ręce. – W jej przypadku kłopot polegał na tym – ruchem głowy ponownie wskazał zastygłe, tajemnicze zwłoki – że ze względu na oszczędności, nadaliśmy jej niski priorytet. Została uznana za śpiocha, biernego wywrotowca. Jedno potencjalne zagrożenie spośród setek innych. Układałaby w Chelsea

włosy starszym damom do momentu, gdy zostałaby uaktywniona – jeżeli kiedykolwiek by to nastąpiło.

– Chyba tak – przyznał z powątpiewaniem w głosie Kyle. Mimo wszystko jednak nie znalazła się w szafie Coksa, ale jego.

Chodzi mi o to, że nie mamy tu czegoś takiego jak w dawnym Związku Radzieckim czy w jakimś podobnym kraju. Podслуchujących wszędzie informatorów KGB, Czeka czy mafii.

– Nikt by tego nie chciał. Na pewno nie w Zjednoczonym Królestwie.

– Staramy się, rozumie pan – wytrwale przekonywał go funkcjonariusz Wydziału Specjalnego, próbując dla odmiany przybrać patetyczny ton.

– Jestem tego pewien.

– Nawet w przypadku tak perspektywicznych zagrożeń, jak ta Wanda Jakaśtam. Kilku najlepszych specjalistów Piątki od kleju i kopert od czasu do czasu kontrolowało jej korespondencję w Centralnym Biurze Dystrybucji Poczty. W ciągu wielu miesięcy, poza rachunkami za prąd i kuszącymi ofertami sprzedaży wysyłkowej, przechwycili kilka interesujących kawałków. Przekazali je drogą służbową do Interpolu – oczywiście nie oferty, ale materiały wywiadowcze. Pomogliśmy naszemu koordynatorowi i Bazie Danych w Wiesbaden trzymać pod nadzorem resztę jej komórki.

– Wiesbaden?

Kyle nie mógł się powstrzymać. Inspektor po raz drugi wspomniał o Niemczech, a Stollenberg był przecież Niemcem. Z całą pewnością Niemcem. Skoro jednak ona była Arabką i tak dalej, nie mógł sobie wyobrazić, by mogło mieć to jakiś istotny związek. No i przyszła na świat dopiero ćwierć wieku po tym jak Waffen SS przestało istnieć.

Cox spojrział na niego uważnie.

– Czy Wiesbaden z czymś się panu kojarzy?

– Po prostu wydaje się to dziwne – odparł niepewnie Kyle. – Syryjka powiązana z niemiecką grupą terrorystyczną.

– W każdym razie w dużej części niemiecką. Odpryski Dawnej Frakcji Czerwonej Armii. Teraz nazywają się „Entsagung” – Odrzucenie. Są to najczęściej staroświeccy anarchiści, wspominający z nostalgią szczęśliwe lata siedemdziesiąte i działalność grupy Baader-Meinhof. Mają też ambicję powrócić przed emeryturą na scenę dzięki rekrutacji nowych talentów. Na podstawie dokumentacji w archiwum powiązaliśmy z nimi Wandę, zanim jeszcze rozstała się z poprzednimi pracodawcami.

– Czyli z kim?

Cox spojrział na niego pytająco.

– A dlaczego to pana interesuje?

Tym razem to Kyle wskazał dłonią szafę.

– W tych okolicznościach trudno nie przejawiać zainteresowania.

Inspektor przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Frankfurcka komórka Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Jak już wspomniałem, to właściwie nie są tajne informacje. Gdyby kiedykolwiek nastąpił dzień, w którym Wanda podpaliłaby lont i zostałaby sławna, każde dobre archiwum prasowe znalazłoby w swojej dokumentacji wszystko, co panu powiedziałem.

Starszy inspektor zawahał się i ze zmarszczonymi brwiami patrzył na martwą dziewczynę. Kyle zorientował się, że coś go dręczy.

– Teraz nie będzie potrzebowała zapalek – dodał dość niejasno Cox.



– Czy to nie wiązało się z dość radykalną zmianą powiązań? Od wojującej OWP do Meinhof?

– Dlaczego? Większość niemieckich i arabskich grup terrorystycznych odznacza się historyczną nienawiścią do Żydów. Sięgając w przeszłość, proszę pana, widzimy, że fiasko na lotnisku w Entebbe i sprawa porwanego samolotu Lufhansy w Mogadiszu były połączonymi operacjami. Niektóre działania tej kobiety wskazują, że w dalszym ciągu robiła swoje dla Izzal-Din-al-Quassam, zbrojnego skrzydła Hamasu – dostarczając im między innymi informacji wywiadowczych o czołowych przedstawicielach żydowskiej społeczności w Chelsea. Natomiast zgodnie z oficjalną opinią, większość swojej energii poświęcała wspomaganie Entsaugung. Zwłaszcza po tym, jak pokojowa inicjatywa Arafata w sprawie Gazy sprawiła, że wysadzanie w powietrze obywateli Izraela stało się politycznie niepoprawne. Cynik upierałby się, że Wanda wciąż miała na to ochotę. Nie była zbyt wybredna i chętnie związała się z każdą grupą, gotową dostarczać semtex.

– Ale pan nie jest cynikiem?

– Podejrzewam, że w jej przypadku chodziło o coś więcej. Krążą słuchy, że miała romantyczne powiązania z jednym z członków nowopowstałego Towarzystwa Uznania dla Meinhofa. Postanowiła pozostać z nimi, pomimo tego, co stało się z jej kochankiem.

Widząc wyraz twarzy Kyle'a pozwolił sobie na słabiutki uśmiech.

– Widzi pan, terroryści też mogą się zakochać. Przeżywają emocje jak wszyscy inni. Rzecz w tym, że wszystkich innych mają gdzieś.

– Bardziej zaintrygowała mnie pańska wcześniejsza wypowiedź. – Kyle starał się mówić najobojętniej jak potrafił. – Co stało się z jej kochankiem?

Cox uśmiechnął się znowu, ale bez cienia wesołości.

– Pół magazynka pistoletu maszynowego z pozdrowieniami od GsG9.

Tak się przynajmniej uważa. – Przewidział nieuniknioną prośbę o wyjaśnienie. – Greunschützgruppe Neun, proszę pana, Bojowa grupa antyterrorystyczna. Jego śmierć wywołała swego czasu dość ożywioną dyskusję prasową.

Rzekomo niektórzy z twardzieli z GsG9 załatwili chłopaka w trochę niesportowy sposób, kiedy próbował podłożyć bombę pod samochód urzędnika Bundesbanku. Wydaje się, że część wystrzałów pozostawiła ślady prochu na tyle jego głowy – jakby przystawiono mu do niej lufę. Oczywiście Niemcy temu zaprzeczyli – ale kto wierzy w to, co mówią Siły Specjalne?

Kyle poczuł lekkie podniecenie.

– Czy pamięta pan, jak się on nazywał?

Cox zamknął na chwilę oczy, a potem pokręcił głową.

– Za cholerę. A ma to jakieś znaczenie?

Istniała niewielka szansa, że miało to duże znaczenie, ale Kyle widział wyraźnie, że oficer Wydziału Specjalnego po tym, co już mu powiedział i tak czuje się nieswojo i nie odważył się dalej próbować szczęścia.

Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl.

– Powiedział pan o Wandzie, że zapalenie lontu mogło uczynić ją sławną. – Ruchem głowy wskazał przez drzwi od saloniku bezpiecznie wygaszony piecyk. – Nie mogę sobie wyobrazić po co, ale może ubiegłej nocy próbowała to właśnie zrobić?

– Otwarty gaz, o którym mówił pan w swoich zeznaniach? – Inspektor Cox przez chwilę rozważał kryminalistyczną teorię Kyle'a, a potem zapytał go poważnie. – Czy miałyby tego ewentualnie dokonać przed czy po tym, jak wbiła sobie nóż w gardło, a następnie ukryła swoje własne zwłoki

w szafie?

Cox równie dobrze mógłby mu powiedzieć wprost, żeby trzymał się nawigacji, a pracę detektywistyczną pozostawił zawodowcom, ale Kyle nie był w nastroju, aby dać się traktować tak protekcjonalnie.

– Naprawdę nie rozumiem – wciąż jeszcze urażony poskarżył się kilka minut później – dlaczego Wydział Specjalny wiedząc, iż jest ona potencjalnym zagrożeniem, nie skłonił Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do wykopania jej jako niepożądanego cudzoziemca.

Starszy inspektor wzruszył ramionami.

– Powiedziałem panu, że kontrolowaliśmy jej korespondencję. Czasami zawierała informacje o podróżach zagranicznych członków grupy Entsaung, o numerach samochodów, współnikach w Wielkiej Brytanii, melinach. Nie zabija się kury, która znosi złote jajka – chociażby tylko od czasu do czasu.

– Ale ktoś to jednak zrobił. – Kyle czuł swego rodzaju dziecinną satysfakcję, wykorzystując wcześniejsze zdanie Coksa przeciwko niemu samemu.

– Nie skończyłeś jeszcze swoich zdjęć, Harry? – rzucił w głąb przedpokoju Cox, w wygodny sposób rozładowując irytację. – Wiesz przecież, że nie będą pokazywane w cholernym „Vogue”.

– Warto przykładać się do roboty, szefie...

– Wszyscy są teraz pieprzonymi artystami – burknął starszy inspektor. Wszyscy ci tak zwani gliniarze w nowym stylu. Jest pan pewien, że w dalszym ciągu czuje się pan dobrze? Może chciałby pan, żebyśmy umieścili pana w hotelu, albo w czymś podobnym, zanim tu nie skończymy?

– Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Kyle odruchowo sięgnął po papierosa i zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki. Wciąż zastanawiał się, dlaczego Cox pozwolił mu zostać. Nawet przez moment nie przyszło mu do głowy, że to w końcu jego mieszkanie. Było mu wszystko jedno. Przynajmniej do chwili, dopóki zbyt dokładnie nie zajrzał do szafy.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan tego nie robił – mruknął Cox. – Dopóki trzyma się pan przy mnie, nie będę się obawiał, że zabrudzi pan miejsce przestępstwa, zwłaszcza że i tak przez pół nocy tłukł się pan po mieszkaniu, niszcząc dowody rzeczowe, ale fajki mogą popsuć materiał zapachowy perfumy, woda po goleniu, zapach potu, narkotyki. Nie możemy przechować ich w torbie na dowody, ale nawet drobny ślad, powiedzmy, obecności palacza, może okazać się znaczący.

Pociągnął głośno nosem niby koneser zapachów zbrodni.

– Jak dotąd, poza resztkami gazu miejskiego nie zidentyfikowałem niczego niezwykłego. W przeciwnym razie musiałbym wezwać tu Snappy’ego, żeby był świadkiem.

Kyle zerknął na zegarek, a potem na zegar stojący. Szybkie wyciągnięcie średniej pozwoliło mu ustalić, że jest już prawie dziesiąta rano. Albo, wspomniawszy tęsknie, cztery szklanki wachty porannej, gdyby był w dalszym ciągu na statku. Najlepiej gdzieś na Pacyfiku.

Cox mylnie zinterpretował ten gest jako zakamuflowaną krytykę.

– Przykro mi, że pana tu trzymam, ale zarówno Poeta, jak i anatomopatolog z MSW będą chcieli zobaczyć ciało na miejscu zbrodni. Wezwano ich do St. James w sprawie ataku z użyciem broni palnej, który, jak się przypuszcza, przeprowadzili terroryści. Do tej pory specjaliści od daktyloskopii i reszta grupy dochodzeniowej będzie zajmowała się pozostałą częścią mieszkania. – Starszy inspektor spojrzawszy ponuro na szafę. – Mówię panu, kiedy tu skończymy, trzeba będzie upieprzyć się jak diabli, zanim ją stamtąd wyciągniemy. Zaklinowała się na amen.

Kyle nie mógł powstrzymać się od pytania, jaki związek może mieć poeta z morderstwem. Cox uśmiechnął się sardonicznie.

– To Byron. Główny inspektor detektyw Byron, mój pan i władca. Przydzielono go do tej sprawy jako SOD-a – Starszego Oficera Dochodzeniowego. Słyszał pan o nim?

– Nie.

– Pewnie go pan nie pokocha. Potrafi być okropny. Najczęściej zajmuje się tutejszymi bliskowschodnimi fundamentalistami. Sympatycy IRA czynni i bierni wcale go nie interesują. Zawsze nie cierpiał Fenian.

Kyle znowu pomyślał o Hackmanie i sugerowanym przez niego irlandzkim powiązaniu, ale postanowił nie poruszać tej kwestii. Cox był zbyt dobry w wyłapywaniu punktów zaczepienia.

– A nie czuje tego do islamskich ekstremistów?

– Rozumie ich punkt widzenia. I to jest jego siłą napędową – przyznał ostrożnie starszy inspektor.

– Dzięki temu jest dla nich bardziej niebezpieczny.

– *Nos amis, les ennemis*, prawda?

– Nasi przyjaciele, wrogowie? – przetłumaczył głośno oficer Wydziału Specjalnego. – To dobre. I bardzo celne. W moim zawodzie człowiek nie może sobie pozwolić na zbyt silną nienawiść. To może zakłócić zdolność oceny.

– Jeszcze raz przepraszam, panowie – przerwał im fotograf. Przeszli wąskim korytarzem, starannie omijając ślady krwi, a rozjarzające się za ich plecami błyski flesza i szum silniczka policyjnego Pentaksa sprawiały wrażenie, że za ich plecami rozgrywa się El Alamein w miniaturze.

– Wie pan, kiedy byłem młodym konstabłem, dopiero co przeniesionym do Wydziału, brałem udział w dochodzeniu w sprawie zamachu bombowego na Gwardię Konną – wspomniał Cox. – Wtedy zacząłem rzeczywiście nienawidzić. Te biedne głupie zwierzaki. Wyszczotkowane z dumą do gansu przez jednego człowieka i z brzuchami umyślnie rozszarpanymi przez drugiego.

Kyle mimowolnie zerknął na szafę. Czarne włosy dziewczyny również lśniły, być może jak u tych zmasakrowanych koni. Płynna czerń opadająca kaskadą na pochylone, nagie ramiona, raz za razem wydobywana z mroku błyskami policyjnego flesza. Zgięta tak, jakby nie chciała, aby poznali resztę jej ciała, zanim nie wyjmą jej z tego groteskowego miejsca spoczynku.

Szafa na sprzęt domowy. Specjalnie pomyślana jako miejsce przechowania chwilowo zbędnych obiektów. Kyle skrzywił się niepewnie. Czy to jakiś makabryczny dowcip? Jakiś podświadomy, albo może nawet świadomy komunikat od człowieka, który ją zabił?

David uwielbiał takie ponure żarty. W równym jednak stopniu nie przejawiał skłonności do chowania rzeczy w szafach, co do porządkowania swoich papierów.

– Słuszna uwaga, proszę pana – Policjant, któremu najwyraźniej bardziej żal było koni niż ludzi, przytaknął uprzejmie. – Z zakresu psychologii, oczywiście, ale mimo wszystko, warta rozważenia. Z drugiej jednak strony trzeba będzie uwzględnić fakt, że sprawcy większości popełnianych bez premedytacji przestępstw seksualnych mają skłonność do takiego właśnie działania – z tą tylko różnicą, że zazwyczaj stają na głowie, by nie przekazywać żadnej informacji. Wpadają w panikę. Działają irracjonalnie i ukrywają swoje ofiary w najdziwniejszych miejscach.

– Na przykład w szafach? – Kyle spojrzał na niego gniewnie.

Cox nieco złagodniał.

– Proszę posłuchać, panie Kyle. Doceniam pański niepokój dotyczący ewentualnego zamieszania doktora McDonalda w tę cholernie paskudną aferę. Proszę mi wierzyć lub nie, ale w jednym punkcie

zgadzam się z panem. Nie sądzę, że utrzymywałby jakiegokolwiek kontakty z tą Abdel Jakaştam, gdyby wiedział o jej wywrotowej działalności. O ile mi wiadomo, w aktach Wydziału nie ma też niczego, co mogłoby podważyć tę tezę...

– Ale? – zapytał niechętnie Kyle, wiedząc, że zaraz coś usłyszy.

– Ale wciąż jestem zdania, że jeżeli widzimy nagie zwłoki kobiety w wieku od dziewięciu do dziewięćdziesięciu lat, to czy nam się to podoba czy nie, jest to ofiara zbrodni na tle seksualnym. O ile badania kryminalistyczne nie ujawnią czegoś, co wykluczy obecną interpretację, jestem zmuszony wierzyć mojemu wewnętrznemu przekonaniu, że nie mamy do czynienia z zabójstwem o charakterze terrorystycznym, ale czymś nielogicznym, irracjonalnym i chorym. A decydowanie, czy doktor znajdzie się w tych ramach czy nie, jest zadaniem SO 13. Wydział Zabójstw może otrzymać akta tej sprawy z powrotem wraz z serdecznymi pozdrowieniami od Wydziału Specjalnego. W tej konkretnej puszcze robaków są szajbusy, którzy aż się proszą, by ich aresztować – mam oczywiście na myśli akta przestępców seksualnych, a nie Wydział Zabójstw.

Kyle postanowił nie robić już żadnych idiotycznych obserwacji. Takich jak wyrafinowana ironia, jakiej dopatrył się w pozie martwej dziewczyny. Jej lewa ręka, wciąż mocno zgięta, choć uwolniono ją już od nacisku drzwi szafy, pozostawała uparcie uniesiona nad głową, a jej zaciśnięta pięść budziła skojarzenia z salutem międzynarodówki uciśnionych. Nie odważył się wysunąć przypuszczenia, że fenomen ten w przypadku panny Wandy, być może Inadi, może świadczyć o jakimś stawianym przez nią oporze.

Można się było założyć, że Cox odrzuci tę hipotezę, stwierdzając, że jest to wynik brutalnego wciśnięcia jej do niewielkiej przestrzeni, połączony z naturalnymi ubytkami nukleotydu – eee, chyba adenozyotrój fosfatazy? w tkankach jej ciała.

Cała ta sytuacja pachniała aż za dobrze mu znaną niepewnością. Chociaż każdy napotkany dotąd policjant uważał fakty za jak najbardziej jasne i oczywiste, to, zdaniem Kyle'a, w łamigłówce Stollenberga, rzekomej łamigłówce Stollenberga, było niewiele elementów, które można było uznać za choćby niejasne! W gruncie rzeczy David nie wskazał mu ani jednego dającego się zweryfikować dowodu, który teraz mógłby przedstawić Cokowski. Ani też nic, poza rzuconą mimochodem wzmianką o jakimś, najwyraźniej wciąż jeszcze żyjącym, tajemniczym facecie o nazwisku Williams czy Williamson, który rzekomo mieszkał w Battersea – dzielnicy, do której David miał zamiar udać się w ostatni ranek swojego życia.

Gdyby Kyle powtórzył ostrzeżenie Davida, że jego poszukiwania dotyczą delikatnej, a może w nieodpowiednich rękach nawet niebezpiecznej sprawy, wystawiłby się na pośmiewisko policjantów. Szaleńcy fantazjują, prawda? Dostają paranoi? Wyobrażają sobie, że są celem jakiegoś niezwykłego spisku? W tej sytuacji, czyż od momentu, w którym człowiek staje się ofiarą takich urojeń, nie zaczyna się go uważać za szaleńca?

Cóż więc on, Kyle, miał począć, stykając się z takim bardzo prawdopodobnym niedowierzaniem? Nawet gdyby zyskał w jakiś sposób pewność, że badania kryminologiczne ostatecznie wykażą, iż zbrodni dokonała jakaś pozostająca wciąż jeszcze poza kręgiem podejrzeń osoba, ile czasu upłynie, zanim potwierdzi to dochodzenie? Z całą pewnością o wiele więcej, niż Kyle mógł zmarnować, nie ryzykując, że trop Stollenberga wystygnie. A tymczasem Cox najwyraźniej nie zamierzał zająć się energicznie wątkiem terrorystycznym – i zapewne nie zrobi tego dopóty, dopóki będzie zwolennikiem teorii, że do śmierci Wandy bardziej przyczyniły się jej lśniące, czarne włosy i jedwabista, smągła

skóra, niż wywrotowe powiązania, jakie wypracowała sobie w Niemczech.

Kyle doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce udowodnić niewinność Davida, musi zacząć od zapisu z jego telefonicznej sekretarki. Co z kolei oznacza, że musi przekonać głównego inspektora, iż Cox powinien machnąć ręką na zgromadzone przez całe zawodowe życie doświadczenie i przyjąć, bez cienia dowodu, zapewnienia wędrownego marynarza, że dziewczyna w szafie, była w rzeczywistości drugą w czasie dwudziestu czterech godzin ofiarą frontowego oficera Waffen SS, który najwyraźniej był zdolny do zadawania śmierci nawet pięćdziesiąt lat od momentu, w której jego pułk przestał istnieć. Nie, to nie było aż tak proste – raczej od chwili, gdy sam ów oficer, zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, również przestał istnieć!

Kyle doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie dzielić się prawdą z Wydziałem Specjalnym równie oszczędnie, jak z inspektorem w Paddington. Co oznaczało, że w żaden sposób nie może dać starszemu inspektorowi powodu do przeszukania jego worka marynarskiego, który jakiś czas temu przeniósł z holu do saloniku. Tam ułożył go tak, by nie rzucał się w oczy i nie plątał się pod nogami policjantów.

Widząc jego zawartość, Cox mógłby się zacząć się zastanawiać, dlaczego Kyle, w czasie krótkiej przerwy pomiędzy jego wykonanym w pełnym oszołomieniu telefonem informującym o odnalezieniu Wandy, a pierwszą reakcją policji, działając bardziej pod wpływem impulsu niż logiki, postarał się ukryć w nim coś, co nawet najbardziej naiwny ze świadków powinien rozpoznać jako istotny materiał dowodowy.

Dwa wydawnictwa zapewne uszłyby Kyle'owi płazem – jedno przedstawiające nadgryziony zębem czasu sowiecki frachtowiec i drugie z pobitwą sceną-żołnierzami w khaki i denatem z nordyckimi runami. Same w sobie były niewinne i zapewne Cox nigdy nie powiązałby ich z osobą Davida. Zresztą, nawet sam Kyle nie widział, z jakiego powodu je schował.

Ale taśma, którą wyjął z automatycznej sekretarki Davida? Ta, na której w dniu śmierci jego przyjaciela nagrano tajemnicze informacje? Starszy inspektor z całą pewnością nie pochwaliby Kyle'a za ukrywanie jej przed oficerami dochodzeniowymi. Tym bardziej, że z jej zawartości wynikało, iż niejaki Hackmann jest, jak dotąd, jednym z niewielu ludzi, związanych przynajmniej z jednym aspektem badań McDonalda.

Konsekwencją tej decyzji było również i to, że odcinał się od jakiegokolwiek oficjalnego wsparcia czy ochrony. Od tej pory, dążąc do konfrontacji z najwyraźniej psychopatycznym widmem w mundurze Waffen SS, zdany był na własne siły.

Do następnego ranka – nie, to musiał być ranek po następnym ranku czyli całe dwa dni od rozpoczęcia się tego koszmaru, Kyle'owi, poza urwaniem kilku godzin snu, zamówieniem nowego zamka oraz usług szklarza nie udało się zdziałać zbyt wiele. Zdołał także doprowadzić mieszkanie do stanu używalności po tym, gdy nareszcie na składanym, chromowanym wózku przedsiębiorcy pogrzebowego opuściła je szczelnie opakowana Wanda.

Policja i ludzie z biura koronera zdecydowanie ułatwili porządki, zabierając z mieszkania wiele elementów wyposażenia, aby przeprowadzić bardziej szczegółowe badania kryminologiczne. Zaopiekowali się chętnie zakrwawionym dywanem i materacem z dawnego pokoju Davida, wszystkimi jego ubraniami, zawartością szuflady ze sprzętem kuchennym i – chwała Bogu również dywanem z przedpokoju.

Wzięli ze sobą również papiery z biurka McDonalda. W każdym razie, większość z nich.

Pozostawili rachunek za gaz wraz z plikiem innych płatności, nie zapłaconych przez Davida.

W czasie przeszukania nie natrafili na komputer Davida, chociaż Kyle poinformował Coksa, gdy ten zdziwił się, że nie ma tu żadnych notatek, ani materiałów roboczych, iż cała dokumentacja badawcza najprawdopodobniej istnieje jedynie w formie elektronicznej. Ostateczne zniknięcie komputera pogrzebało wszelkie nadzieje Kyle'a, że odnajdzie w jego pamięci odpowiedzi na pytania związane ze Stollenbergiem.

To, że laptopa nie było, wcale nie dowodziło, iż ktoś go zabrał. Po prostu okazało się, że zniknął. Co gorsza, ten właśnie fakt równie dobrze można było uznać za dodatkowy dowód winy Davida. Dopóki Kyle nie przekona policji o udziale osoby czy osób trzecich, w całkowicie uzasadniony sposób będzie uważała, że David nie tylko usunął swoje zapiski, ale również miał zamiar spopielić miejsce, w którym mieszkał. W końcu, jeżeli udręczony człowiek może być doprowadzony do stanu, w którym spowoduje własną gwałtowną śmierć, to niby dlaczego nie mógłby mieć ochoty zniszczyć również wszystkich śladów swojej przeszłości?

Kyle znużony ciągłym rozpamiętywaniem wydarzeń ostatnich dni postanowił zająć się czymś innym. Szybka kontrola czasu pozwoliła mu stwierdzić, że jest pięć po szóstej lub w pół do siódmej, a więc na poranną prasę było jeszcze za wcześnie. Przypomniał sobie jednak o dzienniku, który wrzucono przez otwór na listy tuż przed spotkaniem z Wandą. Kyle znalazł go w kuchni i rozłożył na stole.

Wprawdzie gazeta była sprzed dwóch dni, ale i tak w czasie dziewięciu miesięcy rejsu prawie nie miał dostępu do prasy brytyjskiej. Jeden rzut oka upewnił go, że nie tylko dzielnie zniósł tę niedogodność, ale także, że nie będzie musiał pędzić po następny egzemplarz, który spadnie na wycieraczkę. Poza rutynowym dziennikarskim podglądactwem rodziny królewskiej, finansową chandrą i politycznymi spekulacjami, nagłówki zdawały się być inspirowane głównie przez ludzkie cierpienia: NAPAŚĆ NA LECIWE MAŁŻEŃSTWO. REKORDOWY RACHUNEK TELEFONICZNY AKTORA W SĄDZIE. POŻAR FABRYKI W WALII. POWÓDŹ W KENT, BRYTYJSKI TURYSTA...

#### TRAGEDIA W LONDYŃSKIM METRZE!

To spadło nań zupełnie nieoczekiwanie – zaledwie kilka wersów na dalszych stronach, walczących o przestrzeń pomiędzy programem telewizyjnym a rubryką sportową. Suche doniesienie o śmierci Davida: Poranni pasażerowie metra patrzyli bezradnie na tragiczny wypadek. W dniu wczorajszym, tuż przed ósmą rano, na stacji metra Lancaster Gate wpadł pod pociąg mężczyzna, który doznał śmiertelnych obrażeń...

Rzeczywistość powróciła – kry lodowe przesunęły się żyłami Kyle'a. Nie przypuszczał... jakoś nie oczekiwał tego. Nie spodziewał się, że wszystko zostanie potwierdzone czarno na białym po to, aby ludzie mogli niedbale rzucić okiem na tę notatkę nad poranną porcją płatków śniadaniowych. Nie chcąc czytać o tym dalej, odruchowo zaczął przesuwać wzrokiem po stronicy, szukając mniej denerwujących informacji.

Śmiertelne potrącenie.

W Battersea...

WILLIAMSON...?

O Jezu!!

PIRAT DROGOWY SIĘ NIE ZATRZYMAŁ

Mieszkaniec Battersea, pan Ted Williamson, lat 83, stał się zapewne ofiarą pirata drogowego. Wypadek miał miejsce wczoraj po południu niedaleko Fairchild Towers, miejsca zamieszkania pana Williamsona. Pan Williamson, który zmarł wkrótce po przewiezieniu go do szpitala, pozostawił żonę Margaret.

Zgodnie z tym, co relacjonował jeden ze świadków, kierowca najwyraźniej nie próbował hamować, gdy jego pojazd skręcił gwałtownie, wjechał na chodnik, uderzył pana Williamsona, a następnie z dużą prędkością oddalił się w kierunku Wandsworth. Rzecznik policji oświadczył później, iż nie można wykluczyć, że sprawcami byli tak zwani „złodzieje dla przyjemności”.

Wiadomo, że na kilka minut przed tragedią złożono meldunek o kradzieży czarnego BMW serii 5, które później znaleziono porzucone i płonące na położonym w pobliżu śmietniku. W chwili obecnej samochód badany jest przez zespół kryminologów, ponieważ podejrzewa się, iż to nim jechał sprawca wypadku.

Zmarły, emerytowany pracownik poczty, był dobrze znany mieszkańcom Battersea z uczestnictwa w akcjach charytatywnych. Pan Williamson, były komandos, służył w czasie wojny w Afryce Północnej, Francji oraz Niemczech i w 1945 roku otrzymał Military Medal.

Fairchild Towers okazały się nieudanym przykładem architektury końca lat pięćdziesiątych. W deszczu wyglądały pośępnie i łatwo było sobie wyobrazić, że to przygnębiające zbiorowisko betonowych skrzynek na jaja stało się wylęgarnią złodziei i ćpunów, którzy współzawodniczyli o miejscową, złą sławę, przydeптując do oporu pedał gazu.

Jednak to nie oni byli odpowiedzialni za śmierć niezłomnego leciwego dżentelmena, Teda Williamsona. Kyle wiedział o tym tak samo dobrze jak ten, kto ukradł czarne bmw.

Musiał zapytać kilku osób, gdzie znajduje się mieszkanie Williamsonów, aż wreszcie umęczona dziewczyna pchająca przed sobą wózek i ciągnąca za sobą dwoje wrzeszczących dzieciaków, skierowała go na drugie piętro. Z coraz większym zdenerwowaniem wchodził po dudniących, betonowych schodach, wzdłuż ścian pokrytych graffiti, wciąż zadając sobie pytanie, co właściwie, u diabła, tu robi? W jaki sposób ma poruszyć temat, o którym prawie nic nie wie?

Jednego był całkiem pewien; w żadnym wypadku nie może zapukać do drzwi niedawno owdowiałej kobiety i bez ogródek poinformować ją, że bez względu na to, co usłyszała od policji, jej mąż wcale nie zginął w wypadku, ale został zamordowany.

Kiedy otworzyła drzwi, reagując na jego niepewne stukanie, miała wprawdzie zaczerwienione oczy, ale zachowywała się z pełnym godności opanowaniem. Kyle serdecznie jej współczuł. Nie tylko dlatego, że niedawno sam był zmuszony do zachowywania pozorów normalności, ale dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż jego poczucie straty może być jedynie słabym cieniem pustki, która stała się jej udziałem.

– Pani Williamson?

– Bardzo mi przykro. Jeżeli chciał się pan widzieć z moim mężem, to...

Widział, że w tym momencie sama w jakimś stopniu umiera. Nie mogła zdobyć się na odwagę, by skończyć zdanie. Jej dłoń, spracowana, ale delikatna w swej spowodowanej wiekiem przezroczyości, zbielała, zaciśnięta na klamce drzwi.

– Wiem o panu Williamsonie – oznajmił Kyle. – Jest mi naprawdę bardzo przykro.

– John właśnie poszedł załatwić w moim imieniu sprawy w urzędzie stanu cywilnego, a potem miał zamiar zabrać Mary i dzieci na pół godziny do parku. Chciała zostać, ale powiedziałam jej, żeby nie zwracała sobie głowy.

– John?

– Kiedy tylko mu powiedzieli, tej samej nocy przyjechał z Wimbledon. Wie, pan, on do niedawna był starszym sierżantem sztabowym w Królewskiej Piechocie Morskiej. – Choć fakt ten był zupełnie nieistotny, w jej głosie wyraźnie było słychać dumę, a nawet wyzwanie.

– No cóż, przynajmniej ma pani kogoś do pomocy. – Odparł cicho Kyle, zaskoczony, że pani



Williamson tak wyraźnie chce kontynuować rozmowę.

– Mary również przyjechała. Chce się upewnić, że dam sobie radę. Ożywienie, które nagle zapaliło się w jej oczach przygasło, jakby ponownie zderzyła się z twardą rzeczywistością. – Czy pan jest z policji? – zapytała, niepewnie zmieniając temat.

– Przykro mi, ale nie. Nazywam się Kyle. Ale to bez znaczenia. Właściwie przyszedłem zapytać, czy czuje się pani na siłach mi pomóc.

– Pomóc panu?

– Sprawa jest bardzo poważna, w przeciwnym razie nie narzucałbym się pani w takiej chwili, ale sądzę, że pani mąż mógł niedawno odwiedzić mój przyjaciel, pan McDonald.

Kyle wstrzymał oddech. Czyżby za chwilę miał wykonać pierwszy, niepewny krok, który zbliży go do Stollenberga?

– Czy ma pan na myśli doktora McDonalda? – spytała, a w jej głosie zabrzmiała delikatna wymówka za to, że nie tytułując Davida w należyty sposób, lekceważy lata jego studiów.

Była wyraźnie bardzo zmartwiona, gdy Kyle wyjaśnił jej najłagodniej jak potrafił, że doktor McDonald również nie żyje. Nie chciał jej okłamywać, więc starał się nie rozwijać tematu, ograniczając się jedynie do informacji, że jego przyjaciel zajmował się projektem badawczym o poważnym znaczeniu, a on, Kyle, dał sobie słowo, że w hołdzie dla przyjaciela zrobi wszystko, co w jego mocy, aby zakończyć tę pracę.

– Taki miły dżentelmen. – Pani Williamson wprowadziła go do schludnego saloniku i robiła przy tym wrażenie, że bardziej współczuje Kyle'owi, niż on jej. – Taki mądry. I młody. Mój Ted ostatnio bardzo się posunął. Często wspominał tę swoją wojnę – to znaczy tę prawdziwą, z Hitlerem. W każdym razie większą jej część. To były chyba jego najlepsze lata.

– Przypuszczam, że dlatego David przyszedł się z nim zobaczyć. Zapytać o przeżycia z wojny.

– Najpierw herbata – zaordynowała zdecydowanym tonem pani Williamson. Oboje przeżywamy trudne chwile. Filiżanka dobrej herbaty raz dwa postawi nas na nogi.

Krzątała się, poprawiając poduszki na kanapie i zapraszając go, żeby usiadł. Kyle nie miał zamiaru się narzucać, ale wydało mu się, że jego obecność pomaga jej uporać się z samotnością. Oderwać myśli od śmierci męża.

– Wspomniała pani Johna, pani Williamson? – starając się podtrzymać rozmowę, zawołał w stronę maleńkiej kuchni. – Przypuszczam, że to państwa syn?

– Właściwie nie. Ale zupełnie jakby nim był. – Pojawiła się, niosąc tacę. Kyle odebrał ją i postawił na stole. – Widzi pan, Tedowi i mnie Bóg pod tym względem nie pobłogosławił. Arthur i Elsie Lewis, rodzice Johna, byli naszymi sąsiadami i naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Kiedy John był malutki bawił się u nas równie często, co u siebie w domu. Nawet teraz, chociaż jego mama i tata zmarli dawno temu, wciąż opiekuje się mną i...

Pani Williamson znowu przypomniała sobie o śmierci męża, ale opanowała się.

– No cóż, teraz chyba już tylko mną. On i Mary bardzo mi pomogli. Załatwili te wszystkie papiery, wyjaśnili sprawę mojej renty. Ale sam pan to dobrze zna.

– Z rentą nie mam problemów – uśmiechnął się Kyle. – Ale trochę utknąłem w sprawie badań Davida.

– Och, proszę pana, nie wiem, czy będę mogła coś panu pomóc – powiedziała, nalewając herbatę. – Pamiętam, że Ted i doktor długo ze sobą rozmawiali. Mąż niewiele mówił na ten temat,

w każdym razie nie mniej, ale wiem, że naprawdę ucieszył się z wizyty pańskiego przyjaciela. Miałam wrażenie, że bardzo podniosła go na duchu. Powiedział potem, że dodała mu energii, jakiej nie czuł od lat.

Dziękując niezgrabnie, Kyle wziął od niej filiżankę.

– Ale nie wie pani, o czym rozmawiali? – spytał. – O którym okresie wojny?

– Rozmawiali tylko tak ogólnie. Kiedy przyniosłam herbatniki mówili o pięćdziesiątej rocznicy D-Day – wyjaśniła przepaszającym tonem pani Williamson. – Ted był tam, jako jeden z weteranów – oboje tam byliśmy. We Francji. Pojechaliśmy z Legionem Brytyjskim. Organizowali specjalne wycieczki. Ted maszerował w Arromanches przed naszą królową. Wie pan, było ich tam siedem tysięcy – siedem tysięcy starych żołnierzy, marynarzy i lotników. Powiedział, że był to dla jego drugi najwspanialszy dzień w jego życiu. – Uśmiechnęła się smutno. – Zawsze był taki wrażliwy. Powtarzał, że tym najważniejszym z ważnych był dzień, w którym się pobraliśmy. Dziesiątego września 1942.

– To nie była z jego strony tylko galanteria. Założę się o każde pieniądze, że mówił prawdę – zapewnił ją Kyle, starając się ukryć ogarniające go rozczerowanie.

Ten komentarz sprawił jej chyba przyjemność. Pociągnęła nosem, wstała i podeszła do kominka. Kiedy wróciła, trzymała w ręku fotografię w srebrnej ramce.

– To mój Ted. Początek 1944 roku. Uparł się, żeby zrobić to zdjęcie, kiedy wrócił z Afryki po tym, jak został ranny. Widzi pan naszywki? Był wtedy kapralem. I bardzo trudnym pacjentem. Od razu zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy uznali, że jest zdolny do służby i może wrócić do swojej jednostki. Zdążył w samą porę, żeby wziąć udział w D-Day.

– Czy mogę? – zapytał Kyle i wziął od niej fotografię. Przypuszczał, że sprawi tym pani Williamson przyjemność, ale w gruncie rzeczy fotografia niezbyt go interesowała. Była czarno-biała, ale zgodnie z ówczesną modą ręcznie pokolorowana, dzięki czemu mundur khaki stał się błotnisto brązowy, natomiast twarz miała krzykliwe, nienaturalne barwy. To chyba bardzo mało prawdopodobne, pomyślał Kyle, by wyglądający na twardziela żołnierz z naszywkami „Commando” na rękawach, miał – jak wynikałoby z tego zdjęcia – uszmińkowane usta.

I w tej samej chwili zmarszczył brwi.

– Powiedziała pani, że kiedy robiono to zdjęcie, pan Williamson był kapralem. Czy to oznacza, że później awansował?

– Na sierżanta, a potem starszego sierżanta. Ale ten ostatni stopień dostał dopiero po zwycięstwie nad Japonią, kiedy wojna się skończyła. Ted zawsze żartował, że nie dali mu czasu, by przyzwyczaił się do tego, że zwracają się do niego „panie sierżancie”, bo zaraz potem go zdemobilizowali i został zwykłym „panem Williamsonem”.

Kyle wciąż wpatrywał się uważnie w fotografię, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do pokoju wbiegło dwoje dzieci. Mały chłopiec krzyczał:

– Babciu, tatuś kupił mi happyburgera i colę! – Jego starsza siostra, gdy dostrzegła nieznanego zaczęła zachowywać się z większą rezerwą, ale zerkała na niego szelmowsko. Następnie podeszła do przyszywanej babci i przytuliła się do jej kolan.

– Williamie i Nancy – powiedziała pani Williamson, mrugając podejrzanie wilgotnymi oczami – przywitajcie się z doktorem Kyle.

– Tylko „panem Kyle” – sprostował. – Nie byłem taki mądry jak David. Nie trudno było sobie wyobrazić, że mężczyzna, który wszedł za dziećmi do pokoju, był starszym sierżantem w Królewskiej

Piechocie Morskiej. Ostre rysy i typowa dla wojskowego pewność siebie kłóciły się z jego cywilnym ubraniem. Przyglądał się Kyle'owi badawczo, ale bez cienia arogancji.

– Moja dziecinka – oznajmiła pani Williamson, nie zwracając najmniejszej uwagi, że brzmi to trochę śmiesznie.

Kyle uśmiechnął się do Johna Lewisa z życzliwym zrozumieniem.

– Pan Kyle przyszedł zapytać o wojenne przeżycia Teda – wyjaśniła pani Williamson.

Lewis nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Posprzątajcie oboje po lunchu. Dajcie babci porozmawiać w spokoju z tym panem – poleciła żona Johna, Mary, zaraz po przywitaniu się z Kylem, a następnie cała rodzina Lewisów opuściła salonik i słychać było jedynie protesty dzieci.

– Naprawdę muszę już iść. Ogromnie dziękuję za herbatę, pani Williamson – nieco później powiedział Kyle, zdając sobie sprawę, jak bardzo starsza pani pragnie nacieszyć się przybraną rodziną. Skierował się już w stronę drzwi, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Wspomniała pani, że wizyta Davida bardzo podniosła pani męża na duchu, dodała mu energii, jakiej nie czuł od wielu lat. Czy nie orientuje się pani przypadkiem, dlaczego?

– Ted po prostu się wygłupiał. Zawsze był trochę marzycielem, zwłaszcza kiedy wrócił z wojny do domu. Często żartował, jak to poustawiał sobie sprawy w wojsku i dzięki temu będzie mnie mógł utrzymać na takim poziomie, o jakim nie śniłam. Dopiero potem, kiedy już jakiś czas pracował na poczcie i wrócił na ziemię, stopniowo przestał udawać – aż do tamtego dnia. A potem znowu zaczął o tym mówić. Po raz pierwszy od wielu lat – jacy to będziemy bogaci i że kupimy dom nad morzem.

– Powiedział tak po rozmowie z doktorem McDonaldem?

Skinęła głową.

– Ten stary wariat zapytał mnie nawet, czy chciałabym mieszkać w jakimś egzotycznym miejscu, może w Blackpool, albo w Brighton. O tak, Tedzie Williamsonie – odpowiedziałam mu natychmiast.

– Jak sądzę, zaraz mi jeszcze powiesz, kto za to wszystko zapłaci, prawda?

Kyle uśmiechnął się, słysząc, jak starsza pani wyobraża sobie egzotykę.

– I co Ted odpowiedział?

– Mówiłam panu, że potrafił być zupełnie zwariowany. – Pani Williamson również się uśmiechnęła. – Powiedział, że zapłaci za to Hitler. To właśnie on, według Teda, miał uczynić nas bogatymi, panie Kyle. Adolf Hitler, pomyśleć tylko.

Gdy tylko Kyle powrócił do mieszkania przy Ringtree Gardens wygrzebał ze swojego worka książkę, którą ukrył w nim jeszcze przed przybyciem ekipy policyjnej – Waffen SS. Śmierć narodowego mitu.

Brytyjski sierżant z papierosem w kąciку ust i pistoletem maszynowym na zgięciu łokcia? Kyle spojrzał na zdjęcie, nawet nie posługując się szkłem powiększającym i poczuł przyływ ostrożnego uniesienia. Nie było wątpliwości, że ów żołnierz z drugiej wojny światowej, pozujący wraz ze swoimi zrelaksowanymi po bitwie towarzyszami nad ciałem martwego esesmana, mógł być tym samym kapralem – awansowanym później na sierżanta Edwardem Williamsonem, którego ręcznie kolorowaną fotografię niedawno oglądał. I który niewątpliwie w ostatnich miesiącach tego konfliktu zbrojnego walczył w Niemczech.

Był to ten sam człowiek, który bezpośrednio przed swoją gwałtowną, choć pozornie przypadkową śmiercią, a po spotkaniu z Davidem – ofiarą kolejnego, równie pozornie

przypadkowego incydentu – po raz pierwszy od wielu lat odzyskał wiarę, że mimo wszystko pisane mu jest bogactwo. Przekonanie, któremu były żołnierz dał wyraz ponad pół wieku temu, po demobilizacji.

W tym jednak momencie ogarniające Kyle'a uczucie satysfakcji rozplynęło się gwałtownie, ponieważ uświadomił sobie całą nedorzeczność tej sytuacji. Według zmarłego sierżanta komandosów Williamsona, albo – jeżeli Kyle chciał być brutalnie rzeczowy – według osiemdziesięcioletniego, zmarłego, byłego sierżanta Williamsona, sprawcą niezwykłego optymizmu weterana miał być ktoś, kogo w tej roli mógł obsadzić jedynie wariat, albo na przykład, leciwy jegomość cierpiący na atak demencji starczej.

Kyle zapalił papierosa i zamyślony rozparł się w fotelu Davida. Ale dlaczego Hitler? Dlaczego nie Napoleon? Albo na przykład Juliusz Cezar?

Chyba, że Williamson wyraził się metaforycznie. Może na polu bitwy wyrobił sobie nawyk, który pozwolił mu przeżyć, a polegał na tym, że w każdej odznace trupiej czaszki, jaka pojawiała się w jego celowniku, widział twarz najohydniejszego dyktatora współczesności.

Być może również w odznace pewnego frontowego oficera, który nazywał się Stollenberg.

Zamknął książkę i zabębnił palcami po jej miękkiej okładce, szukając natchnienia. Waffen SS. Śmierć narodowego mitu. Tytuł był wydrukowany czerwoną farbą – krwista czerwień rozlewała się leniwie po zaśnieżonym polu bitwy. Kyle nie zauważył tego przedtem, ale ilustracja, którą plastik wybrał na okładkę, była wielokrotnym powiększeniem fragmentu zdjęcia, na którym uwieczniony był Williamson. Ale sam Williamson nie dostąpił najwyższego zaszczytu, jakim było umieszczenie go na okładce. Znajdowała się na nim jedynie głowa w hełmie, wygięta szyja, obwisłe bezwładnie ramiona zwrócone ku górze, pozbawione złudzeń oczy niemieckiego superżołnierza, który osłupiałym wzrokiem zdawał się wpatrywać w swoje osobiste Götterddmmerung [Götterddmmerung niem. zmierzch bogów] widniejące w splugawionym dymem niebie nad jego pokonaną ojczyzną.

Kyle drgnął, gdy do głowy przyszła mu pewna myśl. Czy na większości wojskowych mundurów nie umieszczano pułkowych albo dywizyjnych oznak lub czegoś w tym rodzaju? Gdyby udało się je zidentyfikować na tej fotografii, mogłyby przynajmniej dać odpowiedź na jedno, podstawowe pytanie czy jednostki Williamsona i Stollenberga kiedykolwiek spotkały się na polu walki?

Znowu bardzo dokładnie obejrzał okładkę książki. Cholera! Na najważniejszej dla niego części, na patce na kołnierzu było wydrukowane nazwisko autora. Litera „L” w słowie „Lightwood” wchodziła na obrazek tak, że dokładnie zasłaniała...

Lightwood?

Fotografie Toma Lightwooda?

Lightwood tajemniczego Hackmana? Tego, o którym zameldowano, że zginął w walce „kilka dni po wydarzeniu”? Który nigdy nie zdołał „złożyć oficjalnego zeznania Prov...?” Leniwe jak dotąd myśli Kyle'a, nagle włączyły turbodoładowanie. „...Provosom!” Określenie, które niekoniecznie musiało odnosić się, jak początkowo sądził, do jakiejś byłej irlandzkiej, republikańskiej organizacji terrorystycznej działającej na zasadzie „zabij i zniknij”. Zwłaszcza, jeżeli uwzględni się możliwość występowania w tym słowie niemego „t”.

„ProvosT”, czy „ProvO”?

Przekazana w ten sposób informacja Hackmana dawała wielkie możliwości interpretacyjne. Czyż nie mogła bowiem równie dobrze odnosić się do zdecydowanie łagodniejszej formy rządów strachu?

Ponieważ była jednym z łagodniejszych eufemizmów, jakim brytyjscy żołnierze określali swój

Korpus Żandarmerii Wojskowej.

# 8

– Mówi pan, żeby to powiększyć? – Fotograf zmarszczył brwi.

– Tak. I chciałbym, żeby pan zrobił dwa ujęcia – wyjaśnił Kyle. Jeżeli się uda, jedno całej strony. Największe jak się da. A potem drugie, na którym wykadruje pań głowę oraz ramiona żołnierza. I powiększy je jeszcze bardziej niż pierwsze.

– Którego żołnierza?

– Niemieckiego.

– On chyba nie żyje?

– Na to wygląda – przytaknął Kyle.

Fotograf zajrzał do otwartej książki i pokręcił sceptycznie głową.

– Będą nie mniej ziarniste niż reprodukcja na okładce. Piksele jak kamyki. Marna jakość. Nie lubię wykonywać prac marnej jakości, proszę pana. Nie mogę sobie na to pozwolić w sytuacji, kiedy Boots i cholerny ProntoPrint tuż za rogiem ma te swoje fikuśne maszyny „przyciśnij guzik i rób je jak kielbaski”.

– To mi nie przeszkadza. Nie mam zamiaru wieszać ich na ścianie.

– Poza tym muszę zrobić na piątek ekspozycyjne zdjęcia Rotarianów i album ślubny dla Sloane’ow. Do pańskich będę się mógł zabrać dopiero w poniedziałek.

Mam zamiar zapłacić za nie sto funtów – oświadczył Kyle. – Gotówką.

– Czy może pan przyjść po nie za godzinę? – odparł fotograf.

Myszkował po dziale historii wojskowości w najbliższej księgarni, dopóki nie znalazł cieniutkiej książeczki omawiającej mundury i insygnia Waffen SS, a potem wrócił do pracowni fotograficznej i odebrał jeszcze wilgotne odbitki. Wracając na Bayswater Gardens był bardzo zadowolony z siebie. Krótki rzut oka na powiększenia upewnił go, że odznaki na maskującej kurtce martwego Niemca są całkowicie czytelne.

To wcale nie trudne, być detektywem – pomyślał.

Mimo wszystko wciąż był gotów przyznać, że takie świeżutkie poczucie pewności siebie może okazać się nieco przedwczesne. Nie wytropił jeszcze Hackmana, kimkolwiek mógł się on okazać. Ani nawet nie odnalazł mechanika, który trzymał w zastawie odkurzacz Davida.

Późnym wieczorem, po przestudiowaniu książki od deski do deski i pełnym napięcia porównaniu tabel z oznakami naszytymi na plamistej kurtce denata, Kyle zmienił całkowicie zdanie i uznał, że nie ma talentu do wykrywania czegokolwiek. Minął kolejny dzień, a on był w stanie udowodnić jedynie, iż żołnierz, który poległ pięćdziesiąt lat temu był członkiem Waffen Schutzstaffeln Hitlera. Było to osiągnięcie, które, biorąc pod uwagę tytuł książki Lightwooda, raczej nie zasługiwało na okrzyk „Eureka!”

Srebrna wypustka na czarnym naramienniku i jedna gwiazdka na patce kołnierza świadczyły, że

był to Unterscharführer, czyli kapral. Wszystko wskazywało na to, że na rękawie jest jeszcze jedna naszywka w kształcie srebrnoszarego niemieckiego orła na czarnym tle, ale zgubiła się w fałdach materiału i Kyle nie był w stanie ustalić, czy jest to standardowy orzeł, czy specjalna oznaka SS-Polizei. Żadnych znaków jednostek. Najmniejszej wskazówki, do którego pułku czy dywizji należał denat.

– No cóż, jedno jest zupełnie pewne. To nie jest... nie był Stollenberg – burknął Kyle, wpatrując się z zamyśleniem na oparte o ścianę zdjęcia. – David z całą pewnością mówił, że był Standartenführerem, nawet nazywał go pułkownikiem, jeżeli mnie pamięć nie myli – a chłopak jest nieco więcej niż szeregowcem.

Siedział przez chwilę, myśląc, jak bardzo ten dzieciak musiał być dumny, gdy po raz pierwszy założył mundur. Trochę jak ten młody policjant, który zaprowadził go do kostnicy. Rodzice żołnierzyka też pewnie byli dumni ze swojego potomka. Może nawet nie dręczył ich niewyartykułowany lęk przed tym, co pomogli stworzyć? Tego rodzaju obaw nie należało wypowiadać głośno w Niemczech Hitlera, nawet w rozmowie między mężem a żoną. W każdym razie zapewne zademonstrowali należyłą dumę, umieszczając oprawioną w srebrne ramki fotografię syna w jakimś małym domku w Dortmundzie czy Hamburgu. Dokładnie tak samo jak zrobiła to pani Williamson w swoim schludnym mieszkanku, gdzie nawet teraz komandos Ted spogląda dumnie z półki nad kominkiem i nie starzeje się ani o dzień.

No, powiedz, Ted – pomyślał Kyle – kto umyślnie przejechał cię w jesieni twojego życia za coś, co musiałeś zrobić gdy byłeś młody, sprawny, twardy jak krzemień i znajdowałeś się z właściwego końca pistoletu maszynowego? A to prowadzi nas z powrotem do użytego przez tajemniczego pana Hackmana określenia „własny ogień”. Może, na przykład, jest to aluzja do faktu, że pocisk, który odebrał życie fotoreporterowi wojennemu, niejakiemu Lightwoodowi, pochodził z tej samej broni, którą trzymasz tak niedbale – a nie z esesmańskiego schmeissera? A jeżeli tak, to dlaczego? Czego Tom Lightwood dowiedział się o tobie, Ted, że jego rodacy musieli go zamordować, zanim zdążył złożyć zeznania alianckiej żandarmerii wojskowej?

Ale to był zbyt daleko idący wniosek. David wykipiłby go za tworzenie tak nie umotywowanych hipotez. A inspektor Cox z Wydziału Specjalnego? No cóż, po prostu wygłosiłby jakieś druzgocące podsumowanie, podobne do tych, jakimi Holmes komentował pomysły nieszczęsnego doktora Watsona.

Koło północy Kyle zrobił sobie kolejną kawę, dla pociechy wlał do niej kroplę rumu i wrócił do saloniku. Idąc przez korytarz, poczuł dziwny niepokój i nie mógł powstrzymać się przed ostrożnym zerknięciem do szafy, by upewnić się, że gdy był na detektywistycznych zakupach, nikt nie podrzucił mu kolejnego zakrwawionego trupa.

Siedział w zimnym mieszkaniu i bez specjalnego celu czytał spisy nazw jednostek, w których wyraźnie pobrzmiwał aryjski tryumfalizm. SS-Freiwiligen-Panzer-Grenadier-Division „Nordland”, SS-Gebirgs-Division „Prinz Eugen”, SS Kavallerie-Division „Florian Geyer”, dywizje pancerne „Horst Wesel”, „Das Reich”, „Totenkopf”, „Leibstandarte Adolf Hitler”...

Znudzony tym Kyle skupił się na szczegółach tła widocznego na powiększeniach – zwłaszcza na wielkoformatowym zdjęciu przedstawiającym czterech brytyjskich komandosów, stojących w niedbałych pozach myśliwych nad doczesnymi szczątkami zwyciężonego szkolnego prymusa. Kiedy po raz pierwszy oglądał książkę wydobytą z chaosu panującego na biurku Davida, zwrócił uwagę, że to, o czym obecnie zaczynał już myśleć jako o „Bitwie Teda”, rozgrywało się w jakimś

kompleksie przemysłowym. Teraz, dzięki powiększeniu, okazało się, że jest w stanie zidentyfikować pole walki jako część stoczni. Nieostry napis „Bremnerhavenschiffswerft” namalowany na suwnicy bramowej, nie wymagał tłumaczenia.

Dalszym potwierdzeniem był widok rozmytej odległością sylwetki niemal ukończonego statku, rysującej się na tle nieba. O tym, że jeszcze był w budowie świadczył brak kolumn ładunkowych i szalup na żurawikach. Nabrzeże wyposażeniowe stoczni, pomyślał Kyle, marynarskim okiem podświadomie oceniając linie frachtowca. Klasyczny, sześciolukowy drobnicowiec z napędem motorowym, z żurawiami bomowymi o udźwigu dwudziestu ton na obu masztach, z kominem o zgrabnych proporcjach i wdzięcznej sylwetce – typowej dla czasów, kiedy statki wyglądały jak statki, a nie jak dwuśrubowe elektrownie.

Przez chwilę poczuł się podniesiony na duchu i zaczął rozmyślać, czy przypadkiem nie trafił jednak na poszlakę. Statki handlowe w czasie wojny kojarzyły mu się z konwojami, a czyż David nie wspomniał, że Stollenberg miał do czynienia z jakimś konwojem? Kyle pamiętał, iż wtedy wydało mu się dziwne, że żołnierz mógł mieć coś wspólnego ze statkami i żegluga. Chyba, że obowiązki „Standartenführera” związane były z zaopatrzeniem wojskowym albo ewakuacjami, przerzucaniem wojsk? Marszcząc brwi, wpatrywał się jeszcze przez kilka minut w sylwetkę statku, by w końcu się poddać. Ale David z całą pewnością mówił o „konwoju Stollenberga”. Stwierdził nawet, że „konwój Stollenberga to dynamit”.

I zakończył słowami: „Bóg raczy wiedzieć, co niektórzy ludzie mogliby zrobić, gdyby dowiedzieli się, że udało mi się ustalić...”

Co ustalić, Davidzie? I kim byli ci „niektórzy ludzie”, budzący obawy nawet w tobie, pomimo cechującej cię często rozkosznej naiwności?

To była dziwna sprawa. Gdy Kyle wreszcie zapadł w niespokojną drzemkę, w jego podświadomości pojawiła się twarz i pozostała pod powiekami, uparta niczym Kot z Cheshire w „Alicji”. Nie była to jednak twarz zamordowanej Wandy Inadi, ani sierżanta Teda Williamsona, czy poległego żołnierza leżącego na zaśnieżonym polu bitwy. Nawet nie Davida McDonalda.

Nie!

Dziwne, ale obraz tkwiący mu pod powiekami gdy zasypiał, przedstawiał człowieka, którego Kyle widział tylko raz w życiu i właściwie wcale o nim nie myślał.

Chłopaka Williamsonów – byłego podoficera piechoty morskiej, Johna Lewisa. Ależ nie, to nie był syn Williamsonów, ale ich najlepszych przyjaciół, Arthura i Elsie. Tak przecież starsza pani ich nazwała? Arthur i Elsie Lewis. Sąsiadów zza ściany.

Kyle miał szczęście. Nie zdawał sobie sprawy, że aby porozmawiać z jednym z pracowników naukowych Imperial War Museum powinien wcześniej się umówić. Jednak, kiedy przybył niezapowiedziany do głównego budynku przy Lambeth Road, bardzo uprzejma recepcjonistka skierowała go przez wystawy sprzętu wojskowego i obok piętrzącego się nad całym parterem wielkiego pocisku Polaris, do Działu Dokumentacji.

Sama decyzja przyjscia tutaj napawała go niepokojem. A może zawiedzie zaufanie Davida, wywołując zbędne zainteresowanie jakimś wydarzeniem z czasów wojny, które McDonald najwyraźniej usiłował zachować w tajemnicy? Ale Kyle zaczął już godzić się z rzeczywistością – uznał, że nie ma szans na odnalezienie zabójcy Davida bez zebrania informacji o Stollenbergu.

Musi to zrobić dyskretnie. Musi rozegrać sprawę tak, jakby nie wiedział, co robi, ani dokąd



właściwie ma dotrzeć. No a takie postępowanie nie będzie wymagało od niego żadnego udawania.

– Stollenberg, panie Kyle? – upewniła się dziewczyna w informacji, zapewniwszy go najpierw, że nie sprawia jej najmniejszych kłopotów. Miała długie, ciemne włosy i była niepokojąco ładna. Wcale nie wyglądała na mola książkowego, w którego – zdaniem Kyle’a – musiały nieodwołalnie przekształcać się wszystkie młode kobiety interesujące się historią. Wtedy jednak przypomniał sobie inną dziewczynę o kruczonych lokach i makabryczną rolę, jaką odegrała w scenariuszu, który sprowadził go do tego miejsca. Tutaj, w trumnach kartotek lub na płytach kompaktowych spoczywały papierowe kości poległych kompanii, batalionów, pułków i dywizji. Wzdrygnął się nieco, odganiając od siebie te niestosowne myśli.

– Był Niemcem. Z całą pewnością Niemcem – dodał Kyle. – O ile wiem, pułkownik, albo podpułkownik. Służył w SS.

– Pułkownik. Standertenführer Stollenberg, eee... Manfred? – Przymknęła oczy, starając się sobie przypomnieć. – Trzeci... nie... Drugi pułk, SS-Polizei-Panzer-Grenadier Division.

Kyle zamrugał całkowicie zdezorientowany.

– Dobry Boże! – zawołał i, nie mogąc się powstrzymać, przechylił się przez kontuar, aby spojrzeć na jej nogi.

Dziewczyna cofnęła się, zaniepokojona.

– Panie Kyle?

– Próbowałem zobaczyć drucziki – wyjaśnił Kyle, czując się jak idiota – prowadzące do tego komputerowego wszczepu, który najwyraźniej ma pani w głowie.

Zachichotała.

– To się nazywa pamięć krótkoterminowa. Nie potrzebne są żadne drucziki, żeby przypomnieć sobie zagadnienie, które niedawno wyszukiwałam w bazie danych. Nawet tutaj.

Poczuł nagle, że wcale nie ma ochoty się uśmiechać.

– W Waffen SS w szczytowym okresie służyło kilkaset tysięcy ludzi i z podobnych powodów, co starszy inspektor Cox, Kyle również całkowicie utracił wiarę w przypadki. Zwłaszcza, kiedy wiążą się one z nadmiarem trupów.

– Czy chce pani powiedzieć, że w ostatnich dniach ktoś pytał o pułkownika SS Stollenberga?

– Jakieś dwa, trzy tygodnie temu.

– No tak, oczywiście... – Zmarszczki na czole Kyle’a wygładziły się. David. David McDonald.

– Ma pan na myśli doktora McDonalda?

– Zna go pani? – zapytał, wiedząc, że niemal na pewno zostanie ofuknięty.

– Przychodzi tu regularnie. O ile wiem, pracował tu kiedyś.

Kyle zbierał się właśnie na odwagę, by poinformować ją, że David już nigdy tu nie przyjdzie, gdy zobaczył, że dziewczyna kręci głową.

– Nie, to nie doktor McDonald zgłaszał tę ostatnią kwerendę.

Poczuł wzbierające w nim podniecenie.

– A czy może sobie pani przypomnieć, kto się nim interesował?

Znowu przymrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć.

– Chyba jakiś młody człowiek. Przychodzi tu mnóstwo ludzi.

– Ale to był mężczyzna, nie kobieta? Mogłaby go pani opisać?

Uśmiechnęła się znowu, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo zależy mu, by mu odpowiedziała.

– Mam świetną pamięć do nazwisk, ale koszmarną do twarzy.

– Może więc pamięta pani nazwisko?

– Smith. Pan Smith.

– Smith! – powtórzył głucho Kyle. Czyż księgi gości hotelowych nie były pełne Smithów – zwłaszcza pań i panów Smith? I chociaż na pewno wielu z nich rzeczywiście nosiło to nazwisko od urodzenia, to jednak miał bardzo poważne podejrzenia, że w tym przypadku było zupełnie inaczej.

– Wysoki czy niski? Chudy czy gruby?

– Dość wysoki. Pamiętam, że był bardzo uprzejmy, ale jednocześnie władczy.

Ten opis coś mu przypominał. Kot z Cheshire... i piechota morska?

– Jak ktoś nawykły do wydawania rozkazów? Powiedzmy, wojskowy?

– Być może. – Zawahała się, a potem dodała niepewnie:

– Proszę nie myśleć, że usiłuję pana spławić, panie Kyle, ale jeżeli ta sprawa jest ważna i zna pan doktora McDonalda, to może spróbuje się pan z nim skontaktować? Jest samodzielnym badaczem i posiada ogromną wiedzę na temat dawnych pułków SS. Jestem pewna, że z radością panu pomoże.

Musiała dostrzec nagłą zmianę w spojrzeniu Kyle'a i mylnie uznała ją za wyraz nagany. Zaczerwieniła się, zmieszana.

– Bardzo przepraszam. Przekroczyłam swoje kompetencje. To dlatego, że pan Smith...

– Co pan Smith...? – Kyle usłyszał przynaglenie w swoim głosie.

– No cóż, zasugerowałam mu to samo, a nawet skontaktowałam go z doktorem McDonaldem.

A ponieważ już tu nie wrócił, uznałam...

– ...że się spotkali? – skończył zdanie Kyle.

Nie miał serca powiedzieć jej, gdzie jego zdaniem miało miejsce to spotkanie. Ani kiedy.

No dobra! To, do cholery, wciąż tylko przypuszczenie nie potwierdzone żadnymi faktami. Ale miał ponure przeczucie, że spotkanie odbyło się na stacji metra Lancaster Gate. Pięć dni temu. Dokładnie o 7.53 rano.

Nie powiedział jej o tym. Owładnęły nim coraz bardziej nasilające się uczucia wściekłości i frustracji. Nie chciał, żeby zorientowała się, że chociaż kierowały nią jak najlepsze intencje, odegrała zasadniczą rolę w dokonanym z pełną premedytacją zabójstwie Davida McDonalda.

Chwilę później dziewczyna wymamrotała zmieszana:

– Bardzo przepraszam... – i odeszła, aby porozmawiać z mężczyzną w starszym wieku, który stał przy drugim końcu kontuaru. Kyle czekał, oszołomiony i strapiiony, nie wiedząc, co ma teraz robić i dokąd się udać. Wyruszył dziś rano z domu w dobrym nastroju, zdecydowany odnaleźć jakiś wspólny element – coś, co połączyłoby życie Manfreda Stollenberga i śmierć Davida.

No i rzeczywiście znalazł. Ale był to tylko błędny ogień, który nazywał się „pan Smith”.

Gdy czarnowłosa asystentka z informatorium wróciła, człowiek, z którym rozmawiała przed chwilą, również podszedł do Kyle'a. Dziewczyna była wyraźnie wstrząśnięta.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała – Nie zdawałam sobie sprawy, że doktor McDonald...

– To nie pani wina. – Zmusił się do bladego uśmiechu. – Gazety się o tym nie rozpisywały.

W porannym wydaniu nawet nie podali jego nazwiska.

– Był pańskim bliskim przyjacielem?

Kyle skinął głową.

– Tak.

Czekający mężczyzna kaszlnął dyskretnie i dziewczyna odwróciła się.

– Panie Kyle, to profesor Rushby.

– Rushby – poprawił ją nowo przybyły. – Profesor brzmi zbyt urzędowo.

Kyle natychmiast poczuł do niego sympatię.

– Kyle.

– Profesor i doktor McDonald współpracowali przy kilku referatach dotyczących historii SS.

– Lisa chce przez to powiedzieć, że bardzo się sprzeczałyśmy – uśmiechnął się szeroko Rushby. –

Jesteśmy jak ogień i profesorska woda. – Jego uśmiech zniknął. Wzruszył przepraszająco ramionami.

– Przepraszam cię, drogi chłopcze. Po prostu młody McDonald miał zwyczaj oskarżać mnie, oczywiście żartem, że jestem starym, zagrzebanym w archiwach niedołęgą. Krótko mówiąc, staroświeckim nudziarzem. Odcinałem się, twierdząc, że tylko udaje historyka i zrobiłby karierę jako dziennikarz specjalizujący się w sensacjach. Miał dosyć oryginalne podejście do wielu zagadnień. Ale był cholernie bystry. Będzie mi brakowało naszych dyskusji.

– Oryginalne? – Kyle zmarszczył brwi, starając odpędzić od siebie bolesny fakt, że wszystko, co mówi się o Davidzie, musi być utrzymane w czasie przeszłym – No dobrze – nieortodoksyjne. Ale ja reprezentuję starą szkołę, która twierdzi, że fakty są faktami. Nie pozostawia miejsca na interpretacje. Natomiast McDonald uważał, że fakt stanowi jedynie odskocznnię dla domysłów.

– Jestem w tym dobry – mruknął Kyle. – W domysłach.

– Wywnioskowałem to ze słów Lisy.

– Wcale nie mówiłem serio o tym implancie komputerowym – zaprotestował Kyle.

– Mam wrażenie, że profesorowi chodziło o pańskie zainteresowanie Standartenführerem, panie Kyle – powiedziała Lisa.

– A więc o tym też mu pani powiedziała? – mruknął Kyle, rozglądając się z niepokojem, by upewnić się, że nie podsłuchuje ich jakiś Smith. Miał nadzieję, że profesor nie ma zamiaru wracać do domu metrem. Biorąc pod uwagę dyskrecję chętnej do pomocy Lisy, w chwili, gdy te cholerne pociągi przestaną kursować w całym Londynie nie zostanie przy życiu ani jeden historyk wojskowości.

– Niech się pan nie złości na Lisę. Ze Stollenbergiem nie wiąże się żadna tajemnica. Ani z faktem, że młody David szczególnie interesował się tym jegomościem – zapewnił go profesor, radośnie opiekuńczy wobec kobiety, która, jak podpowiadała Kyle'owi jego paranoiczna wyobraźnia, mogła właśnie podpisać na profesora wyrok śmierci. – Ten pułkownik zawsze był wśród nas, powojennych badaczy, swego rodzaju cause célèbre, chociaż, jak pan wie, większość z nas uważała, że młody McDonald marnuje czas na tę pogoń za mirażami.

– Nie wiem – zaprzeczył słabym głosem Kyle.

– Myślałem, że jest pan jednym z nas. Historyk?

– Nie, marynarz.

– Ach, to wszystko wyjaśnia, drogi chłopcze – Rushby dość tajemniczo pokiwał głową. – W takim razie nie można oczekiwać, żebyś go znał.

– Co znał?

– Mit – wyjaśnił profesor Rushby. – Mit o Konwoju Stollenberga.

# 9

Profesor oparł się wygodnie, trzymając w dłoni kieliszek brandy. To był dobry lunch. Gdyby Kyle był głodny, na pewno również i jemu sprawiłby przyjemność. W każdym razie nie żałował ani jednego wydanego pensa. Zwłaszcza że pozwoliło mu to zmniejszyć półwiekową lukę informacyjną, dzielącą go od Stollenberga.

Powiedział pan, że jest marynarzem, a mimo to interesuje się pan badaniami McDonalda dotyczącymi Stollenberga. Mogę zapytać, dlaczego?

– On... rozmawialiśmy o tym przed moim rejsem – Kyle starał się być zdawkowo nieprecyzyjny. – Mam trochę wolnego czasu. A teraz... on odszedł. Zastanawiałem się, czy będę w stanie...

Przerwał. To, co mówił sprawiało wrażenie bardzo kulawego kłamstwa. Ale Rushby nie zwrócił na to uwagi.

– A więc niech pan mówi.

– Od czego chce pan, żebym zaczął?

– Od poziomu dla idiotów? – zasugerował Kyle.

Rushby skrzywił się.

– W 1939 roku Wielka Brytania przystąpiła do wojny z Niemcami...

– Myślałem raczej o Stollenbergu – przerwał mu pośpiesznie Kyle.

– Człowiek z charyzmą. Pochodzenie typowe dla oficera SS. Urodzony w 1915 roku, o ile dobrze pamiętam, jako trzeci syn drezdeńskiego inspektora policji. Kiedy był jeszcze w szkole wstąpił do prawicowego, paramilitarnego Freikorpsu. Rok, albo dwa lata później z entuzjazmem wstąpił do partii narodowo-socjalistycznej, a wkrótce został ochotnikiem w SA.

– SA?

– Sturmabteilungen. Szturmowcy, albo brunatne koszule – prywatna armia rosnącej w siłę NSDAP, składająca się z półetatowych oprychów dowodzonych przez wyjątkowo nieprzyjemnego zbrojeńca Ernsta Roehma.

Kyle zmarszczył brwi. W końcu David czegoś go jednak nauczył.

– Sądziłem, że Roehm uważał się bardziej za rywala Hitlera, niż jego sojusznika. Czy przypadkiem ostatecznie nie zastrzelono go na rozkaz Führera?

– Owszem, trzydziestego czerwca 1934 roku, w czasie tak zwanej Nocy Długich Noży. A razem z nim kilkuset jego najważniejszych popleczników. Towarzystwo godnych siebie potępieńców.

– Ale Stollenberg najwyraźniej uniknął czystki?

– Działał razem z katami. Został nawet nagrodzony cennym partyjnym odznaczeniem Blutorden – Orderem Krwi – za usługi wykonywane za pomocą rzeźnickiego haka i lugera. Wspaniałe posunięcie na drodze do kariery, jak na tak młodego człowieka. Ile miał wtedy lat? Chyba dziewiętnaście?

Kyle pomyślał o leżącym w śniegu martwym chłopcu-żołnierzu. Jego kariera nie ułożyła się tak

szczęśliwie.

– Czemu wspominał pan o posunięciu?

– Na początku lat dwudziestych w SA stworzono doborową grupę, która miała spełniać rolę osobistej ochrony Hitlera. Początkowo nazywała się Stosstuppe Adolf Hitler. Później zaczęli być znani jako Schutzstaffeln czyli Sztafety Ochronne.

– SS?

– Z małych żołędzi wyrastają potężne dęby. W 1929 roku, kiedy ich dowódcą zostało mianowane to bezbarwne zero, Heinrich Himmler, Schutzstaffeln liczyło zaledwie dwustu osiemdziesięciu ludzi. W 1933, gdy Hitler zdobył władzę absolutną – co przypadkiem zbiegło się w czasie z chwilą, w której młody Stollenberg właściwie odczytał znaki na ziemi i niebie i ponownie przemyślał swoje związki z Roehmem – organizacja rozrosła się i liczyła już ponad trzydzieści tysięcy ludzi. Trzy bataliony, które, praktycznie rzecz biorąc, stały się ruchem wewnątrz ruchu. Składały się wyłącznie z czystych rasowo aryjczyków fanatycznie oddanych Nowemu Porządkowi.

– Gdzież więc naszemu człowiekowi powinęła się noga?

Rushby uśmiechnął się lekko.

– Jest pan spostrzegawczy.

Kyle wzruszył ramionami.

– Skoro Stollenberg urodził się, że tak powiem, w nazistowskim czepku, mógł się spodziewać, iż zostanie generałem porucznikiem, czy jak tam nazywali ten stopień. Ale mimo to pod koniec wojny był tylko pułkownikiem. Co sugeruje, że gdzieś po drodze musiał coś przeskrobać.

– Jego przewinienie polegało na tym, że był za dobrym żołnierzem. I jak już wspomniałem na samym początku, był również obdarzony charyzmą. Za bardzo się wybijał, by naczelne dowództwo nie zwróciło na niego uwagi. Stanowił zagrożenie dla swoich bezpośrednich przełożonych. Na początku wojny Manfred Stollenberg był już Hauptsturmführerem – czyli kapitanem w pułku artylerii przeciwlotniczej chyba najbardziej elitarnej jednostki Waffen SS. Dowodzonej przez Seppa Dietricha dywizji Leibstandarte Adolf Hitler.

– Do chwili?

– Do chwili, gdy po zwycięskim marszu przez Holandię i po wkroczeniu do Francji, walcząca dzielnie bateria Stollenberga dotarła na przedmieścia małego miasteczka o nazwie Wormhout. Przybyła tam dwudziestego siódmego maja 1940 roku i ustawiła armaty niedaleko budynków farmy znanej w okolicy pod nazwą Le Paradis.

Kyle zaczął się czuć jeszcze bardziej niepewnie. Okazało się, że podstawowe zagadnienie jego z założenia dyskretnego dochodzenia, okazało się tematem bardzo popularnym wśród naukowców. Z ostatniej rozmowy z Davidem wywnioskował, że pułkownik stał się obiektem zainteresowania McDonalda dzięki jego jakiemuś najświeższemu, utrzymywanemu dotąd w sekrecie odkryciu. Wynikał z tego wniosek, że bez względu na to, jaka niezwykle tajemnica otaczała Stollenberga w chwili obecnej, sam człowiek od dawna pogrążył się w niepamięci historyków. A teraz okazuje się, że jeden z kolegów Davida recytuje wszystko jak z nut: nazwy miejscowości, dokładne daty, właściwie cały życiorys jednego spośród wielotysięcznej rzeszy oficerów SS średniego stopnia.

Jego towarzysz w niewłaściwy sposób zinterpretował wyraźne zaniepokojenie Kyle'a.

– Wyświadcza mi pan niezasłużony zaszczyt. Dla każdego badacza historii najnowszej masakra w Wormhout zapisała się na stałe w kronikach niesławy.

– Masakra?

– Proszę sobie przypomnieć, kiedy to było, panie Kyle. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny wycofywał się do Dunkierki. Aby złapać oddech i umożliwić ewakuację tych, którzy dotarli do plaż, piechurzy z brytyjskiej 2 Dywizji otrzymali rozkaz, by bronić rejonu Bethune. Jednym z oddziałów wyznaczonych do realizacji tego desperackiego zadania był 2 batalion pułku Royal Norfolk. Bohatersko utrzymywali pozycję i późnym popołudniem pozostała z nich tylko garstka. Praktycznie bez amunicji, bez możliwości udzielenia pomocy medycznej rannym, nie mieli wyboru i musieli się poddać.

– Pododdziałowi Stollenberga?

– Nie. Innej niemieckiej grupie szturmowej. Drugiemu Standarde SS „Totenkopf”. Zaraz po bitwie, chociaż znajdowali się pod ochroną konwencji genewskiej, wszystkich dziewięćdziesięciu ośmiu brytyjskich jeńców, w tym również rannych, zaprowadzono na łąkę w pobliżu „Le Paradis”.

– Gdzie nieopodal okopana była bateria Stollenberga.

Rushby skinął głową z ponurą miną.

– Tam ustawiono jeńców w rzędzie i rozstrzelano. Położono ich pokotem. Rzezi uniknęło jedynie dwóch ludzi, którzy udali zabitych. W nocy, podczas ulewnego deszczu, odczołgali się, po czym zostali schwytani i umieszczeni w szpitalu przez jednostkę Wehrmachtu – regularnych sił zbrojnych. Wszyscy pozostali, którzy przeżyli masakrę zostali dobici bagnetami.

Kyle poczuł, że robi mu się zimno. Cóż za bezlitosna egzekucja. Pomyślał o pograżonych w bólu rodzicach i wdowach. O płaczących, osieroconych dzieciach.

– Na rozkaz Stollenberga?

– Na rozkaz dowódcy kompanii z „Totenkopf”, niejakiego Fritza Knochleina. Jestem w pełni przekonany, że Stollenber mógł nie wiedzieć, co dzieje się w pobliżu jego stanowisk ogniowych.

Z jakiegoś całkowicie nielogicznego powodu Kyle poczuł ulgę.

– W takim razie, czemu...?

– Już ci mówiłem, drogi chłopcze. Jego bezpośredni przełożeni szukali już sposobu, by go skompromitować. W rezultacie cała ta barbarzyńska sprawa została skutecznie wyciszona. Stało się tak w dużej mierze dlatego, że SS odmawiało Wehrmachtowi prawa do zbadania wydarzenia, które uważało raczej za kłopotliwe niż potworne. Mimo wszystko jednak potrzebowano kozła ofiarnego. Obecność w „Le Paradis” baterii Hauptsturmführera Stollenberga stwarzała idealną okazję.

– Podczas gdy prawdziwy sprawca, Knochlein, uniknął kary.

– By ostatecznie dosłużyć się stopnia podpułkownika oraz Krzyża Żelaznego i Krzyża Rycerskiego.

– To właśnie chciałem powiedzieć – oznajmił rozgoryczony Kyle. – Uszło mu płazem!

– Fritza Kochleina za udział w masakrze w Wormhout powieszono w 1948 roku w Hamburgu. Skazano go przede wszystkim na podstawie zeznań dwóch ocalałych żołnierzy pułku Norfolk. Choć było to niewielką pociechą dla krewnych ofiar, sprawiedliwość w końcu zatryumfowała.

– A co ze Stollenbergiem?

– Odsunięto go na boczny tor. Jego kariera została zwichnięta. Przeniesiono go do drugiego pułku w dywizji, którą w Waffen SS zawsze uważano za coś gorszego – Polizei-Panzer-Grenadier Division. Formowana początkowo z kiepsko przeszkolonych i źle wyposażonych jednostek – Ordnungspolizei, cywilnej policji porządkowej – nigdy niczym się nie wyróżniła i chociaż przez pierwszy okres wojny w Rosji pełniła służbę okupacyjną i zabezpieczała tyły, muszę przyznać, że dobrze walczyła nad rzeką Wołchow. Stollenberg zdobył tam swój Krzyż Żelazny. Nawet przesunął

się po drabince służbowej, kiedy mianowano go Sturmbannführerem.

– Co dowodzi, że dobrego człowieka nie da się stłamsić – mruknął Kyle, żeby coś powiedzieć. I dopiero potem przyszło mu do głowy, że ten komentarz był zupełnie idiotyczny. W końcu facet, o którym była mowa, najwyraźniej dalej zabijał ludzi, chociaż minęło już pół wieku od chwili, gdy alianci zastrzelili go, wysadzili w powietrze, albo przynajmniej odebrali mu pieprzony karabin. Dodał więc pospiesznie:

– Czemu jakiś czas temu użył pan słowa „mit”? Mit o Konwoju Stollenberga?

Profesor uśmiechnął się, ale tym razem sympatycznie.

– Miraż McDonalda?

Kyle postanowił uzasadnić swoje zainteresowanie.

– Teraz i mój. Jeżeli będę wiedział, czego mam szukać.

– Niech pan będzie przygotowany na to, że znajdzie pan tylko rozczarowanie. I z całym szacunkiem – frustrację, jaka stała się udziałem wielu lepiej przygotowanych zawodowo od pana osób, które zajmowały się tym przed panem. Mówię to, bo sam kiedyś tropiłem Stollenberga.

– Zaczynam już poznawać to uczucie. Dokąd się udał z Rosji?

– Na Czechy i Morawy, gdzie razem z pułkiem dalej zajmował się zapewnianiem bezpieczeństwa. Potem do Polski, a następnie do Jugosławii, gdzie prowadzili działania antypartyzanckie. Następnie udał się na Słowację, a na początku czterdziestego czwartego, do Grecji. Polizei-Panzer-Division z całą pewnością popełnił tam szereg okrucieństw, zwłaszcza w rejonie Larissy.

– Czy Stollenberg był w to bezpośrednio wmieszany?

Profesor Rushby wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Chociaż w późniejszych latach SS powtórzyło Wormhout w tysiącu innych miejsc, w chwili, gdy Stollenberg przybył do Grecji, osobom tak spostrzegawczym jak on widmo klęski rysowało się coraz wyraźniej. I jak wielu podobnych mu oficerów nauczył się unikać w meldunkach bojowych obciążających go wpisów.

Zapowiadana przez Rushby'ego frustracja nie dała na siebie długo czekać.

– Ale wciąż nie mogę zrozumieć – odezwał się błagalnym tonem Kyle w jaki sposób doprowadziło go to do związków z marynarką?

Tym razem to jego rozmówca był wyraźnie zdziwiony.

– Jaką znowu marynarką, Kyle?

– Nie wiem. Przypuszczam, że niemiecką... no... Kriegsmarine?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Chodzi mi o konwój. Sam pan nawet użył tego słowa, Rushby. Konwój Stollenberga.

Profesor uśmiechnął się z nagłym zrozumieniem i przez chwilę wpatrywał się w pusty kieliszek.

– Proszę przynieść butelkę – polecił Kyle przechodzącemu obok kelnerowi. Widząc jak rośnie rachunek za ten elegancki lunch, mógł mieć jedynie nadzieję, że miraż Davida nie rozplynie się na środku pustyni, ale doprowadzi go do jakiegoś złota.

– Od razu widać, że jesteś marynarzem, drogi chłopcze – zachichotał Rushby. – Odruchowe skojarzenia i tak dalej?

– Co dalej? – warknął Kyle, poirytowany swoją ewidentną skłonnością do wpadania w pułapki zastawiane przez własną naiwność.

Konwój Stollenberga był konwojem lądowym – kolumną pojazdów wojskowych. Ciężarówki,

Kyle, nie statki!

– W styczniu ostatniego roku wojny SS-Polizei-Panzer-Grenadier-Division została odwołana do kraju. Natychmiast wysłano ją, by broniła frontu wschodniego i niemal z marszu wzięła udział w ciężkich walkach na Pomorzu. W czasie, gdy zepchnięto ich do Gdańska, pułk Stollenberga został zdziesiątkowany.

Profesor z uznaniem pociągnął łyk brandy.

– Do tego momentu nasz bohater otrzymał już swoje liście laurowe Standartenführera. Było to, jak można przypuszczać, osiągnięcie niezbyt efektowne, skoro klęska była już przesądzona. Trzecia Rzesza rozsypywała się – alianci zbliżali się do bram stolicy, Hitler zmieniał się w rozhisteryzowanego, rozdygotanego szaleńca o zapadniętych oczach, który czepiał się niemożliwych mrzonek. Wszystkich ogarniała panika. Trzeba było ukryć resztki łupów.

– Łupów? – powtórzył Kyle, wyraźnie podniesiony na duchu. – Słynne „złoto nazistów”, o którym wciąż mówi... mówił David?

– Coś o wiele cenniejszego niż złoto, i niż rezerwy bankowe nazistów. Skarby zrabowane w okupowanych krajach, Kyle. Wspaniałe dzieła sztuki, drogocenne kamienie, papiery wartościowe, narkotyki, fałszywe i prawdziwe dolary, funty i franki szwajcarskie. Kolekcje znaczków, monet i porcelany warte dzisiaj miliardy. W czasie czterech lat wojny gromadzono je w berlińskich skarbcach centrali Reichsbanku i MSZ do chwili, gdy w sierpniu 1944 roku w hotelu Maison Rouge w Strasburgu odbyło się ściśle tajne spotkanie. Uczestniczyli w nim czołowi nazistowscy finansiści, przemysłowcy i partyjni bonzowie, a przewodniczył mu minister gospodarki i prezes Reichsbanku, doktor Walther Funk.

Niecałe dwa miesiące po D-Day. – Kyle domyślał się, co było później. Wyglądało na to, że nie tylko Stollenberg dysponował szklaną kulą.

– W wyniku tej narady, chociaż nikt nie odważył się w bezpośredni sposób wspomnieć o możliwości klęski, podjęto decyzję o przeniesieniu zasobów przechowywanych w stolicy. Oczywiście, w ramach działań zapobiegawczych. I tylko po to, aby, jeżeli zdarzy się to, o czym nie ośmielano się mówić, doprowadzić do odrodzenia jeszcze bardziej potwornej Czwartej Rzeszy, albo... – Rushby uśmiechnął się ironicznie – w najgorszym wypadku zapewnić niektórym nazistowskim prominentom możliwość prowadzenia życia w stylu, do jakiego przywykli.

– A więc szczury zaczęły sporządzać plany opuszczenia tonącego okrętu...

– Najpierw wymienialne zasoby o dużej wartości przemycono do neutralnych państw, takich jak Hiszpania, Portugalia, Turcja – no i oczywiście Szwajcaria. W tym samym czasie U-Booty, którym pospiesznie pozmieniano dyslokacje, skierowały się do brzegów nie biorących udziału w wojnie krajów Ameryki Południowej, wioząc miliardowej wartości ładunki sztab złota. Ale to wciąż nie wystarczało – zegar szedł zbyt szybko. W miarę jak zaciskała się aliancka sieć, narastało również napięcie. Aby zyskać na czasie, dwa dysponujące absolutnym pierwszeństwem przejazdu pociągi pancerne o kryptonimach „Dohle”, czyli kawka oraz „Adler” – orzeł – przewożyły tony skarbów do kryjówek znajdujących się na terenie samych Niemiec. W miejsca, które nawet wówczas uważano za nieprzystępne, ufortyfikowane rejony Alp Bawarskich i austriackiego Tyrolu – do tak zwanej Narodowej Reduty. Łupy ukryto na dnie jezior, pod podłogami szop, w szybach kopalni, na strychach budynków miejskich urzędów.

– A co ze Stollenbergiem? – Kyle łagodnie starał się skierować profesora na właściwy wątek



rozmowy. – Jaki związek z tym wszystkim miał Stollenberg?

– Wspaniała brandy, drogi chłopcze – oznajmił znacząco profesor. – Absolutnie wspaniała.

– Ma pan ochotę na jeszcze trochę? – zaproponował Kyle, sięgając po butelkę.

W ostatnim tygodniu marca 1945 roku – kontynuował Rushby – cała dywizja, w której walczył Stollenberg, zmieniła się w ledwo żywe, zszokowane niedobitki, wycofujące się na zachód z Gdańska. Wtedy właśnie Standartenführera Stollenberga wezwano do dowództwa i przekazano mu tajne instrukcje. Dostał godzinę na wybranie pięćdziesięciu doświadczonych ludzi – najtwardszych, najfanatyczniejszych esesmanów, jacy zdołali przeżyć. Następnie razem z żołnierzami przewieziono go samolotami do Berlina. Możemy się tylko domyśleć, jakie przeżywali emocje, gdy ich maszyny, przemykając się tuż nad ziemią, aby uniknąć myśliwskich patroli aliantów, zbliżały się do płonącej stolicy.

– Ja też się trochę emocjonuję – zwrócił uwagę Kyle, szybko tracąc opanowanie. Profesor zaczął oddawać się czasochłonnym dywagacjom, choć przed wypiciem brandy twierdził, że jest człowiekiem, którego interesują jedynie daty, miejsca i fakty. – Proszę, panie Rushby, czy nie moglibyśmy już przejść do samego konwoju?

– Z Tempelhof, samochód sztabowy przewiózł go bezpośrednio do bunkra Führera. W tym okresie była to już piekielna dziura, zamieszkała przez wychudzonych, pozbawionych nadziei troglodytów. Wyobraź to sobie, Kyle pokryte pleśnią betonowe ściany drżące od sowieckich bombardowań. Nawet awaryjne światła migotały i gasły. Zatęchłe piekło cuchnące moczem, środkami antyseptycznymi, gotowaną kapustą, potem i mdlącym odorem strachu.

– Nie muszę sobie wyobrażać. Ja tam byłem – oznajmił Kyle, wspominając zarejestrowany w Monrowii statek-trumnę. David namówił go, żeby wyświadczył przysługę staremu, dobremu Jaggersowi i się na niego zamustrował. Musi pamiętać, żeby po powrocie do domu odpowiedzieć na telefon Jagjivana Singha, wyświadczając tę uprzejmość w imieniu Davida.

– Stollenberga zaprowadzono pod eskortą do skarbcza znajdującego się w najgłębiej położonej części bunkra. Czekają tam na niego dwóch mężczyzn. Pierwszym był urzędnik, któremu powierzono ostateczną ewakuację rezerw – najbliższy współpracownik ministra gospodarki Funka, dyrektor Reichsbanku Hans Alfred von Rosenberg-Lipinski. Drugim był Reichsleiter Martin Bormann.

– Osobisty sekretarz Hitlera?

Rushby skinął głową.

– Spotkanie było krótkie. Ani Bormann, ani Rosenberg-Lipinski nie mieli zamiaru pozostawać tam dłużej. Żadnego z nich nie znaleziono w bunkrze Führera, gdy miesiąc później, drugiego maja 1945 roku, Berlin padł.

Tym razem to Kyle błysnął cynizmem.

– Ale przynajmniej Stollenberg zrealizował swoje ambicje. Stał przed obliczem najwyższych postawionych osób w Trzeciej Rzeszy.

– Nie tylko ich.

– Czy w skarbcu był ktoś jeszcze?

– Coś jeszcze, Kyle. Coś nieożywionego, ale posiadającego niezwykle zniewalające spojrzenie. Rzecz, dzieło idealne. Zapewne najwspanialszy przedmiot stworzony ręką człowieka, jaki Standartenführer Manfred Stollenberg kiedykolwiek widział.

Gdy Kyle wrócił do domu, o konwoju Stollenberga wiedział już wszystko. Znał całą związaną

z nim legendę – albo raczej to, co kiedykolwiek będzie na ten temat wiadomo. Tak przynajmniej twierdził Rushby, którego Kyle ostatecznie wsadził do taksówki, nie chcąc narażać chwiejącego się i zataczającego starszego pana na spotkanie z panem Smithem. Na przykład na peronie stacji metra.

Kyle nie czuł jednak euforii, jakiej można się było spodziewać, chociaż odniósł tego dnia wielki sukces. Podłany dużą ilością wypitej brandy.

Działo się tak, ponieważ David nie żył i nic nie było w stanie tego zmienić. Martwy był również były komandos Ted Williamson. A także piękna kobieta o lśniących czarnych włosach i pełnej nienawiści przeszłości, która w niewytłumaczalny sposób znalazła swój kres w jego szafie. I być może nawet fotoreporter wojenny Lightwood, prawdopodobnie zamordowany przez swoich w czasie tej straszliwej wojny toczony pięćdziesiąt lat temu. Teraz jego jedyne, pożegnalne dzieło stało oparte o ścianę kuchni, rzucając wyzwanie swoim gruboziarnistym obrazem.

Kyle nie czuł też euforii, ponieważ... no cóż, ponieważ nie był wcale bliżej rozwiązania tajemnicy. Udało mu się tylko zrozumieć tę egipską aluzję. Wiedział już, o co tu chodziło. Ale poza tym nie dowiedział się o Manfredzie Stollenbergu niczego, co od wielu lat nie było powszechnie znane. Wciąż nie orientował się kim był Hackmann, ani też kim był Rosjanin. Nie był w stanie nawet sobie wyobrazić, jak ktoś przebywający w Norwegii może pasować do tej przedziwnej układanki. Nie próbował się też domyśleć, dlaczego David uważał, że musi zaaranżować coś, ale nie wiadomo co, oczekując na jego, Kyle'a, powrót z rejsu... A na domiar złego wciąż nie znalazł odkurzacza Davida!

Dręczyło go jeszcze to obsesyjne myślenie o Kotach z Cheshire... nie, nie o tych cholernych kotach! – to tylko brandy wyprawiała z nim dziwne rzeczy – ale o byłym podoficerze piechoty morskiej Lewisie, synu sąsiadów Williamsonów. Dlaczego facet, którego widział tylko przelotnie, zajął tak znaczące miejsce w jego podświadomości? Czy to sposób, w jaki Lewis okazał swoje niezadowolenie z wizyty, którą Kyle złożył wdowie po Tedzie wywołał te rojenia przeżywane ubiegłej nocy przed zaśnięciem? I dlaczego nieprecyzyjny rysopis pana Smitha przedstawiony przez Lisę, niebezpiecznie chętną do pomocy pracownicę Imperial War Museum, natychmiast wywołał kolejne skojarzenia z Lewisem?

No dobra. Odłóżmy na chwilę kwestię Johna Lewisa. A co z najbardziej oczywistym kandydatem – samym Stollenbergiem? Standartenführer wciąż był kluczową postacią – w końcu to jego cholerny mit uruchomił łańcuch pozornie nie powiązanych ze sobą zabójstw. Czy miał rodzinę... dzieci? Może przekazał tajemnicę jako swego rodzaju spadku? Spadek Stollenberga?

Znowu domysły, wciąż te cholerne domysły.

Kyle poddał się, gdy podsycane brandy przypuszczenia ustąpiły miejsca nasilającej się depresji. Jutro odbędzie się pogrzeb Davida. Wiedział, że się popłacze. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył jak płacze.

Idąc do saloniku z kubkiem ekstra mocnej kawy, zobaczył mrugające czerwone oko automatycznej sekretarki. Wywołała w nim tęskne wspomnienie boi znajdującej się gdzieś na kanale żeglugowym... gdziekolwiek – najlepiej po drugiej stronie oceanu. Czerwony rozbłysk, pauza, czerwony rozbłysk, pauza. Cholera, znowu zapomniał zadzwonić do Jagjivana Singha. Teraz było już za późno, ale jutro wieczorem na pewno to zrobi... chyba że stary, dobry Jagers pojawi się na pogrzebie i telefon będzie zbędny. Kyle nie sądził jednak, że go tam zobaczy. Pogrzeby przynosiły niewiele zysków, chyba że były to pogrzeby marynarzy, którzy wypłynęli na pokładzie zbyt wysoko ubezpieczonych statków-trumien, będących własnością ludzi takich jak Singh.

Informację zostawił Cox. Starszy inspektor detektyw Cox z Wydziału Specjalnego.

– Kyle? Chciałem zaspokoić pańskie zrozumiałe zainteresowanie przeszłością Inadi. Chodzi o jej kochanka – terrorystę z „Entsagung”, którego kilka lat temu załatwiło GsG9. Sprawdziłem w aktach. Ten młody człowiek nazywał się...

Kyle trzykrotnie odtworzył ten fragment taśmy. Po prostu, żeby upewnić się, że dobrze usłyszał to imię.

– Stollenberg – poinformował go zawodowo ochrypnięty głos Coksa. Günther Stollenberg!

Niebo pomogło Kyle'owi. Płakało w jego imieniu, aby oszczędzić mu zakłopotania. Mnóstwo zastępczych łez spadało z chmur o barwie równie ponurej, co niemiecka kurtka mundurowa.

Nie płakał, ponieważ postanowił, że tego nie zrobi. Spotkanie Davida było najlepszą rzeczą, jaka spotkała go w życiu i musieli wspólnie to uczcić – on i duch chłopaka, który był jego bratem, naukowca w okularach, który później stał się mu bliski jak ojciec.

W kaplicy cmentarnej była zaledwie garstka żałobników i Kyle znał tylko dwóch z nich. Był tam profesor Rushby, występując raczej jako były kolega McDonalda, niż jego bliski znajomy. Stał w grupce, która najwyraźniej składała się z kolegów-badaczy, z którymi David współpracował. Profesor sprawiał wrażenie nieco zmęczonego i zachowywał się zdecydowanie mniej energicznie niż poprzedniego dnia. Przechodząc koło Kyle'a pochylił jedynie głowę w kondolencyjnym ukłonie i wycofał się dyskretnie. Tak pewnie było lepiej. Gdyby Rushby zatrzymał się dłużej, Kyle, pod wpływem zupełnie idiotycznego odruchu, mógłby uznać, że powinien natychmiast zapytać go tu i teraz, czy Stollenberg miał syna o imieniu Günther. A potem żałowałby, że pozwolił, aby śmierć terrorysty rzuciła cień na ten tak bardzo szczególny dla Davida moment.

Był tam również inspektor Cox. Ale razem ze swoim towarzyszem, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać policjanta w cywilu, trzymali się z boku. Najwyraźniej przyszli, aby zobaczyć, czy nie pojawił się pan Smith. Nie, to przecież niemożliwe! Nie wiedzą przecież o panu Smith'cie ani o tym, że David nie popełnił samobójstwa, ale został zamordowany. Policja nie miała też pojęcia o Stollenbergu. Prawdę mówiąc dlatego, że on Kyle – ukrył dowody rzeczowe o być może podstawowym znaczeniu, inspektor Cox pozostał za nim pół wieku z tyłu. Wciąż zmagał się z trupem w szafie, nie zaś z wypadkiem w metrze i jego obecność na pogrzebie Davida wskazywała, że oficer Wydziału Specjalnego nie wyszedł daleko poza swoje wstępne teoretyczne założenia odnośnie osoby zabójcy Wandy.

Zgodnie z przewidywaniami, Jagjivan Singh się nie pojawił. Kyle czuł się z tego powodu nieco winny, pomimo inspirowanego brandy rozgoryczenia, jakie czuł poprzedniego wieczoru. Prawdę mówiąc, ponieważ Kyle z powodu cholernej, ewidentnej niechęci do przeprowadzenia z nim rozmowy, zwlekał ze skontaktowaniem się z nim, ten mały palant być może wcale nie wiedział o śmierci Davida. To naprawdę było możliwe.

Było też kilka osób, których Kyle nie rozpoznał. Czterech czy pięciu mężczyzn w czarnych krawatach, trzymających się poza obrębem gromadki historyków, mogło być albo zwykłymi znajomymi albo, jak przypuszczał Kyle, jakimiś usługodawcami, którzy składali ostatni hołd klientowi, którego bardzo im teraz będzie brakować. Mając w pamięci niezapłacony rachunek, Kyle nie przypuszczał, by któryś z nich reprezentował firmę British Gas, ale może jeden z nich wciąż był w posiadaniu odkurzacza McDonalda?

W ceremonii uczestniczyły również trzy niebrzydkie młode kobiety, które, trochę skrepowane, stały daleko jedna od drugiej. Może ich znajomość z Davidem miała jakiś bardziej romansowy charakter? Chociaż wszystkie miały zażawione oczy, żadna z nich nie łkała, więc Kyle nie przypuszczał, aby któryś z tych romansów miał stały charakter. Nikt tu nie wyglądał na Rosjanina i Kyle do nikogo nie podszedł. Nie chciał z nikim rozmawiać. To była jego osobista chwila. Chwila,

którą w całości poświęcał Davidowi.

Ale nie do końca. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Modlił się za duszę Davida i jednocześnie rozpaczliwie próbował zaakceptować fakt śmierci przyjaciela i poczuć wdzięczność za wspólnie przeżyte lata. Wciąż jednak w jego myślach pojawiało się widmo Manfreda Stollenberga.

– Coś jeszcze, Kyle – oznajmił profesor Rushby, mówiąc o obiekcie, który zaprzętał myśli trzech zdesperowanych mężczyzn, znajdujących się w zapleśniałym skarbcu bunkra Führera. – Coś nieożywionego, ale posiadającego niezwykle zniewalające spojrzenie. Rzecz, dzieło idealne. Zapewne najwspanialszy przedmiot stworzony ręką człowieka, jaki Standartenführer Manfred Stollenberg kiedykolwiek widział.

– Ten przedmiot – Kyle usłyszał siebie, jak szepcze z niemal dziecięcą fascynacją. Uznał, że zaraz dowie się, dlaczego zginął David McDonald. Co to było, Rushby?

Profesor nie był jednak skory do pośpiechu. Nie tylko entuzjasmował się tym tematem, ale również pozostała mu jeszcze dobra jedna trzecia butelki brandy. – Aby zrozumieć mit, Kyle, musisz najpierw docenić historię, która go zrodziła. Musisz zrozumieć znaczenie incydentu z Kaiseroda.

– O, kur.....! Nie, nie, najmocniej przepraszam! Przepraszam, panie Rushby. Proszę mi opowiedzieć o tym incydencie. – Poddał się z rezygnacją Kyle. – Nie zapominając oczywiście o datach, faktach i różnych takich.

Ale ta wyraźna ironia nie dotarła do jego rozmówcy. A może jednak? Kyle nie był do końca pewien, czy przypadkiem w oczach profesora nie mignęła złośliwa iskierka.

– Rankiem szóstego marca 1945 roku – nie tracąc kontenansu, określił precyzyjnie profesor – dwóch amerykańskich żandarmów, starsi szeregowcy Anthony Kline i Clude Harmon, patrolowali niemiecką wioskę Merkers, położoną jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Mulhausen w Turynii. Gdy dojechali dżipem do końca patrolowanego odcinka, zobaczyli dwie młode kobiety odpoczywające na skraju drogi, przy czym jedna z nich była ciężarna.

O kurwa, ta historia będzie się ciągnęła dłużej niż cała wojna, pomyślał Kyle i z determinacją sięgnął po butelkę.

– Młode kobiety okazały się francuskimi robotnicami przymusowymi i żandarmi podwieźli je do wioski. Po drodze minęli wejście do starej kopalni soli potasowej – kopalni Kaiseroda.

Rushby zrobił pauzę, aby spotęgować efekt dramatyczny. I napełnić kieliszek.

– Przypadkowa uwaga zrobiona przez jedną z kobiet spowodowała, że wszystkie pięć wejść do podziemnych wyrobisk zostało zablokowanych przez około siedmiuset żołnierzy z 357 Pułku piechoty Stanów Zjednoczonych, wspieranych przez czołgi 812 Batalionu Czołgów. Następnego dnia do kopalni Kaiseroda weszli wyżsi oficerowie z dowództwa 90 Dywizji. Przed nimi podążała kompania saperów, poszukująca min oraz niemieccy urzędnicy z kopalni.

– Przepraszam, panie Rushby, ale proszę posłuchać – Kyle poczuł, że musi przerwać swojemu rozmówcy. – Według pana, nasz Stollenberg w tym momencie walczył z Rosjanami w północnej Polsce. Nawet jeszcze nie dotarł do bunkra Führera. Jak więc to możliwe...

– Wszystko w swoim czasie, drogi chłopcze. Zrozumiesz wszystko we właściwym momencie. Ostatecznie Amerykanów zwieziono wzbudzającą niewielkie zaufanie windą do miejsca znajdującego się prawie kilometr pod ziemią. Gdy drzwi się otworzyły, przybysze ujrzeli krótki tunel. Wzdłuż całej jego długości leżały zwalone w nieporządkach stosy worki z banknotami o wysokich nominałach, jak się później okazało, na ogólną sumę niemal miliarda reichsmarek. Tunel zamykały stalowe drzwi, osadzone w metrowej grubości ścianie z cegieł. Saperzy wysadzili ją

w powietrze.

Upór profesora się opłacił. Przynajmniej przez chwilę opowieść zainteresowała Kyle'a.

– Uzyskali dostęp do ponad pięćdziesięciu kilometrów ciągnących się dalej tuneli, łączących wielkie sklepienie galerie wykute w soli kamiennej. W komorach tych zmagazynowano wiele skarbów zagrabionych w okupowanych krajach – i to zmagazynowano w wielkim pośpiechu. Obrazy Rembrandta, Van Dycka, Tycjana, Renoira stały w kilku warstwach jak zwykle arkusze blachy, oparte o błyszczące białą ściany. Tysiące bezcennych książek, w tym również kolekcje Goethego z Weimaru, leżały w koszach niczym puszki pokarmu dla kotów w hipermarkecie. Góry złotych monet w workach. Piramidy sztab złota. Bele – nie jakieś tam skrzynki, Kyle – dolarów i funtów szterlingów, całe wagony akt niemieckiego naczelnego dowództwa rozsypane na walizkach wypchanych okularami, zegarkami, biżuterią i złotymi zębami wyrwanymi ludziom zamordowanym w obozach koncentracyjnych.

– Do rzeczy – upomniał go Kyle, przypominając sobie nagle, dlaczego wciąż jeszcze rozmawiają w pustej sali restauracji. – Musimy przejść do momentu, w którym w całej tej sprawie pojawia się Stollenberg, profesorze.

– Rzecz w tym, mój drogi chłopcze, że wśród łupów o wielomiliardowej wartości wydobytych przez aliantów z kopalni w Kaiseroda, jeden przedmiot wyróżniał się szczególnie.

Rushby rozparł się wygodnie i patrzył, jak Kyle reaguje na zastawioną pułapkę.

– Był to pojedynczy przedmiot, Kyle – dzieło idealne. Zapewne najwspanialszy przedmiot stworzony ręką człowieka, jaki amerykańscy oficerowie kiedykolwiek widzieli.

Kyle gapił się na profesora przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie odzyskał głos.

– Ale przecież... przecież już pan użył tego zwrotu. Zaledwie kilka minut temu. Sądziłem wtedy, że mówi pan o wizycie Stollenberga z bunkrze Führera.

– Owszem.

Jakiego więc szczegółu nie zauważył? Kyle, marszcząc brwi, wpatrywał się uparcie w niemal pustą butelkę brandy. To był doskonały rocznik. Bardzo mocny. Ale nie aż tak bardzo. Wciąż był w stanie dostrzec tę najwyraźniej zamierzoną nieścisłość w opowieści profesora.

– Czy nie moglibyśmy dać na chwilę całą wstecz? – zaproponował ostrożnie. – Starannie dobiera pan słowa, prawda, panie Rushby? Użył pan dokładnie tego samego zdania, zarówno w odniesieniu do wydarzenia, które miało miejsce siódmego kwietnia na jakimś turyńskim zadupiu, które nazywało się Merkers i prawie identycznego – nie, dokładnie takiego samego wydarzenia, jeżeli mam wziąć pańską wypowiedź za dobrą monetę – jakie miało miejsce dopiero w następnym miesiącu. W Berlinie!

Rushby zachichotał sympatycznie.

– Pytał mnie pan o genezę mitu, Kyle. O łamigłówkę, którą większość historyków drugiej wojny światowej odłożyło do lamusa, ale którą nasz wspólny przyjaciel McDonald wciąż usiłował rozwiązać. Powtórzę jeszcze raz, Kyle – mitu. Niech pan raz na zawsze zapamięta – „Mitu Stollenberga”!

– Mam wrażenie – mruknął Kyle – że powinien pan nieco rozwinąć tę kwestię. Czym było to wyjątkowe dzieło rak ludzkich?

– Posążkiem. Liczącą sobie trzy tysiące lat statuetką o wysokości około trzydziestu centymetrów i wykonaną z najczystszej egipskiej złota.

Pomimo narastającej dezorientacji, Kyle poczuł nagły przypływ podniecenia. Egipt? Egiptolodzy! Czyżby był to pierwszy, początkowy fragment układanki?

– Co przedstawiał posążek?

– Była to podobizna królowej Nefretete, żony faraona Echnatona, który władał Egiptem czternaście wieków przed narodzeniem Chrystusa.

Kyle z powątpiewaniem analizował uzyskaną informację. Niewątpliwie był to cenny obiekt, ale czy miał aż tak wielką wartość, by David ryzykował z jego powodu życie? Jeżeli rzeczywiście usiłował odnaleźć właśnie ten posążek. Rushby wyczuł jego niepewność.

– Przed drugą wojną światową Nefretete była najważniejszym skarbem narodowym Niemiec – najcenniejszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek nabyło berlińskie Reichsmuseum. Bezcennym. Absolutnie bezcennym.

– Znowu do cholery pan zaczyna, Rushby! – wrzasnął Kyle, a jego podniesiony głos obudził niepokój ostatniego kelnera, drzemiącego w drugim końcu sali. – Znowu tak powiedziałeś! Pojedynczym, najcenniejszym przedmiotem! A przecież przed chwilą wyraźnie sugerowałeś, że były dwa. Jeden gdzieś w Turynii, a... a drugi, miesiąc później. W Reichsmuseum!

– Bunkrze Führera.

– No to w bunkrze Führera!

– Dokładnie.

– Wiedziałem, że to też pan powie – poddał się Kyle.

Profesor Rushby zerknął wyczekująco na butelkę. Na dnie pozostało jeszcze dobre osiem centymetrów brandy.

Nalewając, Kyle mocno zaciskał dłoń na szyjce.

– Założmy, Kyle, że jakieś dwadzieścia lat przed wojną, niemieccy archeolodzy odkryli w grobowcu Echnatona niejedną, ale dwie statuetki Nefretete – zaproponował Rushby.

– Rzeczywiście były tam?

– W latach dwudziestych takie właśnie pogłoski krążyły pomiędzy egiptologami. Utrzymywały się aż do września 1939 roku, kiedy napaść Hitlera na Polskę rozpoczęła najstraszliwszą wojnę w dziejach, w czasie której spór, który groził przerodzeniem się w poważny międzynarodowy incydent archeologiczny stracił znaczenie.

– Wciąż mówi pan o pogłoskach.

– Niech pan pamięta, Kyle, o słowie-kluczu. Mit! Alegoria, przenośnia, delikatna linia pomiędzy faktem a fikcją tak bardzo rozmyta, że staje się niedostrzegalna do tego stopnia, iż nawet najbardziej doświadczony historyk nie jest w stanie ustalić, gdzie kończy się rzeczywistość, a rozpoczyna się utkana przez czas fantazja.

– Ale ja wciąż nie rozumiem, panie Rushby – zaprotestował błagalnym głosem Kyle – skąd ta niepewność. Skoro w Egipcie odnaleziono dwie figurki, to czemu nie wyeksponowano ich obu w Berlinie, czy gdziekolwiek indziej i nie utłukli tego mitu, zanim w ogóle powstał? Skoro jedna była bezcenna, to przypuszczam, że para byłaby... – Kyle trochę się w tym momencie zaplątał. – No cóż, jak przypuszczam, dwa razy bardziej bezcenna. Zakończył dość niejasno.

– Nie mogli podejmować takiego ryzyka. Według osób, które wciąż wierzą w istnienie drugiego złotego posążka, o ile pierwsza Nefretete została nabyta legalnie dla narodu niemieckiego, drugą zabrano z grobowca Echnatona nielegalnie. Przeszmuglowano z Aleksandrii na pokładzie trampa płynącego do Hamburga.

– Po co ją przemycano? – wzruszył ramionami Kyle. – Dlaczego nie przewieziono jej do kraju na pokładzie kanonierki Kriegsmarine przy akompaniamencie orkiestry dętej grającej bawarskie marsze, na oczach przedstawicieli światowej prasy? W końcu nawet w latach dwudziestych Niemcy raczej

nie byli wiotkimi liliami wzdragającymi się przed użyciem siły wobec słabszych państw.

– Ponieważ w tym dziesięcioleciu zaczęto nasilać ograniczenia w międzynarodowym przemieszczaniu dzieł sztuki. Król Egiptu Ahmed Fuad, słusznie oburzony dokonywanymi w ubiegłych stuleciach rabunkami grobów jego królewskich przodków, zaczął demonstrować swoją gospodarczą siłę, jaką zapewniał mu Kanał Sueski. Zagroził nawet, że zignoruje porozumienia traktatowe i zamknie kanał dla statków pływających pod banderą państw, które dalej będą uprawiały ten wandalizm. Wtedy rząd Republiki Weimarskiej nie miał wyboru i musiał zakazać wystawiania drugiej Nefretete w obawie przed wywołaniem tak ostrych sankcji handlowych.

– A potem, gdy Hitler doszedł do władzy – myślał głośno Kyle – również w jego interesie nie leżało wywoływanie takiej gospodarczej awantury. Mógł uznać za właściwe by druga Nefretete...

– Rzekoma druga Nefretete.

– ...funkcjonowała na granicy faktu i fikcji, przez kilka następnych lat, aż formowanie jego marynarki wojennej dobiegnie końca i będzie można rozpocząć blitzkrieg. Wiedział, że nie trzeba będzie długo czekać.

– Bardzo dobrze, drogi chłopcze. Tak więc, jeżeli w rzeczywistości istniał drugi posążek, najprawdopodobniej ukrywano by go w ściśle tajnym skarbcu pod Reichsmuseum do momentu, gdy aliancka ofensywa bombowa przeciwko Berlinowi nabrała rozmachu. Wtedy potajemnie przeniesiono by go do jeszcze bardziej odpornego na bomby schronu w bunkrze Führera.

– Gdzie dowiedział się o nim Stollenberg.

– Jeżeli przypuszczenie jest słuszne, to owszem wzruszył ramionami Rushby. – Ale ponownie chcę podkreślić, że to jedynie przypuszczenie, Kyle. Żaden z ocalałych inwentarzy niemieckich narodowych zbiorów sztuki ani nie potwierdził ani nie wykluczył możliwości istnienia drugiej Nefretete. Nie wspomina o niej również żaden odnaleziony do tej pory dokument. Spośród tych kilku nazistowskich prominentów, którzy mogli widzieć na własne oczy drugi posążek, żaden się do tego nie przyznał. Nawet w czasie procesów przestępców wojennych, kiedy bardzo poważnie musieli zastanawiać się nad zawarciem jakiegoś porozumienia, które pomogło by im uniknąć katowskiego stryczka.

Niektórzy go jednak widzieli. Na przykład sekretarz Hitlera, Martin Bormann. I dyrektor Reichsbanku Alfred von Rosenberg-Lipinski oraz SS-Standartenführer Manfred Stollenberg. Kyle czuł, wiedział, że pomimo całego sceptycyzmu profesora, druga Nefretete rzeczywiście istniała. Ale w tej kwestii miał nad Rushbym przewagę, podobnie jak miał ją nad Coksem i Wydziałem Specjalnym. Przecież David w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej był zbyt podniecony, zbyt pewny siebie, jak na człowieka, żywiącego jakieś wątpliwości związane ze swoją pogonią za mirażem.

Poczuł wyraźne mrowienie w karku. W coraz większym stopniu zaczął zdawać sobie sprawę, że niesamowite wydarzenia ostatnich dni dowodzą, iż nie jest osamotniony w swoim przekonaniu. Wygląda na to, że wiarę w badawcze talenty najbliższego przyjaciela podziela ktoś jeszcze. Osobnik, który zabił Davida i przynajmniej dwoje innych ludzi tylko po to, aby z wciąż jeszcze nieznanymi powodami, upewnić się, że Mit Stollenberga w dalszym ciągu pozostanie mitem.

Uczucie chłodu minęło, a prawdopodobne niebezpieczeństwo tylko podsycało determinację Kyle'a.

– Proszę mi powiedzieć o konwoju Stollenberga, profesorze. I w ogóle, ni cholery mnie nie obchodzi, do jakiego stopnia jest on zdaniem ekspertów mityczny.

Rushby uśmiechnął się.

Och, sam konwój jest całkowicie realny, Kyle. Podobnie jak spotkanie Stollenberga



z Bormannem i Rosenbergiem-Lipinskim, które miało miejsce dwa dni przed kapitulacją Berlina. W tym przypadku daty całkowicie się zgadzają. Na pewno poczuje pan ulgę, dowiadując się, że potwierdzają te fakty zarówno dzienniki znalezione w ostatniej kryjówce Hitlera, jak również meldunki naocznych świadków informujące o trasie podróży kolumny Stollenberga.

– Podróży dokąd?

– Najpierw na północ, a potem na zachód, w kierunku wybrzeża Morza Śródziemnego. Okrężna droga, dzięki której konwój miał przez cały czas poruszać się za ostatnimi liniami obronnymi Niemców.

– O którą część wybrzeża chodziło?

– O Bremę? Nie. O Bremerhaven. Czy ma to jakieś znaczenie?

Miało. Bremerhaven. Stocznia w Bremerhaven...

– Tak, do portu w Bremerhaven. U ujścia Wezery.

Kyle wiedział, gdzie znajduje się Bremerhaven. Często rozładowywał tam statki. A poza tym znał je z wielkiego, ziarnistego zdjęcia opartego o ścianę w jego kuchni.

– Rozkazy otrzymane przez SS-Standartenführera Stollenberga od Bormana były zupełnie proste – i z wojskowego punktu widzenia miały tylko jeden mankament.

Rushby wzruszył lekko ramionami. Dla czcigodnego historyka mordercze bitwy z przeszłości były abstrakcyjnymi danymi zamieszczonymi na papierze. Nie dręczyły go obrazy poszarpanych ciał, oderwanych kończyn czy oślepionych, wypatroszonych ludzi.

– Uwzględniając koszarne warunki panujące na szlakach ewakuacyjnych w północnych Niemczech, jego zadanie było, praktycznie rzecz biorąc, niewykonalne.

Rushby wkrótce zaczął tracić nieco kontrolę nad swoją relacją. Ostatnia porcja brandy uruchomiła jego wcześniejsze zainteresowania sprawami bardziej technicznymi i mniej istotnymi dla poszukiwań Kyle'a. Samemu Kyle'owi również zaczynało się już kręcić w głowie, gdy pojawiła się druga brygada kelnerów i zaczęła przygotowywać stoliki do kolacji. Niewiele dzieliło ich od momentu, w którym z pięciogwiazdkową uprzejmością zostaną poproszeni, aby albo sobie poszli, albo poprosili o wieczorne menu.

– Wiemy już, że Standartenführer Stollenberg wziął ze sobą pięćdziesięciu najtwardszych, najbardziej doświadczonych weteranów z Polizei-Panzer-Grenadier. Każdy z nich nadal był wierny esesowskiej przysiędze krwi, zgodnie z którą gotów był służyć swojemu Führerowi aż do śmierci.

– Być może nawet po niej – mruknął Kyle.

– Słucham?

– Nieważne – szybko wycofał się Kyle. – Proszę mi powiedzieć o samym konwoju.

– Składał się z dziewięciu pojazdów. Siedem dużych ciężarówek eskortowanych przez dwa pancerne wozy rozpoznawcze „Puma”. – Profesor zamrugał jak sowa i rozpromienił się nagle. – Może zechce pan zwrócić uwagę, Kyle, że ośmiokołowe „Pumy” były najciekawszym wariantem takich wozów, a zwłaszcza te dwa modele SdKfz 2-3-4/3, jakie znajdowały się pod dowództwem Stollenberga.

– Po co siedem ciężarówek? – Kyle pospiesznie sprowadził profesorski bryg na poprzedni kurs. – Nefretete miała trzydzieści centymetrów wysokości. Stollenberg mógłby ją przewieźć w plecaku.

– Ponieważ, drogi chłopcze, złota statuetka nie była jedynym skarbem, który na dwa dni przed Götterdämmerung znajdował się w bunkrze Führera. Kolumna Stollenberga otrzymała zadanie ewakuowania wszystkiego, co byłoby niezbędne do późniejszego odrodzenia Niemiec. Na przykład precyzyjnie sfalszowanych matryc banknotów, dzięki którym emigracyjne Naczelne Dowództwo

Czwartej Rzeszy byłoby w stanie produkować dowolne ilości najważniejszych walut świata. Wieziono podlegające wymianie weimarskie i weszalskie obligacje na okaziciela o wartości milionów dolarów. Akta i rysunki techniczne z Biura Patentowego Rzeszy. Tajne dokumenty związane z opracowywaniem przyszłych tajnych broni w tym również – Rushby ponownie przeszedł do informacji szczegółowych – w tym również, Kyle, ostateczne wersje rysunków technicznych rewolucyjnego w owym czasie przeciwlotniczego pocisku raketowego Rheintochter wzór nr 3, opracowanego przez doktora Konrada z biura projektowego Messerschmita. Niezwykle ciekawa koncepcja, zdolna do...

– Dlaczego? – naciskał Kyle, rozpaczliwie pragnąc pokonać ostatni płotek.

Profesor robił wrażenie zdziwionego.

– Dlaczego? No cóż, ponieważ nawet Hitler, pogrążający się coraz bardziej w swojej megalomanii uważał, że broń kolejnej generacji, taka jak Rheintochter może zmienić bieg wojny.

– Chodziło mi o to, dlaczego Bremerhaven? Dlaczego Stollenberg otrzymał rozkaz odbycia podróży, który sam pan określił jako niemożliwy do wykonania?

– Ponieważ to była ostatnia, desperacka rozgrywka. I z powodu U-Boota.

– Jakiego znowu U-Boota?

– U-536. Oceaniczny okręt podwodny typ VII-C, dowodzony przez Ottona Erharda. Odwołano go z morza, aby spotkał się ze Stollenbergiem, a następnie, natychmiast po przeniesieniu na jego pokład ładunku z samochodów, wyruszył do Argentyny.

– Ale tak się nie stało. Jest pan tego pewien?

– Okręt Kapitan-Leutnanta Erharda nie dotarł do Niemiec. Został zaatakowany bombami głębinowymi i zatopiony z całą załogą nieopodal Wysp Fryzyjskich przez Catalinę z 341 Dywizjonu Morskiego.

W tym momencie Rushby ze zniecierpliwieniem zmienił temat, znowu próbując wrócić do tego, co interesowało go najbardziej.

– Proszę posłuchać, Kyle, wybiegł pan za daleko do przodu. Żaden poważny badacz nie ma prawa lekceważyć najdrobniejszych szczegółów, bez względu na to, jak pozornie wydają się błahe i nieistotne. Koniecznie powinien pan zrozumieć wszystko, co wiąże się z tym, co przewoziła ta kolumna. Zwłaszcza tajemnica otaczająca ładunek Stoff-381 może okazać się wyjątkowo istotna.

– Stoff-381? – powtórzył niepewnie Kyle. Miał już na karku wystarczająco dużo tajemnic do rozwikłania. – Co to, na litość boską, było?

– Ach, to dopiero jest tajemnica, mój chłopcze! – oznajmił Rushby z zadowoloną miną. – Żaden z moich kolegów nie wie o tym nic, poza faktem, że jest to zakodowana nazwa. Możemy jedynie domyślać się, że Stoff-381 był albo pochodną, albo udoskonaleniem substancji znanej jako Stoff-146, którą w wielkich ilościach produkowały niemieckie zakłady chemiczne Dyhrenfurth.

– W takim razie, profesorze – warknął Kyle, z trudem zachowując spokój – czym był ten Stoff-146?

– Początkowo? Och, zwykłym proszkiem do prania, Kyle. Całkowicie nieszkodliwym. W istocie, przed wojną Stoff-146 był jednym z najlepszych wyrobów chemicznych przeznaczonych dla gospodarstwa domowego. Reklamowano go jako najpopularniejszy niemiecki detergent.

Maitre d'hotel zaczął raz za razem spoglądać z dezaprobatą najpierw w ich stronę, a potem znacząco przenosił wzrok na zegarek. Poza tym Kyle czuł, że jego cierpliwość powoli się wyczerpuje. Zaczął dobierać starannie słowa. Bardzo starannie.

– Czy twierdzi pan poważnie, profesorze, że dokładnie w tygodniu, w którym Trzecia Rzesza konała w konwulsjach, do kwatery głównej Hitlera przewieziono drogą powietrzną pułkownika SS

i polecono mu objąć dowództwo nad kolumną ciężarówek eskortowaną przez wozy pancerne, rozpaczliwie potrzebne do obrony samego bunkra Führera? A następnie wyruszyć do praktycznie nieosiągalnego punktu przeznaczenia w nadziei, że spotka się tam z U-Bootem, który równie dobrze mógł zostać zatopiony przed dotarciem do portu? I że wszystko to zrobiono po to, żeby dostarczyć do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi południowoamerykańskiego zadupia ładunek... proszku do prania, dzięki któremu otrzymywało się bielszy odcień bieli?

– Troszkę pan przesadza, Kyle – upomniał go z alkoholowym zadowoleniem Rushby. – Rzekomo pod pieczę Stollenberga znalazł się jedynie mały pojemnik z tą substancją. I jak już wspomniałem, nazwa Stoff-381 była niewątpliwie kryptonimem...

– Nie obchodzi mnie, co, do cholery, pan powiedział! – Kyle nabrał głęboko powietrza w płuca i opanował się. – Nie dbam o to, czym był Stoff-146 ani nawet Stoff-381. Nie obchodzi mnie, ile tego było. Mam w nosie całą pozostałą zawartość konwoju, profesorze Rushby. Interesuje mnie jedynie – powtarzam jedynie – sprawa kontynuowania prowadzonych przez Davida McDonalda badań dotyczących miejsca, w którym znajduje się druga Nefretete!

– Ale dopóki nie zda pan sobie sprawy, czym były zakłady w Dyhrenfurth...

– Proszę o rachunek! – oznajmił zdecydowanym głosem Kyle.

Wtedy jeszcze nie wiedział i jeszcze przez dłuższy czas miał nie zdawać sobie z tego sprawy, że uznając tę sprawę za nieistotną i nie chcąc słuchać o tajemnicy otaczającej Stoff-381, Kyle popełnił właśnie największy błąd w swoim coraz bardziej niebezpiecznym życiu.

Ceremonia przy grobie nie trwała długo – David nigdy nie był szczególnie towarzyskim facetem. Kilka bukietów kwiatów, krople deszczu połyskujące jak łzy pomiędzy płatkami, duży wieniec od Kyle'a i dwa mniejsze wianki. Wszyscy już poszli, on jednak dalej stał z pochyloną głową i... no cóż, jeżeli jego ramiona drgały niekiedy, była to jego prywatna sprawa. Tajemnica, jaką dzielił jedynie z Davidem.

W końcu odwrócił się, nie mogąc zdobyć się na zerwanie tej niewypowiedzianej smutnej więzi z przyjacielem. Nagle zawahał się. Wydawało mu się, że będzie przejawem niewdzięczności, jeżeli nikt, nawet on nie zainteresuje się przekazanymi przez innych ludzi wyrazami współczucia i chociaż pobieżnie nie zapozna się z ich ostatnimi pożegnaniami.

Mrugając gwałtownie, zdołał bez trudu przeczytać kartkę na pierwszym wianku: Od przyjaciół i kolegów, którzy wraz z Tobą kroczyli ścieżkami Wojowników.

Do plastikowej kopertki z drugą kartką dostała się woda. Kyle musiał pochylić się, by ją otworzyć. Atrament już zaczął się rozplýwać.

Doktorze Davidzie. Następstwo dnia dzisiejszego przecina wszystko, co ten świat w pamięci swej chowa. Z głębokim szacunkiem.

– Wiem, że to trochę naiwne, proszę pana. Przepisałem to z książki. Przeróbka Tennysona – oznajmił z pewnym zakłopotaniem wciąż jeszcze bezcielesny głos stojącego za nim mężczyzny. – Właściwie nie wiem, co to znaczy, ale wydawało mi się, że pasuje do sytuacji.

Kyle nie zauważył, by ktoś pozostał w kaplicy. Był pewien, że już słyszał ten głos i nie musiał już czytać podpisu na karcie z kondolencjami.

– Hackman? – zapytał.

Zanim przygnębiony Kyle wrócił na Ringtree Gardens, było już późne popołudnie. Gdy przekręcił klucz we wstawionym pięcioletkowym zamku, pozwalając drzwiom poddać się zasadom fizyki dyktowanym przez spaczone ściany i otworzyć się samoczynnie, mieszkanie wydało mu się bardziej puste niż zwykle. Nawet zegar Davida, pozbawiony czulej troski i kawałka kartonu, przestał tykać.

Postanowił, że sprzeda mieszkanie. Przez kilka następnych lat nie będzie potrzebował na lądzie żadnego stałego punktu zaczepienia, a poza tym nie był to już jego dom. Dom powinien być miejscem radosnych powrotów, podczas gdy tutaj wszystkie sympatyczne wspomnienia wywoływane przez pograżone obecnie w ciszy pokoje, zaćmione zostały pamięcią o gwałtownej śmierci.

Po podjęciu zwyczajowych już środków ostrożności, polegających na sprawdzeniu, czy automatyczna sekretarka i szafa w przedpokoju nie kryją żadnych niespodzianek, Kyle zrobił sobie kawę i usiadł, rozmyślając o Hackmanie. Albo raczej o mającym nastąpić spotkaniu, na które umówili się w pubie Four Feathers niedaleko Covent Garden. Kiedy stał nad świeżym jeszcze grobem Davida, wydało mu się niestosowne dowiadywanie o poglądy Hackmana na temat drugiej wojny światowej, ani nawet interesowanie się powiązaniem, jakie niewątpliwie łączyły całą ich trójkę.

Kłopot polegał na tym, że myśląc o Hackmanie, Kyle był coraz bardziej niezadowolony ze sposobu, w jaki rozwijały się sprawy. Miał wrażenie, że zarówno nieoczekiwana znajomość z profesorem Rushby, jak i spotkanie z Hackmanem wcale nie są jego osobistym osiągnięciem. Spotkania z Hackmanem, jak i Rushbym były jedynie dziełem przypadku, a nie konsekwencją jego świadomego działania. W istocie, wszystko, czego się do tej pory dowiedział o poszukiwaniach McDonalda przyszło do niego samo. Bez przerwy znajdował się w sytuacjach, w których musiał reagować, a nie działać. Wydawało mu się, że nie tyle on podąża za mitem, co mit ściga jego.

Och, niewątpliwe czterdziestoprocentowy lunch edukacyjny z profesorem Rushbym nie był już czymś przypadkowym. Żadnych zastrzeżeń nie budziła także osoba uczonego – zwłaszcza jego naukowe kwalifikacje, potwierdzone przez kipiącą dobrymi intencjami Lisę z Imperial War Museum. To samo dotyczyło Coksa z Wydziału Specjalnego, który stał się przyczyną jednego maleńkiego tryumfu Kyle'a. Dzięki podstępowi dowiedział się bowiem o istnieniu drugiego Stollenberga. Miał na imię Günther i został zastrzelony kilka lat temu przez kolejną grupkę ludzi o nieskazitelnej opinii, tym razem wystawionej przez Republikę Federalną Niemiec. Chociaż Kyle postanowił nie wpadać więcej w pułapkę, jaką było pospieszne wyciąganie fałszywych wniosków, w tym wypadku czuł jednak, że może przyjąć istnienie jakichś rodzinnych związków z należącym do poprzedniego pokolenia „konwojentem” Stollenbergiem.

A także więzi o bardziej romantycznym charakterze, łączącej go z również już martwą Wandą Inadi. To zaś tworzyło całkowicie nowy łańcuch zagadek i pozwalało ustalić relacje pomiędzy

przynajmniej jednym Stollenbergiem a szafą McDonalda.

Nawet były marine John Lewis – albo pan Smi... Nie! – przykazał sobie zdecydowanie Kyle – to już zbyt daleko sięgające przypuszczenie. W każdym razie nawet Lewis pojawił się na kursie Kyle’a zupełnie przez przypadek, prawda? To niemożliwe, by jego wizyta u wdowy po Tedzie Williamsonie została przewidziana przez Lewisa, ponieważ była przecież... no tak, spontaniczna.

Pozostawał jeszcze Hackman. Czy nawiązał z nim rozmowę po pogrzebie istotnie tak spontanicznie, jak się to wydawało, czy też ten tajemniczy mężczyzna o ochrypłym głosie, miłośnik Tennysona realizował jakiś starannie obmyślony plan? Gdyby tak było, Hackman znalazłby się na samym szczycie coraz dłuższej listy osób podejrzewanych przez Kyle’a.

A może stał się już kompletnym paranoikiem i robi z siebie idiotę? Och, pieprzyć robotę detektywa. Albo historyka wojskowości. Zwłaszcza historyka wojskowości. Owszem, był święcie przekonany, że David musiał dokonać jakiegoś ważnego przełomu w czasie poszukiwań Nefretete. Ale w jaki sposób Kyle, badacz-amator bez żadnego przygotowania mógł mieć nadzieję, że uda mu się przeniknąć oplątującą Stollenberga pajęczynę intryg, skoro nawet profesor przyznał się do porażki?

– Oczywiście zniknęła, drogi chłopcze – wybełkotał Rushby, gdy Kyle pomagał mu wsiąść do taksówki. – Kolumna Standartenführera? Ruszyła na północ przez Neustrelitz i Neubrandenburg, a potem, gdy skręciła na zachód, wszelki ślad po niej zaginął. Po prostu rozplynęła się bez śladu. Ostatni raz widziano ją jadącą wzdłuż jeziora Miiritz, w stronę Hamburga.

– Dobranoc, panie Rushby. I jeszcze raz dziękuję za pomoc – Kyle starał się przyspieszyć pożegnanie, czując, że jemu samemu kręci się w głowie.

Ale chociaż zatrzasnął już drzwiczki, profesorowi udało się otworzyć okno.

– Wie pan, nie mogłem wyciągnąć z tego faceta, ani jednej, cholernej informacji. Gdy prowadziłem z nim wywiad, trzymał język za zębami, jak to junkier.

– Kto taki? – skapitulował zmęczony Kyle, a kierowca taksówki włączył licznik.

– Stollenberg.

Kyle zamrugał.

– Rozmawiał pan ze Stollenbergiem?

– Człowiek z charyzmą. Mówiłem panu, że miał charyzmę...

– Rozmawiał pan ze Stollenbergiem? Czy to znaczy, że przeżył wojnę?

– Kiedy się z nim spotkałem, mieszkał w Szlezwiku-Holsztynie. – Rushby uśmiechnął się promiennie. – W skromnym domku koło Lubeki. Bardzo chętnie rozmawiał o Schutzstaffeln, co wyróżniało go spośród większości byłych oficerów SS, ale absolutnie nie chciał mówić o Nefretete. Nie zamierzał mi nawet opowiadać, co stało się z jego kolumną.

Kyle’a ponownie ogarnęło podniecenie.

– Czy myśli pan, że zechciałby porozmawiać ze mną?

Profesor długo zastanawiał się z wytrzeszczonymi jak sowa oczami i w końcu skinął głową.

– Jestem pewien, że nie miałby nic przeciwko temu, drogi chłopcze. Mogę ci nawet pomóc go odnaleźć, jeżeli bardzo tego chcesz. W dalszym ciągu znajduje się w tym małym miasteczku, Bad Oldesloe.

Gdy taksówka ruszyła, Kyle wznosił właśnie ręce w tryumfalnym geście, ale zanim samochód zniknął w ruchu ulicznym na Mayfair, dobiegło go ostatnie zdanie profesora i musiał je opuścić.

– Ale nie przypuszczam, by mógł panu wiele pomóc, Kyle. Standartenführer Manfred Stollenberg zmarł w 1984 roku.

Mniej więcej od szóstej, według tajwańskiego roleksa, czas zaczął się straszliwie dłużyć. Kyle z niecierpliwością czekał na spotkanie z Hackmanem i żałował, że nie zaproponował wcześniejszej godziny. Rozmowa mogła ograniczyć liczbę tematów do rozmyślań i złagodzić ból wywołany pogrzebem Davida.

Drogi przyjacielu – pomyślał ponuro Kyle. – W okolicznościach, które musiały zrodzić wzajemne podejrzania, spotkają się dwaj nie znający się faceci, aby przy kuflu piwa w londyńskim pubie przeanalizować pozostawioną przez ciebie spuściznę.

Kyle kilka następnych minut spędził, wykonując czynności pomagające mu zabić czas. Wysypał okruchy z tosterka, posługując się wyciągniętą z szafy szczotką i śmietniczką na czworakach pozamiatał pod stołem kuchennym. Mógłby odkurzyć całe mieszkanie, gdyby ten cholerny odkurzacz Davida... Pod zlewem znalazł nową, żółtą ściereczkę i poszedł do przedpokoju, by poruszyć pokłady kurzu zalegające tam od momentu, gdy stał się jedynym właścicielem Ringtree Gardens.

Kiedy wysunął szufladę, aby wyczyścić jej krawędź, zauważył poprzednią kasetę z automatycznej sekretarki Davida leżącą wśród kłębowiska sznurków, sparciałych recepturek i wypisanych długopisów. Była to taśma, na której zarejestrowana została informacja Hackmana o Provosach. Ta, którą Kyle wyjął i ukrył przed Wydziałem Zabójstw w swoim marynarskim worku, zanim pojawili się dwaj pierwsi policjanci i którą potem wrzucił z powrotem do szuflady.

Było na niej jedyne potwierdzenie faktu, że David w ogóle posiadał odkurzacz. A także zignorowana przez niego wiadomość od...

Od Jagjivana Singha, na litość boską! Wciąż nie odpowiedział na jego telefon! Teraz czuł się winny, że nie skłonił Jaggersa, aby wziął udział w pogrzebie, bez względu na to, czy ten mały palant wiedział o uroczystości, czy nie. Chwytny byka za rogi, natychmiast odszukał numer domowego telefonu Singha i wykręcił go.

– Bardzo dziękuję za telefon – oznajmiła protekcyjnym głosem automatyczna sekretarka. – Niestety, pan Singh nie może...

Kyle rozłączył się i zadzwonił do biura żeglugowego. Sygnał w słuchawce brzęczał, ale nikt nie odbierał telefonu, co wydawało się nieco dziwne. Jeżeli Jaggers i jego personel – czyli zatrudniona na pół etatu dziewczyna, która, żując gumę, udawała, że pracuje w samym sercu rozległej wszechświatowej sieci połączeń morskich, zbiegających się przy biurku Jagjivana Singha jeżeli oboje wyszli z biura, to czemu nie włączyli swojej pieprzonej automatycznej sekretarki?

A w ogóle, to dlaczego Jaggers zadzwonił do McDonalda dokładnie w dniu jego śmierci? Mieszkanina znudzenia i ciekawości owładnęła Kylem. Wsunął kasetę do urządzenia i włączył odtwarzanie.

– Cześć Davidzie, stary chłopie, tu Jaggers. Ja w sprawie rejsu Michaela...

Rejsu Michaela? Brwi Kyle'a uniosły się wysoko. Czy to właśnie o niego chodziło Singhowi? O ile dobrze wiedział, David nie znał innego Michaela.

– Nastąpiła zmiana planów. Przepraszam, proszę w moim imieniu Kyle'a...

Do diabła, rzeczywiście o nim mowa!

– Centaur nie zawinie do Londynu. Musi się na niego zaciągnąć w Rotterdamie...

Centaur? Jaki centaur? Czym był centaur?

Umysł Kyle'a przestawił się na działania analityczne. Singh używał zawodowych zwrotów, co oznaczało, że „Centaur” był statkiem! O ile wszyscy rozsądni ludzie zaciągają się do Legii Cudzoziemskiej, albo do wojska czy miejscowego kółka modelarzy kolejek wąskotorowych, marynarze zaciągają się na statki. Aby na nich pływać! Dlatego David w rozmowie sprzed prawie tygodnia wspomniał o kimś, kto był... no tak, w Narwiku. Tak, w Narwiku i miał przybyć do Londynu najwcześniej za dziesięć dni, a okres ten skończy się w czwartek... Nie, pozostawały jeszcze trzy dni, co oznaczało, że „Centaur” bez względu na to, jakiego typu była to jednostka, znajdzie się tu w piątek! Ale teraz, jak się okazało, miał zawinąć jednak nie do Londynu, lecz do Rotterdamu. Gdzie Kyle, najwyraźniej zgłoszony przez McDonalda, miał się na niego zamustrować.

Przez cały czas uważał, że ów „on”, o którym wspomniał David, jest tym zidentyfikowanym przez niego „Ruskiem”. Ale zamiast tego okazał się pieprzonym statkiem. Co gorsza – jednym ze statków Jagjivana Singha. Nie miało to nic wspólnego ze Stollenbergiem.

– Powiedz Michaelowi, że mam dla niego w biurze dokumenty. Uporządkujemy sprawy później. Aha, a poza tym... – Kyle wyczuł, że Jagers zaraz skłamie. Zawsze wypowiadał kłamstwa tak, jakby właśnie dopiero co przyszły mu do głowy. – Powiedz mu, żeby chwilowo sam zapłacił za przelot samolotem. Natychmiast gdy wróci, dopilnuję, żeby mu refundowano bilet.

Jakżeby inaczej. Kyle już to przerabiał. Wracał, przypominał, otrzymał nawet podkoszulek, który oznajmiał wszem i wobec, że jest wierzyicielem Korporacji Okrętowej Singha. Wciąż czekał na pełne wynagrodzenie za ostatni rejs, na który popłynął, by wyświadczyć Singhowi uprzejmość.

W tym również za dwa dni, które spędził na środku Oceanu Indyjskiego w otoczeniu braci Singha, czekając na ratunek na nieuchronnie tracącej powietrze, dawno przeterminowanej tratwie ratunkowej.

– Duże jasne dla pana, i porter dla mnie – oznajmił Hackman, stawiając kufel przed Kylem. Potem uniósł swój. – Może za doktora McDonalda? Oficera i dżentelmena w każdym calu.

Kyle spełnił toast, myśląc czule o Davidzie, mimo że przez niego musiał teraz odrzucić uprzejmą propozycję Singha spędzenia roboczych wakacji na pokładzie statku. Potem przyjrzał się badawczo Hackmanowi. Był to dobrze zbudowany, świeżo ogolony mężczyzna koło pięćdziesiątki. Jego wygląd psuł jedynie nos, który w swoim czasie przechodził generalny remont w szpitalu. Kyle poczuł się trochę niezręcznie. Nie pomyślał, by założyć krawat, a Hackman go miał. Pułkowy, albo klubowy, granatowy z ukośnymi czerwonymi paskami.

Hackman dostrzegł jego spojrzenie.

– KŻW. Królewska Żandarmeria Wojskowa... Kiedyś.

– Aha, Provosi...

Hackman uśmiechnął się lekko.

– Jeżeli usłyszysz pan w tłumie irlandzki akcent, niech pan lepiej wyraźniej wymówi „t” na końcu. Ktoś mógłby być wyjątkowo przeczulonym facetem wyznania protestanckiego.

Kyle zmieszał się. Tym bardziej, że po raz drugi wpadł w tę samą pułapkę.

– Ale był pan w „czerwonych czapkach”, prawda?

– Dwadzieścia cztery lata w branży. Skończyłem jako sierżant sztabowy w SWD.

– Nie ośmielę się nawet zapytać, co to takiego – powiedział Kyle, czując coraz większą sympatię do Hackmana.

– Specjalny Wydział Dochodzeniowy. Taki wojskowy Wydział Kryminalny.

– W jaki sposób poznał pan Davida?

– Zajmuję się odnajdowaniem różnych rzeczy na zlecenie. Zazwyczaj związanych z wojskiem. O ile oczywiście nie są tajne.

– W takim razie na podstawie informacji, którą zostawił pan w automatycznej sekretarce mogę przyjąć, że pracował pan dla Davida McDonalda?

– Przez ostatnich kilka lat wykonywałem różne zlecenia. Ale z całym szacunkiem, proszę pana, ujawnienie jakichkolwiek szczegółów tego, co dla niego robiłem, zależy od pańskiej karty kredytowej.

Kyle skrzywił się. Wyglądało na to, że przedwcześnie polubił Hackmana.

– Ma pan zamiar zażądać zapłaty za tę rozmowę?

– Nie. – Hackman przyglądał mu się spokojnie. – Po prostu chcę się upewnić, że jest pan panem Kyle, panie Kyle. No dobra, wiem, że jest pan przyjacielem doktora. W przeszłości kilkakrotnie wspominał o panu i najwyraźniej miał pan dostęp do informacji, którą zostawiłem w jego automatycznej sekretarce. Ale doktor zajmował się delikatnymi sprawami. Istnieje wielu ludzi, gotowych stwierdzić... może być prawo jazdy. Cokolwiek z pańskim nazwiskiem.

– Może być American Express? – zaproponował Kyle, podając mu kartę kredytową, z miłym uczuciem, że właśnie spotkał naprawdę podejrzliwego sukinsyna, który wie coś niecoś o tym, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

Zawodowa ostrożność Hackmana była przynajmniej dla Kyle'a pewną nauczką. W tej grze w dalszym ciągu trzymało się karty przy orderach. Być może, pomimo swojej naiwności, David zadbał, aby otoczyć chińskim murem wszystkie aspekty swojego dochodzenia – rozmieścić je w różnych dyskretnych, mało istotnych sferach do chwili, aż uzyska wiedzę niezbędną do rozegrania końcówki tej partii. Na przykład wiadomość od Hackmana była jedyną wzmianką o śmierci fotoreportera Lightwooda w czasie wojny. I ten intrygujący fragment o dawaniu cynku. Nie padło nawet ani jedno słowo o esesmanach – ani tych z konwoju, ani jakichkolwiek innych.

Nie należało więc ujawniać niczego, zanim nie dowie się, jak wiele David powiedział byłemu żandarmowi – zaraz, zaraz – człowiekowi, który twierdzi, że jest byłym żandarmem. Kyle szybko uczył się jak być cwany. Chociaż Hackman prawdopodobnie istotnie pracował dla McDonalda, to jednak poza odpowiednim krawatem nie było nic, co potwierdzałoby jego słowa. Dopóki nie będą sobie całkowicie ufali, Kyle nie zamierzał nawet wspominać o Stollenbergu, ani też robić jakichkolwiek aluzji do tego, czego dowiedział się od Rushby'ego na temat legendy o drugiej Nefretete.

Udawaj, panie Kyle. Zachowuj się swobodnie.

– A więc, hmm... jak wiele pan wie o badaniach doktora McDonalda? zapytał.

Hackman dopił piwo, zachęcającym gestem, jakiego mógłby pozazdrościć nawet profesor Rushby, postawił bez słowa kufel prosto przed Kylem, a potem wrzucił ramionami.

– Od czego mam zacząć, panie Kyle? Od Standartenführera SS, bunkra Führera, czy od egipskiej królowej?

Godzinę i dwa litry piwa później, konwój Standartenführera Manfreda Stollenberga ponownie dotarł do punktu, w którym zgodnie z powszechnie przyjętą wiedzą, zniknął po tym, jak alianccy agenci dostrzegli go na pomocnym brzegu jeziora Muritz. Wciąż podążał na zachód, kierując się



okreżną trasą do Bremerhaven. Kolumna ośmiu lub dziewięciu dużych ciężarówek marki Mercedes z oznakami SS-Panzer-Grenadier-Division, przeciwlotniczymi kaemami na dachach szoferek, eskortowana przez jeden czy dwa pancerne wozy zwiadowcze Puma.

– Wszystko to zgadza się z moimi informacjami na ten temat – Kyle przygryzł w zamyśleniu wargę. – Ale czy orientujemy się dokładnie, gdzie i kiedy widziano go po raz ostatni?

– W Malchow, malej wiosce nad jeziorem, drugiego maja 1945. W dniu upadku Berlina.

– Ale wtedy Hamburg nie był jeszcze zdobyty. Wciąż starali się go obejść.

– Samo miasto trzymało się jeszcze trzy dni, do piątego maja, chociaż Stollenberg prawdopodobnie nie wiedział, jak przedstawia się sytuacja. Hackman wzruszył ramionami. – Niemiecka łączność rozsypała się. Częstotliwości pułków często nie były z sobą zgrane – zwłaszcza pomiędzy jednostkami SS a Wehrmachtem. Panował niezły bajzel... ale pułkownik i jego chłopaki byli starymi wygami, trzeba im to przyznać. Nie poddali się.

– Ale skąd możemy o tym wiedzieć? – zapytał Kyle, przypominając sobie wielomiliardowej wartości nazistowskie łupy ukryte w Reducie Narodowej. – Skąd możemy być pewni, czy Stollenberg nie uświadomił sobie, że w Kaiseroda wszystko się wydało i nie zatopił Nefretete oraz reszty skarbów kolumny dziesięć metrów pod powierzchnią jeziora Muritz?

– Ponieważ doktor McDonald udowodnił, że tak się nie stało – odparł spokojnie Hackman. – Tu właśnie zyskał przewagę nad wszystkimi historykami, którzy próbowali podążać tropem Stollenberga.

Przerwał, dostrzegł wyraz oczu Kyle'a i uśmiechnął się.

– Jeżeli siedzi pan wygodnie, panie Kyle, opowiem panu pewną historię...

– Przed kilkoma miesiącami doktor zajrzał do antykwariatu, w którym sprzedawano wydawnictwa wojskowe jednego z tych małych, wyspecjalizowanych sklepików niedaleko Charing Cross. Przeglądając różne publikacje, natrafił na małą książeczkę. Fotografie z drugiej wojny światowej wykonane przez faceta o nazwisku Lightwood.

– Śmierć narodowego mitu – dorzucił Kyle. – Jest wciąż w jego mieszkaniu.

Hackman skinął głową.

– O Waffen SS, czyli o zagadnieniu, w którym doktor się specjalizował. Podczas gdy pan i ja wciąż drapalibyśmy się w głowy, próbując zidentyfikować system oznak dywizyjnych używany w Waffen SS...

– Mnie pan o tym mówi? – mruknął Kyle niechętnie, wspominając powiększenia, z których niczego się nie dowiedział.

– ...doktor był w stanie ustalić, do którego pułku ktoś należał tylko na podstawie splotu materiału jego munduru. Gdy zajrzał do tej książki, od razu zorientował się, że trafił na coś ważnego. Coś, co wiązało się ze sprawą, którą badał w ostatnich latach.

Kyle z poczuciem winy wspomniął te bezcenne momenty, gdy David zarażał go swym entuzjazmem.

– Jak się domyślam, był to „Mit Stollenberga”. Zawsze w tym siedział.

– Chętnie się też przyznawał, iż jego obsesją stało się przekonanie, że druga Nefretete nie tylko istniała, ale istotnie znajdowała się w konwoju Standartenführera w chwili, gdy opuszczał on bunkier Führera, by udać się na spotkanie z U-Bootem Erharda.

– Co więc zrobił David?

– Pojechał do północnych Niemiec. Zaczął od ostatniego punktu, w którym widziano kolumnę, a potem podążył trasami, którymi Stollenberg mógł stamtąd pojechać na zachód. Po drodze rozpytywał miejscowych ludzi, którzy mieszkali w tej okolicy w czasie wojny. Droga eliminacji zdołał ustalić, że konwój dotarł aż do miasta o nazwie Brahlstorf, kilka kilometrów na północny wschód od Schwerinu...

– Przepraszam, panie Hackman – Kyle poczuł, że musi przerwać swojemu rozmówcy. – Ale skoro Nefretete jest taka ważna, to dlaczego ktoś inny, jakiś historyk czy archeolog nie zrobił po wojnie tego samego? Czemu trzeba było czekać pięćdziesiąt lat, aż David przejmie inicjatywę?

– Ponieważ dopóki nie upadł mur berliński, panie Kyle, jezioro Miiritz znajdowało się po niewłaściwej stronie granicy, dość daleko w głębi wschodnich Niemiec. Faceci, którzy wałęsaliby się tam i zadawali pytania, zwłaszcza na wojskowe tematy, raczej by stamtąd nie wrócili.

– No dobra! – Kyle sprawiał wrażenie przywołanego do porządku. – Co więc David odnalazł w Brahlstorf?

– Wystarczająco dużo dowodów wskazujących na to, że konwój zdołał dotrzeć aż do tego miejsca. Trzy różne relacje świadków potwierdzają, że około trzeciego maja 1945 roku, zbliżając się do przedmieść kolumnę samochodów SS zaatakowały lotem koszącym Mustangi USAAF. Samoloty spaliły siedem czy osiem ciężarówek i dwa samochody pancerne. Jeden z mieszkańców wspominał nawet, że widział ulicę zasłaną trupami żołnierzy Waffen SS zasypanych papierami, na których, jak przysięga, był nadruk Reichspa... – Hackman przez chwilę marszczył brwi i w końcu wzruszył ramionami. – Do diabła, trzy tury służyłem w Brytyjskiej Armii Renu, a mój niemiecki wciąż jest do kitu... z nadrukiem Biura Patentowego Rzeszy. Wynika z tego, że to musieli być chłopcy Standartenführera.

Brwi Kyle'a zbiegły się tak jak przed chwilą u Hackmana. Jednak w jego przypadku nie wynikało to z faktu, że nie może wymówić obcych słów, ale z uczucia dezorientacji i rozczarowania. Dlaczego więc David zginął, jeżeli...?

– Chce pan powiedzieć, że na tym wszystko się skończyło? Że nie było mitu. Ani tajemnicy? – Kyle przerwał, słysząc, jak uporczywy głos w jego głowie rozprasza uczucie rozczarowania: Chwileczkę, stary! Na pewno jest coś jeszcze...

– Ale w konwoju Stollenberga było dziewięć ciężarówek – powiedział ostrożnie. – Podróż Davida wyjaśniła, co stało się z ośmioma... Co więc stało się z dziewiątą?

– Powinien pan być detektywem – uśmiechnął się jego rozmówca.

– Próbowałem. Nie zaliczyłem egzaminu wstępnego z powodu niekompetencji. Ale jestem nawigatorem i potrafię odejmować. Co więc z tą dziewiątą ciężarówką?

– To właśnie pytanie wciąż zadawał sobie doktor McDonald. Do momentu, kiedy zajrzał do antykwariatu niedaleko Charing Cross.

– I co?

– Jedno zdjęcie Lightwooda zwróciło jego szczególną uwagę. Fotografia martwego kaprala SS i grupki zamęczonych bitwą Tommies. Doświadczone oko doktora dostrzegło wystarczająco dużo szczegółów, które wskazywały, że esesman służył w drugim pułku SS-Polizei-Panzer-Grenadier-Division. Biorąc pod uwagę fakt, że większość drugiego pułku właśnie była likwidowana w Polsce, nasuwał się wniosek, że denat mógł się tam znaleźć w tylko jeden sposób.

Wszystko stało się jasne. Albo przynajmniej trochę jaśniejsze. Po raz pierwszy od śmierci Davida, Kyle poczuł przypływ uniesienia.

Przybył tą nie odnalezioną do tej pory ciężarówką Stollenberga?

Uniesienie nie trwało długo. W gruncie rzeczy tyle, ile barmance w Four Feathers zajęło nalanie dwóch kolejnych kufli piwa.

Ponieważ zanim Hackman zdołał przebić się do stolika, zręcznie manewrując swoim pienistym ładunkiem pomiędzy wieczornym tłumem nadciągającym ze znajdującej się nieopodal opery, Kyle z niepokojem zdał sobie sprawę, że jeżeli ktoś miał bezpośredni motyw zabicia Davida, to owym kimś musiał być, no cóż...

Sam Hackman?

# 12

– Na zdrowie – oznajmił Hackman, podnosząc kufel.

Aha – odparł Kyle, bawiąc się swoim.

Do tej pory zdążył już zrozumieć, że Hackman nie tylko więcej wie o Stollenbergu i Nefretete niż on sam, ale lepiej nawet niż David orientuje się w pewnym elemencie całej tajemnicy.

Znał lepiej sprawę Lightwooda. Wiedział, jak szybko po tym, jak dał cynk żandarmerii nastąpiła jego śmierć, rzekomo w walce toczony w okolicach Bremerhaven. W nagranej na taśmie informacji Hackman zapowiedział podzielenie się McDonaldem szczegółami sensacyjnego odkrycia, ale przedwczesny zgon zleceniodawcy uniemożliwił realizację tego zamiaru.

Ale przecież przemawia to na korzyść Hackmana, przekonywał sam siebie Kyle. Czy człowiek, który zamierza kogoś zamordować pozostawiłby wiadomość na automatycznej sekretarce potencjalnej ofiary, a potem wyruszył, aby wepchnąć ją pod pociąg?

Myśl ta nieco uspokoiła Kyle'a, ale po chwili następne starcie paranoicznego myślenia z chłodną dedukcją doprowadziło do kolejnej zmiany nastroju. Przypomniał sobie bowiem, jak tydzień temu siedział na zimnym podeście schodów, czekając cierpliwie, by rozwiały się uwolnione przez zbrodniarza wybuchowe opary i starał się zrozumieć tę pozornie nielogiczną sytuację.

Dlaczego, na litość boską? – myślał wówczas. – Z jakiego powodu ktoś chciałby wysadzić w powietrze mieszkanie człowieka, którego już zabił?

Z drugiej jednak strony fakt, że David wpadł na trop dzięki fotografii w książce, wcale nie dowodził istnienia jakiegoś związku pomiędzy dwoma, wciąż jeszcze odrębnymi, wojennymi dramataми – śmiercią Lightwooda i zniknięciem konwoju Stollenberga. Czy nie oznacza to, że należy skreślić Hackmana z listy podejrzanych?

A może – jeżeli takie mało prawdopodobne założenie ma w ogóle jakiś sens – badając losy fotografa Hackman znalazł jakieś brakujące ogniwo? Może to odkrycie okazało się na tyle ważne, że...

Kyle trochę pogubił się w tym, co właściwie usiłował w tym momencie udowodnić i pogрузił się w ponurym milczeniu. Jego towarzysz spostrzegł tę zmianę nastroju.

– Przypuszcza pan, że miałem powód, aby samemu załatwić doktora McDonalda, prawda? – zapytał niespodziewanie Hackman.

– Chryste, nie! – skłamał Kyle. – Nawet mi to...

Przerwał i mrugając oczami, popatrzył na Hackmana.

– Pan również uważa, że go zamordowano?

Nie kupuję wersji o samobójstwie, jeżeli o to panu chodzi. Po pierwsze, znałem go na tyle dobrze, by stwierdzić, że był bardzo zrównoważonym facetem. A po drugie, jeżeli widzę na torach

kolejowych denata, który tak jak doktor miał dostęp do wyjątkowo ważnej tajemnicy, to skłonny jestem wierzyć, że człowiek ten nie znalazł się tam przypadkowo.

W Hackmanie było coś z inspektora Coksa. Prawdę mówiąc, było w nim bardzo dużo z inspektora Coksa. Kyle nie był pewien, czy to dobrze, czy źle. Wszystko zależało od tego, po czyjej stronie był Hackman. Uznał, że powinien jak najszybciej się zdecydować.

– A jaki, pana zdaniem, sekret zabrał do grobu David McDonald? – Usłyszał swój głos, zadający pytanie z brutalną bezpośredniością, na jąkanie był w stanie zdobyć się przed pogrzebem.

– Taki, który zdaniem doktora, obecny rząd niemiecki powinien wycenić na dobre parę marek – mniej więcej dziesięć milionów!

– Jezu – mruknął oszołomiony Kyle. – Nic dziwnego, że David nie martwił się o hipotekę.

Hackman wzruszył ramionami.

– Zwłaszcza, jeżeli się pamięta, że pierwsza Nefretete – posążek, znajdujący się w kopalni Kaiseroda – został uznany za tak wartościowy, że po D-Day naziści włączyli go do pierwszej grupy skarbów, które należało ewakuować z Berlina. W dalszym ciągu, z archeologicznego punktu widzenia, uważany jest za najważniejszy niemiecki eksponat. Jeżeli znajdzie pan jego bliźniaka, Bundesbank jest pański.

– Uważa pan, że David miał go zaprezentować?

– Jestem zdania, że doktor McDonald zobaczył w książce Lightwooda coś więcej niż tylko fotografię martwego, nastoletniego SS-Unterscharführera. Jakąś inną poszlakę, o której nie wiemy ani pan, ani ja. Coś, co wskazało mu dokładnie, gdzie Stollenberg ukrył drugą Nefretete.

Kyle postanowił zaufać Hackmanowi. Przynajmniej do pewnego stopnia. Nie miał wprawdzie jakichś szczególnych powodów, aby całkowicie wierzyć byłemu żandarmowi, ale ostatecznie musiał ufać komuś, kto miał doświadczenie w prowadzeniu śledztwa. Do tej pory przekonał się, że nie jest w stanie samodzielnie poruszać się po niebezpiecznych wodach, jakimi była sprawa konwoju Stollenberga. Poza tym, co właściwie ryzykował? Najwidoczniej David miał dobrą opinię o Hackmanie, skoro postanowił podzielić się z nim tajemnicą.

Ale przecież David nie żył. Być może dlatego, że podzielił się tajemnicą z kimś, o kim miał dobrą opinię.

Do cholery, przestań z tym wreszcie!

– Jaka w gruncie rzeczy była pańska umowa z doktorem, Hackman?

– Zupełnie korzystna, biorąc pod uwagę okoliczności, że skończył już swoje badania i byłem mu potrzebny tylko po to, aby wyjaśnić jakieś konkretne sprawy – na przykład ślad związany z Lightwoodem – wyjaśnił szczerze Hackman. – Pokrycie bieżących wydatków oraz dziesięć procent znaleźnego za skarb, które uda mu się wynegocjować od Niemców.

– Albo od Egipcjan. Jeżeli posążek wciąż istnieje, formalnie należy do nich.

– Miałem zamiar mu to zaproponować – uśmiechnął się Hackman – ale później. Pieniądze nie były dla niego najważniejsze.

Również dla Kyle'a. Zemsta sprawiłaby mu o wiele większą satysfakcję. Największą radość przyniosłoby mu jednak zapewnienie Davidowi należnej mu sławy naukowej. Nie był to jedyny motyw. Nie teraz. Nie po wizycie w kostnicy, po szafie i spotkaniu z kruchą wdową po wojennym bohaterze.

– Mógłby pan równie dobrze powiedzieć, że proponował panu dwadzieścia procent. Nie

wiedziałbym czy tak nie było.

– Ale ja wiem – oświadczył sucho jego potężnie zbudowany towarzysz. – Niech mnie pan tylko nie wykołeguje z moich dziesięciu procent, jeżeli znajdzie pan Nefretete, panie Kyle.

Kyle wyciągnął rękę.

– Niech pan zrobi z tego trzydzieści procent i od tej pory używa słowa „my” – jeżeli znajdziemy, Nefretete. Potrzebuję pomocy, Hackman.

Hackman mocno uściskał mu dłoń.

– Kogo mam zabić?

To nie było wcale śmieszne! Nawet jeżeli Hackman tylko żartował... Ale z drugiej strony, kiedy rzeczywiście ustalą, kto zabił Davida...

– Wolałbym raczej, żeby wyjaśnił mi pan tę historię z Lightwoodem zaproponował pospiesznie Kyle.

– Doktor zajął się książką i potwierdził, że jej autor był akredytowanym fotoreporterem wojennym, działającym na pierwszej linii frontu. Na początku maja 1945 Toma Lightwooda wysłano, aby zrobił materiał o brytyjskiej grupie szturmowej walczącej w rejonie Bremerhaven.

– Komandosów Teda Williamsona, żołnierzy z fotografii?

– Sądziłem, że potrzebuje pan pomocy.

– O tak, i to wkrótce – zapewnił Kyle, myśląc o sprawach, o których jeszcze nie poinformował Hackmana. O tajemniczej Wandzie z poderżniętym gardłem, o jej dawnych wywrotowych powiązaniach, a także o martwym Güntherze Stollenbergu. Oraz o panu Smithie i jego zastanawiającym zainteresowaniu...

I o Kocie z Cheshire! Nie – był nim John Lewis, którego poważnie podejrzewał, ale wciąż nic o nim nie wiedział, poza tym, że był synem sąsiadów wdowy po Tedzie.

– Proszę mi wierzyć, pańska pomoc będzie mi bardzo potrzebna, panie Hackman – zapewnił go z ponurą pewnością siebie.

Hackman wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy. W dniu piątego maja sytuacja była płynna, jak określano to w oficjalnych komunikatach. W istocie oznaczało to, że nikt za cholere nie wiedział, co się dzieje na froncie z innymi oddziałami. Lightwood radośnie zabrał się do trzaskania fotek w stoczni.

– W Bremerhaven.

– Jak określono w meldunku z pola walki, było to gniazdo oporu. Co zazwyczaj oznaczało, że albo miało się przed sobą bandę przerażonych zajęcy, przypartych do muru i znajdujących się w sytuacji bez wyjścia, albo grupę fanatycznych twardzieli, gotowych walczyć do ostatniego naboju, a potem zakończyć wszystko walką wręcz.

– Ci należeli do której kategorii?

– Na podstawie dziennika bojowego dywizji nie da się tego ustalić. Według wojskowych kategorii była to drobna potyczka. Pięć minut paniki, ranni, każdy martwi się o siebie. Wszędzie naokoło krew, bebechy i strach, trudno więc znaleźć miejsce na pisanie rutynowych meldunków o kontakcie z przeciwnikiem, panie Kyle.

– Ale Lightwood przeżył tę wymianę ognia?

– Zaledwie o dwadzieścia cztery godziny. Wystarczyło mu to zaledwie na złożenie słownego doniesienia do znajdującej się w strefie frontowej kompanii żandarmerii polowej.

Dał cynk żandarmom! – Kyle poczuł, jak puls zaczyna mu bić szybciej. – O czym doniósł?

– Że zauważył, jak w czasie potyczki w stoczni wzięto do niewoli ośmiu jeńców z Waffen SS.

Rozczarowanie Kyle'a było niemal namacalne.

– Fakt wzięcia do niewoli jeńców nie dawał powodu do składania donosu.

– Chodzi o pointę – odparł sucho Hackman. – Lightwood twierdził, że widział na własne oczy, jak jeńcy ci zostali rozstrzelani. Przez komandosów Williamsona.

– Po to właśnie doktor mnie zaangażował – żebym potwierdził albo obalił oskarżenie Lightwooda. Wciąż mam znajomości w Korpusie. Pomogli mi znaleźć emerytowanego sierżanta żandarmerii, który był tam podczas natarcia. Pamiętał ten incydent. Potwierdził, że żołnierzy Williamsona później przesłuchano, ale nie podjęto dalszych działań w związku z nieobecnością świadka oskarżenia. Lightwood już wówczas nie żył, rzekomo zastrzelony przez przypadkowego snajpera.

– Znowu rzekomo?

– Mój rozmówca miał nieśmiertelnik z ciała Lightwooda. Nie mogłem go skłonić do jakichś bardziej szczegółowych zwierzeń, ale stwierdził, że niemieccy snajperzy zazwyczaj nie pakowali w swój cel sześciu pocisków z brytyjskiego Stena. Przyznał również, że przymknął oko na całą sprawę. Wyszedł z założenia, że chociaż wtedy jeszcze nie używano określenia „własny ogień”, każdy żołnierz przyzna, iż takie rzeczy się zdarzają, zwłaszcza w zamieszaniu. – Hackman uśmiechnął się krzywo. – W każdym razie nie było żadnego pisemnego świadectwa egzekucji jeńców – żadnych zeznań zebranych przez żandarmerię na polu walki. Nie wyciąga się notesu i ołówek w chwili, kiedy ktoś ci usiłuje odstrzelić dupę. Wtedy raczej zapomina się o przepisach.

– Zapewne Fritz Knochlein, dowódca kompanii dywizji „Totenkopf”, przyjął podobną linię obrony po masakrze w Wormhout – rzucił z goryczą Kyle.

– Słucham?

– Nieważne – mruknął Kyle. – W każdym razie dopóki przed lufą nie znajduje się ktoś, kogo kochamy.

Hackman spojrzał na niego dziwnie, a potem opróżnił kufel.

– Tak wygląda ta historia. Jedynymi pewnikami są zaprzeczenia. Mogę tylko panu powiedzieć, że jeżeli istotnie jacyś niemieccy żołnierze zostali wzięci do niewoli w stoczni, to żadnego z nich nie ma na listach przyjętych do jenieckich punktów zbiorczych pierwszego rzutu.

– Nawet Stollenberga?

– Standartenführer miał talent do przetrwania. Możemy tylko założyć, że zdołał uciec ze stoczni – zapewne był jedynym człowiekiem z dziewiątej ciężarówki, któremu się to udało. Wiemy, że po wojnie ukrył się w okolicach Lubeki. Władze wojskowe złapały go w 1946 i wysłały do Norymbergi, gdzie stanął przed sądem. Oczyszczono go z zarzutów i w końcu zmarł na raka na początku lat osiemdziesiątych, zabierając do grobu tajemnicę drugiej Nefretete. Nikt z nas nie umknie przed ostatnią wielką przygodą – oświadczył Hackman filozoficznie.

Kyle zastanawiał się, czy poruszyć temat najnowszych ofiar ostatniej wielkiej przygody, ale postanowił, że najpierw upewni się o lojalności Hackmana. Niepokoił go zwłaszcza jeden aspekt działalności byłego żandarma.

– Czy wie pan, że David niedawno spotkał się z sierżantem Williamsonem?

– Mówił mi, że ma taki zamiar. A potem nie miałem okazji porozmawiać z doktorem przed jego...

– Hackman urwał, zmieszany.

– Skąd więc wytrzasnął Williamsona, skoro to pan sprawdzał meldunki ze stoczni?

– Nie tylko Williamsona, panie Kyle. Doktor McDonald był zawodowcem. Wydobył z archiwum IWM nazwiska wszystkich żołnierzy, którzy brali udział w walkach w stoczni i stwierdził, że dwunastu z nich przeżyło wojnę. Kiedy próbował skontaktować się z każdym z tej dwunastki, przekonał się pięćdziesiąt parę lat później, że jedenastu z nich nie miało szczęścia i nie przeżyło pokoju. Jedyńm, którego jak dotąd nie dopadła kostucha był dowódca plutonu, sierżant Williamson. Postanowiliśmy, że pójdę do dowództwa Korpusu Żandarmerii i spróbuję zbadać tło sprawy Lightwooda, a on porozmawia z sierżantem. Doktor miał szczęście – okazało się, że Williamson mieszka pod tym samym londyńskim adresem, jaki znajduje się w aktach pułku.

Już nie – pomyślał ponuro Kyle. Ale sposób, w jaki Hackman skonstruował odpowiedź – używając czasu teraźniejszego – wskazywał wyraźnie, że nie wiedział o wszystkim, co wydarzyło się w ubiegłym tygodniu. To zaś, chyba że posiadałby talenty Machiavellego, jeszcze bardziej odsuwało od niego podejrzenia.

– David wpadł pod pociąg, kiedy wybierał się do Battersea, aby ponownie porozmawiać z Williamsonem – powiedział beznamiętnie Kyle. – Dlaczego, pana zdaniem, tak szybko chciał tam powrócić?

Hackman wzruszył ramionami.

– Nie znając wyników pierwszej rozmowy, nawet nie będę próbował zgadywać. Ale jak już wspomniałem, panie Kyle, wszystko wskazuje na to, że znalazł na zdjęciach Lightwooda coś, co skłoniło go, by tak postąpić.

Kyle wstawał od stołu, gdy przyszedł mu do głowy pewien pomysł pewnie nieistotny, skoro David już się nim zajmował. W rzeczywistości poruszył tę kwestię jedynie po to, by postąpić zgodnie z opinią profesora Rushby'ego, który uważał, iż żaden poważny badacz nie może pozwolić sobie na przeoczenie najmniejszego detalu, niezależnie od tego, jak bardzo nieistotny mu się wydaje na pierwszy rzut oka. Kyle wciąż miał poczucie winy, że z takim zniecierpliwieniem potraktował profesora, gdy ten chciał mu opowiedzieć o Stoff-381 – pochodnej proszku do prania.

– Czy przypadkiem nie pamięta pan nazwisk innych komandosów wymienionych w meldunku z War Museum dotyczącym walk w stoczni Bremerhaven?

– Tylko jedno. Innego podoficera z tego plutonu. – Hackman potarł nos, starając się je przypomnieć. – Lewis? Tak, kapral... kapral Arthur Lewis.

Kyle pożegnał się z Hackmanem przed Four Feathers, umówiwszy się z nim uprzednio, że spotkają się następnego dnia, by opracować strategię działania.

W tym celu trzeba będzie przekazać byłemu żandarmowi najnowsze wiadomości o aktualnej sytuacji. Hackman wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak pracowita była śmierć w czasie kilku ostatnich dni. Nie wiedział bowiem, że ich jedyne źródło informacji, dzięki spotkaniu z bmw zostało wyprawione w swoją ostatnią wielką podróż.

Również w tym przypadku Kyle mógł jedynie przypuszczać, że działała blokada informacyjna założona przez Wydział Specjalny – w żadnej z przeglądanych przez niego gazet nie pojawiła się wzmianka o zabójstwie Wandy Inadi, vel Loukach del Abdeljal Jakiejstam. W związku z czym Hackman nie mógł także wiedzieć o tym szczególnie osobliwym elemencie łamigłówek.

Chyba, że to sam Hackman...

Dosyć tego, stary! Musisz wreszcie skończyć z tymi nawrotami paranoi.



Postanowił, że przejdzie się nieco, zanim złapie taksówkę, by pokonać nią ostatni odcinek drogi powrotnej na Ringtree Gardens. Musi „pozbiierać się z myślami”, jak mawiali niekiedy młodszy oficerowie, chociaż tak naprawdę nie był do końca pewien, co to znaczy.

Deszcz, który zaczął służyć za podniesiony kołnierz Kyle'a, skłonił go jedynie do dalszego, pełnego masochistycznej determinacji marszu. Jedno nie ulegało wątpliwości – bez względu na to, jak daleko pójdzie, nie zdoła uciec od brzemienia, które wziął na swoje barki w imieniu Davida McDonalda. Chociaż Hackman miał całkowitą rację, twierdząc, że jedynymi pozytywnymi elementami były negatywne odpowiedzi, spotkanie to umocniło przynajmniej wiarę Kyle'a w detektywistyczne zdolności jego przyjaciela. Nawet wyjaśnienie, czemu przez pół wieku nie odnaleziono drugiej Nefretete, stało się bardziej zrozumiałe. Po prostu w powojennym zamieszaniu misja SS-Standartenführera Stollenberga, mało istotna w obliczu kataklizmu wstrząsającego Niemcami, początkowo została zignorowana, a potem żelazna kurtyna, która podzieliła zmęczony wojną naród, uniemożliwiła prowadzenie jakichkolwiek badań naukowych.

Kiedy zaś mur berliński runął, tych niewielu historyków, którzy w przeciwieństwie do Rushby'ego wierzyło, że bliźniak Nefretete jest czymś więcej niż tylko mitem, dawno już doszło do wniosku, że mit uległ zniszczeniu razem z kolumną Stollenberga. W rezultacie, podczas gdy egipciolodzy opłakiwali stratę, a kolejne niemieckie ministerstwa kultury coraz obojętniej podchodziły do kwestii, kto naprawdę ponosi odpowiedzialność za utratę jednego z największych skarbów narodowych, wszyscy przyjęli, że bezcenny posążek w najgorszym razie został rozpylony przez bombę lub pocisk, w najlepszym zaś – znalazł miejsce wiecznego spoczynku w mule na dnie jeziora Miiritz.

Wszyscy, poza Davidem McDonaldem, który przypadkowo kupił w londyńskim antykwariacie cieniutką książeczkę i na jej stronicach ujrzał śmierć w wielu gwałtownych odmianach. Jednakże, zaślepiiony obudzoną przez broszurę nadzieją, że będzie mógł dalej prowadzić swoje obsesyjne poszukiwania, nie zdołał odczytać zawartego w niej ostrzeżenia przed śmiercią najważniejszą ze wszystkich – swoją własną.

A właściwie – żeby być całkowicie ścisłym – wszyscy poza Davidem McDonaldem, pewnym niemieckim SS-Standartenführerem i garstką alianckich żołnierzy. Wszyscy oni przeżyli wojnę, choć nie przetrwali pokoju i wszyscy wiedzieli, co naprawdę stało się z trzydziestocentymetrowym posążkiem po tym, jak Brytyjcy komandosi zaskoczyli resztki esesowskiej eskorty Stollenberga w zrujnowanej stoczni w Bremerhaven.

Wiatr zaczął wiać coraz silniej, uderzając zza rogów budynków wzdłuż Long Acre. Krople deszczu wirowały i tańczyły w bursztynowej poświacie lamp ulicznych, zmuszając wszystkich, poza najbardziej zdeterminowanymi nocnymi markami, do szukania jakichś kryjówek. Teraz, koło północy, piętra, na których znajdowały się biura były ciemne i milczące, chociaż w mieszkaniach, w których ludzie wciąż rozmawiali, sprzeczali się, kochali, albo kładli do snu nie zakłóconego myślami o... wciąż świeciły się światła.

Kyle zatrzymał się gwałtownie, marszcząc brwi. Kiedy mijał ostatni, wąski zaułek w jego podświadomości zakiełkowało jakieś niejasne wspomnienie. Wtulając podbródek w kołnierz płaszcza zawrócił pod wiatr i przeszedł na róg. Tabliczka z nazwą ulicy lśniła, krople deszczu drżały i migotały pod naporem nawałnicy, odbijając poświatę ze znajdującego się obok okna na parterze: Shipskull Lane WC2.

Oczywiście! Biuro Jaggersa! Pulsujące serce wszechświatowego imperium o nazwie Singh Shipping Corporation mieszczące się w całych dwóch pokojach. Oraz w przedsionku o rozmiarach znaczka pocztowego prowadzącym do szafy w ścianie, w której znajdowała się toaleta i najnowocześniejszy czajnik elektryczny.

I to właśnie światło w oknach Singha rozświetlało noc. Światło nadziei ubogich wilków morskich szukających statku do zamustrowania – którzy w końcu, gdy znajdą się na sparciałej tratwie ratunkowej, dojdą ostatecznie – choć za późno – do wniosku, że wtedy konieczność zatrudnienia wcale nie była aż tak nagląca. Ale przecież była już północ. Z całą pewnością Jaggers nie trzymał osobiście nocnej wachty, by zademonstrować solidarność ze znajdującymi się w potrzebie marynarzami, których eksploatował? Według całkowicie nieobiektywnej opinii Kyle'a, było zupełnie nieprawdopodobne, żeby Singh kiedykolwiek postawił nogę na trapie – a na pewno już nigdy nie wszedł na pokład leciwych wraków, pływających pod banderami reprezentowanych przez niego armatorów.

Nagle zdał sobie sprawę, że agenci handlowi prowadzą swą działalność niezależnie od międzynarodowych stref czasowych. Singh najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że musi pracować również w godzinach bardziej nadających się dla duchów. Zwłaszcza w takie noce, kiedy zyskom zagrażała rdza. Przeciążone, przepracowane frachtowce tonęły o każdej porze, zupełnie nie licząc się z wygodami takich agentów, jak Jagjivan Singh. Załogi schodzące ze statków stojących w Panamie lub Singapurze ponieważ przez sześć miesięcy musiały zadowalać się minimalnymi racjami żywnościowymi i nie otrzymywały poborów od przynajmniej trzech również miały skłonność do przejawiania nierozsądnego egoizmu i często nie przestrzegały zasady, aby ich ostatni, beznadziejny protest złożony został w czasie obowiązujących w Zjednoczonym Królestwie godzin urzędowania.

No cóż, było już po godzinach urzędowania i chociaż Kyle nie był ani głodny, ani też szczególnie samolubny, to jednak cholernie nie lubił, by zarówno jego najlepszy przyjaciel, jak i facet, którego zupełnie nie szanował, uważali go za pokorne ciele. Do cholery, nie miałby nawet nic przeciwko temu, aby David ponownie zgłosił go jako ochotnika, który pomoże Singhowi rozwiązać jego problemy z załogą. Był tylko jeden warunek – żeby było to w jakikolwiek sposób związane z zagadką Nefretete. Jednak zostawiona przez Jaggersa wiadomość wykluczała taką możliwość.

Rejs na jakimś rozpadającym się frachtowcu, do Bóg wie jakiego miejsca na tej planecie, nie mógł zastąpić urlopu – zasłużonego i oczekiwanego z utęsknieniem do chwili, gdy Czarne Szczury zwabiły go do swojej „kanapki z dżemem” i rozerwały cały jego świat na strzępy. Nie mógł też być uznany za część śledztwa związanego z tajemnicami drugiej wojny światowej. Poza tym, wiedział już, że konwój Stollenberga był kolumną pojazdów lądowych i nie miał nic wspólnego z konwojem statków, jak w swej naiwności początkowo sądził Kyle.

A więc zapomnij o tym, Jaggers. Rotterdam nie znajduje się na trasie detektywistycznych wędrówek pierwszego oficera Kyle'a. Nigdy więcej, Panie Przyjemniaczkule!

Drzwi prowadzące ze Shiplull Lane do wspólnego korytarza nie były zamknięte. Ten fakt nie sugerował wcale nic groźnego – po prostu brak gospodarskiej opieki widoczny w łuszczących się wielobarwnych warstwach farby. A być może, pomyślał Kyle, właściciele niektórych nieruchomości, podobnie jak armatorzy niektórych statków, również znaleźli sposób unikania odpowiedzialności, ukrywając się za tanimi banderami. Musiał jednak przyznać, że odrapane drzwi, były przynajmniej

porządnymi drzwiami. Pasowały do standardów, według których Jagjivan Singh prowadził swoje interesy.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc ostrzegawczo zardzewiałymi zawiasami i przez chwilę Kyle miał wrażenie, że ujrzy oświetlone migoczącymi świecami wnętrze zamku Frankensteina. Zamiast tego znalazł się w długim korytarzu z kamienną posadzką, prowadzącym do znajdujących się w drugim końcu schodów i oświetlonego, jeżeli w przypadku tym można użyć aż tak ekstrawaganckiego określenia, pojedynczą sześćdziesięciowatową żarówką. Po obu jego stronach widać było prowadzące do wewnętrznych pomieszczeń kolejne solidnie wzmocnione drzwi, z których większość nosiła jeszcze ślady łomów całych pokoleń optymistycznych włamywaczy – informowały o firmach, które starały się zarobić na kawałek chleba w tym dickensowskim ośrodku kosmopolitycznego handlu. „Whang Zhendong Orientalne Towary Importowane”, „Żarty i Nowości Wujka Hiram, Sp. z o.o.”, „Artefactos del Republico del Paraguay”... „D a pan” – nie, to chyba był napis „Dla pań”, zanim nie przeredagował go jakiś wandal. „Lolita – masaż...”

Wchodząc po schodach, które po dwustu latach deptania ich przez podeszwy niezliczonych butów były nie tylko wklęsłe, ale również cholernie niebezpieczne, Kyle przestał myśleć o staroegipskich relikwach. Zamiast tego zaczął analizować napis „Lolita – masaż i terapia relaksacyjna. Spółka z o.o.”; czy Lolita zawsze miała na imię Lolita, czy też jest to zaszyfrowany komunikat określający rzeczywiste usługi jakiejś przedsiębiorczej damy? Coś takiego jak pan Smith, który nie jest panem Smithem... I nagle, zatoczywszy pełne koło, znowu dotarł do widma SS-Standartenführera Stollenberga.

Imponująca mosiężna tabliczka widniejąca bezpośrednio z prawej strony głosiła: „Korporacja Żegluga Singha”. Niedawno ją wypolerowano i wyglądała teraz równie schludnie, jak kompas klipra herbacianego. Jak podejrzewał Kyle, była pomyślana nieco na wyrost, i jej zadaniem było zapewnić klientów, którzy przeżyli wspinaczkę po schodach, że Korporacja Singha prezentuje sobą wyższą klasę niż wszystkie handlowe płotki z dziobówki. Uchylone usłużnie drzwi nawet nie zaskrzypiały, gdy je popchnął. Zawiasy były naoliwione.

Najmniejszego dźwięku. To jednak kiepskie zabezpieczenie, pomyślał Kyle, wchodząc do przyprawiającej o klaustrofobię kłitki pełniącej rolę wielkiego holu prowadzącego do Korporacji Singha. Znajdujące się po przeciwnej stronie drzwi z matową szybą były zamknięte. Każdy mógłby się tu zakraść, nie alarmując personelu Korporacji i ukraść czajnik, albo cokolwiek innego. Nawet wdrzeć się do środka i zlikwidować wszystkie osoby w biurze, zanim zdążą...

Biorąc pod uwagę moje aktualne dokonania, pewnie tak się stało – pomyślał Kyle gorzko. Pewnie znajdę tam kolejnego pieprzonego trupa, albo coś w tym rodzaju. Tym razem najprawdopodobniej znajdę dwa. Przecież nie mogę nawet wziąć z szafy szczotki, żeby nie znaleźć tam jakiegoś cholernego denata!

Ale zegary zdążyły już wybić północ, Kyle był zmęczony i zdenerwowany, czuł jak deszcz spływa mu po grzbiecie i nie był w nastroju, żeby mieć jakieś cholerne, radosne myśli – chciał jedynie powiedzieć „Nie!” i wyjść.

Niecierpliwie zastukał w szklane drzwi.

– Jagers?

Żadnej odpowiedzi. Uniósł zaciśniętą pięść, żeby zastukać powtórnie, potem jednak postanowił – Ooch, pieprzą uprzejmości! – i nacisnął klamkę.

Recepcja, poczekalnia, kartoteka, centrum łączności były puste. Opakowania po gumie do żucia

i zaczytany egzemplarz „Młodej miłości” na biurku świadczyły o tym, że nastoletnia prawa ręka Singha była bardziej stanowcza niż jego wywodzące się z trzeciego świata załogi i nie pozwoliła wykorzystywać się po godzinach.

Czy rzeczywiście? Nagle niezadowolenie Kyle’a zaczęło ustępować coraz bardziej nasilającym się złym przeczuciom. Uznał jednak, że nie powinien pozwolić, aby górę wzięła jego zbyt często zabarwiona czarnym humorem ocena subtelnej linii odgraniczającej normalność od absurdu. Nie może dopuścić, aby jego wyobraźnia nawet na moment wmówiła mu możliwość odkrycia dalszych trupów.

Przyzywały go kolejne drzwi z matową szybą. Tym razem ze złożonymi literami. Narcystyczne, ale miłe. Bardzo eleganckie. „Jagjivan Ajit Singh. Dyrektor naczelny”.

– Jesteś tam, Jagers? Tu Kyle. Mike Kyle.

Ciszę zmąciło jedynie ciągłe ciurkanie wody wypływającej z zatkanej rynny na zewnętrznej ścianie budynku.

Kyle popchnął delikatnie te imponujące drzwi, otwierając je szerzej. A potem stał, nie wiedząc, czy powinien czuć ulgę, czy też...?

No cóż, w każdym razie, to miłe, że kiedy otworzył drzwi trupów było tyle co zawsze.

To znaczy jeden.

Z całą pewnością był to dyrektor naczelny z podciętym gardłem, który może jeszcze rozpaczliwie czepiał się życia.

Ilość wypływającej leniwie krwi była dla człowieka z doświadczeniem Kyle’a wyraźnym sygnałem, że nie ma potrzeby spieszyć się z wzywaniem karetki pogotowia.

Po otrząśnięciu się z szoku wywołanego ponownym spotkaniem się z Jaggersem, Kyle przyznał od razu, że jego pierwsze myśli nie przynosiły mu chwały.

No dobra – darł się na całe gardło jego wewnętrzny głos, podkreśnany budzącą się histerią. – Powiedz mi teraz, w jaki sposób masz zamiar wyjaśnić to Coksovi z Wydziału Specjalnego?

Przecież ataki gniewu niekoniecznie musiały być przywilejem rozczarowanych załóg zatrudnianych przez agenta. A inspektor Cox bardzo dobitnie podkreślił, że nie wierzy w przypadki. Tak więc, o ile odkrycie jednego częściowo zdekapitowanego denata można było uznać za nieszczęśliwe, lecz przypadkowe wydarzenie, to fakt, że Kyle w czasie zaledwie tygodnia natknął się na następnego, niewątpliwie spowoduje ironiczne uniesienie brwi przez znużonego życiem inspektora.

Czuł, że tkwi w gównie po uszy. A to była jaśniejsza strona całej sytuacji! Ciemniejsza polegała na tym, że Cox, zainteresowany przesadnym mnożeniem się ciał, zacznie badać, z kim Kyle kontaktował się w ciągu kilku ostatnich dni. Bez trudu ustali, że niedawno odwiedził także panią Williamson. Stary Ted również zginął na miejscu po tym, jak potracił go, zapewne skradziony w tym zbrodniczym celu samochód, prowadzony przez wciąż jeszcze nieznanego osobnika, a stało się to zaledwie kilka godzin po powrocie Kyle’a do Zjednoczonego Królestwa.

Wszystko to mogło skłonić Coksa do ponownego rozpatrzenia kolejnego przypadku gwałtownej śmierci, który na skutek niezwykłego zbiegu okoliczności również zdarzył się wkrótce po przybyciu Kyle’a do Anglii.

Tak więc niepokój Kyle’a był w pełni zrozumiały. Mówiąc wprost, miał całkowicie uzasadniony powód, by wpaść w panikę. Gdyby Cox dokładniej przyjrzał się całej sprawie, mógłby nawet przedstawić zupełnie logiczny motyw zamordowania Davida przez Kyle’a. Rozmowa z Rushbym niewątpliwie ujawniłaby, że ten, kto znajdzie drugą Nefretete, może zarobić na tym kupę forsy, a także, iż Kyle z dużym zaangażowaniem zajmował się ustalaniem, jak bardzo McDonald zbliżył się do swojego celu. Ktoś mógłby nazwać to zaangażowanie dość niestosownym, bo w czasie, gdy Kyle siedział przy pięciogwiazdkowym lunchu, jego najlepszy przyjaciel czekał właśnie na pochówek.

O, kurrrwa! Kiedy tak stał, patrząc ponuro na ciało Singha, ciemna strona sytuacji ciemniała coraz bardziej. Cox na pewno będzie chciał wiedzieć, dlaczego w czasie przesłuchania na okoliczność morderstwa Wandy Jakiejs-tam, z własnej i nieprzymuszonej woli nie ujawnił tak istotnego faktu, że rozmawiał z Davidem na krótko przed jego śmiercią. Przecież nawet zwykłe sprawdzenie spisu rozmów przeprowadzonych z telefonu McDonalda wykaże, że łączył się ze stojącym w porcie statkiem Kyle’a.

To zaś wywoła inne pytania. Trudne pytania. A nawet niedwuznaczne pytania. Takie jak: „No dobrze, Kyle, a więc kiedy już zabiłeś doktora i postanowiłeś sam zdobyć nagrodę za Nefretete, co

zrobiłeś z jego komputerem?”.

Na pewno uda mu się oczyścić z wszystkich zarzutów, choćby nawet z pewnym opóźnieniem. Wyjaśni Cokowski, że to wcale nie jego dzieło i że wszystko jest sprawką SS-Sturmbanführera, który w 1945 roku otrzymał w bunkrze Führera rozkaz od sekretarza Adolfa Hitlera, i który zmarł po latach w Bad Oldesloe, nie mówiąc nic nikomu.

Nie, lepiej trzymać się wersji, że winowajcą jest facet, który nazywa się pan Smith. Albo Rosjanin. Chociaż, prawdę mówiąc, nie zna jego nazwiska.

Rotterdam wydał się nagle Kyle'owi bardzo atrakcyjnym miastem. Sympatyczny, kosmopolityczny miejski labirynt. Dobry punkt startowy do zniknięcia bez śladu.

Jedyna nadzieja w tym, że policja, łącznie z inspektorem Coksem z Wydziału Specjalnego, sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej wersją o samobójczej śmierci Davida. Dzięki temu może nie wpadną na jego trop, zanim nie uda mu się rozplatać tej kabały.

Natomiast przeciwko temu krótkotrwałemu optymizmowi przemawiało, no cóż... Kyle'owi przychodził do głowy tylko jeden czynnik, który mógłby pomóc policjantom odróżnić cierpiącą na rozstrój psychiczny osobę, rzucającą się na tory, od ofiary morderstwa, która na te tory zostaje popchnięta.

Do tej drugiej możliwości potrzebny był podejrzany.

A podejrzany, który spełniał wszystkie wymogi był Kyle.

Nie zważając na ogarniającą go panikę, zmusił się do pozostania na ponurej, wiktoriańskiej scenie. Kroki, które obecnie podejmie i zdobyte tu informacje mogą zadecydować, czy do końca życia pozostanie człowiekiem ściganym i czy kiedykolwiek zabójca Davida poniesie karę.

No dobrze. Przede wszystkim można chyba z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że Jagers Singh nie popełnił samobójstwa. Nie było to w tym przypadku ucieczką w czarny humor, tak charakterystyczny dla Kyle'a w momentach wielkiego stresu. Już raz... nie raz, o ile nie będzie liczył zeszlotygodniowej Wandy – spotkało go coś podobnego. Był pierwszym oficerem na kontenerowcu zacumowanym w Bombaju, kiedy drugiego mechanika znaleziono w jego kabinie z poderżniętym gardłem.

Dla niedoświadczonego w takich sprawach Kyle'a i jego kapitana, dowody wyraźnie wskazywały, że mechanik popełnił samobójstwo. Mnóstwo krwi, nóż, trzymany luźno przez nieboszczyka, list z nagłówkiem Drogi Johnie, w którym narzeczona mechanika zrywała ich zaręczyny, ewidentna depresja, dręcząca ofiarę od chwili otrzymania tego listu w Adenie.

– Załatwił się – mruknął Stary. – Sprawa zamknięta, panie Kyle!

– Niezupełnie – nie zgodził się wezwany na statek mały Hindus, anatomopatolog. – Ten biedak został zamordowany... Proszę zwrócić uwagę, łaskawi panowie – trzyma broń w prawej ręce, natomiast cięcie przebiega ukośnie od prawej do lewej. Zechciałby pan spróbować?

– Nie, dziękuję – odmówił uprzejmie Kyle. Zrozumiał, o co chodzi lekarzowi.

– Poza tym jest tylko jedno cięcie, głębokie i zdecydowane, widzicie panowie? A na podstawie doświadczenia mogę stwierdzić, że nieszczęsny dżentelmen, który pragnie odebrać sobie życie, niemal zawsze robi dwa lub trzy próbne cięcia, zanim desperacja nie umocni go w postanowieniu.

– Pójdę załatwić papierkową robotę. Spróbuję wydostać skądś następnego, cholernego drugiego – burknął Stary, odwracając się pospiesznie. Proszę dalej zajmować się tą sprawą, panie Kyle.

– Z kolei ofiara morderstwa najczęściej będzie miała jedno, bardzo zdecydowane cięcie wykonane przez napastnika ze znaczną siłą. Widzi pan, panie pierwszy oficerze? Proszę spojrzeć na ranę z bliska.

Na szyi Jaggersa Singha również widać było tylko jedno cięcie. Rzeczywiście wykonane z dużą siłą... Wystarczająco dużą, by całkowicie przeciąć mu...

– Poza tym samobójcy mają skłonność do popełniania pewnego psychologicznego błędu. Bezpośrednio przed ostatnim, rozpaczliwym cięciem czują przemożną chęć odchylenia głowy do tyłu, by w ten sposób napiąć i odsłonić gardło. – Doktor z Bombaju pokręcił głową, ubolewając nad brakiem anatomopatologicznej wiedzy jego klienta. – To daje zupełnie odwrotny skutek, proszę pana, ponieważ powoduje cofnięcie się głównych tętnic, które kryją się za tchawicą.

Ten, kto poderżnął gardło Jagjivana Singha nie popełnił tego kardynalnego błędu. W chwili, gdy zabójca pociągnął ostrzem noża, podbródek agenta został z całej siły przyciśnięty do piersi. Kyle wzdrygnął się i odwrócił głowę.

Ostatecznie nikogo nie aresztowano za morderstwo drugiego mechanika. Tego dnia po statku wałęsało się wielu obszarpanych dokerów i stoczniovców, z których każdy chętnie dorobiłby na boku. Miejscowa policja stwierdziła, że było to zabójstwo połączone z próbą kradzieży. Nagła śmierć jest elementem codziennego życia bombajskich doków.

Kyle zastanawiał się później nad tą sprawą. Po tym, jak usłyszał, że oficer techniczny kontenerowca, człowiek skłonny do ataków agresji, ożenił się.

Z dziewczyną, która przedtem była narzeczoną drugiego mechanika.

Po wyczerpaniu swojej wiedzy na temat podrzynania gardeł, Kyle'owi skończyły się pomysły. Kończył mu się również czas. Wprawdzie był środek nocy, ale ktoś – właściciel sąsiedniej firmy, szukający okazji złodziej, jeden z zatrudnionych kiedyś przez Jaggersa marynarzy, który bardzo chciałby z nim porozmawiać o tym, jak wylądował bez grosza w Malakce, Manili czy Bóg wie gdzie jeszcze – mógł pojawić się w drzwiach gabinetu.

Rozglądaj się uważnie. Wypatruj czegoś niezwykłego – zmuszał się do myślenia. – Co tu nie pasuje. Szukaj czegoś, co albo nie powinno się tu znajdować, albo co powinno tu być, ale go nie ma... albo jest, ale wydaje się nie na swoim miejscu.

Nie dostrzegł niczego szczególnego. Żadnego narzędzia zbrodni bardziej śmiertelnościowego od leżącego na biurku tępego noża do papieru. Co oznaczało, że jego wiedza na temat podrzynania gardeł okazała się całkiem zbędna, było bowiem dość mało prawdopodobne, żeby Jaggers popełnił samobójstwo, a następnie wstał i schował...

Znowu Cox! Na wszystko nakładało się wspomnienie lakonicznych uwag inspektora. Tym razem była to udzielona po poważnym namyśle odpowiedź na sugestię Kyle'a, że być może Wanda sama odkręciła gaz w jego mieszkaniu.

– Czy pana zdaniem miało to miejsce przed czy po tym, jak wbiła sobie nóż w gardło, a następnie ukryła własne zwłoki w szafie? – zapytał Cox.

– O kurrr...! – Kyle zamierzał rzucić przekleństwo pod adresem całego świata, i nagle zamilkł, marszcząc czoło.

Na biurku leżał plik dokumentów. Kilka spiętych razem arkuszy papieru. Na wierzchniej kartce widniał napis – Lista załogi. MV „Centaur”. Papiery były owszem, bardzo interesujące, zwłaszcza dla człowieka omarynarskich kwalifikacjach, wybierającego się w podróż... dokądkolwiek. Ale to

nie dlatego zwrócił na nie uwagę.

O ile pozostałe dokumenty rozrzucone na blacie biurka nasiąkły rozlewającą się naokoło krwią Singha, to ten plik był czysty. Wprawdzie dwie czy trzy dolne kartki również wchłonęły część czerwonej powodzi – można to było wytłumaczyć działaniem naczyń włoskowatych – ale górna karta ocalała. Jedyne na krawędziach pojawiły się przypominające przegrzebki Siady wysychającej krwi – co nawet dla dyletanta, jakim był Kyle oznaczało, że ten plik papierów został położony na biurku Jaggersa po, a nie przed brutalną napaścią na agenta.

Czy z kolei nie oznaczało to, że osoba, która zamordowała Singha mimowolnie zdradziła swoje zainteresowanie tym właśnie dokumentem? Musiała mieć powód, żeby się z nim zapoznać przed położeniem go z powrotem, zapewne bezmyślnie, w kałuży krwi rozlewającej się po biurku. Ale dlaczego? Czy dokumenty dotyczące rutynowych spraw związanych z jednym z wielu rejsów statku zarządzanego przez Korporację Żeglugową Singha mogły zawierać jakiś sensowny powód, by podejrznać człowiekowi grdykę?

Lista załogi. MV „Centaur”. Rejs 289... Rzeczywiście, ten statek przepłynął już parę mil morskich. Dokąd więc zmierzał w tym rejsie, który stopniowo nabierał dla Kyle’a coraz większego znaczenia?

Narwik, Rotterdam, Neapol, do Dżibuti przez Kanał Sueski. Czy w Dżibuti zatrzymują się, żeby zabunkrować paliwo? Nie, to port ostatecznego rozładunku, potem jednak statek miał płynąć dalej na wschód do końcowego punktu przeznaczenia – Banji Beach.

Banji Beach? To na zachodnim wybrzeżu Indii. Kyle słyszał o tym miejscu, ale na szczęście nigdy nie miał powodu, by tam płynąć. Długi i szeroki pas czystego, białego piasku na południe od Srivardhan. Statki przyływają tu, i nigdy już nie odpływają. Banji Beach była morskim cmentarzyskiem. Każdy statek, którego miejscem przeznaczenia była Banji Beach, płynął z pełną prędkością w kierunku brzegu do momentu, gdy jego stępka wbijała się w miękkie piaszczyste dno, a potem powoli, lecz nieodwołalnie zatrzymywał się na swój ostatni spoczynek – wyrzucony na brzeg i wystawiony na łup palników acetylenowych oraz ciężkiego sprzętu.

Banji Beach była stoczną rozbiórkową o najlepszym stosunku kosztów do zysków. Gdy tylko statek wpływał na plażę, tysiąc, dwa tysiące hinduskich robotników oblepiało go niczym mrówki-robotnice. Za garść rupii rozbierali go i dosłownie rozkładali do pudełek. Płyty poszycia przeznaczano do ponownego użytku, główne i pomocnicze silniki rozbierano na części. Całe wyposażenie dodatkowe zdejmowano, odświeżano i wysyłano dalej kotwice, liny, wały, śruby... nawet mosiężne śrubki czy zawiasy były pracowicie wykręcane, czyszczone i pakowane.

A więc Kyle miał rację. Statek motorowy „Centaur” rzeczywiście okazał się jednostką typową dla przedsiębiorstwa Jagjivana Singha – starą i pozbawioną wartości użytkowej nawet dla armatorów, którzy żyli z takich właśnie statków-trumien. Przypuszczał, że była w gorszym stanie, niż można to było sobie wyobrazić. Statek naprawdę musiał być na wykończeniu, skoro wysyłano go w ostatni rejs. Rzeczywiście: „Odstawić maszyny, panie pierwszy”. Na zawsze.

Ciekawe, kto jeszcze miał popłynąć razem z nim w ten ponury, ostatni rejs „Centaura”? Kim był na przykład jego Stary? Prowadzenie własnego statku na egzekucję nie było jakimś wielkim osiągnięciem w karierze zawodowej.

Lista informowała go, że kapitanem jest Ferreiro Cavaco Barrosa. Portugalczyk. Barrosa to portugalskie nazwisko, prawda? Tak, Portugalczyk, jak świadczy uwaga na marginesie. Zgadza się.



Niżej – pierwszy oficer Michael B. Kyle! Potwierdzone czarno na białym i obramowane przegrzebkową czerwienią.

Dzięki Davidzie, najdroższy przyjacielu, serdeczne dzięki! Pewnie będę jedynym dzielnym Brytyjczykiem w tej – jak się niewątpliwie okaże – wielonarodowościowej załodze nieudaczników. Ale być może ten łagodzony ciepłymi wspomnieniami sarkazm wcale nie był tak usprawiedliwiony. Zwłaszcza teraz, kiedy nazwisko Jagjivana Singha zostanie dodane do posiadanego przez policję spisu zwłok, z którymi Kyle miał do czynienia. Może więc lepiej złapie pierwszy ekspres „Eurostar” podążający na kontynent tunelem pod kanałem La Manche i po południu będzie już w Rotterdamie. „Centaur” miał zacumować tam w piątek. Przy pewnej dozie szczęścia policja w tym momencie zacznie dopiero dodawać dwa do dwóch i wyjdzie im cztery razy Kyle.

Drugi oficer William Voorhoeve. Holender? Belg? Nie, Kanadyjczyk, zapewnił go margines. Dzięki Bogu, pomyślał ponuro Kyle, chwytając się niczym słomki tej pozytywnej informacji. Przynajmniej na pokładzie będzie jeden facet, który zrozumie, jak mu powiem „Dzień dobry”. Co wcale nie oznacza, że będę miał powód cieszyć się tam z choćby jednego cholernego dnia.

Trzeci oficer Saifur Kamal Chowdhury, Bangladesz... On również powinien mówić po angielsku. Jeżeli nie, to lepiej będzie, jeżeli się nauczy i to w podskokach. Znajomość bengalskiego była u Kyle’a równie niewielka jak jego cierpliwość i tolerancja w czasie tego konkretnego rejsu.

Pierwszy mechanik Mahammad an Saaidi. Marokańczyk... Marokańczyk?! Czy Wanda z szafy nie była Marokanką, albo w jednym ze swoich wcieleń nie działała na marokańskich papierach? Kyle jeszcze przez chwilę patrzył na to nazwisko, marszcząc brwi, ale potem odsunął je w głąb swojego i tak już przepracowanego umysłu. Drugi mechanik, Maurice Beaubrun Haitańczyk. Jezu przenajświętszy, Haitańczyk? Czy pozostał przy życiu jeszcze jakiś haitański mechanik okrętowy? Czy przypadkiem wszyscy dysponujący marynarskimi patentami przedstawiciele tej narodowości nie potopili się na haitańskich promach, które zdołali do tej pory posłać na dno?

Kyle szybko zapoznał się z resztą załogi wymienioną w spisie i bez szczególnego zdziwienia przekonał się, że nie zna żadnego z tych ludzi, ani nie jest w stanie wymówić ich nazwisk.

Potem nastąpiła pracowita i nieudana próba odsłonięcia przy pomocy ołówka drugiej, również z zakrwawionymi krawędziami strony. Kiedy obrzydzenie wzięło wreszcie górę nad determinacją, rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mu posłużyć za pęsetę. Znalazł wreszcie rozwiązanie okazało się nią leżące w koszu na śmieci plastikowe opakowanie po kanapce. Bardzo ostrożnie podniósł cały dokument z krwawej kałuży i nie bacząc na kapiące z niego krople, umieścił w plastikowej torebce. Nie było to właściwe postępowanie, ale uważał, że nie należy pozostawiać jakichkolwiek dowodów łączących jego nazwisko zarówno z Jaggersem, jak i z ostatnim rejsiem „Centaura”. Interpol ma długie ręce i nie miał ochoty spędzić kilku miesięcy w mamrze w Dżibuti, w czasie gdy dyplomaci będą się sprzeczać o drobiazgi związane z procedurą ekstradycji.

Rozglądał się jeszcze przez chwilę, zanim wycofał się do pierwszego gabinetu, starając się bardzo, by nie nastąpić na nasiąknięty krwią dyktorski dywan Singha. Przekonany, że poza samym dokumentem nie dotknął niczego w tym wewnętrznym sanktuarium, Kyle wytarł kłamkę, niczym odbywający pierwszy rejs praktykant, polerujący mosiężną tabliczkę zdobiącą drzwi kajuty jego kapitana.

Dopiero potem z równą starannością zajął się pierwszym gabinetem. Właśnie rzucał za siebie ostatnie spojrzenie, aby jeszcze raz upewnić się, że niczego nie pominął, gdy coś rzeczywiście zwróciło jego uwagę. Coś, co znajdowało się na półkach za biurkiem recepcjonistki. Nie było to nic,

co obciążałoby jego osobę – ani też nie sprawiało wrażenia, że jest tu nie na miejscu – ale mimo wszystko nieoczekiwana myśl, która przysłała mu do głowy sprawiła, że wrócił do środka.

Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu niecałe trzy minuty.

Natomiast kolejne trzy, a może nawet pięć... by... by zebrać myśli, pojąć znaczenie tego, co właśnie odkrył i pomyśleć, czy coś takiego jest w ogóle możliwe. Wsłuchiwał się w równy chłopot deszczówki spływającej po ścianie gabinetu przyjaciela jego martwego przyjaciela i dywagował o makabrycznym łańcuchu wydarzeń, który doprowadził go do tego odkrycia, a także o tym, jak długo widmo Standartenführera Stollenberga będzie trwać w uśpieniu, zanim poruszy się znowu i spróbuje zabić kogoś następnego.

Jeżeli jego ostatni wniosek był słuszny – kolejną ofiarą będzie on sam.

Pozostawił tymczasowe miejsce spoczynku Jagjivana Singha w takim stanie, w jakim je znalazł. Żadnych odcisków palców, żadnych śladów bytności. Och, oczywiście podejrzewał, że istnieją testy, które mogą mu udowodnić, że się myli, ale – uwzględniając to, czego się właśnie dowiedział – Kyle nie miał zamiaru tkwić w Londynie w czasie gdy kryminalodzy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pozbierają włókna dywanu oraz inne mikroślady z podeszew jego butów. W końcu jednak panika ustąpiła miejsca chłodnemu rozumowaniu. Według jego tajwańskiego roleksa była pierwsza w nocy – z dwudziestominutowym marginesem błędu w każdą stronę. Przede wszystkim nie będzie uciekał o świcie tunelem pod kanałem La Manche. Ma jeszcze pewne sprawy do załatwienia i jeżeli zachowa spokój, ma na to sporo czasu. Zapewne może liczyć na minimum dobę, zanim policja poprzez osobę Davida skojarzy z nim Jaggersa. I zacznie go szukać.

Tej nocy się pomylił. Znalazł tylko jednego trupa. Ta ucieczka w kpinę pomagała mu opanować narastające złe przeczucia. Postanowił jednak, że po powrocie do domu, na wszelki wypadek sprawdzi szafę w przedpokoju. Żeby mieć pewność.

Kyle przeszedł piechotą całą milę, pod kątami prostymi oddalając się od wykreślonej w wyobraźni linii pomiędzy biurem Jaggersa a mieszkaniem na Ringtree Gardens. Następnie zawiniętą w plastik listę załogi ukrył głęboko w wózku na budowie, a potem z ulgą zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Była to kolejna, mała sztuczka, która miała zbić policję z tropu, gdyby chciała przepytąć wszystkich taksówkarzy na okoliczność wykonanych wczesnym rankiem kursów z rejonu Shipskull Lane.

W istocie to masochistyczne kluczenie sprawiło mu przyjemność. Podmuchy wiatru, lodowaty deszcz zacinający w twarz, jak podczas paskudnej nocy na morzu. Czuł, że jednak żyje. A przecież uczucie to stawało się rzadkością wśród ludzi, którzy szukali prawdy, kryjącej się w cieniu „Mitu Stollenberga”.

Jednak Kyle nie musiał już dłużej szukać. Już nie.

Wiedział, gdzie ukryta jest druga Nefretete.

# 14

– Ile ciał? – eksplodował Hackman.

– Cztery – odpowiedział Kyle. – No nie, właściwie trzy. Oczywiście nie prosiłem, żeby pokazali mi Teda Williamsona.

Twarz Hackmana zachowała obojętny wyraz, gdy podjął na nowo swój szturm na pełnowymiarowe angielskie śniadanie. Kyle obiecał mu je, jeżeli spotka się z nim wcześniej rano w nieco mniej niż pięciogwiazdkowej restauracji koło mostu Putney. Jego uczucia zdradzało jedynie to, że wbijał widelec w jajko z okrucieństwem, które zmusiło Kyle'a do odwrócenia wzroku.

Kęs później były żandarm zmęczonym gestem położył sztućce na wciąż pełnym talerzu i spojrzał ostro na Kyle'a.

– No dobra. Czy może mi pan dać jeden istotny powód, dlaczego nie powinienem natychmiast przekazać pana władzom, panie Kyle?

– Nie – odparł Kyle.

– Czy zabił pan którekolwiek z nich?

– Nie – oświadczył Kyle.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że i tak siedzi pan w gównie po uszy? warknął Hackman.

– Tak – odparł Kyle.

– I zdaje pan sobie również sprawę, że jeśli nie pójde do gliniarzy i nie powtórzę im tego, co mi pan przed chwilą powiedział, ja też wyląduję głęboko w gównie?

– Tak – oświadczył Kyle.

– Oooh, na litość boską!

– Zamierzam znaleźć tego skurwysyna, który zabił Davida, panie Hackman – poinformował go Kyle. – Bez względu na to, czy pójdzie pan na policję, czy nie. Napije się pan kawy czy herbaty?

– Herbaty – postanowił Hackman.

– Cała rzecz w tym, czy Wanda Jakjejtam, przyszła do pańskiego mieszkania tylko po to, by zwinąć komputer doktora, czy z jakiegoś innego powodu? – odezwał się Hackman, marszcząc brwi, gdy Kyle zrobił przerwę w wyjaśnieniach. – Czy zabójca jej tam towarzyszył, czy też ją śledził? No cóż, w każdym razie, zabił ją w mieszkaniu... i dlatego pomajstrował przy gazie, żeby wszystko wyleciało w powietrze. Chyba że, jak pan sugeruje, było to zabezpieczenie i zrobił wszystko po to, aby zniszczyć wszelkie tropy prowadzące do Nefretete i za jednym zamachem zagmatwać sprawę. Żeby wszystko wskazywało na to, że doktor był żalonym sukinsynem, który załatwił swoją przyjaciółkę, a potem uznał, że nie ma ochoty płacić za pogrzeb.

– Gdybym znał odpowiedź choćby na jedno z tych pytań – mruknął Kyle – pewnie nie stawiałbym panu teraz śniadania.

– Ależ tak, stawiałby pan, łaskawy panie. Ponieważ wciąż nie wiedziałby pan, dlaczego ktoś,

zapewne ten sam sprawca, dziabnął ubiegłej nocy pańskiego kumpla Jaggy'ego – zripostował Hackman. – A w ogóle, jak to się ma do całej sprawy?

– Nie Jaggy'ego, a Jagersa – albo właściwie Jagjivana Singha. Opowiem panu o nim we właściwym czasie, ale teraz proszą jedynie zapamiętać, że nie był moim przyjacielem, ale Davida. Osobiście nie cierpialem tego małego palanta.

– Nie radziłbym panu mówić tego policji.

– Nie mam zamiaru niczego mówić policji. I dlatego stawiam panu śniadanie, panie Hackman.

Hackman wrzucił do kubka z herbatą trzy kostki cukru.

– No dobra. A więc, co wiemy o tych zabójstwach, panie Kyle? Jedynym konkretnym faktem, jaki udało się do tej pory ustalić, dzięki uprzejmości pańskiego inspektora z SO13, jest fakt, że istnieje jakaś więź łącząca Wandę, rodzinę Stollenbergów i niemiecką grupę terrorystyczną „Odrzucenie” albo w każdym razie istniała kilka lat temu. Zanim młody Günther dostał w czapę od straży granicznej. Czy chce pan, żebym sprawdził teraz jego historię? Potwierdził na początek, że był potomkiem Standartenführera?

– A może pan?

– Mogę po południu zadzwonić do Frankfurtu. Wciąż mam kumpli, którzy służą w żandarmerii Brytyjskiej Armii Renu. Jeżeli nie mogą sami zadzwonić do GsG9 i mnie tam polecić, na pewno znają kogoś, kto może to zrobić.

– To tylko takie podejrzenie – powiedział Kyle – ale gdy będzie pan korzystał ze swojej siatki starych kumpli, niech pan dowie się jak najwięcej o niedawno zdemobilizowanym starszym sierżancie Królewskiej Piechoty Morskiej o nazwisku John Lewis.

– Lewis? – Nazwisko najwyraźniej budziło u Hackmana jakieś skojarzenia. Kyle opowiedział mu o tym, jak bliski był Lewis Williamsonowi i jak wielkim uczuciem rodzina Lewisów darzyła panią Williamson. Hackman w międzyczasie zdążył już skojarzyć to nazwisko z dawnym towarzyszem broni Teda – kapralem komandosów Arthurem Lewisem.

– To pasuje do pańskiej teorii o spadku. Grzechy ojców i tak dalej?

– A może pan teraz wymyślić coś lepszego? No dobra, wciąż pozostaje nam spora lista podejrzanych. Poza samym Stollenbergiem było, ilu... dwunastu Brytyjczyków, którzy przeżyli walkę w stoczni, w tym również Williamson i Lewis, prawda? Każdy z nich mógł przekazać swoim dzieciakom tajemnicę Nefretete. Ale John jest jedynym znanym nam do tej pory przedstawicielem następnego pokolenia i... – Kyle zawahał się, nie mogąc dokładnie określić o co mu chodzi. – No nie wiem, panie Hackman. Spotkałem go tylko przelotnie, ale jest w tym facecie coś, co kojarzy mi się z Kotem z Cheshire.

– Z czym?

– Nieważne – Kyle poczuł, że mówi głupstwa.

Hackman spojrzał na niego dziwnie.

– Mogę sprawdzić jego akta służbowe i to właściwie wszystko. Ale jest jedna sprawa, o którą powinien pan sam siebie zapytać, panie Kyle. Stawiam funta przeciwko pensowi, że ten, kto zabił doktora McDonalda i innych, przejechał również Teda Williamsona. Ale przecież według wdowy po nim, Ted był dla byłego sierżanta Lewisa niczym drugi ojciec. Przy tak bliskich związkach, czy to możliwe, żeby gość załatwił swojego...?

– Znalazłem młodą kobietę, której wbito pod brodę nóż z taką siłą, że czubek niemal wylazł jej przez głowę, panie Hackman – przerwał mu zdecydowanie Kyle. – A Jagersowi złośliwie odcięto

głowę. Każdy, kto może zrobić coś takiego innemu człowiekowi musi być psychopata. Serdeczne więzi nie mają tutaj znaczenia.

– W takim razie, niech pan o tym pamięta, bo to znaczy, że nie może pan nikomu ufać.

– Nawet panu?

– Są dwie możliwości. Albo mówimy sobie auf Wiedersehen i idziemy każdy w swoją stronę, albo dzwonię po południu do Frankfurtu i bierzemy się do roboty. Tak czy owak, płaci pan za moje śniadanie.

– To było cholernie dobre śniadanie – odparł Kyle. – Zgodnie z definicją, kilka morderstw nie przeszkodziłoby psychopacie w zjedzeniu takiego posiłku. Ale pan nie zjadł.

– Cóż za logika – oznajmił ponuro Hackman. – Dziwne, że udało się panu przeżyć tak długo.

– Wiemy, że dziewiąta ciężarówka Stollenberga nie dotarła na spotkanie z U-Bootem Erharda podsumował Kyle. – Biorąc pod uwagę, że miasto miało paść lada chwila, trudno uwierzyć, aby komukolwiek udało się dotrzeć do położonych w dole rzeki schronów dla okrętów podwodnych, nawet gdyby Kapitan-Leutnant przeżył ostatni patrol.

– A jednocześnie zaręczam, że na zdjęciach Lightwoda jest dosyć dowodów, potwierdzających w stu procentach, że ciężarówka dotarła do stoczni.

– Mamy coś więcej – przypomniał Kyle. – Niech pan doda do tego wysunięte przez Lightwoda oskarżenie, że w stoczni Bremerhaven rozstrzelano wziętych do niewoli esesmanów. Moim zdaniem jest to wystarczający dowód, że nie dotarli nigdzie dalej. Jest pan wojskowym – co zrobiliby później?

– Na ich miejscu – wyjaśnił szczerze Hackman – zrobiłbym Hdnde hoch i zawołał Kamerad, Tommyl Coś powiedziało Kyle'owi, że Hackman wcale by tak nie postąpił. Był na to zbyt twardym sukinsynem. A to podnosiło na duchu.

– Sądzę, że przeszli do Sprytnego Nazistowskiego Planu B. Ukryli Nefretete, żeby czekała na powstanie Czwartej Rzeszy. Albo przynajmniej próbowali tak zrobić.

– Z całym szacunkiem, panie Kyle, ale to już nie dedukcja, ale czyste domysły. Przede wszystkim zakłada pan, że w tym momencie Stollenberg wciąż jeszcze był w posiadaniu statuetki, gdy tymczasem w rzeczywistości mogła się znajdować w którejś z pozostałych ciężarówek. Może została zniszczona jeszcze w Brahlstorf nad jeziorem Müritz, kiedy samoloty ostrzelały jego kolumnę.

– David tak nie uważał. Kiedy z nim rozmawiałem był zbyt pewny siebie, zbyt podniecony. Musiał mieć jakiś dowód na to, że Stollenberg miał ją ze sobą w stoczni.

– Skąd miał ten dowód?

Kyle znowu pomyślał o wizycie u wdowy po Tedzie i o tym, co mu powiedziała. O optymizmie, jaki okazywał jej mąż po powrocie z wojska. O jego zapewnieniach, że załatwił w wojsku sprawy w taki sposób, że będzie mógł utrzymać wtedy wciąż jeszcze młodą panią Williamson na poziomie, do jakiego nie przywykła i jak w miarę upływu czasu przestał marzyć – aż do niedawna. Wyglądało na to, że ostatnio znowu odzyskał dobry nastrój, zaczął nawet chodzić tak sprężyście, jak przed wieloma laty. Roztaczał wizję ich bogactwa i opowiadał, że będzie ich stać na dom nad morzem – a nastąpiło to natychmiast po wizycie złożonej mu przez Davida McDonalda.

– Ach tak, Tedzie Williamsonie? – podobno odpowiedziała mu starsza pani. – I przypuszczam, że masz zamiar powiedzieć mi teraz, kto za to wszystko zapłaci, prawda?

Kyle pamiętał, że uśmiechnął się wówczas pobłaźliwie.

– I co Ted odpowiedział?

– Wspominałam panu, że potrafił być z niego stary wariat – odparła ze smutkiem pani Williamson. – Powiedział, że zapłaci Hitler. To on, jak żartował Ted, miał z nas zrobić bogaczy, panie Kyle – Adolf Hitler, pomyśleć tylko.

– Williamson – potwierdził Kyle z całkowitym przekonaniem. – Myślę, że to Williamson powiedział doktorowi McDonaldowi, gdzie dokładnie SS-Standartenführer Stollenberg ukrył Nefretete przed ponad pięćdziesięcioma laty.

– Ach tak, panie Kyle? – powiedział wyzywająco Hackman, nieświadomie naśladowując kruchutką wdowę po Tedzie. – I przypuszczam, że ma pan zamiar mi powiedzieć, gdzie ona jest?

– Przypadkiem, panie Hackman – oznajmił Kyle z przekonaniem, które bardzo pragnął, by okazało się uzasadnione – mam taki zamiar. Założmy...

– Można się było tego spodziewać ze sposobu, w jaki rozwija się to pieprzone śledztwo – burknął Hackman, nie mogąc jednak ukryć błysku zaciekawienia w oku.

– Jednak założmy, Hackman – nalegał Kyle – że komandosi Williamsona dopadli jednak eskortę Stollenberga w stoczni Bremerhaven. Że Standartenführer i jego ludzie z Waffen SS nie mogli już zapobiec zdobyciu Nefretete przez aliantów. Co wtedy?

– Niech pan dalej zakłada.

– Stollenberg miał trzy wyjścia. Pierwsze – poddać się i przekazać posążek, co oznaczało pogodzenie się z całkowitym fiaskiem misji. Drugie ukryć go i walczyć aż do śmierci, co prowadziło do tego samego. Nie ma sensu chować czegoś, co pomoże w odrodzeniu narodowego socjalizmu, skoro nie ocaleje nikt, kto zna kryjówkę. Natomiast trzecie...

– Schować, a potem się poddać? Trzymać gębę na kłódkę podczas przesłuchań. Po wyjściu z obozu jenieckiego, kiedy emocje już opadną, wrócić i zabrać posążek, a następnie zasilić skarbiec wymarzonej Czwartej Rzeszy.

– Dokładnie tak.

– A więc co pan sądzi? Albo raczej co pan przypuszcza, że sądził doktor McDonald? Stollenberg ukrył ją w jakimś budynku, czy zakopał?

Kyle pokręcił głową.

– Nie.

– Chryste, ależ pan potrafi być irytujący, panie Kyle.

– Gdyby tak postąpił, Nefretete zostałaby odnaleziona, albo w czasie prac ziemnych znalazłaby się na zawsze pod ziemią i nie mielibyśmy o czym rozmawiać. Z książki Lightwooda wynika, że stocznia została zniszczona. Zanim powojenne władze przystąpiły do odbudowy, najpierw musiały oczyścić cały teren. Dzisiaj zapewne nie ma tam w ogóle stoczni tylko jakieś bloki mieszkalne z tymi cholernymi dziuplami, których balkony wychodzą na Wezerę.

– Dzięki za społeczny komentarz – burknął Hackman. – Niech mi pan powie, gdzie według pana jest obecnie Nefretete i możemy sobie stąd pójść.

– Panie, Hackman, wybiega pan za daleko w przód – upomniał go Kyle, dzielnie naśladowując niezadowolenie przejawiane przez Rushby'ego, kiedy on sam przejawiał brak zainteresowania marginalnymi szczegółami Panzerspahwagenów, rakietami przeciwlotniczymi i Stoff-381. – Nie pomyślał pan o czwartym rozwiązaniu, którego Stollenberg nawet nie wziął pod uwagę.

– Jakim?

– Że ludzie Williamsona pokonają esesowską eskortę, zanim zdąży ona ukryć Nefretete. Może

pan sobie wyobrazić, co sobie pomyślała ta grupka zahartowanych w walkach żołnierzy, kiedy nagle ujrzała najpiękniejszy i najcenniejszy przedmiot, jaki którykolwiek z nich widział? No dobra, mogli się nie domyślać, że ma wielkie międzynarodowe znaczenie, ale nie mieli też wątpliwości, że wart jest majątek. Antyczny, egipski posążek wykonany z czystego złota i ozdobiony drogimi kamieniami. To jasne jak słońce, że natychmiast zrozumieli, w jak poważnym stopniu może on zasilić ich powojenny fundusz emerytalny.

– A więc pańskie następne założenie polega na tym, że chłopcy Williamsona postanowili zachować figurkę dla siebie, prawda? Rozwalili jeńców z SS, żeby zamknąć im usta – wszystkich, poza Stollenbergiem, któremu udało się uciec – i dwadzieścia cztery godziny później załatwili na deser Lightwooda, kiedy dowiedzieli się, że złożył na nich meldunek?

– W gruncie rzeczy, tak.

Hackman pokręcił głową.

– Teoria jest niezła, ale nieprawdopodobna. Sam pan powiedział, że Williamson, kapral Lewis i inni byli doświadczonymi żołnierzami. Wrednymi, twardymi i chcącymi przetrwać wojnę. Mieli świadomość, że czeka ich jeszcze kilka tygodni walk – a człowiek nie jest w stanie szybko biegać i zręcznie robić uników, jeżeli ma w plecaku Bóg raczy wiedzieć ile kilogramów czystego złota. A poza tym wiedzieli jedno – jeśli nawet uda im się przechować skarb do końca wojny i dotrzeć z nim aż do ośrodka demobilizacyjnego, istniały wielkie szanse, że zanim wyjdą na ulicę jako cywile, czerwone czapki obejrzą sobie całe ich wyposażenie pod lupą.

– Dokładnie – skinął głową Kyle.

– Co to znaczy, dokładnie? – eksplodował Hackman.

– Chciałem powiedzieć, że doktor McDonald także rozumował w ten sposób. W rezultacie znalazł się w kropce. Do momentu, kiedy trafił na książkę Lightwooda.

Hackman wykazywał ogromne opanowanie. Nie rzucił się na Kyle'a. Spowodował jedynie, że nieliczni goście, którzy przyszli na wczesne śniadanie i jeszcze znajdowali się w sali jadalnej, popatrzyli z niepokojem w jego stronę, a potem szybko wbili wzrok w swoje talerze.

– Skoro Williamson też nie zabrał tej pierdolonej złotej królowej, to gdzie ona w końcu jest?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, Kyle musiał ponownie cofnąć się myślą w czasie. Ale tym razem tylko o kilka godzin.

Gdy w tę moką i wietrzną noc wrócił do gabinetu Jagjivana Singha, zrobił to tylko dlatego, że ciekawość przemogła dyktowany zdrowym rozsądkiem odruch, nakazujący natychmiastowe wycofanie się z miejsca zbrodni.

Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego David i Singh ewidentnie spiskowali – na kilka dni, a może zaledwie kilka godzin przed swoimi zgonami aby zamustrować Kyle'a na jakiś statek, o którym nigdy nie słyszał. Na jednostkę, której w ogóle nie znał – jej typu, wyporności i historii. O której wiedział tylko jedno – że miała na pełnej prędkości stawić się na spotkanie ze swoimi grabarzami na Banji Beach. Już ta informacja pozwalała wyobrazić sobie, w jakim stanie jest statek.

Właśnie chęć zdobycia choćby takich informacji skłoniła Kyle'a do powrotu do biurka recepcji. A właściwie, do znajdujących się za nim półek z książkami.

*Rejestr statków Lloyda* wydawany jest corocznie w trzech tomach. Zawiera wszystkie podstawowe informacje o każdym statku świata – typ jednostki, rok budowy, stocznia, obecny armator, kraj, w którym jest obecnie zarejestrowany, wymiary, tonaż brutto, netto, nośność netto,

silnik główny i pomocniczy, pojemność bunkrów. Prenumeruje go większość firm prowadzących interesy związane z morzem. Korporacja Żegluga Singha nie była tu wyjątkiem.

Używając chusteczki do nosa jako zaimprovizowanej rękawiczki, Kyle kartkował niezgrabnie pierwszy tom do chwili, gdy znalazł interesującą go pozycję.

„Centaur” – jednośrubowy drobnicowiec motorowy. Armator – *Le Blanc Ship Management Pte Ltd, Brazzaville. Państwo bandery: Regie des Voies Maritimes de Congo. No cóż, chociaż w tym punkcie przyjemna odmiana od Liberii. Silnik Hartmanna, paliwo – olej napędowy. Tonaż brutto 7688 ton. Rok budowy 19...?*

W tym momencie Kyle znieruchomiał. Nie wierząc własnym oczom, ponownie sprawdził rok budowy. Szybko przeszedł do spisu poprzednich nazw „Centaura”. Podobnie jak w przypadku większości leciwych statków również i ten służył wielu właścicielom, pływał pod wieloma banderami często po to, aby uniknąć przepisów bezpieczeństwa lub obciążeń podatkowych ale niewielu zmieniano nazwy tak wiele razy jak temu.

Najpierw wymienione były ostatnie nazwy i rok ich zmiany. Ex „Lorenz Star” – 1998; ex „Malungo” – 1996; ex „Doric Sea” – 1993; ex „Luang Prabang” – 1991; ex...

Kyle pominął lata osiemdziesiąte, siedemdziesiąte i sześćdziesiąte. Stał, wpatrując się w ostatni zapis przez niebezpiecznie uciekające minuty i myślał o widmach i innych rzeczach.

Dlatego też, kiedy ostatecznie powrócił na Ringtree Gardens i sprawdził, czy niczego nie dodano do zawartości szafy, w najmniejszym nawet stopniu nie czuł się ofiarą manii prześladowczej.

To całkowicie uzasadniony środek ostrożności – usprawiedliwiał się. Biorąc pod uwagę wszystko, czego dzisiaj w nocy dowiedziałaś się – i co zobaczyłaś – w biurze Jaggersa.

Chociaż po nieplanowanym londyńskim maratonie Kyle rozpaczliwie pragnął napić się ekstra mocnej kawy, najpierw poszedł do saloniku i przerzucił stertę starych, natowskich czasopism Davida. Po chwili odnalazł to, które odłożył po wyjściu policjantów Coksa. Następnie postawił je koło powiększonej fotografii wykonanej przez Lightwooda w stoczni Bremerhaven i czekając, aż zagotuje się woda na kawę, skrupulatnie porównywał oba zdjęcia.

Typowy frachtowiec wykorzystywany przez Układ Warszawski do zbierania danych wywiadowczych „Jurij Rogów” – informował podpis pod wykonanym w latach siedemdziesiątych lotniczym zdjęciem rozpoznawczym sowieckiego Statku szpiegowskiego. – Zwraca uwagę widoczny za mostkiem supernowoczesny zestaw elektronicznej aparatury przechwytyjącej, który zupełnie nie pasuje do normalnych zadań transportowych jednostki.

Tej elektronicznej aparatury nasłuchowej jeszcze nie zamontowano w czasie, gdy Lightwood wykonał jedno ze swoich ostatnich zdjęć. Uwiecznił na nim dla potomności moment, w którym sierżant Ted Williamson, kapral Arthur Lewis i dwaj inni nieznani brytyjscy komandosi pozwolili w pobitej zadumie nad ciałem żołnierza z Wafen-SS-Polizei-Panzer-Grenadier Divison.

Dzięki uzyskanej niedawno wskazówce, dla Kyle’a było oczywiste, że pokazany w natowskim czasopiśmie statek szpiegowski z 1974 roku i statek sfotografowany przez Lightwooda były tą samą jednostką.

Teraz jednak, zgodnie z Rejestrem Lloyda nazywał się „Centaur”. Jednakże z całą pewnością był to ów „Rusek”, z którego odnalezienia David był taki zadowolony. Jednakże jego tak bardzo zawoalowane sformułowanie całkowicie zdezorientowało Kyle’a, a przecież już wcześniej powinien się w tym połapać.



– Stollenberg ukrył Nefretete na statku – oznajmił Kyle.

– Gdzie?

– Na statku. Jednostce, którą w 1945 roku wciąż jeszcze budowano w stoczni Bremerhaven.

Komandosi Williamsona po prostu zabrali kartkę z notesu Stollenberga i pozostawili posążek tam, gdzie ukryli go esesmani.

Hackman jedynie zmarszczył brwi i nic nie powiedział. Kyle ponownie spróbował sprowokować go do jakiejś reakcji.

– Pamięta pan statek widoczny w tle na jednym ze zdjęć Lightwooda? McDonald musiał domyślić się jego znaczenia, kiedy przeglądał tę książkę w antykwariacie. Była to ostatnia część układanki, którą od wielu lat próbował skompletować. Dzięki temu był w stanie zrekonstruować przebieg wydarzeń, a następnie, dzięki dokumentom pułkowym, odszukał Williamsona, aby potwierdzić u niego swoje domysły. Tego ranka, kiedy został zabity, zapewne wracał do starego Teda, aby ten dokładnie określił miejsce, w którym ukryto na statku posążek.

Hackman wciąż milczał. Kyle zaczął się w końcu zastanawiać, czy jego rozmówca w ogóle usłyszał jego rewelacje.

– No i? – zapytał wreszcie.

– Co, „no i”, panie Kyle? – Warknął w końcu były żandarm. – W równym stopniu mógłby pan powiedzieć, że nas wydymano. Po tylu latach ten statek mógł już dawno zatonać, albo pójść na żyletki.

– Wciąż pływa i pracuje. Jeszcze pływa – poprawił się Kyle, żalując, że nie jest inaczej, ponieważ wtedy David wciąż by żył, a Standartenführer Stollenberg gnąłby spokojnie w swoim grobie.

– Wciąż mi to nie pasuje. – Hackman zamieszał cukier łyżeczką, dając w ten sposób upust swej frustracji. – Chłopcy Williamsona byli twardymi żołnierzami, którzy zdążyli już popełnić poważną zbrodnię wojenną, a potem posunęli się jeszcze dalej, mordując jednego ze swoich, aby go uciszyć... i po co? Z tego samego powodu, dla którego Stollenberg ukrył statuetkę. Aby mogli wrócić po wojnie i odzyskać łup.

– Zgadza się. Ale nie zrobili tego.

– Oczywiście, że zrobili. Musieli tak zrobić. To był przecież frachtowiec, prawda? Mogli odczekać rok – a nawet pięć lat, jeżeli trzeba – a potem weszliby na pokład na jakimś zapomnianym przez Boga zadupiu i dali nogę razem z łupem, zanim reszta załogi by się obudziła. Na rany Chrystusa, przecież to byli komandosi, panie Kyle!

– Nawet gdyby byli całą flotą NATO i tak musieliby walczyć o Nefretete – oznajmił Kyle, ciesząc się, że dla odmiany, to on o krok wyprzedza swojego rozmówcę.

– Teraz gada pan głupoty – burknął Hackman.

– Według Lloyda, jego pierwszą nazwą był „Jurij Rogów”. Pewnie po wykończeniu przekazano go do ZSSR w ramach reparacji wojennych. W każdym razie pływał pod sowiecką flagą, co oznacza, że pierwszych czterdzieści lat był nieoficjalną pomocniczą jednostką szpiegowską marynarki wojennej ZSSR i chroniła go żelazna kurtyna. Każdy zamaskowany statek szpiegowski, jaki Rosjanie wysyłali w czasie zimnej wojny, występował jako frachtowiec i był subsydiowany przez Kreml. Dzięki temu mógł pływać z ładunkami po wodach niedostępnych dla jednostek wojennych Układu Warszawskiego.

Hackman zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– No dobra, rzeczywiście może to wyjaśnia, dlaczego statuetka nigdy nie wypłynęła – przyznał niechętnie. – Można powiedzieć, „najlepsze plany myszy i ludzi”.

– Myślałem, że jest pan entuzjastą Tennysona?

– Burns też ma swoje zalety. Napisał także kilka dobrych melodii... no więc?

– No więc, kiedy runął mur berliński, stare sowieckie statki szpiegowskie okazały się zbędne. Rosjanie mieli pewną liczbę jednostek takich jak „Jurij Rogów” – nadal je mają – kiedy nagle strasznie zaczęło im zależeć na dolarach. Wystawili go na międzynarodowy rynek razem z innymi statkami. Chociaż miał ponad pięćdziesiąt lat, wciąż mógł pływać, co zupełnie wystarczało niektórym armatorom.

– Ironia losu, jak się o tym pomyśli – stwierdził Hackman. – Gorąca wojna dała byłemu sierżantowi Williamsonowi i innym szansę wzbogacenia się, a zimna wojna ją zabrała.

Kyle wzruszył ramionami, nie bez cienia współczucia.

– Aż pewnego dnia mapa polityczna się zmieniła i marzenia Teda znowu mogły się spełnić. Ale wtedy było już za późno. Większość jego komandosów już nie żyła, nie wyłączając najlepszego kumpla, kaprała Lewisa, a ci, którzy przeżyli, byli za starzy, by dokonać porwania.

– To samo można powiedzieć o Stollenbergu. Kiedy był jeszcze młody, mógłby spróbować odzyskać statuettę, choćby tylko dla siebie, jeżeli ostatecznie pogodził się z myślą, że narodowy socjalizm jest martwy. Mógłby przekazać swoją wiedzę Güntherowi, zakładając, że był on istotnie jego synem – ale Gunther także nie miał szansy się tym zająć.

Ostatecznie powrócili znowu do wysuniętej przez Kyle’a teorii wymiany pokoleń. I roli, jaką niedawno odegrał w tym dramacie – jeżeli w ogóle miał w nim jakiś udział – jedyny pasujący do tej roli podejrzany, John Lewis.

– Po telefonie do Frankfurtu będę w stanie zapełnić nieco tych pustych miejsc – oświadczył Hackman. – Ale najpierw niech mi pan opowie o tym Singhu, ponieważ, niech mnie diabli wezmą, jeżeli mogę go jakoś dopasować do całej tej historii.

– To wcale nie jest takie trudne, jak pan sądzi. Jagers jest – był – agentem żegludowym. Obsadził „Jurija Rogowa” na zlecenie jego aktualnych właścicieli, co tłumaczy... – Kyle zawahał się, nagle zdając sobie sprawę, w jakiej potwornej sytuacji się znalazł. – Co tłumaczy, dlaczego nie mogę ryzykować zatrzymania przez policję. Dzięki Jagjivanowi Singhowi w najbliższy piątek wypływam do Indii – na tym właśnie statku-trumnie.

Na twarzy Hackmana pojawiło się zdziwienie połączone z rozbawieniem.

– Nie, panie Hackman – ostrzegł go Kyle. – Niech pan nawet nie próbuje mówić mi o ironii tej sytuacji. McDonald zdał sobie sprawę, że umieszczenie mnie na pokładzie „Rogowa” jest naszą ostatnią szansą odzyskania statuetki, zanim jakiś wędrowny robotnik na południe od Srivardhan będzie w stanie kupić sobie pieprzony Taj Mahal!

Następnie Kyle szybko poinformował Hackmana o datującej się z uniwersyteckich czasów przyjaźni Davida z Jaggersem i ich spisku, który miał zmusić Kyle’a, aby wrócił na morze o wiele wcześniej niż zamierzał. Przyznał nawet, nie bez pewnego poczucia winy, że zignorował informację na automatycznej sekretarce. Informację, która ostatecznie doprowadziła go do zbyt późnego odkrycia zakrwawionej listy załogi na biurku nieżyjącego już Singha.

– Zamustrowanie mnie na ten statek było dla niego zupełnie proste. I pewnie było mu na rękę. Do tego stopnia, że pewnie nawet nie oczekiwał ode mnie łapówki. – Przerwał, nie potrafiąc ukryć cynizmu. – Jagers był powszechnie znany z wykorzystywania załóg, które zatrudniał. Przed jego

biurem nie stała kolejka oficerów z patentem, błagających o zatrudnienie, więc nie dociekałby, dlaczego David zaproponował mu moje usługi.

– Nie przypuszcza pan, że wiedział, iż na statku jest Nefretete?

– Wątpię, czy David wyjawiliby mu tajemnicę. Lubił go, ale nie przypuszczam, by mu aż tak ufał.

– W każdym razie wygląda na to, że powodem zamordowania Singha, był jedynie jego związek ze statkiem.

– Co wciąż nie pomaga nam w ustaleniu, dlaczego zabito Wandę.

– No, nie wiem – Hackman z ponurą miną obracał w palcach kostki cukru. – Musimy teraz tylko ustalić, w jaki sposób arabska terrorystka pasuje do scenariusza, w którym mamy do czynienia z drugą wojną światową, przestarzałym sowieckim statkiem szpiegowskim i cholerną szafą doktora McDonalda.

Kyle poczuł nagle, że Hackman nie jest jedynym człowiekiem, który chętnie posługuje się ironią.

– Mieli coś wspólnego. Od chwili swojego przyjścia na świat Wanda i „Jurij Rogów” dobrych parę razy zmieniali nazwiska. – Przerwał, zastanawiając się, jaki koszmar czeka go, gdy wypłynie z Rotterdamu. – Teraz nazywa się „Centaur” – oświadczył niezbyt precyzyjnie. – To znaczy statek, nie dziewczyna.

– Życzę panu szczęśliwej podróży, panie Kyle – odparł złośliwie Hackman. – Powiadają, że o tej porze roku na Oceanie Indyjskim jest zupełnie przyjemnie.

– Jestem pewien, że się nam spodoba przytaknął uprzejmie Kyle.

Hackman uśmiechnął się z żartu.

– Przez chwilą wydawało mi się, że powiedział pan „nam”.

– Owszem.

Uśmiech zastygł na twarzy Hackmana.

– Nie, chodzi mi o to...

– Być może Williamson zgodził się powiedzieć doktorowi McDonaldowi, gdzie dokładnie na „Centaurze” znajduje się Nefretete, ale ponieważ David nie jest w stanie powtórzyć nam tej informacji, w niczym mi ona nie pomoże. Z całą pewnością sam nic nie zdołałam.

– Chyba nie oczekuje pan, że popłynę z panem?

– Ależ tak.

– Mam poświęcić czas na myszkowanie w zęzie czy gdzieś tam, w czasie tego... tego Rejsu Przeklętych?

– Niezupełnie – odparł Kyle. – Sądzę, że nie będzie pan musiał, bo mam pewien pomysł. Ale żeby go zrealizować, musimy obaj znaleźć się na statku.

Poczuł się nieco zawiedziony, kiedy Hackman nawet nie zapytał go, co to za pomysł. Ale były żandarm wciąż jeszcze myślał o odwrocie.

– Ale nie jestem cholernym marynarzem.

– Podobnie jak reszta załogi. Dobrze wiem, jakimi kryteriami kierował się Jagers przy doborze personelu. Tani, tańszy, najtańszy – to najlepsze marynarskie kwalifikacje.

– Ale ja rzygam, nawet kiedy płynę promem przez Kanał – odezwał się błagalnym tonem Hackman.

– W takim razie przejedziemy pod Kanałem pociągiem. A potem będzie pan już musiał się martwić tylko o Zatokę Biskajską, Morze Śródziemne, Morze Czerwone i Ocean Indyjski – pocieszył go Kyle.

Hackman rzucił ostatnią kartę.

– Ale przecież załoga jest już skompletowana, panie Kyle. Sam pan powiedział, że jest lista. Mnie na niej nie ma.

– Połowa tych morskich nieudaczników nie pojawi się w Rotterdamie, ponieważ wciąż będzie tkwiła naprana w jakimś portowym barze, albo co gorsza, będzie próbowała zapomnieć, że się zaciągnęła. Musi pan jedynie zadbać, żeby pierwszy – to znaczy pierwszy oficer – zaangażował pana w charakterze zastępstwa.

– W moim wieku? Bez dokumentów? Bez żadnych marynarskich umiejętności? – Hackman z dziecięcą ufnością czepiał się ostatniej deski ratunku. – Nie ma mowy. Facet powie mi, że bym spadał.

– Och, na pewno pana nie wygonię, Hackman – zapewnił go poważnie pierwszy oficer byłego „Jurija Rogowa”, Michael Kyle. – Obiecuję to panu.

Na pierwszy rzut oka statek zdawał się mieć więcej wspólnego z wdową po Tedzie niż Wandą o kilku tożsamościach. M/V „Centaur” i pani Williamson byli staruszkami, którzy pomimo trudów życia zdołali zachować pewną godność.

Pierwsze wrażenie Kyle’a wywołane było faktem, że widziany z pewnej odległości znajomy już statek, sprawiał wrażenie niezwykle małego w labiryncie kanałów i kompleksów przemysłowych, tworzących wielki zespół Europortu. Gdy taksówka podjechała bliżej, zaczął dostrzegać ślady pozostawione na byłym „Juriju Rogowie” przez pięćdziesiąt lat służby na morzu.

Taksówka, która przywiozła go z dworca kolejowego, zatrzymała się dość daleko od trapu. Podejrzał, że wynikało to z ostrożności kierowcy – rdza mogła okazać się zaraźliwa.

– Tachtig guilders – oznajmił lakonicznie taksjarsz. – Osiemdziesiąt guldenów.

– Osiemdziesiąt guldenów? – warknął Kyle. Był zmęczony podróżą i nie miał najlepszego nastroju, zanim jeszcze potwierdziły się jego obawy. Chryste, ja chciałem tylko dojechać tu tą gablotą, a nie ją kupować.

– Tachtig guilders – powtórzył spokojnie taksówkarz, gdy Kyle układał swoje marynarskie worki na jezdni. Potem wzruszył ramionami i gestem wskazał na odcinek nabrzeża na wysokości od drugiego do trzeciego luku ładunkowego. – A poza tym, po co panu więcej samochodów, Meineerl! Ma pan ich mnóstwo, ja?

Kyle spojrzał na niego z wściekłością. Na załadowanie wciąż czekało około trzydziestu zdecydowanie bardziej poobijanych klonów taksówki, którą właśnie przyjechał. Na ich zakurzonych przednich szybach znajdowały się przyklepione kartki z napisem „Dzibuti”. Były to kupione z drugiej, albo nawet trzeciej ręki rotterdamskie taksówki, podążające zapewne do dumnych wykonawców usług transportowych w Afryce. Rzeczywiście, nawet dobrze komponują się z „Centaurem”, pomyślał sardonicznie. Większość z nich wygląda tak, jakby ich właściwym miejscem przeznaczenia była również Banji Beach, gdzie podzieliłyby los tego cholernego statku.

Było to samo dno międzynarodowych przewozów morskich. Wędrówki po całym świecie z ładunkiem drobnicy, jakie uprawiały tradycyjne trumpy, praktycznie rzecz biorąc, całkowicie ustały. Wcale nie musiał spoglądać do planu ładunkowego, by wiedzieć, że w ładowniach dolnych znajduje się dużo norweskiego drewna trzeciej jakości, na dolnych międzypokładach suszone lub puszkowane przetwory rybne – i że wszystko to przewożone jest przy minimalnym zysku wynegocjowanym w desperackiej próbie zdobycia ładunku i zmniejszenia kosztów ostatniej podróży „Centaura”. Aby w pełni wykorzystać powierzchnię, te używane pojazdy zostaną opuszczone do luków, a następnie wtoczone na górne międzypokłady i dokładnie zamocowane aby w czasie sztormowej pogody nie zaczęły żyć własnym życiem. On sam tego dopilnuje. Ostatnią rzeczą, jaką Kyle miał zamiar oglądać, była dywizja pancerna mercedesów benz, nagle ewakuująca się ze statku

przez jego cienkie jak papier burty i nurkująca w głębiny Oceanu Indyjskiego.

A „Centaur” tuż za nią... razem z nim.

Stał przez moment, z niepokojem patrząc na piętrzącą się nad nim burtę statku. Dobiegające jak z pod ziemi dudnienie generatora, przenoszone przez pokryte wżerami blachy poszycia, nieustający plusk kaskady spływającej z otworu wylotowego chłodziwa, przerywany jedynie przez rozlegający się od czasu do czasu z przedniego pokładu studniowego gardłowy okrzyk kogoś z grupy sztauerów stanowiły jedyny dowód, że przynajmniej coś i ktoś na tym statku działa – to znaczy poza niszczącym działaniem czasu. Chemiczny proces utleniania nigdy nie ustaje, nigdy nie robi sobie przerwy na drzemkę w kabinie. Smugi rdzy, wielkie, przypominające jęzory lawy wybrzuszenia nakładających się na siebie czerwonych łusek, tworzyły się pod każdym otworem w kadłubie „Centaura”. Pod kluzami kotwic, krawędziami iluminatorów, furtami wodnymi i otworami nadburcia i słupkami relingu.

Kyle podniósł worki i wszedł po rozchwierutanych trapie, starając się nie polegać na iluzorycznym zabezpieczeniu, które miały zapewnić wystrzępione falrepy. Od razu też poczuł drżenie, znane mu z ostatniego rejsu na zarządzanym przez Singha statku. Nawet trap podskakiwał, skrzypiał i koły – sał się, sprawiając, iż bezpieczne dostanie się na górny pokład stawało się przygodą podobną do gry w rosyjską ruletkę, z tą tylko różnicą, że element niepewności zawierał się nie w tym, w której komorze znajduje się nabój, ale która zbutwiała lina pęknie i zrzuci go do pełnej śmieci wody basenu portowego.

Jasnowłosey chłopak, który zagroził mu drogę na końcu trapu nie miał naramienników z oznakami stopnia, ale jego mundur khaki był stosunkowo czysty i wyprasowany, a biały kask ochronny nasunięty zawadiacko nad same jasnoniebieskie oczy. Wyglądało na to, że młody człowiek zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw związanych ze sztauowaniem ładunku, zwłaszcza na tak sfatygowanym statku jak „Centaur”.

– Gdzieś się wybierasz, koleś?

– Niestety, tak... Do kabiny pierwszego! – warknął Kyle. – A potem do pieprzonych Indii, jeżeli będziemy mieli szczęście utrzymać się na wodzie. A jak ty się nazywasz, chłopcze?

– Kurwa!

– Doprawdy? – spytał Kyle.

– Nie, przepraszam... nie wiedziałem, że jest pan nowym pierwszym. Młodzieniec zaczerwienił się ze wstydu. – Ja sam zamustrowałem zaledwie godziną temu. Jestem Voorhoeve, proszą pana. Wim Voorhoeve. Drugi oficer.

Kyle nie miał jednak zamiaru odpuścić.

– Pańska wymowa niezbyt zgadza się z nazwiskiem. Jest pan Amerykaninem?

– Kanadyjczykiem. Rodzice byli Holendrami. Mieszkają teraz w Vancouver.

– Nazywam się Kyle. – Podał chłopakowi jeden z worków. – Jest pan od godziny na pokładzie.

Wystarczająco długo, aby znać drogę, panie Voorhoeve. Proszą zaprowadzić mnie na górę.

– Tak jest, proszą pana.

Mieszanina zapachów z kuchni, oleju napędowego, butwiejących drewnianych boazerii i niemytych marynarzy spadła nań w chwili, gdy przekroczył zębnicą. Cholera, cuchnie tu chyba tak samo, jak musiało śmierdzieć w bunkrze Führera – pomyślał ponuro, idąc za drugim oficerem przez labirynt części załogowej. – Z tą tylko różnicą, że Führer nie musiał znosić dodatkowego i jedyne w swoim rodzaju odoru rdzewiejącego metalu.

Kabina pierwszego okazała się najciaśniejszą, najbardziej cuchnącą i brudną dziurą, w jakiej kiedykolwiek zdarzyło mu się mieszkać na statku. Nie dość, że warunki sanitarne wołały o pomstę do nieba, to jeszcze całe pomieszczenie było przykładem minimalizmu panującego w budownictwie okrętowym w latach czterdziestych. Pojedyncza wąska koja obudowana była wysokimi deskami bocznymi, które podczas kołysania miały zapobiec wykatapultowaniu śpiącego przez całą kabiną i dzięki nim przypominała trumną, oczekującą jedynie na dodanie wieka. Poza tym do wyposażenia należały: szafa o wymiarach ledwo pozwalających na powieszenie w niej staroświeckiego sztormiaka, trzy wypaczone szuflady bez uchwytów w komódce z pękniętym lustrem i jedna z tych składanych umywalek z nierdzewnej stali, która na stałe znajdowała się w pozycji złożonej i była na najlepszej drodze do udowodnienia, że materiał, z którego ją wykonano, wcale nie jest nierdzewny.

Kyle ostrożnie dotknął zapleśniałej i skotłowanej pościeli i mimowolnie odskoczył z obrzydzeniem, widząc pół tuzina karaluchów, które z poirytowanym szelestem poszukały ukrycia przy krawędziach materaca zdradzającego trudne do opisanie ślady dolegliwości urologicznych poprzednich lokatorów.

– Moja jest gorsza – zauważył poważnym tonem drugi oficer Voorhoeve. – Facet nigdy nie splukiwał ubikacji w kabinie.

– Ja nawet nie mam ubikacji w kabinie – poskarżył się Kyle.

– Ja też – odparł enigmatycznie Voorhoeve.

– Niech pan znajdzie dwóch marynarzy, działający hydrant, dwudziestolitrowy baniak ze środkiem odkażającym i zapalki – polecił Kyle. – Dostaniemy śpiwory, choćbym miał za nie zapłacić z własnej kieszeni.

Na kilka godzin przed wypłynięciem, sprawy nie mogły przedstawiać się lepiej.

Kyle zastukał i usłyszał w odpowiedzi drżący głos.

– Entrar!

Wszedł niepewnie. W kajucie kapitańskiej znajdującej się pod prawym skrzydłem mostku, iluminatory były zasłonięte. Bóg świadkiem, że nawet gdyby odsunięto zasłony, byłoby tam i tak wystarczająco ponuro.

– Que deseja?

– Jestem Kyle – Mike Kyle, panie kapitanie. Nowy pierwszy oficer.

Ledwo widoczna postać, siedząca przy biurku w rogu kabiny, poruszyła się nieznacznie. Rozległo się prztyknięcie i zapaliła się stojąca na blacie lampa z czerwonym abażurem. Kyle zobaczył przed sobą diabła. Dolne światło podkreślało krzaczaste brwi, błyszczące oczy, zakrzywiony nos i wysokie kości policzkowe. Jednakże ten sataniczny efekt osłabł wyraźnie, gdy Kyle spostrzegł, że kapitan „Centaura” jest bardzo starym człowiekiem i o drugiej po południu wciąż ubrany jest w wygniecioną piżamę.

– Fala Portugues?

– Nie za bardzo. Nie ma o czym mówić.

– Ingles?

– Si... sim... to jest, tak – poprawił się pospiesznie Kyle.

Kapitańskie brwi uniosły się ze współczuciem.

– Naofaz mai... to bez znaczenia. Nie będziemy wiele rozmawiać. Jestem capitao Barrosa.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Jest pan dobrym marynarzem, senhor?

– Mam nadzieję, że tak.

– Nie musi pan mieć nadziei. Widzi pan przed sobą króla marynarzy, senhor Kyle, cesarza. Swego czasu ludzie patrzyli z czcią na mój statek. Wołali: „Z drogi, ustąpcie z drogi statkowi capitao Barroso!”.

Nagle wcale już nie tak groźne brwi kapitana opadły, a jego dłoń niepewnie przesunęła się po zaplamionej piżamie.

– Kiedyś. Muito tempo... bardzo dawno temu. Ale teraz, ja, Barrosa, mam oitenta e quatro anos i stałem się...

Umilkł, nie kończąc zdania. Ale to nie miało znaczenia. Kyle sam widział, czym stał się wielki niegdyś żeglarz. I nawet ten ostatni statek miał mu zostać wkrótce odebrany.

Lampa na biurku zgasła i wokół lokatora kabiny zapadł ponury mrok, jak w całym wnętrzu motorowca „Centaur”.

– Nowa załoga przyjdzie z biura armatora i o piątej po południu podpisze w salonie regulamin okrętowy. Wyjdziemy w morze jutro o trzeciej rano, senhor – zero tres hortas em, ponto. Przygotuje pan mój statek, prawda?

Brzmiało to bardziej jak prośba, niż rozkaz.

– Tak jest, capitao – odparł Kyle.

Pierwszy mechanik „Centaura” okazał się nieco bardziej rozmowny, choć Kyle, który wciąż rozpaczliwie starał się połapać w sytuacji, miał duże kłopoty ze zrozumieniem jego oryginalnej angielszczyzny.

– Pan widzi, będę mówił angielski bardzo doskonale. Ja jesdem kibuc wasz Tottingam Otpurs... spalony, ty kurwyszynu – piertolić sendziego, tak?

– Niezbyt znam się na piłce – odparł niepewnym głosem Kyle. Na próżno poszukując na statku swojego poprzednika, w końcu natknął się na czifa, który wyłonił się z grzechoczących czeluści maszynowni z kluczem francuskim w dłoni. Mohammad Ben Saaidi, Marokańczyk o gigantycznych wymiarach oraz stałym niepokojącym błyskiem w oczach, w równym stopniu tchnął zapachem potu, paliwa do diesli, co filozoficzną akceptacją sposobu funkcjonowania leciwych trampów. Pomimo jego narodowości, Kyle uznał, że nie jest on w najodleglejszy nawet sposób związany z Wandą. Przede wszystkim, w szafie Davida nie było tłustych śladów jego butów.

– Nie doczyka się pan przekazania od ostatni pirwszy oficer, pan Kyle. Ostatni pirwszy oficer, on był pies. On zwiac ze statek już kiedy pirwszy cuma poszła na brzeg. On bardzo zły człowiek. On i dugi oficer, który poszedł precz tyż. Oba byli z Kongo bez odpowiedzialnych papierów, pan Kyle. Oba psy, prósz pana.

Czif uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa rzędy wyszczerbionych, porcelanowych zębów, z których był najwyraźniej bardzo dumny. Nabył je pewnie po okazyjnej cenie na jakimś trzeciorzędnym bazarze gdzieś w Talaa Kebira.

– Mój dugi mychanik, on z Haiti. On próbować uciec tyż, ale ja go załatwił. Zamknął go w jego kabin, zanim my dojsć do brzeg. On tyż pies, ale ja sam, Mohammed Ben Saadi, ja za dużo sprytny dla Beaubrun. Czymam go w buda z młodsze mechaniki i sam puszczam generatory aż odpłyniemy, tak?

– Sygnał gotowości głównego silnika będzie o drugiej trzydzieści – powiedział słabym głosem



Kyle, licząc, że zostanie zrozumiany. – Wtedy może ich pan wypuścić.

Trup pływał niemal bezpośrednio pod nimi. Niemal na pewno były to zwłoki mężczyzny. Unosiły się na wodzie twarzą do dołu, z rękami i nogami rozrzuconymi szeroko w czarnej wodzie – rozgwiazda, będąca niegdyś człowiekiem, wirująca wolno w toni wzburzonej śrubami manewrującej w pobliżu motorówki rotterdamskiej policji.

Po spotkaniu z pierwszym mechanikiem, Kyle poszedł prosto na mostek. Tam właśnie zobaczył drugiego oficera, przewieszzonego przez reling skrzydła mostku i patrzącego gdzieś w dół.

– Przypuszczają, że to jakiś facet, który zleciał z nabrzeża. Może nawet ubiegłej nocy – wyjaśnił Voorhoeve, nie mogąc do końca ukryć młodzieńczego zaciekawienia makabrą. – Jeden z dokerów zauważył go i wezwał gliny. Nigdy dotąd nie widziałem trupa – dodał z niezdrową fascynacją.

– Wychył się pan jeszcze trochę, a zobaczysz go zupełnie z bliska! – warknął Kyle. No cóż, gdy przeżycia powtarzają się zbyt często, wywierają stopniowo coraz słabszy efekt. Przynajmniej tego nauczył się w ubiegłym tygodniu.

Z motorówki wysunięto bosak, który zahaczył na krótko o koszulę ofiary, a potem ześlizgnął się z pluskiem. Denat powoli zaczął się obracać, najpierw lewe ramię zatoczyło chwiejny łuk, a potem z wody wyłoniła się twarz. Kyle poczuł, że mimowolnie zaciska dłonie na wyszczerbionej tekowej poręczy relingu, ponieważ przez chwilę opanował go straszliwy lęk o Hackmana. Nie widział przyszłego towarzysza podróży od chwili, gdy rozstali się na dworcu. Mieli przybyć na statek oddzielnie i dyskretnie. Z całą pewnością to nie może być Hackman.

Twarz denata była czarna, ale czy na skutek genetycznych uwarunkowań, z powodu uduszenia czy początków rozkładu, tego Kyle nie mógł ustalić. W końcu był jedynie ekspertem od podrzynania gardeł. Ale był zupełnie pewien, że to nie Hackman. Trup był o wiele mniejszy. W gruncie rzeczy, zupełnie mały. Taki mały szczurek.

– Czy to może być jeden z naszych? – zastanawiał się drugi oficer. Według bosmana ze statku prysnęło jak dotąd czterech ludzi.

Kyle nie miał pojęcia, ale wydawało mu się, że trochę za często w jego otoczeniu pojawiają się zwłoki. Co prawda nie oznaczało to, że może i tego ostatniego denata złożyć na progu krypty Stollenberga. A może jednak? Znowu ta twoja paranoja? Oczywiście, że tak!

Nie mógł jednak pozbyć się złych przeczuc. Kim był ten trup w wodzie? Czy jego śmierć można jakoś powiązać z Nefretete?

Zmusił się do zdawkowej odpowiedzi:

– To świetne miejsce, żeby zdezerterować z takiej przerdzewiałej balii, która ma właśnie wyruszyć w rejs donikąd. Ostatni port w północnej Europie, gdzie nielegalny przybysz może zamelinować się w wielu dziurach, dopóki nie uzna, że pora ruszać dalej.

Motorówka przechyliła się niebezpiecznie, gdy dwaj umundurowani policjanci wciągali ciało przez nadburcie. Jeden uniósł dłoń, pozdrawiając widownię, po czym sternik dodał silnikowi obrotów i skierował się w stronę wejścia do basenu. Przedstawienie się skończyło. Kyle domyślił się, że ponieważ do odpłynięcia statku pozostało niewiele czasu, nie dowiedzą się, kim był denat. Każdy port działa jak magnes na pijaków, narkomanów i durniów pozbawionych majątku i nadziei. W kanałach Europortu dokonywano wielu takich ponurych znalezisk, z których większości nigdy nie udawało się zidentyfikować.

– Pora zabrać się do korekty map, panie Voorhoeve – burknął, odwracając się od relingu. –

Jeżeli, jakimś cudownym zbiegiem okoliczności, mamy w ogóle jakieś mapy.

Skoro mowa o pijakach, durniach i przypadkach beznadziejnych, w chwili gdy Kyle zszedł o piątej na dół, by rozpocząć mustrowanie, mesa „Centaura” była ich pełna.

Zdezercerowanie z trudnego statku, na którym nie płacą ani nie żywią odpowiednio, to jedna sprawa. Natomiast możliwość przetrwania potem na ulicy w obcym kraju i bez żadnych dokumentów, to zupełnie co innego. Nie ulegało wątpliwości, że po portowych barach rozeszła się wiadomość. W rezultacie wydawało się, że każdy wynędzniały żeglarz w Europorcie usłyszał, iż na odpływającym „Centaurze” brakuje pełnego składu załogi i zjawił się w nadziei, że uda się mu wymknąć rotterdamским oprychom, alfonsom, naciągaczom i policjantom.

– Wywal ich pan, panie trzeci – warknął Kyle do trzeciego oficera, którym okazał się maleńki obywatel Bangladeszu. Miał nieco ponad dwadzieścia lat, długie rzęsy, ambicję, by zostać następnym Marco Polo, oraz świadectwo po bengalsku, które głosiło, że ma uprawnienia do pełnienia wachty na mostku oraz prowadzenia nawigacji. Wystawiło je, o ile Kyle mógł się zorientować, albo bangladeskie Ministerstwo Żeglugi albo Yacht Club Liceum w Chittagong. To, czy pan Chowdhury istotnie potrafi na środku oceanu ominąć jednostkę podążającą kolizyjnym kursem, miało się dopiero okazać, ale Kyle przestał się tym przejmować. Zaczął tak gwałtownie skłaniać się ku fatalizmowi, że nawet fanatyczny fundamentalista muzułmański zacząłby poważnie troszczyć się o jego przyszłość.

– Tak jest, mam ich wyrzucić – przełknął nerwowo ślinę miniaturowy pan Chowdhury, spoglądając niepewnie na tłum dawno nie mytych osobników. – Teraz, proszę pana?

– Tak, teraz! – warknął Kyle. – Wszystkich, poza tymi, którzy mają zaświadczenia z Korporacji Singha i najlepszych z pozostałych. Dostrzegł Hackmana, stojącego ponuro poza tłumem i poczuł wielką ulgę. – Widzi pan tego, Chowdhury? Tego wielkiego faceta ze złamanym nosem, który wygląda, jakby golił się przez cały ten tydzień? Zatrzymaj go pan i jeszcze kilku, nadających się do zamustrowania. Resztę wywalić.

Olbrzymi Słowianin o wyglądzie neandertalczyka, jeden z najpoważniejszych kandydatów do wyrzucenia ze statku w pierwszej kolejności, ryknął:

– Ja Badziej Mjasnikowicz z Białarusi. Ja kurewsko dobry matros. Ja kocha każdego officer i zabije każdy pierwszy, któren powi, że ja... – Złapał trzeciego oficera i posadził go na kredensie, dzięki czemu mógł podejść do Kyle’a na wyciągnięcie ręki i ewentualnie udusić go, gdyby nie przyjął jego zgłoszenia.

Był to czas próby dla trzeciego oficera. Kyle jeszcze raz sprawdził, czy ciężki stoper łańcucha kotwicznego znajduje się w zasięgu jego ręki, a potem ponaglił:

– No więc, panie Chowdhury?

Gwar na chwilę umilkł. Bez względu na to, czy obecni rozumieli po angielsku, czy nie, sytuacja była jasna – od dawna już nieczynny zegar w mesie „Centaura” lada chwila miał obwieścić metaforyczne „w samo południe”. Pochodzący z tuzina państw trzeciego i kilku z piątego świata obszarpani twardziele zahartowani w dziobówkach najprzeróżniejszych statków, czekali w napięciu, jak zastępca szeryfa, Chowdhury, wyjdzie z tej opresji.

Niestety, nie miał zamiaru podjąć wyzwania. W każdym razie nie zamierzał tego zrobić, nie posiadając armaty polowej, która zrekompensowałaby nikczemność jego wzrostu. W milczeniu, unikając spojrzeń ludzi, a zwłaszcza Kyle’a, mały obywatel Bangladeszu zląkł z kredensu i z pokorną miną ruszył przez tłum w stronę wyjścia.

Kyle jeszcze raz okręcił łańcuch wokół pięści i bez entuzjazmu zaczął wstawać. Czuł się rozczarowany, że w trudnej sytuacji chłopak nie próbował zachować się jak oficer, a jednocześnie był zły na siebie, że dał mu zadanie zdecydowanie przekraczające jego możliwości.

Trzeci oficer Chowdhury pojawił się nieśmiało w drzwiach.

– Bardzo przeprasza, że przeszkadzam – powiedział, starannie unikając skierowanych w jego stronę szyderczych spojrzeń. – Na statek weszło kilku panów, którzy chcą sprawdzić nasze listy załogi. Przypuszczam, że są z holenderskiego biura imigracyjnego.

Nie trzeba było tłumaczyć tego, co powiedział. W każdym razie trzech ostatnich słów.

Młody Chowdhury okazał się spryciarzem. Do tego stopnia, że nawet zgrabnie usunął się na bok, by uniknąć wdeptania w brudny pokład przez tłum niedoszłych marynarzy pod wodzą Badzieja Mjasnikowicza z Białorusi.

– Ci, którzy mają zaświadczenia z Korporacji Singha – ustawić się porządnie w kolejce. Reszta niech stanie tutaj – burknął Kyle do nielicznych pozostałych.

Potem mrugnął z aprobatą do pana Chowdhury, który pomimo młodego wieku i skłonności do kłamstwa bardzo szybko zorientował się, że istnieje kilka sposobów obłupienia ze skóry okrętowych kocurów.

Gdy nadeszła jego kolej, Hackman zasalutował ironicznie.

Kyle patrzył na niego kamiennym wzrokiem, w najmniejszy sposób nie zdradzając, że go poznaje.

– Książeczka marynarska?

– Nie mam – burknął Hackman, najwyraźniej starając się utrudnić mu zadanie.

– Jaki był wasz ostatni statek?

– Transportowiec wojskowy. Na Falklandy.

– Musieli dać wam jakieś dokumenty, kiedy zrobili z was marynarza.

– Dali mi pieprzony karabin i zrobili sierżantem! – odparł Hackman, chcąc zmusić Kyle'a, by go wyrzucił. Widać było, że incydent z Badziejem Mjasnikowiczem był dla niego ostatnią kroplą. Wszystko wskazywało na to, że uznał, iż jego pierwsze spojrzenie na „Centaura” będzie również ostatnim i... pieprzyć Nefretete.

– Wiecie, jak obierać ziemniaki? – zapytał wyniosłym tonem Kyle.

Na litość boską, przecież byłem w brytyjskiej armii – warknął Hackman i odwrócił się, by odejść.

– W takim razie macie doskonałe kwalifikacje do zajęcia się wyżywieniem na tym statku – zapewnił go Kyle, wcale nie starając się być sarkastyczny. Niech go pan wpisze na listę, panie Chowdhury. Będzie drugim kucharzem.

Westchnął w duchu z ulgą, kiedy Hackman zawahał się, otworzył usta, by zaprotestować, a potem podniósł swój worek, by z nieszczęśliwą miną wyjść z mesy.

Kyle zrobił to, ponieważ aby odzyskać Nefretete, musiał mieć Hackmana na pokładzie. Jego plan wymagał dwóch par oczu.

To był ten jego Dobry Pomysł? Ten, o którym mówił podczas bardzo wczesnego śniadania?

– Statek jest złożoną konstrukcją – wyjaśnił, gdy Hackman przestał wreszcie narzekać, że zmuszono go do zaciągnięcia się na ochotnika. – Posążek może być ukryty wszędzie; pod płytami w tunelu wału, w podwójnym dnie, w zbiorniku wysokim. Na szczęście, możemy wyeliminować

wiele z tych miejsc, gdy ustalimy jakie były wówczas możliwości.

– Jeżeli nawet, może pan o tym zapomnieć, panie Kyle. Przecież statki są regularnie badane. Pewnie od dawna statuetki tu nie ma. Jest zamknięta w skarbcu na Kremlu.

– Gdyby tak było, Nowi Rosjanie już dawno daliby o tym znać całemu światu. Staraliby się wyrzucić przy jej pomocy jakieś polityczne naciski.

– No dobra. W takim razie leży na strychu nadwoźniańskiej daczy jakiegoś ministra żeglugi.

– Przedmiot z czystego złota wysadzany drogimi kamieniami? Trzymany jako pamiątka przez jakiegoś urzędnika, który zapewne od trzech miesięcy nie dostał pensji? – Kyle pokręcił głową. – Poza tym Sowieci nie traktowali zbyt rygorystycznie bezpieczeństwa swoich statków handlowych. Przeprowadzane przez nich kontrole były w najlepszym przypadku pobieżne. Na „Juriju Rogowie” są miejsca, których nikt nie sprawdzał przez cały czas, kiedy pływał pod sierpem i młotem. Może mi pan też wierzyć, że żaden z jego późniejszych właścicieli nie wydałby ani jednego dolara na sprawdzanie, czy w dalszym ciągu nadaje się do żeglugi. Wiem, że Nefretete wciąż jest na statku.

– I chociaż nie wiem, czym się różni bosman od bosaka, oczekuje pan, że samodzielnie przeschukam statek od dna po czubek masztu, podczas gdy pan będzie tylko sterował tą łajbą?

– Czy prosiłbym ślepego, żeby znalazł igłę w stogu siana?

– Pewnie tak. Ma pan wiele wspólnego z doktorem, który też potrafił być uparty. Co więc chce pan powiedzieć?

– Że nie będzie pan musiał szukać. Żaden z nas. Bo jest przynajmniej jedna osoba, która już dokładnie zna miejsce, w którym Stollenberg ukrył Nefretete.

– Myśli pan o facecie, który...

– ...znalazł się przede mną w biurze Singha – Kyle skinął ponuro głową.

– Ach, w takim razie nie ma sprawy – oznajmił ironicznie Hackman. Popytam ludzi. W końcu jest ich w Londynie zaledwie kilka milionów.

– On – zakładając, że to rzeczywiście „on” – nie zatrzyma się w Londynie zbyt długo. Czas ucieka i okazja wymyka mu się z rąk. Nie może sobie na to pozwolić.

Hackman zrozumiał, do czego Kyle zmierza.

– Chodzi panu o to, że jeśli chce, żeby mu się udało, musi dostać się na pański statek.

– Nasz statek, panie Hackman.

– ...nasz statek – zgrzytnął zębami Hackman. – Zanim wypłynie z Rotterdamu.

– Nie tylko. Europort nie jest zapyziałą dziurą. Środki bezpieczeństwa w porcie są bardzo ścisłe. Nie mógłby wejść tu, a potem wyjść ze statuetką, nie narażając się na rewizję przy bramie. W czasie załadunku statku było na nim zbyt wielu ludzi i ktoś mógłby go zaskoczyć w chwili, gdy wydobywa posążek. Podejrzewam, że ma zamiar wykonać swój ruch po wyjściu „Centaura” z portu. Jak również, że zadbał, by samemu na nim wypłynąć.

– W jaki sposób?

– Sądzę, że może się pan domyślić – odparł ponuro Kyle. Będziemy wiedzieli, czy miałem rację, kiedy się pojawi.

Zawahał się, przygryzając w zamyśleniu wargę. Ostatecznie doszedł do jedyne go logicznego wniosku, prawda? Było to ćwiczenie w dedukcji, które pochwaliliby nawet Cox z Wydziału Specjalnego. Dlaczego więc czuje taki niepokój?

– Przy pewnej dozie szczęścia i dobrych wiatrach, skoro obaj jesteśmy na statku i będziemy go obserwowali, sam doprowadzi nas prosto do Nefretete.

Kiedy klucz do tajemnicy pojawił się wreszcie w kolejce ludzi, mających podpisać się pod regulaminem okrętowym, Kyle wcale nie był zaskoczony.

W każdym razie nie bardziej, niż w momencie, gdy rozpoznał przybysza. Ani wtedy, gdy ten przedstawił mu kontrakt wystawiony poprzedniego dnia w biurze zamordowanego niedawno Jagjivana Singha, zapewniający mu zatrudnienie na stanowisku marynarza pokładowego w czasie ostatniego rejsu „Centaura”.

Kyle wiedział, że ten człowiek się tu zjawi, ponieważ zdawał sobie sprawę, że mężczyzna, który stanął przed nim i spokojnie oceniał go spojrzeniem zimnych i denerwująco pewnych siebie oczu, nie miał właściwie wyboru, jeżeli chciał odzyskać bezcenną Nefretete, zanim statek dotrze do kresu swej wędrówki – złomowiska na południe od Srivardhan. Kyle liczył również, że mężczyzna go nie rozpozna.

Bo niby czemu miał go poznać?

Widzieli się tylko raz w mieszkaniu kruchutkiej wdowy w Battersea. Przelotnie i w zupełnie innej sytuacji. Kyle był wówczas ubrany po cywilnemu i nie było mowy o tym, że jest marynarzem.

Mimo to jednak z trudem zapanował nad głosem, a także powstrzymał się, aby nie sięgnąć po ciężki łańcuch ukryty pod stołem. Jakoś mu się to udało, ponieważ złożył podwójną obietnicę temu, który był dla niego jak brat. Po pierwsze, że oczyści jego nazwisko z podejrzeń. Po drugie, że zwróci mu jego naukową reputację.

Łańcuch dopomógłby mu jedynie w realizacji drugiego celu.

– Nazwisko?

– Lewis, proszę pana – oznajmił po żołniersku zabójca Davida McDonalda. – John Lewis!

Dokładnie z wybiciem piątej szklanki – czyli o drugiej trzydziści następnego dnia – osiemdziesięcioczeroletni kapitan Ferreiro Coavaco Barrosa zjawił się na mostku ubrany nie w gruby sweter lub poplamioną solą kurtkę noszoną zazwyczaj przez szyprów na trampach, lecz w nienagannie skrojony, wyjściowy mundur portugalskiego kapitana żeglugi wielkiej.

No tak, kołnierz jego dziewiczo białej koszuli był o numer za duży na jego wychudłą szyję, a jego biała czapka z imponującą girlandą złotych liści na daszku siedziała nieco za głęboko na głowie kapitana, na której, poza kilkoma kosmykami, nie było już włosów. Brwi jednak wciąż były królewskie – nie, cesarskie. One wymagały – nie, one żądały posłuchu! Brwi, które niczym wydęte żagle tkwiły nad oczami, niegdyś swoim władczym spojrzeniem przykuwającymi do pokładu niesfornych marynarzy. Nad oczami, które przez całe zawodowe życie spoglądały na cuda morza, w których odbijała się radość i trudy, zachwyt, a niekiedy strach, jaki potrafi zrodzić morze.

Tak w każdym razie było kiedyś, jak przyznał to żałośnie kapitan. Muito tempo. Bardzo dawno temu...

– Bom dia, senhor Kyle.

Dzień dobry, panie kapitanie.

Rozległa się podziemna eksplozja odpalonego naboju startowego i przez pokład przeszedł dreszcz oznaczający, że główny silnik stara się ruszyć. Pierwszy mechanik Saadi rzeczywiście zasłużył na swoje wspaniałe zęby. Po chwili przerywana wibracja przeszła w równe, choć nieco astmatyczne dudnienie. Zmęczone serce byłego „Jurija Rogowa”, podobnie jak serce jego pana, było w oczekiwaniu wyjścia w morze. Kapitan i jego statek mieli przed sobą osiem tysięcy mil morskiej żeglugi. Potem, leciwy kapitan i leciwy statek mieli przestać istnieć, skazani, dosłownie i w przenośni, na dokończenie żywota na indyjskiej plaży.

– Czy zabezpieczył pan mój statek do wyjścia w morze, senhor?

Kyle zawahał się. Jeżeli chodziło o morską dzielność „Centaura”, „zabezpieczył” nie było pierwszym określeniem, jakie przychodziło do głowy. Właściwie stanowiło ono zawodowy eufemizm, opisujący zadanie niemożliwe do wykonania. Kyle jednak wiedział, o co chodziło Staremu, tak samo jak Stary wiedział, o czym myśli Kyle.

Kyle osobiście sprawdził mocowania pojazdów na międzypokładach i po prostu, żeby się upewnić, ponieważ nie znał jeszcze należycie kwalifikacji młodego człowieka – dyskretnie nadzorował drugiego oficera Voorhoeve, pilnującego uszczelniania luków załadunkowych. Młody Kanadyjczyk wykonał godną podziwu pracę, biorąc uwagę fakt, że w czasie jego praktyki tego rodzaju procedury rozpatrywano jedynie teoretycznie. Na „Centaurze” nie było żadnych guzików ani samoczynnie zamykających się luków. Tutaj wracało się do ciężkich, drewnianych desek układanych ręcznie na poprzecznych stalowych wspornikach, na każdy luk naciągano trzy warstwy łamiącego

paznokcie brezentu, mocowano wokół zrębnicy płaskimi stalowymi sztabami i wbijanymi mocno drewnianymi klinami. Było to zabijanie luków w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

– Statek zabezpieczony do wyjścia w morze, kapitanie – potwierdził Kyle.

Rotterdamski pilot pojawił się u szczytu prawoburtowego trapu prowadzącego na mostek i rozglądał się wokoło, najwyraźniej oszołomiony faktem, że taki statek może podjąć próbę dopłynięcia do wejścia do portu, a nawet do drugiego kontynentu. Albo może dziwił się, że mogą istnieć ludzie tak biedni, zdesperowani lub którym jest tak wszystko jedno, że gotowi są zaryzykować rejs na nim.

Holenderski inspektorat żeglugowy miał prawo zatrzymać „Centaura”, uznając go za całkowicie niezdolnego do żeglugi. Ale poza wymogami bezpieczeństwa istniały także inne uwarunkowania, ponieważ w przeciwnym razie niewiele statków nie pierwszej już młodości otrzymałoby zezwolenie na wyjście w morze. I na pewno wiele z nich przestałoby pływać, gdyby od ich właścicieli zażądano wyłożenia jakichkolwiek pieniędzy na ich naprawę. Zaaresztowane, stałyby i rdzewiały, nikomu niepotrzebne, a ich załogi tkwiłyby na pokładach bez pieniędzy, a często i bez jedzenia. Tymczasem opłaty portowe rosłyby z każdym dniem i jedynym wyjściem była w takim wypadku zadowolająca wszystkich obietnica złożona przez armatora, że niezbędne naprawy zostaną przeprowadzone w następnym porcie. I chociaż jednostka była później dyskretnie kierowana gdzie indziej, albo przepływała obok ustalonego portu, wcale do niego nie zawijając, zarówno przedstawiciele strony prawnej, jak i handlowej byli zadowoleni.

Zaczął padać śnieg z deszczem, a ostry listopadowy wiatr od wschodu pędził mokre płatki, przysyłające pomarańczowe światło portowych latarni. Pod jego podmuchami źle ubrany, obszarpany tłumek stojący na odsłoniętej dziobówce próbował znaleźć nędzną osłonę po zawietrznej windy kotwicznej.

– Bom dia, pilote – pozdrowił przybysza Barrosa. Nie zwracał uwagi na nieprzyjemną pogodę i nie próbował ukryć się w sterówce. Kyle z coraz większą troską patrzył, jak roztapiające się strzępki wełny natychmiast wsiąkają w serżę nie osłoniętego niczym munduru kapitana.

– Goede morgen, kapitan – odparł uprzejmie Holender. A potem zerknął z pewnym zdziwieniem na Kyle’a, jakby pytając, czy rozsądnie jest powierzać życie tak kruchym anachronizmom.

Kyle w odpowiedzi spojrział na niego twardo.

Nigdy nie okazałby braku szacunku kapitanowi.

Dopiero gdy wypłynęli z kanału La Manche i zostawili za rufą Ushant, a dziób „Centaura” uniósł się na pierwszych falach Zatoki Biskajskiej, Kyle był w stanie dokonać podsumowania. Obowiązki pierwszego oficera okazały się liczne, zróżnicowane i w większości wypadków całkowicie niewykonalne. Na jednym z pierwszych miejsc znalazła się konieczność dopasowania nie pasujących ludzi do wacht i doprowadzenia statku do czegoś co przypominałoby... No cóż określenie „rutynowy klar” nie pasowało tu zbyt, albowiem słowo „rutyna” sugeruje znajomość poprzednich procedur. W tym przypadku jednak niecała połowa z przeszło czterdziestu marynarzy zamustrowanych przez Korporację Singha znalazła się na zajęciach, do wykonywania których została zatrudniona.

Po stronie pozytywów należało natomiast odnotować, że główny silnik jak dotąd działał, natomiast awaria elektryczności, która spowodowała zaciemnienie na „Centaurze” została szybko usunięta, gdy czif przerzucił zasilanie na drugi, wciąż jeszcze funkcjonujący, generator. Jak się okazało, kryzys ten nie spowodował większych zakłóceń w działaniu przyrządów nawigacyjnych na

statku, ponieważ większość z nich i tak nie działała, a poza ręcznym jachtowym GPS otrzymanym przez trzeciego oficera Chowdhury'ego na ostatnie urodziny, żadnemu z funkcjonujących przyrządów nie można było zaufać.

Dobry dzieciak z tego Chowdhury'ego. Pomysłowy. Podobnie jak drugi oficer Voorhoeve. Należało pośmiertnie oddać należną zasługę Jagersowi Singhowi, który nieoczekiwanie zapewnił Kyle'owi kompetentnego zmiennika do pełnienia wacht na mostku. Gdyby nie mógł zaufać swoim bezpośrednim podwładnym, konieczność stałego ich nadzorowania i jednoczesne próby realizowania tajnego planu – czyli prowadzone wspólnie ze zrzędzącym drugim kucharzem Hackmanem próby odnalezienia posążku – szybko okazałyby się nie do pogodzenia.

Tym bardziej, że nie mógł liczyć na to, iż kapitan pomoże mu zmniejszyć ciężar spoczywający na jego barkach. Zagraniczny szyper i tak normalnie sam nie pełnił wacht, a jedynie nadzorował ośmiu do dwunastu młodszych wachtowych – czyli zgodnie z obowiązującą na „Centaurze” hierarchią dziobania trzeciego oficera Chowdhury'ego – i dawał zastępstwa w czasie posiłków. Kyle podejrzewał, że może liczyć jedynie na taką pomoc ze strony wyraźnie tracącego siły Barroso. Po incydencie w Cieśninie Dover kapitan bardzo niepewnie zszedł pod pokład. Po nocnych godzinach spędzonych raczej niepotrzebnie na skrzydle mostku, w czasie których rzucał samotne wyzwanie żywiołom oraz gardząc schronieniem, jakie zapewniała sterówka, jego kiedyś nienaganny mundur był ciężki od wilgoci, twarz szara ze zmęczenia, a skóra na zdrętwiałych z zimna kościach policzkowych naciągnięta jak pergamin. 136

Sprawiało to wrażenie, jakby kapitan świadomie wystawiał swoje siły na ostateczną próbę. Ale po co? Aby udowodnić sobie, że wciąż może działać jak w młodości – czy też z jakichś głębszych, może nawet bardziej smutnych powodów związanych z „Centaurem”, wykonującym swój ostatni rejs? Kyle'a wcale nie cieszyły te dodatkowe komplikacje, ale nie mógł pozbyć się coraz bardziej narzucających się podejrzeń, że kapitan Barroso ma nadzieję – nie, pragnie, by był to również jego ostatni rejs, w najgłębszym sensie tego słowa.

Miał osiemdziesiąt cztery lata. Nie mógł już liczyć, że zaproponują mu kolejny statek – nawet ktoś taki jak Singh, angażujący szyprów nie tylko posiadających uprawnienia spełniające wymogi międzynarodowych przepisów, ale również podatnych na naciski. Wśród kapitanów tych byli tacy, którzy nędznej emerytury obawiali się bardziej niż narażania na niebezpieczeństwo życia własnego oraz załogi i wciąż wyprowadzali na morze statki, chociaż doskonale zdawali sobie sprawę, że ich armatorzy pokładali większe zaufanie w polisie ubezpieczeniowej statku, niż jego konstrukcji.

Kyle miał wystarczająco dużo własnych problemów i wcale nie pragnął dodawać ogarniętego smutnym pragnieniem śmierci Starego do swojej listy oczekujących na realizację katastrof. Gdyby miał więcej czasu na przemyślenia, może uznałby, że przyjęty plan rejsu był od samego początku skazany na niepowodzenie, bez wprowadzania do niego dodatkowych, pełnych przewrotności czynników losowych.

Jego pierwotne założenie, że wspólnie z Hackmanem będą starali się nadzorować poczynania Johna Lewisa do momentu, w którym podejmie próbę zabrania posążku, było podyktowane w równym stopniu desperacją, jak względami praktycznymi. Przede wszystkim Kyle był oficerem nawigacyjnym na wachcie od czwartej do ósmej, w związku z czym musiał przynajmniej osiem godzin na dobę spędzać na mostku. Z kolei Hackman wykonywał swoje obowiązki służbowe w kambuzie podczas godzin dziennych.



Do pozytywów należał fakt, że wydawało się bardzo mało prawdopodobne, że Lewis zaryzykuje otwarcie kryjówki z Nefretete na długo przed przybyciem „Centaura” do jakiegoś portu, w którym będzie mógł zdezerterować ze statku. Mógł nim być albo Neapol, w którym mieli wyładować część towarów z Narwiku i przyjąć na pokład dalsze używane pojazdy, albo Port Said, w którym trzeba było czekać w kolejce na wejście do kanału, lub też Dżibuti. Kyle miał wrażenie, że były piechur morski przemieniony w marynarza sądzi, że ich ostateczny punkt przeznaczenia, czyli Banji Beach, jest położony zbyt daleko.

Możliwości działania były więc ograniczone. Należało bardzo dokładnie rozplanować wszystko w czasie. Gdyby zabrał z kryjówki statuetkę za wcześniej przed przybyciem do portu, gdzie mógłby ją ukryć? Jego kabina znajdowała się obok kabiny Hackmana i dzielił ją z trzema innymi marynarzami. Przebywali wspólnie w ciasnych i przestarzałych pomieszczeniach marynarskich w dziobówce i Lewis nie byłby w stanie ukryć przed wścibskimi oczami nawet szczoteczki do zębów, a co dopiero figurki ze szczerego złota.

Neapol był wciąż odległy o prawie dwa tysiące mil – czyli o prawie siedem dni żeglugi. Zakładając oczywiście, że dzięki łasce Allacha i pierwszego mechanika Mohammada Ben Saadiego astmatyczny „Centaur” zdoła utrzymać rozwijaną dotąd, w miarę przyzwoitą prędkość dwunastu węzłów. Ostatni dzień, a zwłaszcza noc przed wejściem na włoskie wody, będą oznaczały pierwszy etap rejsu, w którym wraz z Hackmanem powinni stale obserwować ruchy Lewisa.

Do tego momentu Kyle miał zamiar ograniczyć swojej zwierzynie możliwość swobodnego włóczenia się po statku, przydzielając Lewisa na swoje wachty. Minusem tego rozwiązania było to, że za każdym razem, kiedy pełnili wspólnie służbę, Kyle musiał z ponurą determinacją ukrywać swoją nieustającą wściekłość na człowieka, który wyrządził tak wiele zła.

Była to paskudna perspektywa, tym bardziej, że aby odwrócić podejrzenia Lewisa, musiał okazywać uprzejmość człowiekowi, który zabił jego najbliższego przyjaciela – ale czy istniało jakieś inne wyjście? Ruch należał do byłego sierżanta piechoty morskiej i tylko od niego zależało, kiedy go wykona. Kyle i Hackman musieli po prostu obserwować go i czekać, aż uzna za stosowne wykorzystać informacje przekazane mu przez ojca lub Teda Williamsona i wreszcie doprowadzi ich do Nefretete. Szansę, by znaleźli ją na własną rękę, były praktycznie równe zeru.

Co prawda, jak Kyle próbował wytłumaczyć to Hackmanowi w Londynie, rzeczywiście mógł w pewnym stopniu ograniczyć zakres poszukiwań, eliminując te miejsca, które najprawdopodobniej były sprawdzane w czasach, kiedy „Centaur” pływał jako „Jurij Rogów”. Istniały również części statku, które dla wycofującej się eskorty Stollenberga były raczej niedostępne. Decyzja ukrycia statuetki mogła być podjęta w ostatniej chwili jako akt desperacji, w związku z czym prawie na pewno schowek musiał znajdować się w którymś z przedziałów, do którego jego ludzie mogli szybko się dostać. Przesłanka ta sugerowała część konstrukcji znajdującą się powyżej głównego pokładu „Centaura” – nadbudówkę śródokręcia albo dziobówkę. Jednocześnie, o ile w grupie Stollenberga nie było przypadkiem żołnierza dysponującego wolną chwilą i równie wprawnego w posługiwaniu się aparaturą spawalniczą jak schmeisserem, było mało prawdopodobne, by Nefretete ukryto w pustym miejscu pomiędzy stalowymi grodziami.

Czy wszystko to nie wskazywało, że najbardziej prawdopodobna kryjówka znajdowała się za czymś wykonanym z materiału tak łatwego w obróbce jak drewno? Za jakimś panelem, czy płytą, które łatwo można było wyjąć z ramy, włożyć statuetkę i ponownie zamknąć otwór? Na przykład w jakiejś kabynie, mesie, dawnej palarni oficerskiej czy w pomieszczeniach praktykantów.

W tym miejscu kończyły się jednak możliwości logicznej dedukcji Kyle'a i rozpoczynała jego frustracja. Okrutnie doświadczony przez czas „Centaur” był mimo wszystko produktem ery dobrych rzemieślników – pomimo wywołanego wojną deficytu materiałów i braku wynalezionych później plastikowych wykładzin. Eleganckie niegdyś wnętrza statku pokrywało wiele metrów kwadratowych szlachetnych boazerii albo dobrej jakości drewnianych wykładzin. Teraz były pokryte pleśnią i zaniedbane, podrapane i poplamione nikotyną przez niechlujnych marynarzy – ale niemal cała ta powierzchnia była nietknięta od momentu, gdy statek znalazł się w basenie wyposażeniowym w stoczni Bremerhaven.

Gdzie jednak mieli zacząć te gigantyczne poszukiwania? W jaki sposób – z łomem i łapką do podważania? Metodycznie wrywać panel po panelu i badać pokryte rdzapiaste miejsca, jednocześnie licząc na to, że nikt, a zwłaszcza John Lewis, nie zauważy, że ich pływający dom zaczyna być demontowany przed dopłynięciem do Banji Beach?

Nawet próby dyskretnego porozumienia się z Hackmanem, nie mówiąc już o aktywnym spiskowaniu na temat rozbiórki statku, były dość ryzykowne.

Wszelkie rozmowy pomiędzy nimi – pierwszym oficerem ciężko zarabiającego na życie trampa oraz zwykłym członkiem załogi hotelowej – były zazwyczaj jednostronne, barwne i soczyste. Musiały też być postrzegane jako związane z pracą. W innym przypadku mogły wywołać nieprzyzwoite komentarze, a była to ostatnia rzecz, na jaką mogli sobie pozwolić w tych okolicznościach. Każdy statek jest siedliskiem plotek, aczkolwiek na „Centaurze” kursowały one dłużej, ponieważ wymagały pracowitego przekładu na kilka języków. Kyle doskonale zdawał sobie sprawę, że wszelkie pogłoski o nadmiernej zażyłości pomiędzy starszym oficerem a zwykłym członkiem załogi dotrą w końcu do Lewisa i sprawią, że będzie bardziej czujny.

Ani on, ani Hackman nie narazili się dotychczas na zdemaskowanie. Właściwie nie widzieli się od chwili rozmowy w mesie. Dopiero w czasie drugiej nocy rejsu Kyle odważył się odszukać swojego współspiskowca.

Po przekazaniu o ósmej wachty Chowdhury'emu, skierował się w stronę pomieszczeń załogowych na rufie, w czym nie było nic podejrzanego. Po prostu pierwszy wykonuje nieplanowany obchód pokładów. Szedł pozornie swobodnym krokiem po słabo oświetlonych, zalewanych deszczem korytarzach śródokręcia, licząc na to, że jego wędrówka pozostanie niezauważona.

Ale czy rzeczywiście?

Zabawne. Jak wyobraźnia nasycza najniewinniejsze działania nieuzasadnionym poczuciem winy. Przez chwilę Kyle mógłby przysiąc, że gdy schodził po zardzewiałej drabince na rufowy pokład studniowy jakieś oczy śledziły każdy jego ruch, obserwowały, jak idzie koło luków trzeciej i czwartej ładowni zakrytych brezentem lśniącym wciąż odnawiającą się warstwą syczących bryzgów wody. Co chwila bardziej zuchwała od innych fala z białą grzywą unosiła się ponad fałszburta, by następnie zabalgotać na niego wesoło i opaść, kpiąc z jego nieśmiałej próby oszustwa i całkowicie nieuzasadnionej manii prześladowczej. W końcu miał prawo znajdować się na pokładzie. Kto inny na statku chciałby wystawiać się na działanie żywiołów, by obserwować poczynania pierwszego oficera, skoro mógł siedzieć wygodnie w kabinie lub w mesie?

Na szczęście nie musiał długo szukać. Znalazł swojego niezbyt dobrowolnego kucharza przewieszzonego przez reling rufowy i kontemplującego ponuro morze, nie bacząc na lodowaty,

północno-zachodni wiatr szarpiący jego sztormiak. Kyle zaciągnął go w zapewniający dyskrecję cień osłony rufówki.

Jeżeli oczekiwał pełnego euforii powitania, gorzko się rozczarował.

– Nie powiedział mi pan, że nie będę mógł korzystać z mojej komórki odpalił powitalną salwę Hackman. – Bateria mi zdechła, a na tym statku jest za słabe napięcie i nie mogę jej naładować.

Kyle nigdy dotąd nie myślał o takich typowych dla szczura lądowego niedogodnościach. Konieczność zapewniania energii elektrycznym szczoteczkom do zębów i suszarkom do włosów nie stanowiła najważniejszego problemu dla bombardowanych co noc przez RAF niemieckich projektantów statków, a wszelkie inne alternatywne źródła energii, które Sowietci zamontowali później na statku, by zasilaly ich wyrafinowaną elektroniczną aparaturę nasłuchową, zostały dawno temu zdemontowane i sprzedane.

– Ma prąd stały sto dziesięć woltów. Wówczas wszystkie posiadały taką sieć.

– No to w jaki sposób mam się skontaktować z moimi kumplami z żandarmerii we Frankfurcie?

– A po co to panu potrzebne, panie Hackman?

– Ponieważ podobno jestem tu, żeby prowadzić dochodzenie, panie Kyle, a nie smażyć jakieś trzysta pieprzonych jajek sadzonych na pieprzone śniadanie!

Aby podkreślić powód jego złego nastroju, jakaś zabłąkana fala podrzuciła gwałtownie „Centaura”. Pokład statku zatoczył trzydziestostopniowy łuk, a maszty zawirowały wolno na szarpanym wiatrem niebie. Hackman wymamrotał zduszone „przepraszam” i podbiegł z powrotem do relingu.

– Byłem bardzo zadowolony z mojego jajka – zawołał w ślad za nim Kyle. – Było tak ładnie przysmażone na brzegach.

Gdy Hackman wrócił niepewnym krokiem, wciąż starając się wejść w rytm kołysania, wciąż ocierał pobladłe usta.

– Mieli dla mnie wysondować GsG9, pamięta pan? Ustalić powiązania pomiędzy Wandą a była komórką „Entsagung” młodego Giintera Stollenberga. A może postanowił pan zignorować fakt, że wciąż mamy do wyjaśnienia sprawę morderstwa?

– Oczywiście, że nie.

– Ani ja, panie Kyle. Wcale mi się to nie podoba. Zwłaszcza, że jej zabójstwo nawet nie zaczyna pasować do pańskiego pokoleniowego scenariusza z udziałem Williamson kreska Lewis Starszy kreska Lewis młodszy, aktualnie będący naszym kolegą na pokładzie tej Królowej Mórz.

– Podobnie jak Jagers Singh z podejrzanym gardłem, do momentu, kiedy Lewis pojawił się z listem z jego biura! – oznajmił Kyle ostro. – Czy to się panu podoba, czy nie, panie Hackman, o ile nie zdoła pan udowodnić, że było inaczej, musimy zakładać, że śmierć Wandy jest także jego dziełem.

Doprowadziło to do powtórki pierwszej skargi Hackmana.

– A jak mogę cokolwiek udowodnić, jeżeli nie mogę się z nikim skontaktować?

– No cóż, jeżeli o to panu chodzi, nie ma innej możliwości niż połączenie się z lądem przez radio.

– A gdzie jest radio?

– Na mostku.

– O, to bardzo miłe i dyskretne rozwiązanie – warknął Hackman. – Jeżeli będę mówił szeptem, zdoła mnie podsłuchać tylko połowa załogi.

– W takim razie musi pan czekać, dopóki nie zacumujemy w Neapolu. Wykona pan swój telefon

z brzegu, o ile będzie jeszcze potrzebny.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Być może Lewis do tej pory wykona swój ruch. Tylko dlatego ryzykuję, że zobaczą nas razem.

Nie uzgodniliśmy nawet, co wtedy zrobimy.

– Owszem. Zwłaszcza, jeśli sięgnie po złoto, zanim dopłyniemy do Neapolu. Pozwólmy mu wyjąć Nefretete, zintensyfikujmy naszą obserwację i dajmy znać przez radio karabinierom, żeby wyszli nam na spotkanie. To sprawa policji, panie Kyle. Nie jestem tu, aby dokonać samosądu.

– Oczywiście – całkowicie nieszczerze przytaknął Kyle. Ale w końcu David był dla Hackmana tylko jednym z klientów.

– Wciąż mamy trochę czasu. Zamierza pan spróbować samemu znaleźć królową? – zapytał Hackman.

– Rozejrzę się, zobaczę czy zdołam ustalić, do których przedziałów esesmani mogli się skierować, kiedy wycofali się na pokład statku. Ale mogę to zrobić sam. Nie ma sensu narażać na dekonspirację nas obu.

– Tymczasem ja mam lepszą możliwość pilnowania Lewisa... – Hackman przerwał gwałtownie, podszedł do rogu nadbudówki i wpatrzył się w wietrzną ciemność. – Co za cholerna sprawa powiedział.

Kyle podszedł do niego ostrożnie.

– Też pan to czuje, panie Hackman?

– Jakbyśmy byli śledzeni? – Hackman wzdrygnął się mimowolnie i Kyle odniósł wrażenie, że nie spowodował tego jedynie ostry podmuch wiatru. – Czasami ma się takie wrażenie, kiedy prowadzi się obserwacje podejrzanego. To autosugestia. Że ktoś podpatruje obserwującego.

Kyle znał się na autosugestii. Odgrywała bardzo ważną rolę w jego życiu od chwili, gdy wplątał się w tę makabryczną sieć intryg.

Przez chwilę obserwowali tylną część nadbudówki śródkręcia, ale nie dostrzegli na jej czarnej sylwetce żadnego ruchu. Widać było tylko kilka bladożółtych prostokątów – otwarte drzwi kambuza, wejście na pokładzie łodziowym do pomieszczeń oficerskich, świetliki maszynowni rzucające promienie ostrego światła na zaoblenie wysokiego komina „Centaura”, który zataczał leniwe łuki, jakby próbując zamieszać chmury ciągnące znad Portugalii.

– Wciąż ma wiele wdzięku – powiedział cicho Kyle, ponieważ patrzył na relikwiarz niemal zapomnianej, ale wciąż niedoścignionej epoki żeglugi. Zżerany rakiem i płynący, by umrzeć, ale wciąż piękny, kiedy noc jest dla niego łaskawa.

– Może dla marynarza. – Hackman znowu się wzdrygnął. – To pański żywioł, panie Kyle, nie mój. Wszystko na tym pływającym grobowcu przyprawia mnie o gęsią skórę.

Dziwne, ale Kyle nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, wiedząc, że zostanie obudzony o pierwszej szklance, czyli za piętnaście czwarta, aby objąć wachtę.

Nie chodziło tu właściwie o sformułowanie użyte przez Hackmana, ale sposób, w jaki je wypowiedział. Nie korzystał z suchego słownictwa marynarza, ale mówił jak ktoś spoglądający na wszystko z boku. I to ktoś twardy i zawzięty. Mimo wszystko jednak, w gardłowym warknięciu byłego żandarma wyraźnie słychać było niepokój.

Nazwał statek pływającym grobowcem... w którym znajdowało się ponad czterdziestu ludzi.

Gdy znaleźli się na trawersie Ponta del Camarinal, późne listopadowe słońce świeciło jaskrawo. Wkrótce mieli wykonać zdecydowany zwrot w lewo i położyć się na kurs, którym opłyną Tarifę i znajdą się w Cieśninie Gibraltarskiej.

Lewis był wachtowym sternikiem. Trzeba przyznać, że bardzo kompetentnym. Kyle zdołał już zauważyć, że były piechur morski, chociaż jego przeszkolenie miało bardziej wojskowy niż morski charakter, szybko zdobył podstawowe umiejętności marynarskie. Potwierdzał lakonicznie rozkazy na ster, zawsze potrafił przewidzieć, jak odchyli się dziób statku, nigdy nie przesterowywał, gdy ciężko obciążony kadłub statku, pracując ciężko, wchodził na nowy kurs. Był człowiekiem dumnym z tego, co robi i do tego stopnia akuratywnym, że podrzynając gardło agenta żeglugowego, na pewno nie zapomniałby o mocnym przygięciu do przodu głowy ofiary.

W czasie następnych tygodni Lewis miał nabyć o wiele więcej praktyki – oczywiście w sterowaniu. Automatyczny pilot „Centaura”, do tej pory zachowujący się kapryśnie, na środku Zatoki Biskajskiej w całkowity i nieodwracalny sposób odmówił posłuszeństwa.

– Miły poranek, panie Kyle – oznajmił, nie odrywając spojrzenia od kompasu.  
 – Istotnie, Lewis – odparł spokojnie Kyle. – Rzeczywiście, dobrze jest żyć w taki dzień.  
 – Odsłużyłem tam kilka kolejek, kiedy byłem w piechocie morskiej poinformował Lewis, rzucając krótkie spojrzenie w stronę pojawiającej się z lewej burty skały. – To dobre miejsce, żeby wyskoczyć na ląd.

– Trzymajcie kurs, albo rzeczywiście się warn to uda – odruchowo zareagował Kyle. Poczł się idiotycznie, ponieważ upomnienie było zupełnie nieuzasadnione.

– Neapol też ma swoje uroki – dodał pojednawczo. Ta towarzyska rozmowa sprawiała dziwaczne wrażenie. W końcu wiedział, iż działania Lewisa sprawiły, że czworo ludzi nie było już w stanie podpisać się pod wcześniejszą uwagą Kyle’ana temat pozytywnego wpływu promieni słonecznych na psychikę.

– Może więc właśnie tam spróbuję szczęścia – uśmiechnął się Lewis i spojrzał Kyle’owi prosto w oczy.

– Jeszcze parę mil żeglugi, zanim będziecie mieli tę szansę – odparł spokojnie Kyle.  
 – Dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć – stwierdził sternik. – Osiemdziesiąt jeden i pół godziny z prędkością dwunastu węzłów od momentu przejścia obok Europa Point. Kiedy sprzątałem, pozwoliłem sobie zerknąć na mapę.

– Widzę, że znacie się trochę na nawigacji? – mruknął Kyle, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Odrobinę. Pływałem na jachtach.  
 – Aha – Kyle pokiwał niezobowiązująco głową, starając się ukryć lekceważenie, z jakim

marynarze z pełnomorskich statków traktowali zazwyczaj żeglarzy-amatorów.

– Kilka lat temu wybrali mnie, żebym pomógł załodze Marynarki Królewskiej startującej w regatach dookoła świata. Zimowy odcinek z Sydney do Rio.

Kyle wciąż zastanawiał się, czy w tym, co Lewis powiedział o Neapolu kryło się wyzwanie, gdy na mostku pojawił się kapitan Barrosa.

Tym razem wszedł po prawym trapie z wysiłkiem, odpoczywając co chwila i Kyle poczuł ogromne współczucie, które pogłębiło się jeszcze bardziej, gdy zobaczył, że Barrosa ponownie nałożył swój imponujący mundur i ozdobioną złoceniami czapkę. Kapitan zdawał się nie zwracać uwagi na ciepło słoneczne w równym stopniu jak ignorował śnieg z deszczem i chłód Holandii. Od chwili wypłynięcia z Rotterdamu leciwy pustelnik jedynie od czasu do czasu zaszczycał oficera wachtowego swoją obecnością na mostku i zazwyczaj robił to nocą, po zapadnięciu ciemności.

Może dlatego, pomyślał ze smutkiem Kyle, bo uważa, iż powinien ukrywać swoje lata? Obawia się, że podobnie jak jego statek, nie nadaje się do oglądania? I że capitdo Ferreiro Barrosa ma nadzieję na zachowanie jakichś strzępków posiadanej niegdyś godności jedynie dzięki temu, że pojawia się albo jako bezkształtna sylwetka, lub ubrany w mundur, który jest wszystkim, co pozostało mu z czasów świetności?

W poprzednich dniach, rano i wieczorem, Kyle przejmował inicjatywę i werbując do towarzystwa wiecznie upańkanego olejem pierwszego mechanika Saadiego, zgłaszał się do kabiny kapitana, aby złożyć meldunek. W kabinie dziennej Starego zasłony były zawsze zaciągnięte. Kapitan włączał na chwilę lampę, która wydobywała z mroku jego brwi, rozchełstaną piżamę, zapadnięte policzki. Niewątpliwie wiedział, że umiera, ale jednocześnie postanowił nie robić prawie nic, poza tym, co wynikało z jego bezpośrednich obowiązków, by opóźnić wyruszenie w swój następny, największy ze wszystkich rejs.

Rozmowy były uprzejme, lecz krótkie. Właściwie bardziej przypominały wizyty kurtuazyjne. Kyle nie miał do przedstawienia żadnych spraw porządkowych, ponieważ w czasie ostatniego rejsu „Centaura” na wschód na pokładzie nie prowadzono żadnych prac konserwacyjnych. Całe nadające się do sprzedania wyposażenie pokładowe dawno już zniknęło, ponieważ poprzedni armatorzy przed wyjściem statku z Narwiku sprzedali wszystko, co nie było przyspawane lub przyśrubowane. W ociekającym wilgocią, zardzewiałym wnętrzu magazynu bosmańskiego nie pozostała ani jedna puszka farby czy smaru, zwój liny czy kawałek łańcucha. Nawet pozostawione na statku węże przeciwpożarowe ledwo nadawały się do splukiwania brudnego pokładu, natomiast nie było mowy o posłużeniu się nimi w zwalczaniu pożaru, ponieważ woda tryskała z nich na wszystkie strony. Z kolei wodę przez przeciekające hydranty dostarczały pompy, które ledwie pompowały. Uwzględniając fakt, że osuszanie przez nich zęz było niezmiernie ważne dla utrzymania „Centaura” przy życiu, było bardzo złą prognozą w wypadku, gdyby w jego cieniutkim jak bibułka kadłubie powstał duży przeciek.

Natomiast czif uśmiechał się swoim uroczym porcelanowym uśmiechem i zapewniał ich obu, że: „Okay, wine moja maszyna ona jest pies. Ale moje mechaniki une som psy tyż, panowi. Ja ide do ich kabin, gdzie une som śpiące i mówię: »Masz wachtę, piesy« – to one idom obrażone na dół do moja maszynownia – i co panowie myślita, une wtedy robiom? Ja powiem panowi. Une śpiom cztery godzin więcy na platformie sterowniczy. Ale wy się nie martwić, panowi. Allach, on trzyma wachtę razem ze mnom. Allach nas ochroni”.

No dobra, ale czy zajmie się też łodziami ratunkowymi? – pomyślał Kyle, przypominając sobie o pompach. Nastrój mrocznego fatalizmu, którego zaczął doświadczać od momentu ujrzenia „Centaura” jeszcze bardziej się pogłębił. Nawet po zdemontowaniu kilku działających części i zdjęciu najlepszych talii – czy może raczej najmniej skorodowanych – z pochyłonych żurawików, tylko jedną poobijaną szalupę był w stanie doprowadzić do takiego stanu, że tylko w razie dużego zagrożenia odważyłby się ją spuścić na wodę. Najchętniej tuż przy nabrzeżu, przy bezwietrznej pogodzie i idealnie gładkim morzu.

Ciekawe, czy kiedy zdarzy się coś najgorszego, można będzie zaufać alternatywnym środkom ratunkowym, czyli tratwom? Kyle nawet nie chciał myśleć o takiej ewentualności.

Wielki zbiornikowiec Shella płynął w ich stronę po migoczącej powierzchni toru wodnego dla statków płynących na zachód, zamierzając minąć ich z lewej burty. Słońce oświetlało jego białe nadbudówki, powodując, że płonęły niczym stare złoto. Gibraltar pełnił milczącą straż nad Cieśniną. Bliżej brzegu, pomiędzy nimi a wybrzeżem Afryki Północnej flotylla wesoło pomalowanych łodzi rybackich z Ceuty pracowała na chleb powszedni.

Przez chwilę Kyle zapomniał o ohydnych morderstwie i o przedmiocie, który chociaż był bezcenny, to jednak nie był wart ani jednego ludzkiego życia. A także o dawno zmarłym esesmanie i zaginionym odkurzaczu Davida oraz o marzeniu dzielnego, starego żołnierza, które zmieniło się w jego najgorszy koszmar – zwłaszcza, jeżeli stary Ted w ostatnim ułamku świadomości zdołał dostrzec twarz człowieka siedzącego za kierownicą pędzącego nań pojazdu. Zapomniał nawet o wszechstronnie utalentowanym i niezaprzeczalnie czarującym zabójcy, który położył kres jego przyjaźni, a teraz trzymał wachtę w odległości niecałych trzech metrów od niego, jak na razie wolny od kary.

Stał obok kapitana, opierając przedramiona na wytartej drewnianej poręczy osłony mostka i patrzył razem z nim, rozkoszując się owiewającymi 10 Konwój Stollenberga jego twarz podmuchami ciepłego, śródziemnomorskiego wiatru, łagodnie unoszącym się opadającym pod jego stopami lizajowatym pokładem. Czuł wdzięczność, że może znowu być na morzu, nawet na statku takim jak ten.

Gdy tankowiec znajdował się na ich trawersie, na skrzydło mostka wyszedł ubrany na biało oficer i podniósł rękę, salutując. Bardzo ładny i miłosierny gest. Na dobrą sprawę „Centaur”, czyli eks „Jurij Rogów”, stracił prawo do szacunku, jakim zapewne darzono go, zanim ów młody człowiek przyszedł na świat.

Barrosa zeszywniał, wyprostował się dumnie i odpowiedział na pozdrowienie. Przez kilka minut stał bez ruchu, patrząc na oddalającą się szybko rufę tego doskonalszego statku. Kyle mimo woli zastanawiał się, jakie uczucia zostały poruszone i jakie pajęczyny nostalgii zostały na chwilę zdmuchnięte z pogrążonego w ponurych rozpamiętywaniach umysłu Starego.

Może było to: „Ustąp z drogi, mój panie! Przepuść statek capitao Ferreiro Cavaco Barrosy?”

To było kiedyś. Muito tempo... bardzo dawno temu.

Trzeci oficer Chowdhury zmienił go o ósmej. Kyle poczekał, aż młody marynarz urządzi się na mostku, a potem zszedł na dół na coś, co na „Centaurze” eufemistycznie określano jako śniadanie. Znowu jaja. Tym razem jajecznicą.

Wielojęzyczne plotki z mesy głosiły, że w Rotterdamie, cierpiący z powodu narzuconych przez armatora ograniczeń budżetowych główny kucharz, ponury Węgier o nazwisku Bokros, dogadał się ze

spotkanym w barze dostawcą prowiantu, podejrzanym jegomościem dalekowschodniego pochodzenia o nazwisku Fuk Yu, w sprawie dostawy dużych ilości... no cóż, jaj. Chińskich jaj. Dość starych, bardzo przecenionych, w ilości dwóch tysięcy sztuk. Co w przypadku liczącej czterdzieści dwie osoby załogi dawało 47,62 jajka na żołądek.

Miały konsystencję gumy. Smakowały jak guma. I równie dobrze mogły mieć wartość odżywczą gumy.

Ostatniej nocy Bokros, nieco zatroskany sztyletem, który jeden 7. włoskich smarowników przyłożył mu do gardła, obiecał załodze, że postara się nieco urozmaicić menu. Będzie do wyboru: Oeufs Grand'Mere. Rissoles d'Oeufs. Oeufs sur le Plat a la Mettemich... albo Omlette Paysanne.

W chwili gdy Kyle wszedł do mesy, znajdował się w niej jedynie drugi oficer.

– Tosty są w porządku – uśmiechnął się Voorhoeve. – Są dobrzy w tostach.

Z kambuza wyłonił się Hackman i z trzaskiem postawił przed Kylem talerz jakiejś szarej masy.

– Musiałem trzymać w piekarniku, żeby nie wystygły – wyjaśnił, zaciskając wargi niczym zrzedząca żona. – Proszę nie mieć pretensji, że są wysuszone!

– Były wysuszone w chwili, gdy przełożono je z patelni – zwrócił uwagę Voorhoeve.

– Powiedziałem, że umiem tylko obierać kartofle – odpowiedź Hackmana zawisła w powietrzu, on sam zaś zniknął, wycierając ręce w brudny fartuch.

– Kawy, panie pierwszy?

– Czarną, dwie kostki cukru, bez mleka.

– I bardzo dobrze. – Drugi wziął swój kubek i podszedł do kredensu. Właśnie skończyło się nam mleko w proszku.

– A co gorsza, skończyły się nam pieprzone papierosy – warknął Kyle. – Rzuciłem palenie o siódmej szesnaście dzisiaj rano i nie zapalę, dopóki nie zacumujemy w Neapolu.

Ostrożnie szturchnął śniadanie, a następnie odsunął zastygłe, monochromatyczne jaja na bok i sięgnął po grzankę i margarynę. Zapowiadał się bardzo długi rejs. Stollenberg musiał odpowiedzieć za coraz więcej grzechów.

– Nie chcę być wścibski, ale co pana skłoniło, aby podjąć... takie wyzwanie? – zapytał przez ramię Voorhoeve. – Jasne jak słońce, że nie zrobił pan tego dla pieniędzy czy żarcia.

– To długa historia – odparł Kyle. – A poza tym mógłbym panu zadać to samo pytanie. Przeglądałem pańskie papiery. Ma pan dobre kwalifikacje, Wim. Pływał pan na kanadyjskich flagowych kontenerowcach, pracował na amerykańskich statkach wycieczkowych. O ile mogłem się zorientować, nie zapaskudził pan sobie kartoteki. A teraz coś takiego?

– Niech pan nazwie to chwilą odpoczynku od wyścigu szczurów ubiegających się o dowództwo. Pozwoliłem sobie na luksus poszukania maleńkiej przygody.

– Przygody?

– No dobra, określe to inaczej. Przypuszczam, że chciałem nabyć doświadczenia na statkach z innej epoki, zanim odejdą bezpowrotnie. – Drugi oficer uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. – Przypuszczam, że brzmi to głupio, ale mój tata, zanim osiedlił się w Vancouver, pływał głównie na holenderskich statkach. Emerytowany kapitan żeglugi wielkiej starej Koninklijke Nederlandsche Line. Wciąż mi truł głowę tym, co nazywał czasami prawdziwej żeglugi, zanim pojawiły się kontenery, komputery ładunkowe i mostki zapchane elektroniką. Trójwyspowe statki – trampy, klasyczne frachtowce, takie jak ten. Nazywał to przewozem drobnicy w otwartych ładowniach.

– Rzeczywiście, pozostało niewiele takich „Centaurów” – zgodził się poważnie Kyle, czując



coraz większy szacunek dla młodego kolegi. – Miał pan szczęście, że zdołał się na niego zamustrować.

To nie było trudne. Kompania Singha ogłaszała, że poszukuje oficerów.

Założą się, że tak – pomyślał Kyle. – Kiedy się pan zgłosił, Voorhoeve, Jagers musiał pomyśleć, że to jego urodziny.

– Przyzwoity facet z tego pana Singha.

Wcale nie. Był wrednym małym wyzyskiwaczem, którego morską brać nie będzie szczególnie gorzko opłakiwać! – Ale Kyle nie wyraził tego poglądu na głos. Nawet po to, by uzyskać perwersyjną przyjemność z faktu mówienia o nim w czasie przeszłym... – chociaż w gruncie rzeczy nie zastanawiał się nad tym aż tak głęboko.

– Obiecał, że aby mi pomóc, zmniejszy swoją pobieraną z góry opłatę dodał z wdzięcznością drugi.

Widzisz, o co mi chodzi – Kyle umocnił się w swojej dotychczasowej, niechęci. Jagers inkasował od obu stron. Od armatora, który płacił mu za obsadzenie statku załogą i od zaangażowanych marynarzy, którzy zazwyczaj znajdowali się w rozpaczliwej sytuacji.

Ale nie zmniejszyło to determinacji młodego człowieka, który pragnął dowieść ojcu, na co go stać. Zresztą nostalgia Voorhoeve'a starszego również była zrozumiała. Kyle zdawał sobie sprawę, że marynarze są konserwatywni z natury, zwłaszcza ci, którzy wywodzili się z zachodnich krajów o długoletnich tradycjach marynarskich. Niektórzy wciąż tęsknili za „starymi, dobrymi czasami”, chociaż zapewne wcale takimi nie były. Poprzednie pokolenia tak samo narzekały, gdy drewno zostało wyparte przez żelazo, a żagle przez maszynę parową.

Wyglądało na to, że młody Wim będzie miał więcej przygód niż sobie tego życzył. Jednak Kyle nie miał najmniejszego zamiaru szydzić z godnych najwyższej pochwały motywów, które kierowały drugim oficerem, chociaż wykonawszy już rejs na jednym z „klasycznych frachtowców” Jagjivana Singha, z nadwyżką zaspokoił swoje nostalgiczne potrzeby. Kiedy Voorhoeve będzie miał już wpisany ten rejs w swojej księżeczce marynarskiej, dzięki temu doświadczeniu będzie niewątpliwie lepszym oficerem.

Oczywiście zakładając, że „Centaur” zdoła przebyć w jednym kawałku te kilka tysięcy mil dzielących go od Banji Beach.

Kyle zaczął mieć w tej sprawie coraz gorsze przeczucia. Zbadał już kilka przedziałów statku, starając się uprzedzić Lewisa i jako pierwszy odzyskać Nefretete, ale przekonał się, że zajęcie to jest równie denerwujące, co nie przynoszące efektów.

Jego marynarski szósty zmysł coraz wyraźniej wyczuwał nasilające się zmęczenie, z jakim „Centaur” podążał swoim kursem. Wrażenie to potęgowało się coraz bardziej, gdy widział, że stan konstrukcji statku pogarsza się z każdym dniem. A jednocześnie niepokoiło go podejrzenie, że toczy się tu również jakaś inna rozgrywka.

Dziwaczne złudzenie? Mania prześladowcza? Choć Kyle bardzo się starał, nie mógł pozbyć się przekonania, że wszystkim sędzone jest przegrać ten wyścig. I jeżeli w czasie pozostałej części rejsu osiągnie on swój ponury finał, to żniwo śmierci będzie katastrofalne, przewyższające wszystko, co stało się od chwili zamordowania Davida McDonalda.

Wyścig – a może w związku z przeszłością frachtowca bardziej właściwym określeniem byłaby kolejna partia rosyjskiej ruletki? Pomiedzy byłym „Jurijem Rogowem” a jego gasnącym kapitanem.

Rozgrywka, mająca ustalić któremu z nich – Staremu, czy statkowi uda się umrzeć wcześniej?

W noc przed wejściem na włoskie wody, nie można było opędzić się od widm.

Ich ETA, oczekiwany czas przybycia do Neapolu, był wyznaczony na późne popołudnie następnego dnia. Jeżeli John Lewis miał zamiar przeszmyglować statuetkę na brzeg właśnie tutaj, musiał wydobyć ją z kryjówki w nocy, kiedy na statku panował spokój, a na pokładzie przebywała jedynie wachta. W rezultacie, aby uniknąć podejrzeń, musiał działać pomiędzy zachodem słońca, a czwartą rano, kiedy to koniecznie powinien pojawić się znowu, aby odbyć swoją rundę przy kole sterowym.

Dlaczego więc Kyle, zamiast myśleć z radością, że wkrótce sprawiedliwości stanie się zadość, miał złe przeczucia? Dlaczego, kiedy przebijali się przez Morze Tyrreńskie z przyładkiem Spartivento za rufą, zazwyczaj niewzruszony Hackman zdawał się również podzielać jego obawy?

– Rzeczywiście jesteśmy obserwowani – mruknął współpiskowiec Kyle’a, natychmiast po tym, gdy po zapadnięciu zmroku spotkali się w rufowej części pokładu łodziowego. – Czuję to. Czuję to w kościach. Ktoś właśnie nas obserwuje.

– Lewis?

– Nie... tak. Chryste, nie wiem – odparł Hackman. – Kiedy wychodziłem, żeby się z panem spotkać, właśnie pojawił się w mesie. Pieprzone statki! Same zakamarki i drabiny. Mógłby za mną dojechać aż tutaj i wcale bym się nie zorientował.

– Jest pan pewien, że nie cierpi pan na manię prześladowczą? zapytał Kyle, beczelnie ignorując diabły w swojej własnej głowie. – Sam pan mówił, że kiedy prowadzi się obserwację, umysł potrafi płatać figle.

– Umysł może płatać figle, kiedy próbuje się boksować z mgłą.

– Chodzi o to, że pańska komórka nie działa?

– Byłbym szczęśliwszy, gdybym wiedział więcej. Mam nadzieję, że tak będzie, kiedy jutro zadzwonię do Frankfurtu. Aby upewnić się, że Lewis jest naszym człowiekiem, musimy odnaleźć jakiś związek – choćby słabiutki pomiędzy nim a Wandą Inadi. Może to mieć większe znaczenie niż pan myśli, panie Kyle.

– Dlaczego?

– Ponieważ wciąż powtarzam, że jeśli Lewis nie zabił dziewczyny, to w takim razie...?

– Niech pan posłucha, panie Hackman – odezwał się z irytacją Kyle już to przerabialiśmy. Nie mamy innego podejrzanego, ani czasu do stracenia. Po prostu idź pan na dół, na rufę i znajdź pan faceta, a potem wspólnie będziemy obserwowali go jak sępy aż do rana.

– Bardzo proszę – burknął Hackman. – Ale proszę mi wierzyć, tracimy tylko czas. Przemyślałem wszystko dokładnie, tworząc moje epikurejskie jajeczne smakołyki. Jeżeli nawet ma pan słuszość w sprawie Lewisa, to i tak nie wykona on dzisiaj żadnego ruchu.

– A więc teraz pan ma swoją teorię – warknął Kyle. Był coraz bardziej rozdrażniony, ponieważ sam również był przekonany, że są obserwowani. Proszę to wyjaśnić, panie Hackman!

– Dyktuje to zdrowy rozsądek. Gdyby miał pan do wyboru przechodzić przez młyn urządzany przez włoskich celników wspieranych przez karabinierów, albo ich egipskie odpowiedniki w Port Saidzie, to który port wybrałby pan jako najlepsze miejsce do przeszmyglowania złota na ląd?

Kyle nie pomyślał o tym. Ale nie zamierzał się przyznać.

– Mimo wszystko poczekamy, aż Lewis zrobi swój ruch.

Czekali więc, żeby Lewis zaczął działać. Albo raczej robił to Hackman, który miał uzasadniony

powód, aby kręcić się na rufie. Kyle po prostu tkwił w rejonie nadbudówki śródokręcia, do momentu, gdy skończyła się wachta drugiego oficera Voorhoeve'a i zmęczony pierwszy oficer musiał wspiąć się na mostek.

Gdy sternik Lewis zmieniał poprzednika, sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego i świeżutkiego jak pączek róży.

Powód był prosty. Zamiast łązić po statku i wydobywać Nefretete, spędził całą noc w koi. Hackman dawał na to słowo. I dodawał do niego sporo innych.

Barometr zaczął spadać dokładnie w chwili, gdy pierwsza cuma „Centaura” spadła na ląd.

Mieli wyjść w morze po niecałej dobie. A wtedy, zgodnie z prognozami meteo dla wschodniej części Morza Śródziemnego, miał nadejść sztorm.

Pomimo dręczącego go niepokoju, Kyle musiał uśmiechnąć się, gdy z wysokości mostka obserwował Hackmana schodzącego na ląd.

Niezbyt dobrowolnie służący kucharz tak bardzo pragnął poczuć pod stopami twarde ląd, że gdy tylko opuszczono rozchwierutany trap, niemal zbiegł po nim. Uzgodnili, że spotkają się nieco później w znanej Kyle'owi trattorii na Piazza Santorini, a w międzyczasie były żandarm nawiąże upragniony kontakt telefoniczny z kumplami we Frankfurcie. Kyle czekał z niecierpliwością na tę nieoczekiwaną przerwę. Początkowo chciał zrezygnować z luksusu zejścia na ląd i zjedzenia przyzwoitego posiłku. Był zdania, że powinien zostać na pokładzie, przygotowany na jakieś podstępne działania Lewisa. Jednak bieg wydarzeń sprawił, że ponoszenie takiej ofiary stało się zbędne. Zadbaly o to włoskie służby imigracyjne i neapolitańscy karabinierzy.

Natychmiast gdy zacumowali, dwaj funkcjonariusze zajęli stanowisko przy końcu trapu „Centaura”. Najwyraźniej mieli obowiązek dopilnować, by nikt nie spróbował prześlizgnąć się do Włoch bez odpowiednich papierów. Oznaczało to, że chociaż statek stał w cieszącej się kusząco złą sławą części portu o nazwie Mergellina, przynajmniej połowa marynarzy „Centaura” nie zazna rozkoszy spędzenia nocy na neapolitańskim bruku. John Lewis zszedł jednak na ląd nieco później, w towarzystwie tej części załogi, która była nieco mniej na bakier z prawem. Jeszcze ważniejszy dla Kyle'a był fakt, że obecność miejscowej policji oznaczała, iż gdyby Lewis zamierzał się ulotnić, nie zdołałby wrócić na pokład i przesznuć statuetki na ląd.

Potwierdzało to hipotezę Hackmana, iż były piechur morski wybierze najslabiej chroniony punkt. Logika wskazywała, że najbardziej prawdopodobnym miejscem, w którym Lewis i Nefretete będą mogli opuścić statek, był prawie nie pilnowany Port Said, albo nawet Dżibuti. Jednak nawet dawni weterani Waffen SS z eskorty Stollenberga mogli być zdania, że przeniesienie wykonanej z czystego złota egipskiej królowej przez niebezpieczne ulice Dżibuti może być trochę ryzykowne.

Nie, rozstrzygnięcie musiało nastąpić w Port Saidzie. Gdyby Hackman zechciał bardziej zdecydowanie przedstawić swoją wersję, zamiast narzekać, że nie może skorzystać z telefonu komórkowego, oszczędziłoby to Kyle'owi zszarpanych nerwów. Zwłaszcza, że w porywie bohaterstwa, nagle postanowił rzucić palenie.

Był już na dobrej drodze, ponieważ gdy na „Centaurze” skończyły się zapasy papierosów nie miał wyboru i musiał znieść trzy pierwsze – i najgorsze – dni głodu tytoniowego. Wytrzymał go do tego stopnia dobrze, że nawet po zacumowaniu oparł się pokusie, by natychmiast zbiec na ląd i błagać palących jednego papierosa po drugim karabinierów, aby sprzedali mu jedną fajkę.

Ale jego postanowienie miało krótki żywot.

Kyle nie powinien był tego robić.

Nie powinien tak beztrzesko ruszyć przez Spaccanapoli, aleję dzielącą Neapol na część północną i południową. Zwłaszcza, że pokonywał tę śmiesznie cionosną barierę, by zrobić coś, czego poprzysiągł nie robić. Na przykład kupić paczkę papierosów, których sobie dotąd odmawiał.

Nie oznaczało to, że okazywanie większej samodyscypliny w zakupach cokolwiek by zmieniło. To, co zdarzyło się później, znakomicie ilustrowało jedynie przewrotność, perwersję i ewidentną niesprawiedliwość losu. Mające nastąpić wydarzenia dowiodły bowiem, że zamiast narażać się na niebezpieczeństwo skrócenia sobie życia, mimowolnie je sobie przedłużył.

Wtedy jednak uważał, że jego nieodpowiedzialne działanie jest całkowicie zrozumiałą reakcją nikotynowego nałogowca, który znalazł się w stresującej sytuacji bez peta w dłoni. Kyle próbował z tym walczyć. Nawet gdy taksówka dowiozła go ze statku na Piazza Santorini, wciąż trwał w swym niezłomnym postanowieniu.

Powiedzmy, prawie niezłomnym. No dobra, powinien przyznać, że zamierzał poprosić taksówkarza, aby zatrzymał się gdzieś po drodze, by kupić paczkę fajek. Na wszelki wypadek. Po prostu jako element psychologicznego wsparcia, był bowiem pewien, że Hackman na pewno go zdenerwuje, ponieważ dowie się czegoś i będzie o tym ponuro głądzić przez cały obiad. Ale przecież wcale nie zamierzał ich palić. No, może jednego, najwyżej dwa? I tylko wtedy, gdy jego liczące trzy dni, trzynaście godzin i dwadzieścia dwie minuty postanowienie zerwania z nałogiem, okaże się chwilowo nie do pogodzenia z euforią na widok Hackmana.

Upewnił się, że drugi oficer Voorhoeve nie ma zamiaru w najbliższym czasie zejść ze statku, przekazał służbę trzeciemu oficerowi Chowdhury'emu i polecił mu zająć się nadzorowaniem rozładunku towarów z Narwiku. Na koniec oznajmił krzaczastym brwiom i wymiętej piźmie kapitana, że schodzi na ląd. Wtedy nagle okazało się, że ma mało czasu, aby zdążyć na spotkanie o dziewiątej. Nie mógł więc pozwolić sobie na zatrzymywanie taksówki a to z kolei uruchomiło samonapędzający się mechanizm psychologiczny, ponieważ fakt, że nie mógł kupić papierosów, kiedy już podjął decyzję, że to zrobi, wywoływał dokładnie taki rodzaj stresu, który poprzednio kazał mu zapalić papierosa, żeby zwalczyć napięcie.

W konsekwencji oznaczało to, że w momencie, gdy wreszcie spotkał Hackmana spacerującego już niecierpliwie po chodniku przed Trattoria Guzzanti, Kyle myślał bardziej o kupieniu papierosów, niż o jedzeniu.

Późniejsza walka o pusty stół przed trattorią w morzu ożywionych klientów na chwilę zaprzętnęła myśli Kyle'a. Dopiero gdy usiedli w sąsiedztwie dość przystojnej dziewczyny w białej sukni i zamówili na początek od dawna wytęsknioną butelkę wina, zaczął ponownie odczuwać spazmy tytoniowego głodu.

– Czy przypadkiem... nie ma pan przy sobie papierosa?

– Wie pan, że nie palę, panie Kyle.

– Zupełnie słusznie. Paskudny nałóg.

Tytoniowy abstynent Hackman zerknął na niego podejrzliwie.

– Ubiegłej nocy na pokładzie łodziowym powiedział mi pan, że rzucił palenie. Wspominał pan o tym sześć razy.

– O tak, rzuciłem – zapewnił go Kyle. A potem odwrócił się na krześle i z niepokojem spojrzął na drugą stronę kiepsko oświetlonej, zatłoczonej samochodami Spaccanapoli, próbując znaleźć neonowy znak kiosku, zapowiadający obecność Marlboro lub Lucky Strike'ów.

Rozglądając się, napotkał spojrzenie siedzącej przy sąsiednim stole kobiety, która całkiem

nieoczekiwanie uśmiechnęła się do niego. Zaskoczyła go tym całkowicie – był to jednoznaczny, otwarcie zapraszający uśmiech.

– Sądzę, że najpierw powinien pan zwrócić uwagę na mnie – oświadczył ponuro Hackman. – I na to, co mam panu do powiedzenia.

– Udało się panu porozumieć z Frankfurtem?

– I warto było. Pański człowiek z Wydziału Specjalnego nie powiedział panu wszystkiego. Zresztą, to nie jego wina. Nie miał wtedy powodu, aby uznać tę informację za ważną.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, że z tymi dwoma Stollenbergami to jednak tylko zbieg okoliczności?

– Nie. W tym przypadku pańska tendencja do wyciągania pochopnych wniosków nie potwierdzonych faktami, przyniosła pozytywny skutek. Pański nieżyjący anarchista, Gunther, był rzeczywiście synem Standartenführera. Miał romans z Inadi, zanim w raczej dość dosłowny sposób stracił głowę dla niemieckich sił specjalnych.

Kyle zmarszczył brwi. Jak na razie wstęp Hackmana zawierał potwierdzenie, nie zaś jakieś rewelacje. Dlaczego więc robił wrażenie tak spiętego? Typowe dla Hackmana. Do licha, informacje, które zdobył, na pewno dobrze im posłużą, a przecież przybyli tu, żeby nieco się rozluźnić. Wszystko wskazywało na to, że noc na brzegu będzie udana. Butelka wina, porządny posiłek bez odrobiny jajka. Niezwykle pogodny wieczór jak na zimową porę, pomimo, że w jego zdradzieckich pieszczotach kryło się ostrzeżenie przed nadciągającym sztormem. Nawet fakt, że kobieta o sarnich oczach uśmiechnęła się do niego. Chociaż należy oddać sprawiedliwość Kyle'owi i stwierdzić, że usilnie walczył z tym pragnieniem, to jednak bardzo potrzebował tego jednego, jedyne go papierosa.

– Czy informacja ta wiąże się z Lewisem?

– Jak cholera.

...To zajmie tylko parę minut. Skoczę na drugą stronę ulicy i, że tak powiem, załatwię sprawę w najbliższej tabaccaio.

– Mamy dość poważny problem z Lewisem... – Hackman przerwał zrezygnowany, ustępując przed uzależnieniem Kyle'a. – Panie Kyle, może pan jednak je kupić?

– Co? – z miną zdziwionej niewinności spojrzął na niego Kyle.

– Papierosy, na litość...

Kyle wstał, udając, że robi to bardzo niechętnie.

– Skoro pan o nich wspomniał, może rzeczywiście je kupię. Na wszelki wypadek. Za chwilę wracam.

– Spróbuj pan przejść przez tę ulicę nie rozglądając się, a nie wróci pan wcale – zawołał w ślad za nim Hackman i dodał. – Po tym, czego się dowiedziałem, jutrzejsze wypłynięcie będzie pańskim najmniejszym zmartwieniem.

Kyle niemal zawrócił. Jaka wiadomość zdobyta przez Hackmana u jego frankfurckiego łącznika kazała mu sugerować, że po powrocie na „Centaura” oczekuje ich jeszcze większe niebezpieczeństwo? A zwłaszcza, czego dowiedział się o Johnie Lewisie?

Ale jednak nie zawrócił, miał bowiem dziwne przeczucie, że będzie potrzebował papierosa jak nigdy dotąd. Przebiegł przez ulicę szybciej niż zrobiłby to w mniej stresujących okolicznościach i kupił wreszcie te pieprzone papierosy. Udało mu się nawet powrócić bezpiecznie na chodnik przed trattoria, choć nerwy miał nieco szarpane wciąż dźwięcząca mu w uszach kakofonią rozwścieczonych klaksonów...

... i właśnie w tym momencie dała o sobie znać niesprawiedliwość losu, o której rozmyślał później przez szereg miesięcy.

Prawdziwą ironią był fakt, że Hackman był zapewne przekonany, iż demonstrowane przez Kyle'a postanowienie skrócenia sobie życia – czy to powolne, dzięki systematycznemu wchłanianiu substancji trujących, czy to natychmiastowe, dzięki pojedynczemu zderzeniu z samochodem prowadzonym przez Włocha – miało skłonić śmierć do szybszego działania. Jednakże Hackman nie mógł przewidzieć, że reakcja śmierci będzie tak przypadkowa. Przede wszystkim statystyka działała tu wyraźnie na korzyść Hackmana. Był przecież człowiekiem z natury ostrożniejszym od Kyle'a, nie wierzył ludziom na słowo, sprawdzał ich tożsamość, unikał pływania statkami, które miały tendencję do tonięcia, niewątpliwie zawsze rozglądał się w obie strony przed przejściem przez ulicę, nie przebiegał przez zatłoczoną autostradę i nawet nie palił papierosów.

Wszystko to sprawiało, że późniejsze wydarzenia były zupełnie sprzeczne z logiką.

Gdy Hackman, z malującym się na twarzy zdziwieniem połączonym z ulgą, wstawał, by umożliwić Kyle'owi przeciśnięcie się za jego krzesłem, nagle spojrział w punkt znajdujący się nieco z prawej strony za plecami nadchodzącego pierwszego oficera. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że widok ten ogromnie go zaskoczył.

Ułamek sekundy później trafił go pierwszy pocisk.

Okazało się, że statystyki śmiertelności są jedynie wskaźnikami, nie zaś gwarancją długowieczności.

Kyle, pochłonięty pokonywaniem zygzakowatego, wymagającego ciągłych przeprosin powrotnego slalomu pomiędzy ustawionymi ciasno stolikami, początkowo nawet nie uświadomił sobie, że był to pocisk. Albo raczej pociski – osiem lub dziewięć wystrzelonych w krótkich odstępach czasu.

Kyle nawet nie usłyszał niczego, co choćby przypominało wystrzały jedynie przeraźliwy jazgot dwusuwowej vespy, startującej sprzed trattorii, aby płynnie wcisnąć się pomiędzy sunące we mgle samochody, pomiędzy którymi przed chwilą przebiegał.

Nawet się nie odwrócił, by spojrzeć na ten pojazd. Na ulicach Neapolu widok skutera używanego jako narzędzie samobójstwa nie należy do rzadkości. Jego start, choć szczególnie hałaśliwy, stał się jeszcze mniej ważny, ponieważ idącemu przed Kyle'em kelnerowi bez żadnych widocznych powodów nagle opadła szczeka i wylał na kolana starszej pary cały talerz Tacchino in Carpione. Kobieta zaczęła krzyczeć i na Piazza Santorini zapanowała panika.

Cholerni makaroniarze! – pomyślał niepewnie Kyle. – Przesadna, typowa dla Neapolitańczyków reakcja na niezręczność kelnera.

Nie był to sprawiedliwy osąd, zważywszy że Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy i przedstawiciele Bóg raczy wiedzieć jakich narodowości równie energicznie rzucali się za iluzoryczne osłony, jakimi były przewrócone stoły, krzesła, albo w przypadku co bardziej pragmatycznych osobników, także za leżących klientów, którym przerażenie pomogło znaleźć się na chodniku jeszcze szybciej niż oni.

Można jednak wybaczyć Kyle'owi tę rasistowską, błędną ocenę sytuacji, ponieważ wszystko, co działo się wokół niego, rzeczywiście mogło go zdezorientować. Wyglądało na to, że na chwilę, zanim dotarł do swojego towarzysza w ciemnych sprawkach, kelner popełnił największy zawodowy grzech. Ponad pięćdziesięciu klientom brutalnie przerwano posiłek, a Hackman został odrzucony do tyłu dwoma pociskami, które trafiły go w pierś. Kyle'a ogarnęło takie samo uczucie beznadziejności,

jakiego doznał, widząc ciało Davida McDonalda – jego jedyny sojusznik, któremu mógł całkowicie zaufać, przestał istnieć.

Przystojna kobieta przy sąsiednim stoliku zapewne lepiej znała neapolitańskie obyczaje uliczne niż Hackman i widząc podjeżdżającą vespe, próbowała uciec. Pobiegła jednak w złym kierunku. Teraz jej ciało spoczywało tuż koło zwłok Hackmana. Miała kolczyki z delikatnego, złotego filigranu, pokryte jasnorożową szminką wargi i schludną białą sukienkę – białą, poza dotykającą chodnika częścią, która nasiąkała powoli gromadzącą się tam krwią oraz miejscem nieco przypominającym kwiat, w którym pocisk trafił ją tuż pod lewą piersią.

Oczywiście znowu było to działanie naczyń włoskowatych. Kyle stał się już specjalistą od zagadnienia absorpcji krwi przez niektóre tkaniny. Dywan koło szafy z Wandą, lista załogi leżąca przez Jaggersem Singhiem dały mu podręcznikowe przykłady porównawcze.

– Znałem ją – oznajmił kapitan policji. – Często tu przychodziła. Ale zazwyczaj jej rachunki płacili inni.

– Inni? – mruknął bezmyślnie Kyle.

– Mężczyźni, signore. To jest... była... miejscowa puttana. prostytutka?

– Dlaczego, na litość boską? – zapytał Kyle.

– Przystojna. Dobre nogi. – Kapitan wzruszył ramionami. – W Neapolu trudno o pracę.

– Chodzi mi o to, kto tu, na brzegu, chciałby zabić Hackmana?

Policjant spojrział na niego bardziej z wyrozumiałością niż ciekawością, jakiej można było oczekiwać od funkcjonariusza w stylu Coksa, czy choćby samego Hackmana.

– Dwa trupy, trzy osoby ciężko ranne. O ile wiadomo, wszystkie pozostałe ofiary były rodowitymi neapolitańczykami. Dlaczego pan przypuszcza signore, że to pański angielski capitano był celem?

– Kucharz – poprawił go Kyle, nieco poirytowany, że oficer uznał Hackmana za wyższego stopniem od niego. Przede wszystkim jednak intuicyjnie starał się ominąć to pytanie. Przez całe dorosłe życie był marynarzem żeglugi handlowej i nauczył się, aby zagranicznymi policjantom nie mówić nic, poza tym, co jest absolutnie konieczne, zwłaszcza gdy pod wpływem szoku umysł wciąż reaguje z opóźnieniem. – Hackman był naszym drugim kucharzem, a nie kapitanem.

Ta drobna różnica była zbyt błaha, by włoski policjant skwitował ją czymś więcej niż tylko kolejnym wzruszeniem ramion.

– Pan przecież także tu był. Pociski musiały przelecieć bardzo blisko. Może powinien pan pomyśleć, że miał pan szczęście, bo oni nie użyli granatu?

Kyle nie czuł się jakoś szczególnie szczęśliwy. Ale nie umknęła jego uwadze forma czasownika.

– Oni?

– Nasza słynna na cały świat Camorra. – Oficerowi udało się dodać do tych słów ironiczne wzruszenie ramion. – Albo NCO – Nuova Camorra Organizzata, signore. Przez lata rzucają się sobie do gardeł, aby objąć kontrolą nad rynkiem narkotyków, nad wymuszeniami okupu i ochroną. – Ruchem ręki wskazał zdewastowany plac, karetki pogotowia, niebieskie migacze radiowozów wciąż melodramatycznie zaparkowanych pod różnymi kątami na trotuarze. – Przeprowadzimy dochodzenie, ale podejrzewam się, że całe to wydarzenie okaże się ostrzeżeniem dla innych restauratorów, którzy płacą za ochronę niewłaściwej stronie. W następnym tygodniu z nowym entuzjazmem zapłacą obu rodzinom, tyle ile zażądają.

Kyle wcale nie był tego pewien. Wprawdzie było mu na rękę zapewnienie oficera, że ta jatka



była zwykłym przejawem inicjatywy lokalnej mafii, która chciała w ten sposób zwiększyć dopływ gotówki, ale instynktownie wiedział, że Hackman nie zginął w wyniku wewnętrznych rozgrywek pomiędzy grupami przestępczymi. Jeżeli ktoś tu istotnie miał szczęście, to tym człowiekiem był raczej kapitan policji. Ponieważ nigdy nie słyszał o SS-Standartenführerze Stollenbergu.

Ani o pewnym bardzo uzdolnionym marynarzu, który w tym samym czasie przebywa bez żadnego nadzoru w tym samym mieście.

Ale po raz kolejny Lewis udowodnił, że nie jest doskonały. Podobnie jak w przypadku gazu, który nie eksplodował w mieszkaniu Davida i tym razem nie zdołał osiągnąć celu. Nie tylko nie udało mu się zlikwidować obu obserwujących go ludzi, ale również nie potrafił zapobiec ostatecznemu ujawnieniu go jako seryjnego mordercy-psychopaty. Wszelkie wątpliwości, jakie Kyle miał do tej pory na temat byłego sierżanta piechoty morskiej rozwiązał sam Hackman na kilka minut przed śmiercią. Najwyraźniej żandarmi we Frankfurcie wskazali na niego jako na człowieka, który w jakiś sposób powiązany jest z przedmiotem ukrytym na statku. Albowiem na jego pytanie: Czy informacja ta wiąże się z Lewisem? Hackman burknął – Jak cholera tonem, w którym zdawała się pobrzmiwać obawa.

Niedowierzenie, które na dobrą sprawę stało się jego zwykłym stanem ducha, umocniło go w pierwotnym przekonaniu, że nie powinien dzielić się z nikim tą informacją. Kyle nie miał najmniejszego zamiaru zwracać uwagi karabinierów na Lewisa. Sprawiedliwość we włoskim stylu byłaby zbyt cywilizowana i wymierzenie jej zajęłoby zbyt wiele czasu. O wiele szybszy i zapewniający więcej satysfakcji jest wymiar sprawiedliwości na statku, kiedy noce są ciemne, a morze dyskretnie przyjmuje to, co do niego wpada.

Śmigłowiec karabinierów pojawił się, aby pozornie bez celu krążyć nad całym rejonem, próbując odnaleźć jednego kierowcę skutera wśród być może ćwierci miliona innych, znajdujących się obecnie na ulicach Neapolu. Przypominał Kyle'owi końską muchę – muchę kostnicową, która przykuła jego uwagę w chwili, gdy po raz ostatni oglądał Davida McDonalda. Jest równie nieskuteczny jak tamto stworzenie – pomyślał z goryczą, spoglądając w górę, ale właściwie nie widząc śmigłowca. – Tak samo bezsilny, jak owad unoszący się nad martwym zwierzęciem.

Hackman i kobieta również patrzyli na śmigłowiec, ale z jeszcze większym niezrozumieniem. Pod wpływem impulsu Kyle pochylił się by podnieść serwetkę trzepoczącą w coraz silniejszych podmuchach nadchodzącego sztormu i położył ją, najdelikatniej jak potrafił, na odwróconej ku górze twarzy Damy w Bieli. Potem odwrócił się i spojrzał na wciąż jeszcze zachowującą nieco naburmuszoną minę twarz Hackmana. Uczucie straty było o wiele większe, niż mógł sobie wyobrazić zaledwie tydzień temu. Powoli, niechętnie wziął do ręki drugi zaimprovizowany całun, żeby przykryć twarz Hackmana.

– Nie możecie ich zabrać, na litość boską? – warknął. – Albo przynajmniej jakoś ich okryć. Zapewnić im choć trochę szacunku.

– Zaraz. Natychmiast jak zrobią zdjęcia – zapewnił go niezgrabnie kapitan. Jakby na dany znak podszedł fotograf, rzucając krótkie „Perfavore!” i Kyle'a odsunięto na bok, aby ponownie odegrać scenariusz, który widział już w wykonaniu zespołu kryminalistycznego Coksa w mieszkaniu Davida. Odprawiono go energicznie od śladów krwi i pozostawiono na uboczu, aby obserwował jak neapolitański fotograf policyjny tworzy stroboskopową nawałnicę błysków, odbijających się od otynkowanych na biało ścian.

Kapitan, najwyraźniej czując się w obowiązku występować w roli gospodarza tej makabry,

sięgnął do kieszeni kurtki.

– Może papierosa, signore?

Kyle odruchowo wyciągnął rękę i nagle uświadomił sobie, jaką ironią losu było jego ocalenie i cofnął dłoń.

– Rzuciłem trzy dni temu – wyjaśnił policjantowi. A może, na swój sposób, usprawiedliwił się przed Hackmanem – próbował mu wyjaśnić swoją dokonaną przed kilkoma minutami mimowolną dezercję z pola ostrzału, kiedy to przeprosił go na chwilę, aby pobawić się w kotka i myszkę ze stadem fiatów, gdy tymczasem Hackman czekał bezpiecznie na to, by go zastrzelono. – Ale przekonałem się, że nie mogę wytrzymać na brzegu bez paczki pod ręką. Na wypadek, kiedy zdarzy się coś naprawdę stresującego.

Kapitan obrzucił poskręcane modele, którymi zajmował się fotograf nieco kpiarskim spojrzeniem, zapalił drugiego papierosa i podał go, ustnikiem do przodu, Kyle'owi. Stali obok siebie i Kyle zaciągał się głęboko, lecz odczuwał zadziwiająco nikłą przyjemność. W końcu przyjechała czarna furgonetka, z której wysiadło dwóch ubranych na ciemno przedsiębiorców pogrzebowych.

Pewnie zawiadomił ich jakiś drobny urzędnik karabinierów, który jest u nich na procencie – pomyślał kwaśno. Całkowicie stracił sympatię do Włoch i włoskich restauracji. Przedsiębiorstwo płaci pewnie Camorrze za ochronę w stopniu proporcjonalnym do ilości produkowanych przez nią nieboszczyków.

Wypalił jeden po drugim trzy papierosy, nie czując smaku żadnego z nich, zanim dobrze już znajome, chromowane nosze w cudowny sposób rozłożyły się i wolno, jakby to była jakaś ceremonia, rozwinięto zielone worki na ciała.

Ale przecież księżyc świecił jaskrawo, zawadiackie zwiastuny nadchodzącego frontu atmosferycznego był wciąż przyjemnie ciepłe i – poza strzelaniną w Trattoria Guzzanti – była to jedna z tych uroczych nocy, z których słynie Neapol.

W końcu nie było się dokąd spieszyć.

Tego wieczoru razem z Hackmanem i przystojną kobietą na Piazza Santorini umarło coś jeszcze. Kyle utracił zdolność odczuwania jakichkolwiek emocji.

W chwili gdy włoska policja po spisaniu jego zeznań ostatecznie odesłała go na rozsypującego się „Centaura”, przestał czuć cokolwiek. Nie czuł bólu, palącej wściekłości, żadnego lęku czy nawet zdawkowej troski o własne przeżycie. Ani nawet nienawiści do człowieka, który niewątpliwie chciał wyeliminować go razem z Hackmanem. A teraz, ujawniwszy swoje zamiary, zanim będzie mógł się zająć statuetką, musi w czasie rejsu poszukać okazji do przeprowadzenia następnej próby.

Ale nie oznaczało to, że Kyle nie dysponował żadnymi atutami. Następnym razem będzie czekał. Kiedy minie pierwszy szok, zdoła przeanalizować to nowe wyzwanie. Od tej pory nie będzie spętany niepewnością, ograniczony przyjętą przez siebie, ale jakże nieskuteczną rolą anonimowego obserwatora.

Pozbawiony już balastu emocji, Kyle podjął decyzję, że zadba, by cały ten koszmar uzyskał swoje krwawe rozwiązanie i przyjął jako rzecz oczywistą, iż tylko jeden z nich nie dotrze do Port Saidu. Postara się o to, nawet, jeżeli nie zrobi tego Lewis. Zasady gry uległy bowiem zmianie. Od tej pory był lepiej przygotowany do bezpośredniego pojedynku pomiędzy równymi sobie przeciwnikami.

Pomiędzy człowiekiem ogarniętym obsesją a psychopatą.

Nadal jednak wiele zagadek pozostawało nierozwiązanych, a wydarzenia ostatnich kilku godzin przyniosły kilka nowych. Gdy Kyle zmęczonym krokiem wchodził po trapie, słysząc włoskich policjantów rozmawiających półgłosem na nabrzeżu, wciąż zmagął się z pytaniami spowodowanymi brutalnym zabójstwem Hackmana. Analizował morderstwo, ale ciągle nie wszystkie jego elementy do siebie pasowały.

Na przykład, w jaki sposób Lewis zdołał znaleźć się we właściwym miejscu i czasie? Nie mógł wiedzieć, że umówili się z Hackmanem w Trattoria Guzzanti, ani nawet domyślać się, że w ogóle zamierzają się spotkać. Były sierżant zszedł na brzeg razem z innymi członkami załogi po Hackmanie, ale przed Kylem, a jednak pojawił się gotów do zabójstwa kilka minut po jego przyjeździe taksówką. W jaki sposób w tak krótkim czasie zdołał zdobyć skuter, motocyklowy hełm z czarną zasłoną i pistolet maszynowy? No dobra, wykazał się pomysłowością, w końcu tego uczono go w wojsku. Mógł ukraść pojazd i hełm, ale przecież nie broń? Na pewno nie zniósł jej na brzeg uniemożliwiająca to obecność karabinierów przy trapie. Każdy marynarz schodzący poprzedniego wieczoru z „Centaura” był rewidowany, by przypadkiem nie zabrał ze sobą podstawowego zestawu rzeczy, które ułatwiłyby ucieczkę ze statku.

Dawny, skłonny do działania pod wpływem impulsu Kyle popędziłby prosto na rufę i rzucił Lewisowi wyzwanie. Natychmiast stawiłby czoło mordercy Davida i prawdopodobnie jeden z nich

nie przeżyłby tego starcia. Ale nie nowy, zimny i beznamiętny Kyle. Nie postąpił tak dlatego, bo pragnął Nefretete jeszcze bardziej niż dotąd. Chciał dzięki niej przywrócić Davidowi dobre imię w oczach kolegów po fachu. I żeby zrealizować te smutne ambicje, musiał pozwolić Lewisowi działać.

Dać mu wystarczająco długą linę, by się na niej powiesił.

Co byłoby bardzo pięknym zamiarem, gdyby nie wiązało się z cofnięciem do punktu wyjścia – a nawet jeszcze dalej. Opracowana przez niego strategia odnalezienia statuetki stała pod znakiem zapytania, a jego tajemny plan odbycia rejsu w charakterze pierwszego oficera, ujawniony. Zabójstwo na piazza wskazywało, że Lewis doskonale wiedział, dlaczego on i Hackman znaleźli się na pokładzie – musiał jednak zapamiętać Kyle'a w czasie krótkiej wizyty u pani Williamson. Teraz, gdy został już odarty z anonimowości i pozbawiony wsparcia Hackmana, czy mógł mieć nadzieję, że gdy będą płynęli do Egiptu zdoła w dalszym ciągu kontrolować ruchy ostrzeżonego już Lewisa?

Nagle poczuł się bardzo samotny.

Drugi oficer Voorhoeve, który o pomocy zastąpił Chowdhury'ego przy pełnieniu obowiązków oficera załadunkowego, czekał na niego na pokładzie. Podobnie jak w przypadku trupa pływającego w rotterdamkim porcie, również i teraz na twarzy Kanadyjczyka malowało się podniecenie faktem, że stał się świadkiem tak strasznego wydarzenia i wyraźne współczucie ofierze.

– Hackman. Gliny powiedziały, że to był Hackman – powitał go ze zdziwieniem. – Jezu, ten facet dawał się lubić pomimo tego swojego zrzędzenia.

– Dwie kule w piersi dość jasno świadczą, że nie wszyscy podzielali pańskie zdanie, panie Voorhoeve! – warknął Kyle, zanim zdążył się opanować. Natychmiast poczuł wściekłość na samego siebie, ponieważ postanowił przecież, że przestanie być tak wrażliwy. Nic dziwnego, że drugi oficer był poruszony śmiercią jednego ze swoich ludzi, tak zresztą jak inni członkowie załogi, choć Bóg raczy wiedzieć, czemu. W końcu Hackman karmił ich najkoszmarniejszymi jajami w historii żeglugi, całkowicie ignorując jednych i warcząc wściekle na drugich – a trudno było ich przecież uznać za jakiś wyjątkowo zgrany zespół. Jednak Kyle widział wielu tych marynarzy, którzy normalnie już by spali, a nawet kilku mechaników Saadięgo. Stali zbici w grupę na tylnym pokładzie studniowym, w milczeniu obserwując kręcących się policjantów.

– Przepraszam, Wim, to było niewybaczalne z mojej strony – oznajmił pospiesznie. – W każdym razie karabinierzy sądzą, że nie ma to nic wspólnego z osobą Hackmana. Były także inne ofiary. Zginęła również miejscowa kobieta.

– Krążą plotki, że to robota mafii.

– Coś w tym rodzaju.

– I że pan też tam był. Że pana również mogli załatwić;

– Musiałem kupić papierosy – oznajmił Kyle, zupełnie jakby to wszystko wyjaśniało. Zresztą, tak właśnie było. Jedyne jego kluczenie pomiędzy stolikami sprawiło, że uniknął pocisków. – Ma pan tu książkę trapową?

– Wszystko w porządku. Ci, którym gliniarze pozwolili zejść na ląd, wrócili co do jednego. Większość nawalona jak stodoły. Wleźli po trapie na czworakach.

– Nie prosiłem, żeby mi pan ją interpretował – burknął Kyle. – Chciałem ją zobaczyć.

Bardzo przepraszam.

Z książki wynikało, że Lewis nie tylko zszedł na brzeg o 18.45 w towarzystwie dwóch

europejskich marynarzy i głównego kucharza Bokrosa, ale że wrócił razem z nimi na pokład o 01.34. Hackman zginął tuż po dziewiątej – było więc mnóstwo czasu na zorganizowanie sobie dobrego alibi, pomyślał ponuro Kyle. Wstępne ostre picie w podejrzanych knajpach Mergelliny i towarzysze Lewisa widzieliby już podwójnie lub potrójnie. Znakomite dodatkowe zabezpieczenie, gdyby karabinierzy nie uwierzyli w wersję o wojnie gangów. Nie widział powodu, by ściągać na siebie uwagę wypytywaniem pozostałych osób. Były sierżant mógł spokojnie poświęcić około godziny na swoje polowanie, gdy tymczasem jego towarzysze nie zwróciliby uwagi, że coś jest nie w porządku, nawet jeśli nastąpiłby wybuch Wezuwiusza.

Podpis Hackmana został nagryzmołony pospiesznie w rubryce „Na brzegu” o 18.20. Rubryka obok była ciągle jeszcze nie wypełniona. I taka miała już pozostać.

– Chyba lepiej zamelduję o wszystkim Staremu – mruknął Kyle, zupełnie nie wiedząc, co ma robić dalej. Czuł się bardziej jak stary Kyle, niż jak nowy.

Tym razem odpowiedź Voorhoeve’a była zdecydowanie ostrożniejsza.

– Policja była u kapitana godziną temu, panie pierwszy. Sądzę, że zaraz potem poszedł spać.

Kyle zmusił się do uśmiechu.

– Co dowodzi, że jest całkiem sprytnym kapitanem.

Albo człowiekiem stopniowo upadającym pod ciężarem życia. Ale nie powiedział tego drugiemu oficerowi.

– Sądzę, że w takim razie odłożę moje wyjaśnienia aż do rana – postanowił, odwracając się. – Schodzę na dół. Gdyby były jakieś problemy z załadunkiem, proszę mnie obudzić.

– Tak jest, panie pierwszy.

Przeszedł przez zrębnicę i znajdował się już w korytarzu, gdy Voorhoeve zawołał za nim z wahaniem w głosie.

– Panie Kyle?

– Tak?

– Cieszę się, że nic się panu nie stało – oznajmił niezgrabnie.

Kyle z trudem przełknął ślinę i poczuł, jak wzbierają w nim wszystkie tłumione dotąd emocje. Och, to nie ujmująco naiwne wyznanie drugiego tak go poruszyło. Ani nawet głęboko ukrywany smutek po Hackmanie. Stało się tak, ponieważ w cieniach rzucanych przez halogenowe lampy na pokładzie, drugi bardzo przypominał mu Davida McDonalda, składającego nieśmiało wyznanie przyjaźni.

– Cieszę się, że jesteś w domu. – Tak brzmiały ostatnie słowa wypowiedziane do niego przez człowieka, którego uważał za swojego brata.

Kyle pamiętał, jak tego zimnego, mrocznego poranka w Londynie uśmiechał się do słuchawki, czując się szczęśliwy i pełny wewnętrznego ciepła.

– Zobaczymy się wkrótce – obiecał wówczas.

Ale już go więcej nie ujrzał.

W każdym razie żywego.

Jaja przygotowane na śniadanie przez skacowanego Bokrosa nieco bardziej nadawały się do konsumpcji, ale zostały zdecydowanie gorzej przyjęte, niż dania serwowane przez Hackmana. Mimo wszystko, Kyle zjadł je. Miał przeczucie, że w czasie najbliższych dni będą mu bardzo potrzebne zapasy energii i że tym razem jego niepokój nie ma żadnego związku z SS-Standartenführerem.

Trzepoczące serwetki w Trattoria Guzzanti miały rację. Poranna prognoza pogody dla wschodniej części Morza Śródziemnego była przerażająca – potężny zimowy niż, który uformował się nad Bułgarią, zaczął posuwać się wolno na południe przez Morze Egejskie. Przyniesione na pokład przez dokerów poranne włoskie gazety zamieszczały na pierwszych stronach zdjęcia zniszczeń spowodowanych już na Cykladach i na zachodnim wybrzeżu Turcji. Warunki pogodowe były wyjątkowe, a „Centaur” w równie wyjątkowym stopniu nie był przygotowany, by stawić im czoła. Jeżeli front atmosferyczny zachowa swój obecny kurs i prędkość, to spotkanie powinno nastąpić gdzieś pomiędzy przylądkiem Spartivento a wybrzeżem Libii na północ od Marsa Susah.

Kyle nie miał ochoty znajdować się w tym czasie na pokładzie. Morze Śródziemne w zimie, kiedy pogoda dostaje szału, potrafi być straszne nawet dla najlepszych statków... Wcale by się nie dziwił na wieść, że zacierają do akwenu, gdzie izobary na karcie mapie synoptycznej praktycznie przeskakują przez siebie, współzawodnicząc w akcentowaniu prawdopodobnej siły wiatru. Jak dotąd, w czasie tego pieprzonego rejsu wszystko układało mu się na opak.

Oczywiście, Hackmanowi również.

Zwłaszcza Hackmanowi.

Skryta nadzieja, że wyjście „Centaura” z portu opóźni się do chwili zakończenia sztormu rozviała się zaraz po śniadaniu. Karabinierzy oświadczyli bowiem, że ich zdaniem zabójstwo na piazza było działaniem na zlecenie, zainspirowanym przez Camorrę zamachem i niewątpliwie część funkcjonariuszy będzie zajmowała się tą sprawą do ostatniego lira. Poza tym, gdyby w portach takich jak Neapol zatrzymywano wszystkie statki, których członek załogi zginął gwałtowną śmiercią i nie pozwalano im wypływać aż do momentu ujęcia winowajcy, oceany stałyby się jeszcze bardziej puste i nie sposób byłoby znaleźć miejsc do zacumowania.

Kyle miał więc teraz do czynienia z dwoma wykluczającymi się priorytetami, przy czym w obu przypadkach związane z nimi działania dotyczyły spraw życia lub śmierci. Musiał pospiesznie wymyślić alternatywną strategię, dzięki której zmusiłby Lewisa, aby zaprowadził go do kryjówki z Nefretete i to pomimo że były sierżant piechoty morskiej bezlitośnie udowodnił, iż zdaje sobie sprawę ze starań podejmowanych przez Kyle’a. Zadanie to bez pomocy Hackmana robiło wrażenie prawie niewykonalnego. Jednocześnie powinien porzucić rolę mściciela i ponownie stać się pierwszym oficerem rozsypującego się „Centaura”, aby przygotować go na spotkanie z wiatrami, których prędkość w porywach miała przekraczać osiemdziesiąt węzłów.

Temu ostatniemu wyzwaniu w żaden sposób nie można było sprostać.

Chyba że wymieniliby się wręgi, płyty poszycia, nadbudówki, główny silnik i kapitana.

Właśnie w chwili, gdy jego myśli stały się najczarniejsze z możliwych, Kyle nagle odsunął od siebie coraz silniejszą chęć skapitulowania przed piętrzącymi się przed nim niesprzyjającymi okolicznościami, spakowania bagaży i ruszenia całą naprzód w stronę lotniska w Neapolu.

Przyszło mu bowiem do głowy, że mimo wszystko pozostała mu ostatnia, desperacka szansa, dzięki której zdoła przynajmniej odtworzyć status quo w stosunku do Lewisa. Wiązał się z nią jednak pewien dylemat – czy ma moralne prawo ją wykorzystać? Czy w stającym się już obsesją dążeniu do zdobycia splamionego krwią skarbu Stollenberga, może być do tego stopnia wyrachowany, by narazić na niebezpieczeństwo życie innego człowieka?

Postanowił po raz ostatni zaufać swojemu instynktowi. No dobrze, to prawda, że jak na razie raczej go zawodził, ale nie ma sensu być beznamiętnym i opanowanym, jeżeli nie jest się gotowym

być, no cóż... beznamiętnym?

W każdym razie przy tak blisko skupionych obok siebie izobarach widniejących na mapie pomiędzy nimi a Egiptem, jest bardziej niż prawdopodobne, że ten pieprzony statek zabije więcej ludzi ze swojej załogi, niż jakakolwiek kryjąca się na nim tajemnica.

– Jezu – mruknął z niedowierzaniem drugi oficer Voorhoeve, gdy Kyle’owi w końcu zabrakło oddechu.

– Powiedział pan, że chce pan przeżyć przygodę – przypomniał mu Kyle.

– Wolałbym, żeby wiązał się z nią warunek, iż przeżyję ją na tyle długo, bym mógł się nią chwalić.

– Zachowując ostrożność, przeżyje pan – zapewnił go Kyle. Była to z jego strony nader pochojna obietnica, fakt. – Tym razem element zaskoczenia może działać wyłącznie przeciwko niemu. Nie będzie wiedział, że działasz razem ze mną, dopóki go nie dopadniemy.

– Jezu – powtórzył Voorhoeve. – A więc Lewis? Wcale bym nie podejrzewał, że jest w stanie poderżnąć komuś gardło.

Voorhoeve jest bliższy prawdy, niż zdaje sobie z tego sprawę, pomyślał Kyle, wspominając, jaki koniec spotkał Jaggersa. Nie mając zbyt wiele czasu na próbę rekrutacji drugiego oficera, powiedział mu jedynie o śmierci Davida w metrze, a także w jaki sposób wiąże się ona z ukrytą na statku statuetką. Wyjaśnił mu też, że nieoczekiwane wyłączenie Hackmana z rozgrywki spowodowane było niedocenieniem Lewisa. Postanowił nie zaciemniać obrazu informacjami o Wandzie, Tedzie Williamsonie czy nawet Jagjivanie Singhu.

Jednakże wspomnienie jatki w biurze Jaggersa uświadomiło Kyle’owi całą potworność takiego postępowania. Według słów samego drugiego oficera, jego najbliższym kontaktem ze śmiercią był denat pływający w porcie w Rotterdamie. Nie miał w gruncie rzeczy pojęcia, co najmilszy nawet człowiek może zrobić drugiej osobie, gdy szaleństwo zepchnie w cień inne uczucia. A nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, Voorhoeve może okazać się fatalnie nieostrożny.

Słuchaj Wim, po namyśle doszedłem do wniosku, że nie mam prawa cię w to mieszać. Jeżeli zapomnisz o wszystkim i odejdziesz, Lewis nawet nie dowie się, że rozmawialiśmy.

– Och, może pan na mnie liczyć – uśmiechnął się Voorhoeve. Młodzieńczy entuzjazm w jego spojrzeniu był tak gwałtowny, że aż zaniepokoił Kyle’a. – Razem będziemy mieli faceta na oku, panie Kyle.

– Ważniejsze – ostrzegł go z niepokojem Kyle – żebyś był cholernie pewien, że Lewis nie ma na oku ciebie. I nawet nie myśl o załatwieniu go w pojedynkę. Możesz mi wierzyć, jest ostrożny jak zwierzę – i jest zabójcą!

– Obserwować i meldować, nie podejmować żadnych działań. Tak jest. Ale jak pan powiedział, mimo wszystko jest to strasznie wielka przygoda.

– To zbyt brytyjskie zdanie, żeby wymyślił je Kanadyjczyk – zmusił się do uśmiechu Kyle. – Też czytałeś Piotrusia Pana.

– Z zapalem. Kiedy miałem dziesięć lat, był moim ulubionym bohaterem.

Kyle przestał się uśmiechać w chwili, gdy młodszy oficer odwrócił się.

Bo w rzeczywistości Piotruś Pan powiedział: „Zginąć będzie strasznie wielką przygodą”.

Po upewnieniu się, że ładunek w części dziobowej został dobrze zabezpieczony, Kyle wciąż czuł

się winny, że naraził Voorhoeve'a na ryzyko, przy którym wszelkie gwarancje, których mu udzielił, stają się śmieszne. Wyczuł jednak, że jest już za późno, aby wycofać swoją prośbę o pomoc. Aby po – wstrzymać młodego poszukiwacza przygód, trzeba by go chyba zastrzelić.

Jezu, czy musiał użyć właśnie takiej przenośni?

Płynąca do Dżibuti na dziobowych międzypokładach brygada mercedesów została wzmocniona przynajmniej batalionem poobijanych fiatów, które ustawiono na rufowym pokładzie studniowym. Kyle, na podstawie tego, co widział, mógł stwierdzić, że drugi oficer i Chowdhury, wspomagani przez reprezentujących różny stopień marynarskich umiejętności chłopaków z bandy bosmana, wykonali godną pochwały pracę. Był wśród nich – Kyle zmusił się do całkowitego opanowania – marynarz Lewis. Cholera, Lewis nawet zerknął na niego przez otwarty luk i uśmiechnął się, zupełnie jakby dawał Kyle'owi do zrozumienia, iż wie, że jest pod obserwacją.

Kyle dopowiedział skinieniem głowy. Nawet mając świadomość, że znowu ma nad nim przewagę, nie mógł zmusić się do uśmiechu.

Uśmiechanie się nie znajdowało się raczej na pierwszym miejscu jego porządku dnia. Nawet gdy przekonał się, że zamocowano dokładnie wszystko, co znajdowało się w częściowo wypełnionych ładowniach, a każdy przedmiot na pokładzie, który mógł zacząć poruszać się, gdy morze zacznie się burzyć – nawet masywna kotwica zawoźna umocowana pod uskokiem nadbudówki rufowej – został podwójnie zabezpieczony dodatkowymi stalówkami zdjętymi z nieużywanych żurawików łodziowych.

Cały problem polega na tym – pomyślał z niepokojem Kyle, przechylając się nad zrębnicą ładowni numer pięć i zaglądając do wnętrza – że ucha pokładowe, zaczepy, a nawet same wsporniki, do których wszystko przywiązano, skorodowały do tego stopnia, że mają zaledwie ułamek projektowanej wytrzymałości konstrukcyjnej.

– Przeżyjemy ten sztorm, senhor Kyle – usłyszał za sobą cichy głos, który zaraz opatrzył tę gwarancję zastrzeżeniem. – Se Deus quiser.

Jeżeli taka będzie wola boża?

Kyle odwrócił się. Kapitan spoglądał na jego zatroskaną minę z... czyżby leciutką kpina, błyskającą spod krzaczastych brwi? Jeżeli tak, był to pierwszy przejaw normalności zademonstrowany przez Barrosę od momentu minięcia Gibraltaru. Kiedy Kyle zameldował Staremu o okolicznościach, w jakich zginął kucharz, kapitan jedynie wzruszył okrytymi piżamą ramionami i oznajmił: Nao ha remedio – i wyłączył światło.

Bardzo oszczędne rekwiem po człowieku Nao ha remedio. Nic się na to nie poradzi.

Ale teraz, niecałą godzinę później, Barrosabył na nogach, ogolony, odświeżony i nawet ubrany jak przystało na pochłoniętego pracą kapitana statku w czarne spodnie i nieco wygniecioną koszulę. Ale w dalszym ciągu miał na głowie i Kyle absolutnie nie zamierzał odmówić mu prawa do korzystania z tak ciężko zapracowanego przywileju – swoją wspaniałą czapkę ze złotymi liśćmi.

– Byłbym jednak spokojniejszy, gdybym mógł wspomóc Jego dłoń dobrą praktyką morską, panie kapitanie.

– Boi się pan, senhor? – Pytanie zostało zadane bardzo rzeczowym tonem. I wcale nie zabrzmiało jak obelga.

Czy się boję? Jasne, że się boję – rozmyślał Kyle. – Och, nie tylko pogody, która jest zagrożeniem ściśle związanym z moim fachem, ale tego, co jak czuję w kościach, zdarzy się w czasie kilku następnych dni, albo nawet godzin. Gdy spełnią się wszystkie złowieszcze znaki towarzyszące



temu rejsowi. Hackman już stracił życie. A teraz śmierć może wybrać jedną z pięciu możliwości. Zabrać Jona Lewisa, mnie, albo – Boże uchroni – tego naiwnego Voorhoeve'a. Albo Barrosę, ponieważ najwyraźniej pragnie jej, pomimo przeżywanych od czasu do czasu wycieczek w czasy młodości. Lub statek. I jeżeli temu ostatniemu wydarzeniu będzie towarzyszyła taka sama okrutna przewrotność, jakiej byłem świadkiem na Piazza Santorini, wszyscy będziemy zgubieni. Wszystkim nam śmierć zajrzy w oczy – i większość z nas zginie.

Se Deus quiser?

– Trochę obawiam się tej prognozy pogody.

– Dobrze. Nie chciałbym mieć pierwszego oficera, który jest... eee complacente?

Zbyt pewny siebie? Ja? – pomyślał ponuro Kyle, gdy Barrosa nagle zachwiał się i przytrzymał zębami, by zachować równowagę. – Może pan być pewien, capitao – przy pańskim opłakanym stanie, załozie składającej się z nieudaczników i szurów lądowych, współpiskowcu, którego wzorem do naśladowania wydaje się być Piotruś Pan i grasującym na statku szalonym mordercy, grzech nadmiernej pewności siebie na pewno mi nie grozi!

Szczególnie po tym, gdy – jakby chcąc dodatkowo zaakcentować jego myśli, pod delikatnym naciskiem drżącej dłoni kapitana, od krawędzi zębami oderwał się płat rdzy wielkości bosaka i rozbił się jak szkło na równie skorodowanym pokładzie.

Poza rozgrywającym się na pokładzie psychologicznym turniejem, rozpoczęła się również meteorologiczna zabawa w kotka i myszkę.

Której wynik z założenia był raczej niekorzystny dla myszy.

Płynęli, a niż ścigał ich przez całą drogę do czubka Półwyspu Apenińskiego i przez Cieśninę Mesyńską. Gdy w czasie drugiej części wachty środkowej, przewalający się z burty na burtę „Centaur” zatoczył łuk ku wschodowi, by położyć się na kurs, dzięki któremu ominąłby Krete, to samo zrobił skraj niżej. Chociaż dalej poruszali się po samej krawędzi sztormu, ta pierwsza noc była czarna jak sadza, a gdy tylko minęli Melito di Porto Salvo, wychodząc spod skąpej osłony zapewnianej przez włoskie wybrzeże, postrzępione fały sygnałowe nad mostkiem zaczęły dźwięczeć pod uderzeniami wiatru niczym struny gitary.

Morale Kyle'a spadało, podobnie jak wskazówka barometru.

Z nastaniem brzasku, świat utracił wszelkie kolory.

Trudno było oprzeć się wnioskowi, że kot szykuje się do skoku na mysz.

Pozostawało tylko pytanie – który kot?

Kyle pozostał na mostku nawet wówczas, gdy trzeci oficer Chowdhury przyszedł, żeby go zmienić. Uważał, że nie ma właściwie wyboru. Mało doświadczony chłopak był ewidentnie zdenerwowany. Wynikało to, jak przypuszczał Kyle, zarówno z faktu, że stawał się odpowiedzialny za innych, jak również ze zrozumiałej obawy o własne życie.

Coraz bardziej słabnącego Starego nie widziano od Mesyny, ale statek sprawował się zupełnie dobrze. Chociaż wschodni wiatr przerodził się w huragan, fale stawały się coraz dłuższe, ich stoki czoła bardziej strome, a grzywy

zaczęły przekształcać się w pasma białej piany, „Centaur” jedynie z rzadka zanurzał dziób w ciemnoszarych bałwanach sunących na niego z coraz bar – dziej mętniejszej przestrzeni.

Potwierdzało to wcześniejszy pogląd Kyle’a, że morskie walory starszka nie stwarzały większego zagrożenia. Pływając po oceanach przez cztery dziesięciolecia zimnej wojny jako „Jurij Rogów”, potrafił doskonale dawać sobie radę z szaleństwami pogody. Gdyby kadłub był źle zaprojektowany, zatonałby już dawno temu. Kyle zaś dwukrotnie upewnił się, że rozmieszczenie przewożonego ładunku dodatkowo poprawia stateczność jednostki. Nie, to czy „Centaur” utrzyma się przy życiu po to, by umrzeć pod palnikiem acetylenowym, czy też stanie się ofiarą wody, gwałtownie wdzierającej się do wnętrza statku, zależało teraz tylko od wytrzymałości jego konstrukcji.

I od szczęścia.

„Może powinien pan uważać się za szczęściarza, signore” – powiedział mu kapitan policji w Neapolu.

Zwłaszcza kiedy myślał o tempie, z jakim spadała temperatura, sygnalizując nieuniknione zagrożenie dla statku. Albo o Lewisie, który mógł teraz bezkarnie włóczyć się po statku, śledzony jedynie przez niepokojąco bezbronnego Voorhoeve’a, ponieważ poczucie obowiązku coraz bardziej zmuszało Kyle’a, by przejął dowodzenie statkiem. I pozostawał na mostku dopóty, dopóki kapitan będzie zajmował się umieraniem...

Czy w tej sytuacji powinien uważać się za szczęściarza?

Tuż przed południem nadal tkwił na mostku. Dodatkową ironią losu był fakt, że ze wszystkich marynarzy znajdujących się na pokładzie, najbardziej zależało mu na towarzystwie Johna Lewisa.

W czasie ostatniej godziny sztorm przekroczył dziewiątkę w skali Beauforta i w chwili obecnej zahaczał już o dziesiątkę. Rowy pomiędzy falami z długimi, nawisającymi grzebieniami i pianą sunącą po ich czarnych bokach jak obdarzone własnym życiem gęste, białe rzeki, miały po dziesięć metrów głębokości. Co jakiś czas zabłąkana fala o wielkości dwupiętrowego domu wyrastała ze zrywanego z powierzchni morza pyłu wodnego z lewej lub prawej strony dziobu i nawisała nad nim tysiącem ton wrogości, by w końcu runąć z hukiem na przednią nadbudówkę i przetoczyć się

z dudnieniem po przestarzałych pokrywach pierwszego i drugiego luku ładowni. A potem statek otrząsał się z żywiołu, który usiłował go zabić. Za każdym razem wynurzał się, kołysząc wzdłuż i w poprzek, i za każdym razem sternicy pełniący wachtę od ósmej do dwunastej z wysiłkiem sprowadzali go na poprzedni kurs.

Z tego właśnie powodu Kyle pragnął, żeby przy sterze stał Lewis. Był bowiem najlepszym sternikiem na statku i umiał przewidywać. Udowodnił, że potrafi przechytrzyć Kyle'a i Hackmana, miał więc również największe szansę, aby przechytrzyć morze. Były sposoby wchodzenia na fale w taki sposób, by złagodzić uderzenie. Umiejętność ta nie wiązała się z doświadczeniem, ale była raczej darem i na nowych, sprawnych statkach dysponowanie nią rzadko kiedy było sprawą życia lub śmierci. Ale na starych jednostkach, takich jak „Centaur”, gdzie każda wręga osłabiona była uderzeniami miliardów fal i gdzie każda płyta poszycia była krucha niczym skorupka kraba, ta umiejętność udobruchania potwora, zamiast atakowania go czołowo, może okazać się równie cenna jak ludzkie istnienia, które od niej zależą.

Kyle powstrzymał się jednak przed wezwaniem Lewisa i nie miało to nic wspólnego z Nefretete czy nienawiścią, jaką żywił do tego człowieka. Wciąż lecący w dół barometr informował go, że nie są jeszcze w najgorszej części sztormu i dopiero gdy uderzy z całej siły, przyjdzie pora, aby John Lewis stanął za sterem. Musiał więc zachować energię na chwile, które zapowiadały się bardzo wyczerpująco.

Kiedy wskazówki zegara w kabinie nawigacyjnej przesunęły się na dwunastą w południe, sygnalizując zmianę wachty, trzy rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Najpierw nastąpiło to, co było nieuniknione, potem zdarzyło się to, czego najbardziej się obawiał, a trzecią... trzecią był brak pewnego wydarzenia?

Najpierw nadszedł ostatni – proszę Cię, Boże – front najniższego ciśnienia, ogłaszając swoje przybycie ścianą ulewnego deszczu, wyjąłym wiatrem i falującą zasłoną pyłu wodnego zerwanego ze szczytów fal.

Potem stan morza pogorszył się jeszcze bardziej. „Centaur” zawahał się, stanął dęba i gdy jego dziób runął w dolinę pomiędzy falami, wielkie, twarde jak kamienie bryzgi wody poleciały w stronę rufy, rozbijając się o szyby sterówki. Cały statek zadrżał straszliwie, a przez jego pokład przetoczył się głuchy, przeciągły łoskot, przypominający dudnienie odległego grzmotu.

Tylko to stwarzało wystarczająco wiele sytuacji kryzysowych, nawet bez tego trzeciego i ostatecznego zdarzenia, które nastąpiło w samo południe.

Albo raczej nie nastąpiło. Albowiem drugi oficer Voorhoeve, który powinien zameldować się, by zmienić na mostku zmęczzonego trzeciego oficera Chowdhury'ego, w ogóle się nie pojawił!

Dziwne, ale to właśnie uchylanie się Barrosy od odpowiedzialności w tym przerażającym momencie, w którym dokładnie wszystko bez wyjątku zaczęło układać się niepomyślnie, podsycało oburzenie Kyle'a.

Wiem. Wiem do cholery. Ma zamiar umrzeć! – pomyślał odrętwiały, wściekły na swojego kapitana. – Tkwi ponuro na dole, w swojej kabinie, dążąc do ostatecznej rozgrywki, zamierzając umrzeć i wygrać swój wyścig ze statkiem, mimo że sądząc z tego, jak spada barometr, będzie to chyba wygrana o pierś!

Nie można jednak mieć żadnej pretensji do Kyle'a, że takim torem biegły jego myśli – w tym nonsensie tkwił bowiem pewien sens. Im bardziej

Kyle zastanawiał się nad ekscentrycznym zachowaniem Starego, tym bardziej uświadamiał sobie, że capitulo Ferrero Cavaco Barrozie pozostała tylko jego przeszłość, duma z faktu, że był kiedyś kapitanem doskonałym. Ale doskonały kapitan, który traci statek w wyniku innego wydarzenia niż na skutek działań wojennych, traci również swoją reputację. Zawsze znajdują się tacy, zwłaszcza ludzie o sędzie niezmaconym znajomością rzeczy, którzy będą twierdzili, że powinien sterować innym kursem, przewidzieć nawet najbardziej nieprawdopodobne zagrożenie, okazać więcej ostrożności, wykonując czynności zawodowe.

Natomiast jeżeli kolejność zdarzeń zostanie odwrócona – to znaczy gdy statek straci swojego kapitana, zanim kapitan straci statek – wtedy krytycy mogą okazać się łagodniejsi w ferowaniu wyroków. „Ach, pamiętam Barrosę – powiedzą w bardziej miłosierny sposób. – Wspaniały marynarz. Gdyby Bóg nie zabrał go do siebie w momencie, gdy szykował się, by stawić czoło swojej najtrudniejszej próbie, może nie doszłoby do zatonięcia”.

No cóż, Staremu nie uda się wykręcić sianem. Nie można pozwolić mu umrzeć tylko dlatego, by zasłużył na ostatnie ciepłe zdanie w nekrologu. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, trzeba będzie wyciągnąć go z jego kryjówki, zmusić by objął dowództwo na mostku i umożliwił Kyle’owi zajęcie się poszukiwaniami pod pokładem. W końcu on też ma, do cholery, własne, prywatne, tajemne plany do zrealizowania! I chociaż wiązały się one przede wszystkim z posążkami, trupami i spełnieniem obietnicy danej Davidowi, to jednak nagle, w związku z niewytłumaczalną absencją Voorhoeve’a na wachcie, ich realizacja stała się niezwykle pilna.

Poza tym będzie mógł zająć się swoimi obowiązkami pierwszego oficera i spróbuje znaleźć źródło drżenia, które przebiegło przez statek. Sądząc bowiem z charakteru usłyszanego dźwięku, wszystko inne może okazać się czysto akademickim zagadnieniem.

– Czy może pan popilnować tu spraw, kiedy ja pójde sprawdzić, czy nic się nie urwało, panie Chowdhury? – zawołał, przekrzykując potępieńcze zawodzenie wiatru. – Dasz sobie radę przez chwilę sam, chłopcze?

– Tak jest! – odparł Chowdhury, prostując się i zdobywając się na uśmiech.

– Poproszę kapitana, żeby przyszedł. – Nawet w tym momencie Kyle, sumiennie przestrzegający morskich dobrych obyczajów, nie mógł się zmusić się na krytykę Starego w obecności młodszego oficera. – Sternik dobrze się sprawuje. Pilnuj, żeby trzymał statek dziobem do fali i stój przy nim, żeby dodać mu otuchy.

Statek spadł z kolejnej góry. Grzmot zadudnił znowu.

Trzeci oficer przestał zmuszać się do dzielnego uśmiechu.

A Kyle przestał podnosić go na duchu.

Zamiast tego warknął:

– O, kurrwa! – i po rozkołysanym pokładzie zaczął biec w stronę wewnętrznych schodów, prowadzących do pomieszczeń oficerskich.

Statek zachowywał się inaczej.

Było to ledwo wyczuwalne, ale wystarczyło, by poczuł, z jaką niechęcią unosi dziób na spotkanie następnej fali. Jakby był coraz bardziej zmęczony po pół wieku służby. Chwilowy namysł przed uniesieniem dziobu i odrobinę dłuższa pauza, zanim opadł gwałtownie w dół, by wbić się w kolejną dolinę pomiędzy falami.

Zupełnie jakby wiedział, że nastąpiła końcowa rozgrywka pomiędzy nim a Barrosą. I jakby niechęć, którą żywił Kyle do podjętych przez kapitana starań, by uniknąć odpowiedzialności,

udzieliła się również samemu „Centaurowi”. A dlaczego nie? Zdaniem Kyle’a, pomysł, że statek mógł odczuwać tego rodzaju oburzenie, wcale nie wydawał się taki dziwny. Jego zdaniem, każdy kto uważa, że statek jest tylko stworzoną przez człowieka, pozbawioną duszy konstrukcją ze stali i drewna, ma równie kiepskie pojęcie o statkach jak... jak ci, którzy ogromnie kochają swoje zwierzątka domowe, ale wciąż nie są w stanie uwierzyć, że psy i koty również idą do nieba.

Tak więc nic dziwnego, że „Centaur” czuł się urażony, oburzony i zły. Pokorny jak owieczka dotarł tak daleko w drodze na swoje miejsce kaźni, prawda? A czy to nie capitao Fefreiro Cavaco Barrosa jest człowiekiem, który otrzymał zadanie doprowadzenia go z godnością do ostatniego punktu rejsu? Kto powinien uznać, że zasługuje na dobry ostatni rejs, ponieważ z mężnym sercem spełnił swój obowiązek, spełniając rozkazy całych pokoleń kapitanów? A teraz ten ostani, ponieważ jest stary, nieszczęśliwy i ponieważ jest mu to na rękę, w tej chwili największej próby jest gotów odwrócić się do niego plecami?

Znowu rozległ się łoskot, przerywany jednak przez inny dźwięk, doskonale słyszalny przez Kyle’a, odgradzonego już od zawodzenia wiatru. Miarowy stukot: przechył na lewą – stukot. Zatoczenie się na lewą – trzask!

Drzwi kabiny u dołu schodów – zewnętrzne drzwi do pomieszczeń kapitańskich. Zostawiono je otwarte, ale nie zabezpieczono hakiem przed zamykaniem, otwieraniem i ponownym zamykaniem z trzaskiem! Czy człowiek może szykować się na śmierć i zapomnieć zamknąć drzwi?

Chociaż bardzo niepokoiło go tkwiące gdzieś w głębi statku zagrożenie, które mogło okazać się tysiącrotnie bardziej niszczące niż nie zabezpieczone drzwi, Kyle odruchowo skoczył, aby zatrzymać zamykające się znowu ciężkie drzwi. Jego spojrzenie ogarnęło wnętrze kabiny i w tym samym momencie zaciągnięte na stałe zasłony odsłoniły na moment iluminatory, pozwalając szaremu promieniowi światła upaść na stojące w rogu biurko. Potem statek ponownie przechylił się na lewą burtę – tym razem jeszcze bardziej ospale – i światło natychmiast znikło. Ale nie scena, którą Kyle dostrzegł w tym jednym mgnieniu oka.

Jego świadomość starannie to zarejestrowała.

Oczywiście, nie na zawsze. Byłoby to przesadnym dramatyzowaniem tej sytuacji. Ale na wystarczająco długo, by włosy zaczęły mu stawać dęba.

Gdy statek następnym razem położył się na lewą burtę, nie podnosił się z przechyłu naprawdę bardzo długo. Tak długo, że przez chwilę Kyle obawiał się, że straci palce. Właśnie w tym momencie próbował wejść po po – chylonym pokładzie pod górę, do kabiny, a ciężkie, wciąż nie zabezpieczone drzwi wisiały nad nim, grożąc, że zaraz opadną w dół i się zatrzasną. Starając się nie polecieć do tyłu przez całą długość poprzecznego korytarza, z całych sił ścisnął prawą dłońią framugę i zatraskujące się drzwi z chirurgiczną precyzją obcięłyby mu cztery palce tuż nad drugim stawem.

Na szczęście – choć nie wykluczone, że dość krótkotrwałe – „Centaur” bowiem wyraźnie dawał do zrozumienia, że zamierza pójść na dno, statek znowu stanął na równiej stępce. Kyle’owi udało się wtedy zamocować drzwi hakiem, a następnie wszedł do dziennej kabiny kapitana, czując potrzebę potwierdzenia, czy wzrok go nie myli...

Przekonał się, że nie.

Znajdujące się za biurkiem kapitana pionowe dukty wentylacyjne zostały w 1945 roku zasłonięte drewnianymi panelami przez niemieckich stoczniovców prowadzących prace wyposażeniowe w stoczni Bremerhaven.

Ponieważ w tym miejscu przebiegało kilka odcinków galwanizowanych – obecnie przerdzewiałych i odbarwionych – rur, wszystkie one zostały umieszczone na całej długości grodzi, a pomiędzy jedną rurą a drugą znajdowały się puste miejsca o głębokości mniej więcej palca mężczyzny.

Do tych pustych miejsc mogłaby doskonale pasować podstawa – powiedzmy – bezcennej, liczącej trzy tysiące lat złotej statuetki.

Kyle zauważył to wszystko w momencie, gdy w czasie następnego przechyłu zasłony ponownie się odchyliły i zanim ponownie zamknęła się wokół niego niemal całkowita ciemność. Ujrzał te rury, ponieważ ktoś wyjął z ramy jedną mahoniową płytę, odsłaniając to, co znajdowało się pod nią. Natomiast myśl o statuetce była jedynie przypuszczeniem – nawet jeżeli Nefretete znajdowała się za boazerią, to teraz już stamtąd zniknęła. Pozostała jedynie rozłupana drewniana płyta oparta niedbale o nogę kapitana...

Nogę kapitana? Czyli o nogę capitao Ferreiro Cavaco Barroso?

Tak, kapitan był tu również. Siedział w fotelu przy biurku, jak podczas całego rejsu. I wyglądał bardzo elegancko w kurtce z mosiężnymi guzikami i szerokimi paskami ze złotej plecionki, ze swoimi wspaniałymi brwiami pod tą absolutnie wspaniałą czapką ze złotymi liśćmi, nasuniętą na czoło pod jeszcze bardziej zawadiackim kątem niż zwykle.

Zupełnie jakby szykował się do wyjścia z kabiny na mostek i objęcia dowództwa nad swoim statkiem. Pokierowania nim w czasie ostatniej, wielkiej walki. Zanim...

Kyle nie mógł już czuć złości na swojego kapitana. Nagle zrozumiał, jak bardzo krzywdząca była jego poprzednia ocena, ponieważ to nie pragnienie śmierci trzymało ciężko chorego człowieka w tej mrocznej kryjówce. Gdy sytuacja stała się krytyczna i Barrosa uznał, że statek jest w poważnym niebezpieczeństwie, bardzo usilnie chciał przyjść mu z pomocą.

Ale mu przeszkodzono.

Kapitan Barrosa dlatego miał czapkę założoną w tak buńczuczny sposób, bo ktoś gwałtownie przygiął jego głowę do przodu i w dół.

Na chwilę przed poderżnięciem mu gardła.

Kyle nie miał najmniejszych wątpliwości, co zdarzyło się w czasie kilku ostatnich minut. Wiedział za to, co się nie stało.

Przede wszystkim Barrosa nie popełnił samobójstwa.

Kyle był już dobrze zorientowany w tym konkretnym aspekcie medycyny sądowej i wiedział dokładnie, jak postępować, by tętnice szyjne nie ukryły się za krtanią ofiary. Była to tecluiika, której każdy zdeklarowany psychopata nauczyłby się bardzo szybko, spaskudziwszy jedynie pierwsze podejście z całej serii zabójstw. Niezgrabne wbicie noża od dołu w gardło Arabki o kruczoczarnych włosach musiało być dla zabójcy dość brutalną lekcją pogładową, gdy usiłował nie dopuścić, by Wanda narobiła hałasu w czasie agonii i zwróciła uwagę wszystkich sąsiadów z Ringtree Gardens.

Którzy i tak nie zwróciliby żadnej pieprzonej uwagi. Kyle wciąż czuł się rozgoryczony faktem, że sąsiedzi Davida całkowicie zlekceważyli fakt, że ocalił im życie. Nawet jeżeli ograniczało się to do zakręcenia kurka od gazu i rozbicia okna.

Chcąc ją uciszyć, zabójca musiał wywlec dziewczynę z sypialni – naga, być może wciąż usiłującą wyciągnąć ostrze z gardła. Według teorii Coksa oczekiwała, że będą się tam kochali i ponieważ byli najwidoczniej psychopatycznymi kochankami, bez wątpienia podniecała ją myśl, że po tym jak jedno z nich zabiło Davida McDonalda, teraz narażają się, że ktoś ich wykryje. Ostatecznie morderca wepchnął ją do tej dodatkowo pochłaniającej dźwięki szafy.

Nagle wszystko zaczęło układać się w logiczną całość.

Albo, mniej więcej logiczną.

W dalszym ciągu bowiem nie potrafił wyjaśnić, dlaczego dziewczyna została zabita. A także nie znał odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób doszło do współpracy Johna Lewisa z Wandą Abdeljalil, czy jak jej tam było. Przecież Wanda związana była ze Standartenführerem Stollenbergiem poprzez jego syna, Gunthera i więź ta uległa zerwaniu kilka lat temu, kiedy został wyeliminowany przez GsG9. A może Hackman, dzięki swoim frankfurckim kontaktom odkrył, że w tym okresie coś łączyło terrorystkę i Lewisa? Z całą pewnością tuż przed zamachem na piazza, chciał coś powiedzieć Kyle'owi o byłym sierżancie piechoty morskiej. Pamiętał swoje pytanie: „Czy informacja dotyczy Lewisa”? I burknięcie: „Jak cholera” – wypowiedziane tym ochryłym głosem, którego teraz tak mu brakowało.

Jezu! Czy to był stłumiony okrzyk? Dobiegający przez otwarte i, miejmy nadzieję, dobrze zabezpieczone drzwi prowadzące do sypialni kapitana?

Kyle uwolnił się od rozmyślań, które w sytuacji, w której minuta mogła oznaczać różnicę między życiem a śmiercią sprawiały wrażenie ekstrawaganckiego luksusu. „Centaur” wciąż jeszcze nie podniósł się ze swojego ostatniego, ospałego przechyłu. Oczywiście zakładając, że w ogóle miał ten zamiar.

Niewątpliwie na skutek szoku Kyle przeciskając się koło martwego capitulo Barrosy mruknął uprzejmie „przepraszam”, a następnie szybkim krokiem pospieszył po wciąż przechylnym na prawą burtę pokładzie w stronę otwartych drzwi. W nich również zatrzymał się jak wryty.

I jeszcze bardziej zszokowany.

W mrocznym wnętrzu sypialni kapitana walczyło dwóch mężczyzn. Oddychając ciężko i postępując, zmagali się w zapaśniczym uścisku, usiłując odebrać jeden drugiemu coś, co wyglądało jak broń.

Uczestnikami tej walki na śmierć i życie byli drugi oficer Voorhoeve oraz marynarz Lewis, który najwyraźniej wygrywał. Trzymał mocno kolbę pistoletu maszynowego Glock, zapamiętanego przez Kyle'a z jakiejś fotografii i powoli przełamując rozpaczliwy opór drugiego oficera, wciskał mu lufę pod brodę.

Prawie w taki sam sposób zabił Wandę. Ogromne podobieństwo. Nóż do mięsa, pistolet maszynowy glock... I jeden, i drugi w równym stopniu skuteczny i o wiele bardziej niebezpieczny niż jaskry, którymi Kyle i David łaskotali dziewczyny pod brodą, aby sprawdzić, czy ich kochają.

Statek wciąż nie zmieniał położenia; leżał na prawej burcie przechylony o dobre dziesięć stopni. Mężczyźni w dalszym ciągu zmagali się, ab lufa stopniowo zbliżała się do miejsca, w którym, po najłżejszym naciśnięciu spustu, pocisk wyszedłby czubkiem głowy nagle już nie tak dziarskiego drugiego oficera. Kyle stał jak sparaliżowany w drzwiach, nie mogąc wykonać żadnego ruchu – nawet po to, by ocalić młodego Voorhoeve'a.

Patrzył w głąb kabiny na lśniący przedmiot sterczący z niedbale rzuconej na kapitańską koję bardzo starej torby z impregnowanego brezentu.

Czuł się chyba mniej więcej tak samo, jak pół wieku temu SS-Standartenführer Stollenberg w bunkrze Führera. To rzeczywiście było najwspanialsze dzieło rąk ludzkich, jakie Kyle widział.

Huk wyrwał Kyle'a z odrętwienia, przywołując go do rzeczywistości. Pistolet maszynowy musiał być nastawiony na ogień ciągły, ponieważ wystrzelono więcej niż jeden pocisk. Seria przefasterygowała sufit, pozostawiając na policzku drugiego oficera wyraźny ślad po oparzeniu.

– Na miłość boską! – wzywał go Wim Voorhoeve, którego ręka drżała od wysiłku, z jakim walczył o jeszcze kilka sekund życia.

– Nie wtrącaj się! – wrzasnął Lewis. – Nie wtrącaj się, Kyle.

– Trochę na to za późno – ryknął Kyle. Czuł jak eksploduje w nim cała wściekłość, nienawiść do człowieka, który zabił Davida McDonalda.

Zupełnie stracił panowanie nad sobą. Widząc wszystko jak przez czerwoną mgłę, rzucił się do przodu, złapał torbę z Nefretete i zamachnął się nią w stronę Lewisa. Ten zobaczył nadlatujący worek i z oczami równie szeroko otwartymi jak u Voorhoeve'a, próbował zrobić unik, wołając:

– Kyle, nie. Nic nie rozumiesz!

Ale Kyle rozumiał. Aż za dobrze. Dzięki tym napotykanym na drodze trupom i z trudem opanowywanemu cierpieniu.

Posążek był ciężki. O wiele cięższy niż Kyle oczekiwał. A statek też mu nie pomagał, wciąż podrygując i kołysząc się na boki. Kiedy zamachnął się Nefretete, mierząc w głowę Lewisa, torba nie zatoczyła precyzyjnego łuku, ale szarpnęła się dziwnie. Jej złe wyważenie spowodowało, że nieco chybił celu i najcięższe uderzenie spadło na ramię byłego sierżanta, a dopiero potem torba



odbiła się i trafiła go w głowę. To jednak wystarczyło.

Lewis runął bezwładnie. Voorhoeve opadł na niego, a pistolet maszynowy poleciał w kąt. Kyle ledwo zdawał sobie sprawę, że unosi Nefretete do powtórnego ciosu, ale w tym momencie czerwona mgła rozwiała się. Poczul przyływ obrzydzenia i już wiedział, że nie zdoła pójść w ślady Lewisa i zabić go z zimną krwią. Na dobrą sprawę ucieszył się z tego odkrycia.

Odchylił brezentową klapę, odsłaniając wciąż zaciśnięty w dłoni złoty skarb i pomyślał, że posążek jest rzeczywiście przepiękny. I całkowicie bezwartościowy. Nie jest bowiem wart życia ani jednego człowieka, który zginął z jego powodu. Cisnął torbę na koję.

Statek ponownie zapadł się z hukiem w dolinę fali, przechylił się o kolejne dwa lub trzy stopnie i nie miał zamiaru się prostować. Albo nabierał wody, albo przesunęła się duża część ładunku. Cokolwiek jednak się stało, płynęli dalej. Był to znak, że nie wszystko jeszcze jest stracone i że nawet, jeżeli nastąpiło uszkodzenie kadłuba, woda nie dotarła jeszcze do fundamentów silników. Istniała szansa, że pompy dadzą sobie radę, ale Kyle wiedział, że musi wrócić na mostek, ponieważ statek przeszedł teraz pod jego dowództwo i potrzebował wszelkiej pomocy, jakiej był w stanie mu udzielić.

Podniósł Voorhoeve'a z podłogi i oznajmił:

– Przepraszam, Wim, ale muszę iść! – Potem spojrział na nieprzytomnego Lewisa, nie wiedząc, co ma teraz z nim zrobić. – Może powinieneś znaleźć coś i związać mu ręce, co?

Podniósł glocka, przesunął skrzydełko bezpiecznika i wyciągnął broń w stronę wciąż oszołomionego drugiego oficera. Nie było sensu ryzykować. Przyjrzał się peemowi i uznał, że przy jego kształcie jest dość trudny do ukrycia. Zupełnie nie był w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób Lewisowi udało się w Neapolu najpierw przemycić go na ląd, a potem z powrotem na statek.

– To na wypadek, gdyby doszedł do siebie przed tobą – rzucił sucho.

Drugi oficer wziął pistolet i spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Wiesz jak go używać? – zapytał z niepokojem Kyle.

– Chyba tak – skinął głową Voorhoeve.

– Dobry chłopak.

Kyle przeszedł po nachylonym pokładzie, mijając martwego kapitana, wyjął klucz tkwiący po wewnętrznej stronie drzwi dziennej kajuty, wsadził go z drugiej strony, żeby sprawdzić, czy zamek działa i wrócił do Voorhoeve'a. Zrobił, co mógł, aby pomóc najwyraźniej wciąż jeszcze zaszokowanemu drugiemu. Piotruś Pan spotkał Psychola.

– Na wszelki wypadek zamknij tu tego skurwiela – powiedział Kyle. Drzwi są z litego mahoni. Nie zdoła ich wyłamać. Wypuścimy go tylko wtedy, gdyby sytuacja się pogorszyła.

„Centaur” zadrzał znowu i przenoszona przez pokład wciąż obecna wibracja ustała. Ustał również ciągły szum pracujących w kabinie wentylatorów. Nagle zrobiło się bardzo cicho.

Główny silnik stanął.

– Cholera – rzucił Kyle, starając się zachować spokój, na wypadek, gdyby drugi wpadł w panikę. – Sprawy się popieprzyły.

Voorhoeve dotknął ostrożnie oparzenia na policzku.

– Ale nie dla mnie.

Kyle nie był o tym w pełni przekonany. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak po utracie prędkości „Centaur”, ze swoim kruchym jak skorupka jajka poszyciem, zaczął się kołysać i podrygiwać pod ciosami fal.

W każdym razie przychodź na mostek najszybciej jak będziesz mógł powiedział. – Kiedy tylko skończysz tutaj.

– To nie potrwa długo – odparł Voorhoeve. Potem przesunął skrzydełko selektora glocka z pozycji „zabezpieczone”, przez „pojedynczy” na „ogień ciągły”.

Statek jeszcze bardziej zanurzył się prawą burtą. Kołyszące się zasłony, skutecznie zastępując inklinometry wskazywały, że przechył wynosi obecnie dobre piętnaście stopni i Kyle nagle poczuł się bardzo zdenerwowany. Ale wcale nie możliwością utonięcia. Już nie.

Bardziej perspektywą, że nie będzie miał na to dość czasu.

Zanim zdążył zareagować pod wpływem, jak się wydaje, po raz pierwszy od chwili wejścia na pokład prawidłowo wyciągniętego wniosku, drugi oficer uniósł lufę pistoletu maszynowego, kierując ją prosto w pierś Kyle’a.

Zdumiewające, z jak filozoficznym spokojem przyjął to Kyle. Może dlatego że wszystko się skończyło. Może dlatego, że był zmęczony widokiem umierających ludzi i koniecznością rozwiązywania wciąż od nowa nierozwiązywalnych zagadek.

– To ty zabiłeś McDonalda, prawda, Wim?

– Doktora McDonalda – poprawił czujący się wyraźnie lepiej Voorhoeve.

– I Hackmana. Byłeś w trattorii, prawda?

Kyle właściwie nie musiał pytać. Teraz, kiedy otrzymał jeszcze jeden element układanki, wszystko stało się jasne. Po prostu była to kwestia stopnia. Dzięki niemu broń została przemycona na brzeg i przyniesiona z powrotem na statek.

– Karabinierzy nie rewidowali również pana, panie Kyle. Tylko marynarzy. Przypuszczam, że uznali za niewłaściwe obmacywać oficerów schodzących na ląd.

– Mogłeś zaryzykować i nie wpisywać się do książki trapowej, ponieważ to właśnie ty ją sprawdzałeś jako oficer służbowy.

– Byłem na brzegu tylko godzinę – drugi oficer wyraźnie uważał to za okoliczność łagodzącą. – Bardzo się starałem, żeby wrócić na czas i zwolnić Chowdhury’ego.

Lewis jęknął i zaczął odzyskiwać przytomność. Voorhoeve zaniepokoił się nieco i lufa peemu zakołysała się, mierząc to w jednego, to w drugiego. Kyle pospiesznie wykrztusił pierwszą, nie najmądrzejszą rzecz, która mu przyszła do głowy.

– Twój tata raczej nie będzie z ciebie dumny, Wim.

Och, nie jestem tego pewien – odparł z namysłem drugi oficer. – Wojskowi z większym zrozumieniem traktują konieczność zabicia człowieka. A poza tym raczej się o tym nie dowie, no bo kto go o tym poinformuje?

Kyle celowo pominął znaczenie tych słów. Tym bardziej, że właśnie otrzymał temat do rozmyślań.

– Myślałem, że był kapitanem żeglugi wielkiej?

– Kto?

– Twój ojciec, na litość bos...

– O kurwa, zapomniałem. – Voorhoeve uśmiechnął się przepraszającym, chłopięcym uśmiechem. Ale jednocześnie zimnym i niewypowiedzianym szalonym.

– Przepraszam, ale to było kłamstwo. Ta historia o emerytowanym wilku morskim w Vancouver. Mój prawdziwy ojciec umarł dawno temu – co nie oznacza, że mnie to w ogóle obchodzi. Zwiąłem

z domu najwcześniej jak mogłem.

Stopniowo wszystko zaczęło się układać. To, o czym Hackman nie zdołał mu powiedzieć. Ostatni, i szczerze mówiąc, przeoczony czynnik. Rzeczywiście, informacja, którą były żandarm otrzymał od człowieka posiadającego 12 Konwój Stollenberga dojścia do GsG9 dotyczyła Lewisa, ale dowodziła, że Kyle źle zinterpretował wszystkie poszlaki i obserwował niewłaściwego człowieka.

Lewis z trudem zaczął siadać, opierając się plecami o koję kapitana. Włosy miał zlepione krwią, ale poza tym wyglądało na to, że nic mu się nie stało. Ale nie wyglądał na zadowolonego.

Voorhoeve zrobił ruch pistoletem maszynowym, który Kyle oddał mu tak uprzejmie i stwierdził z troską w głosie:

– Chyba nie warto, żebyś wstawał, Lewis.

Kyle bardzo dyplomatycznie usiłował zmienić temat. Był to chyba najwłaściwszy sposób działania, nawet jeżeli statek mógł w każdej chwili zatonać. Jednocześnie wbijał sobie paznokcie w dłonie, z najwyższym wysiłkiem usiłując się opanować.

– Opowiedz mi o swoim ojcu, Wim.

– O ile dobrze go sobie przypominam, był to sztywny, zawzięty człowiek – odparł Voorhoeve, marszcząc brwi. – Nigdy nie zapomniał, kim był w przeszłości. Zawsze był z tego dumny. Wielu z nich było takich jak on. Duża część jego pokolenia, pomimo tego, co zrobili.

– A kim on był?

Kyle wcale nie musiał o to pytać. Już nie. Patrzył na lufę pistoletu maszynowego. Słuchał, jak statek ciężko pracuje na fali i czekał na śmierć. A jednocześnie myślał, że ten jasnowłosy młody człowiek po ucieczce na morze, zupełnie niepotrzebnie przybrał holenderskie nazwisko, by w ten sposób wytłumaczyć swój akcent. Po praktyce na kanadyjskich statkach, jego północnoamerykańska wymowa była bez zarzutu.

Podobnie nienagannym okazał się jego niemiecki. Co nie było zbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę, że był Niemcem.

Zapewne nieco młodszym od swojego brata Günthera. Ale w równym stopniu szalonym.

– Był pułkownikiem SS – potwierdził Wilhelm Stollenberg, niedbale pieszcząc palcem język spustowy. – Waffen-Schutzstaffeln Standartenführer Manfred Stollenberg, proszę pana. Sekundę Regiment, SS-Polizei-Panzer-Grenadier-Division.

Gdyby Kyle nawet zapomniał o tym, że Stollenberg Młodszy z całą pewnością ma zamiar ich zastrzelić, to właśnie uprzejmość, którą w dalszym ciągu okazywał, robiłaby szczególnie groźne wrażenie. Jego grzeczny szacunek, przyjazny czarujący uśmiech, który jednak, jeżeli przyjrzało mu się wystarczająco dobrze, nie zdradzał nawet cienia ludzkich uczuć.

Cenna uwaga, warta by ją włączyć do wszelkich naukowych prac z zakresu medycyny sądowej, pomyślał. Wyobraźmy sobie sympatycznego zabójcę. O wiele łatwiej znaleźć się w sytuacji ułatwiającej podcięcie komuś gardła, jeżeli najpierw przekonało się ofiarę, aby cię polubiła i zaufała.

Co prawda, umiejętność ta w przypadku Davida była zbędna. Potrzebne było jedynie bezosobowe pchnięcie. Śmierć Hackmana i Teda Williamsona także nie wiązała się z bezpośrednim osobistym udziałem. Przecież nikt nie zastanawia się, czy darzyć zaufaniem każdy zbliżający się pojazd, zanim zdoła cię zabić – ale Wanda niewątpliwie żywiła do swojego zabójcy ciepłe uczucia, ze względu na pamięć jego brata Günthera. Z całą pewnością!

I Jahjivan Singh. Tej nocy, kiedy Wim zjawił się na Shipskull Lane, Jagers musiał uznać takiego doświadczonego ochotnika za dar od boga agentów żeglugowych. Jeżeli widziało się, jak Jagers działa, można przyjąć, że najprawdopodobniej próbował wynegocjować jakąś dodatkową prowizję, zamiast występować w roli dobroczyńcy. A może nawet próbował poprowadzić bardziej długoterminową grę i twierdził, że już zaangażował na stanowisko drugiego oficera jakiegoś nieszczęśnika, aby dzięki temu wybiegowi zapewnić sobie możliwość eksploatacji Voorhoeve'a nie tylko w czasie rejsu do Banji Beach. W każdym razie popełni wielki błąd. Taki, jaki człowiek na stanowisku dyrektora naczelnego popełnia tylko raz. W przeciwnym razie, Wim nie uznałby, że musi go zabić, aby umieścić na liście załogi „Centaura” swoje przybrane nazwisko, które mógł poprzeć autentyczną dokumentacją.

A może i tak zabiłby Jagersa? Po prostu dlatego, że był psychopatycznym zabójcą, który nie miał poczucia moralnej odpowiedzialności ani winy z powodu czegokolwiek, co zrobił. W pogoni za skarbem pozostawionym przez ojca, wyeliminowanie kolejnej istoty ludzkiej nie znaczyło dla niego więcej, niż rozgniecenie jakiejś irytującej muchy. A poza tym odniósłby wyraźne korzyści, gdyby jeszcze bardziej zamącił toczące się śledztwo.

Dziwna sprawa. Dlaczego początkowo wybrany drugi oficer nie znalazł się w Rotterdamie na statku? Ale czy w gruncie rzeczy naprawdę go to interesuje? Zważywszy, że człowiek ten miał się zameldować niedługo przed tym, jak w basenie portowym znaleziono pływające zwłoki.

Morze eksplodowało pod dziobem „Centaura”. Kyle poczuł wstrząs, statek zatoczył się i stęknął. Zabolalo go serce na myśl o cierpieniach, jakie musi znosić. A także o młodym Chowdhurym, który pozostał na mostku sam, bez niczyjej pomocy.

– Statek nie wytrzyma długo – powiedział Voorhoe... nie Stollenberg i podniósł Nefretete. Zrobił to niezgrabnie, pochylając się w bok i macając dłonią w poszukiwaniu torby, ale lufa glocka nie drgnęła ani o milimetr.

Wyglądał wciąż bardzo sympatycznie. W tym młodym człowieku nie było ani cienia wrogości. Ani żadnych innych emocji.

Gdy cofał się wolno po pochylonej podłodze do drzwi sypialni, Kyle widział, jak bieleje mu palec wskazujący, pokonujący pierwszy opór spustu.

– Chyba już pora na mnie, prawda? – oznajmił rzeczowo najmłodszy i jak miał nadzieję Kyle – ostatni Stollenberg.

No cóż, udało mu się. Naprawdę wkurzył Kyle'a – i mniejsza o to, że miał broń! Całe napięcie, frustracja, cała tłumiona wściekłość eksplodowała w nim, ponieważ wciąż za dużo pytań pozostało bez odpowiedzi i zbyt wiele kwestii pozostało niewyjaśnionych.

A poza tym nie miał, do cholery, zamiaru dać się załatwić w tak lekceważący sposób przez młodszego oficera!

– Nie waż się pan ode mnie odchodzić! – wybuchnął pierwszy oficer Kyle. – Jeszcze z panem nie skończyłem.

Ciszę, która zapadła, można było kroić nożem.

Nawet Lewis zamrugał z obawą, słysząc wściekłość w głosie Kyle'a, a Stollenberga ten słowny atak po prostu sparaliżował.

– Słucham pana? – wybełkotał z poszarzałymi nagle policzkami, wyraźnie sztywniejąc.

Może tego rodzaju reakcja nie była tak zaskakująca, jak mogło się wydawać. Być może Wilhelm Stollenbergo pogardzał teutońską dyscypliną, ale był genetycznie zaprogramowany, by na nią reagować. Dodatkowo, doświadczenie jakie zgromadził na statkach nauczyło go szacunku do władzy. Zwłaszcza władzy tych marynarzy, którzy mieli więcej złotych pasków na rękawie niż on.

Krótko mówiąc, dla drugiego oficera zastrzelenie swojego bezpośredniego zwierzchnika, który występuje właśnie w pełnym majestacie urzędu wymagało całkowitej zmiany sposobu myślenia. Jest to zabieg szalenie trudny dla psychopaty.

– Jest mi pan winien wyjaśnienia, drugi – ryczał doprowadzony do szału Kyle. – Byłbyś już martwy, gdyby nie ja, chłopcze. Nie miałbyś nawet teraz tego pieprzonego peemu, gdyby nie ja, do cholery!

– Uspokój się, Kyle, na rany boskie – poradził wciąż jeszcze oszołomiony Lewis. – Narażasz i mnie.

– A wy siedźcie tam cicho, Lewis! – rozdarł się Kyle, nie różnicując celów swojego gniewu. – Sprawiliście już wystarczająco dużo kłopotów w czasie tego rejsu.

Odwrócił się znowu w stronę Stollenberga, ale tym razem nieco ostrożniej. Doszedł do wniosku, że powinien jednak wziąć się w garść, zanim się wścieknie do końca i umrze w nieświadomości.

– No dobra, zaczynaj. Powiedz pan, czemu zabiłeś dziewczynę – warknął. – Czemu zabił pan Wandę Inadi, czy jak jej tam było i – skoro już o tym mowa – czemu ją pan zostawił w mojej szafie?

Twarz drugiego rozjaśniła się. Tylko tyle? Wydawało się, że poczuł ulgę, słysząc, że do uniknięcia kłopotów dyscyplinarnych wystarczy jedynie udzielenie całkowicie logicznego wyjaśnienia.

– Ponieważ nie chciała zmienić zdania, panie pierwszy – oświadczył takim tonem, jakby był to

powód, który w pełni usprawiedliwia morderstwo. – A poza tym, skąd miałem wiedzieć, że to pańska szafa, panie Kyle? Przecież wtedy nawet nie pojawił się pan na scenie.

Kolejna potężna fala uderzyła statek, stawiając go na chwilę prosto. Słyszeli odległy grzmot zielonej wody spadającej na pokłady, po którym rozległ się charakterystyczny zgrzyt rozdzieranej stali.

Lewis mruknął z przerażeniem „Jezu!”, ale Stollenberg zupełnie się nie przejął. Był jeszcze bardziej szalony niż Kyle przypuszczał. Każdy, w którym tkwiłaby choć odrobina zdrowego rozsądku, nacisnąłby w tym momencie spust i zanim ciała Lewisa i jego zdążyłyby upaść, olimpijskim sprintem dobiegłby do najbliższej tratwy ratunkowej. Ale Kyle nie był na tyle głupi, żeby zwrócić mu na to uwagę.

– Co to znaczy, że nie chciała zmienić zdania?

– O Güntherze.

– Pańskim bracie? A co on ma z tym wspólnego?

– Wie pan, lubiłem Günthera. Nawet kiedy uciekłem od starego, nie straciłem z nim kontaktu.

Ale nie po tym, jak GsG9 rozwaliło mu łeb – pomyślał z wściekłością Kyle. – Ponieważ dzięki charakterystycznej dla Stollenbergów skłonności do mordowania niewinnych, był zagrożeniem dla państwa niemieckiego i jego obywateli.

Chociaż czuł, że wygrywa, jeżeli w takiej sytuacji można było użyć takiego triumfalnego określenia, powiedział tylko:

– Tak, jestem pewien, że lubił pan braciszka. Ale w jakiej sprawie Wanda nie chciała zmienić zdania?

Wilhelm zaczął mówić. Sprawiał wrażenie, jakby tym potokiem całkowicie pokrętej logiki, szukał u Kyle’a aprobaty. A może to wymęczone wyznanie Stollenberga było na tyle bliskie błagania o rozgrzeszenie, na ile mógł się na to zdobyć umysł całkowicie wyzbyty poczucia winy?

Czymkolwiek to jednak było, wydawało się, że dla jasnowłosego zabójcy czas stanął w miejscu. Pokład pochylał się coraz bardziej, jęczały elementy konstrukcji wyraźnie rozsypującego się i nabierającego wody statku, a skorodowane płyty poszycia skrzypiały, w miarę jak rozszerzała się wyraźnie już słyszalna szczelina w dnie. Kyle i Lewis trwali w czasie tego zapewne bardzo krótkiego odroczenia wyroku z zaciśniętymi zębami i przymrużonymi z wściekłości oczami, bo przecież potwór ten spowodował śmierć ukochanych przez nich osób. Natomiast Stollenberg wcale się nie spieszył, wydawało się, że zależy mu jedynie na tym, by udobruchać pierwszego oficera, tłumacząc, jak mogło dość do tak straszliwego splotu wydarzeń.

Okazało się, że tajemnica drugiej Nefretete nie była jedynym spadkiem pozostawionym synom przez Manfreda Stollenberga – albo raczej przede wszystkim Guntherowi, ponieważ tylko on pozostał w domu.

Prawdziwym spadkiem było szaleństwo. Przed genami opętania Standartenführer zdołał uciec bez względu na to, jakie zbrodnie ów dzielny esesman popełnił w imieniu Führera. Natomiast jedynym przestępstwem, które zdołano mu udowodnić było, jak się wydaje, źle zrozumiane poczucie obowiązku.

Ale ostatecznie zapłacił za to podwójnie. Człowiek o jego dumie musiał patrzeć, jak obaj jego synowie odwracają się plecami do urządnego według ścisłych norm świata nazizmu, o którego przetrwanie on sam zaciekle walczył.

Według utrzymanych w przyjaznym tonie wyznań Wilhelma wszystko zaczęło się od marzenia. Marzenia, które podjęli walczący z ustalonym porządkiem kochankowie, Günther i Wanda wkrótce po tym, jak „Jurij Rogów” utracił ochronę żelaznej kurtyny.

Wyobrażali sobie, że dzięki odzyskaniu Nefretete zdołają zrealizować swój anarchistyczny program, to, czego nie udało im się zdobyć za pośrednictwem podkładania bomb, strzelanin i porwań. Żyjąca przemocą para postrzegała statuetkę nie jako godne podziwu dzieło sztuki, ale jako narzędzie politycznego nacisku. Gdyby zażądali okupu za największy przedwojenny skarb Niemiec, grożąc jego zniszczeniem, wtedy ideologiczne naciski, jakie mogli wyrzucić na aparat państwowy byłyby o wiele skuteczniejsze, niż jakakolwiek bomba, którą podłożyliby w Bundesbanku.

Było to dość logiczne myślenie, ale inni mogli inaczej oceniać znaczenie statuetki. Na przykład użycie jej jako elementu przetargowego w przestępczym wymuszeniu. Odnalezienie tak bezcennego skarbu niekoniecznie musiało wyrzucić wrażenie jedynie na politycznych fanatykach lub naukowcach. David McDonald niewątpliwie zdawał sobie sprawę z zagrożeń, jakie pociągała za sobą ta opcja. Dlatego był tak zdenerwowany. Zwłaszcza że wiedział o Stollenbergach więcej, niż był w stanie powiedzieć w gwałtow – nie przerwanej rozmowie z Kylem.

Na przykład o istnieniu młodszego brata, Wilhelma, dość niezwykłego faceta, który uciekł w młodości na morze i zniknął z pola widzenia na długo przed rozstaniem się z tym światem pozostałych Stollenbergów. A o istnieniu skarbu dowiedział się o wiele później, kiedy Günther, w chwili braterskiej bliskości, podzielił się z nim przekazaną przez ojca tajemnicą.

Wilhelm początkowo nie zawracał sobie nią głowy. Bardziej zainteresowany swoją pierwszą miłością – życiem marynarza – nie miał czasu na polityczny fanatyzm Günthera. Czuł wprawdzie głębokie przywiązanie do brata, chociaż uważał go za nieco nie zrównoważonego – prawdziwą „dziką kartę” – a potem i jego zaczęło opanowywać szaleństwo. Nie uważał za dziwne, że Günther nie czuje odpowiedzialności za tych, których zabił lub okaleczył w swoim rewolucyjnym zapale. W końcu również i Wilhelm osiągnął stan, w którym wystarczył za ledwie lekki impuls, aby przekroczył ową linię graniczną, oddzielającą psychopatę od psychopatycznego zabójcy.

Nastąpił moment, w którym marzenie kochanków zostało zniweczone, zanim mogło być zrealizowane. Günther został w majestacie prawa zlikwidowany. Wanda co prawda знаła tajemnicę, ale nie potrafiła z niej skorzystać. Fryzjerka z Fulham Road lub terrorystka o skromnych dokonaniach raczej nie dysponuje bogatą wiedzą o statkach. Orientowała się, że „Jurij Rogów” wciąż pływa, ale nie była w stanie tego faktu wykorzystać.

Ale na szczęście znała pewną osobę – znajomość ta nabrała może zbyt zażyłego charakteru, w czasie paru wcześniejszych okazji, kiedy to Günther zajęty był wysadzaniem ludzi w powietrze. Człowiek ten nie tylko dysponował niezbędnymi kwalifikacjami, ale także podzielał ideały Günthera.

Tak więc Wanda skontaktowała się z Wilhelmem – albo Wimem, ponieważ pod tym imieniem zdobywał popularność wśród kolegów marynarzy jako rzekomy Kanadyjczyk holenderskiego pochodzenia – i zaproponowała sojusz jego wiedzy morskiej i jej talentów terrorystycznych.

Ostrożny marynarz Wim Stollenberg po spotkaniu z Wandą w Londynie przede wszystkim dokonał oceny ewentualnego ryzyka związanego z zaangażowaniem się w tę intrygę. Złożył wizytę w Imperial War Museum. Wcale nie po to, aby badać legendę związaną z jego ojcem – w końcu znał ją z pierwszej ręki – ale by sprawdzić, kto bada tę sprawę. Dowiedzieć się, czy ktoś nie wykazywał ostatnio zainteresowania konwojem Stollenberga, bo mogłoby to skomplikować jego plany. Zgodnie z przypuszczeniami Kyle’a, właśnie dzięki IWM dowiedział się o Davidzie, a potem tropił go

w czasie ostatniego poranka jego życia od adresu, który mu uprzejmie podano, do stacji metra Lancaster Gate.

Rozstrzygnięcie ich sprzecznych interesów związanych z Nefretete nie sprawiło mu żadnych moralnych problemów. Jedno spokojne, rozmyślnie pchnięcie wystarczyło, by David znalazł się za krawędzią peronu, a drugi oficer Wilhelm Stollenberg przekroczył granicę szaleństwa.

Potem wszystko było bardzo proste. Przy pomocy Wandy dostał się dyskretnie do środka i przeszukał mieszkanie przy Ringtree Gardens, licząc na to, że uda mu się ustalić, jakie informacje zdołał zebrać David McDonald. Tutaj bardzo dopomogła mu ufność Davida. Nie chronione żadnym zabezpieczeniem dane w jego komputerze tego samego ranka doprowadziły Wima prosto do Battersea i byłego sierżanta komandosów Teda Williamsona, a następnie do biura Jaggersa Singha. Po co zakradać się na pokład w środku nocy, kiedy zwykle podejrzenie gardła załatwi całkowicie zgodny z prawem przydział na „Centaura”? Czy w rzeczywistości istniała lepsza okazja, by wzbogacać swoje doświadczenie zawodowe, czekając jednocześnie na moment, w którym będzie można wykonać ruch?

Wanda pozostała w mieszkaniu, ale po prostu musiał ją zabić, pan to rozumie, prawda? Absolutnie nie chciała zmienić zdania. Bez względu na to, jak bardzo Wim usiłował ją przekonać – i aby oddać mu w pełni sprawiedliwość, naprawdę bardzo się starał, co dowiodły ślady krwi ciągnące się od sypialni – fanatycznie upierała się, że kiedy tylko odzyskają Nefretete, użyje jej do uzyskania od rządu niemieckiego politycznych, a nie finansowych korzyści. Była całkowicie oddana anarchistycznej, ale mało dochodowej ideologii brata Gunthera.

Drugi oficer Woorhoe... nie Stollenberg, sprawiał w tym momencie wrażenie autentycznie zakłopotanego. Zerwanie, że tak powiem stosunków z Inadi było pechową koniecznością, podobnie jak zainstalowanie w mieszkaniu doktora zaimprovizowanej bomby gazowej, której eksplozja dałaby mu czas na sfabrykowanie dowodów, mogących choćby na jakiś czas przekonać policję, że McDonald był rzeczywiście szaleńcem i jedynie fantazjował na temat ostatniej, nie rozwiązanej zagadki związanej z „Konwojem Stollenberga”.

– Ale – kontynuował wyjaśnienia – wcale nie miałem zamiaru zabić pana, panie Kyle, przynajmniej nie w tym momencie. Dopiero później. Kiedy skojarzyłem nazwisko ze znajdującą się w komputerze doktora książki adresowej z człowiekiem, który zjawił się na statku w Rotterdamie. Jestem pewien, że pan to rozumie, panie pierwszy.

Były to rzeczywiście wyczerpujące przeprosiny.

A szczerść, z jaką je wypowiedziano, mroziła krew w żyłach.

Kyle i Lewis milczeli oszołomieni. Co nie oznaczało, że rozważania nad argumentacją młodego Srollenberga w jakiś sposób im pomogły.

Kyle był w stanie wymyślić tylko jedną odpowiedź.

– Jesteś pan wariat – uznał. – Popieprzony jak kapelusznik.

– O kurrwa! – jęknął Lewis i zamarł bez ruchu.

Drugi oficer nie wyglądał już sympatycznie. Chociaż nic nie powiedział, nie obraził się, nie zaczął krzyczeć histerycznie ani nie toczył piany z ust, jak na prawdziwego wariata przystało. Nawet nie sprawiał wrażenie szczególnie urażonego.

Ale szybkość, z jaką glock został ponownie wycelowany w pierś Kyle’a świadczyła, że nie tylko poczuł się rozczarowany jego wrogością, ale udowodniła, że wybuch pierwszego oficera przyczynił



się do owego delikatnego przesunięcia w psychice, dzięki czemu drugi oficer był już w stanie zastrzelić swojego bezpośredniego przełożonego.

– Dalej, Kyle! – ryknął nieoczekiwanie Lewis.

– Słucham? – zapytał niepewnie Kyle.

Lewis beznadziejnie rzucił się na pistolet maszynowy. Beznadziejnie, ponieważ Lewis był żołnierzem piechoty morskiej. I chociaż nauczono go, żeby trzymał język za zębami, jeżeli nie ma niczego rozsądnego do powiedzenia psychopacie trzymającemu w ręku broń, to jednak mógł co do ułamka sekundy ocenić, jak długo zajmie mu dotarcie do drugiego oficera Stollenberga, a jak szybko Stollenberg zdoła nacisnąć spust.

I miał rację. Zdołał pokonać jedynie połowę ciasnej kabiny, zanim Kyle, który właściwie nie zdążył nawet ruszyć się z miejsca, zobaczył jak lufa glocka drgnęła minimalnie, gdy Stollenberg nacisnął spust.

To nie była wina Kyle'a, że nie zdołał wesprzeć Lewisa.

No cóż, przecież on nie był pieprzonym byłym piechurem morskim, prawda? Nie znał nawet podstaw walki wręcz. Nie wiedział, że skoordynowany w czasie ruch wykonany przez dwóch ludzi może dać te niezbędne ułamki sekund, stanowiące o różnicy pomiędzy życiem a śmiercią. Największym zagrożeniem, z jakim do tej pory się zetknął, była grupa pijanych marynarzy, których wrogość zazwyczaj miała charakter bardziej werbalny niż fizyczny. Ale nigdy nie miał do czynienia z facetem z bronią.

Poza jednym przypadkiem. Na placu Santorini.

Dopiero gdy Lewis kontynuował swój atak – i nawet dotarł do drugiego oficera i znowu zaczął się z nim zmagać – Kyle uświadomił sobie, że czegoś zabrakło. Dźwięku wystrzału, a właściwie całej serii. A przecież wyraźnie widział, że Stollenberg kciukiem odbezpieczył glocka i nastawił go na ogień ciągły.

Zacięcie? Niewypał?

Zaczął biec w stronę walczących mężczyzn, dopiero gdy Stollenberg uderzył glockiem w ramię Lewisa – dokładnie tam, gdzie Kyle niedawno, choć z najlepszymi intencjami, wyrznął złotą statuetką. Ale w końcu to też nie była jego wina, pomyślał z wściekłością. W takich okolicznościach!

Lewis wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Kyle'owi udało się jakimś cudem z nim zderzyć, zanim jeszcze zdołał odzyskać równowagę i pchnąć go na Stollenberga, wytrącając przy tym broń z rąk drugiego oficera. Pistolet poleciał po pokładzie, a Stollenberg, wciąż trzymając torbę z Nefretete, rzucił się w stronę drzwi prowadzących do dziennej kabiny. Kyle warknął do Lewisa „przepraszam!” i biegł dalej, z furją starając się dogonić uciekającego psychopate.

Nagle nastąpił potężny wstrząs. „Centaur” zatoczył się pod uderzeniem kolejnej góry wodnej! Jezu! – statek coraz bardziej przechylał się na prawą burtę, podczas gdy w jego wnętrzu wciąż rozlegały się łomotania, przypominające uderzenia w ogromny, podmorski bęben. Pokład stawał coraz bardziej dęba, a pokryte kwiecistym wzorkiem inklinometry wychylały się coraz bardziej!

Uderzenie morza sprawiło, że capitao Barrosa zsunął się bezwładnie na podłogę. Kyle, myślący jedynie o ostatnim wściekłym skoku, potknął się o Starego, po czym runął jak długi. W tej samej chwili Stollenberg zdołał schwycić framugę drzwi prowadzących do korytarza i natychmiast namacał hak, zabezpieczający otwierające się do wewnątrz drzwi.

Dopiero wtedy drugi oficer zawahał się, zanim przechylił się, równoważąc przechył statku i sięgnął po klamkę. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, by uśmiechnął się

tryumfalnie, patrząc z góry na Kyle'a.

– Przypuszczam, że powinienem regulaminowo pana poprosić, prawda? O pozwolenie opuszczenia statku?

– Spierdalaj pan! – wrzasnął Kyle, mając jednak zupełnie co innego na myśli.

– Tak jest, panie pierwszy! – potwierdził jak zawsze dziarsko Stollenberg.

Byłby z niego cholernie dobry facet na kryzysowe sytuacje – pomyślał tępo Kyle. – Wzorowy oficer marynarki. Gdyby nie był wariatem.

Jego doskonały, choć posiadający jedną dość podstawową wadę protegowany złapał klamkę i powoli przewyciężając siłę ciężenia, przyciągnął do siebie masywne drzwi. Te same, które jak zapewniał go Kyle, były wykonane z litego mahoniu, i których za żadne skarby nie dało się wyłamać.

Zachowanie statku nie pozostawiało Kyle'owi wątpliwości, że on i Lewis są zgubieni. Teraz dokładnie zrozumiał, co czuł David w czasie tej straszliwej chwili, gdy spadał z peronu na szyny – wiedział, co czuje mordowany człowiek.

Nastąpiło to w momencie, w którym usłyszał trzask klucza przekręcanego w zamku.

Tego samego klucza, który Kyle sam przełożył na drugą stronę. Aby oszczędzić drugiemu oficerowi Voorhoeve kłopotów.

Kyle nie mógł powstrzymać się przed refleksją, że doktor Samuel Johnson był niezwykle mądrym człowiekiem i równie dobrze mógł mieć na myśli „Centaura”, kiedy przed półtora wiekiem napisał:

„Pobyt na statku jest niczym przebywanie w więzieniu, przy czym ma się szansę, że człek utonie”.

Hackman na pewno by to docenił. Zdumiewające, że przy swoich zainteresowaniach literackich nie wpadł na pomysł, by mu o tym przypomnieć. Niewątpliwie poczułby satysfakcję, mogąc zacytować również następną linijkę: „Człowiek w więzieniu ma więcej przestrzeni, lepsze jedzenie i zazwyczaj lepsze towarzystwo”.

Nie ulega wątpliwości, doktorze Johnson. Zwłaszcza, jeżeli pańska statkowa alternatywa przewidywała Hackmana jako kucharza. A Stollenberga jako członka załogi.

Kyle poruszył klamką drzwi i przekonał się, że drugi oficer rzeczywiście je zamknął. Wreszcie się nauczył – nie miał zamiaru umrzeć z powodu jakiegoś swojego kolejnego cholernego przypuszczenia. Nawet zaparł się nogą o pochyloną framugę i pociągnął za klamkę z całych sił. Po prostu, żeby się upewnić.

Klamka została mu w rękę. Pięćdziesiąt cholernych lat użytkowania miało wkrótce dowieść, że Sanyiel Johnson był zbyt wielkim optymistą. W tym konkretnym więzieniu szansa nie stanowiła elementu równania. Mieli jak w banku, że wraz z Lewisem utoną w czasie kilku następnych minut.

Chyba że...

Poczuł przyływ ulgi. Wciąż pozostała im jeszcze jedna możliwość!

Jak na dany znak Lewis pojawił się w drzwiach sypialni, opierając się o framugę drzwi. Chociaż wsunął lewą rękę za pazuchę koszuli, jego ramię wciąż lekko zwisało. Wyglądało na to, że walnąwszy byłego sierżanta figurką Nefretete, Kyle’owi udało się złamać mu obojczyk. Ale o wiele ważniejszy był pistolet maszynowy, który trzymał w prawej dłoni.

– Pokaż mi, jak usunąć zacięcie, Lewis. Możemy odstrzelić zamek.

– Naoglądałeś się dużo filmów, prawda? – zapytał Lewis.

– Co takiego?

– Magazynek jest pusty – Lewis niedbałym gestem odrzucił glocka na bok. – Po tej pierwszej serii, trzymał nas w szachu pustym peemem.

– Pieprzona, bezużyteczna spluwa! – burknął Kyle, lekceważąc fakt, że gdyby było inaczej, obydwaj leżeliby już martwi.

Zasłony odchyliły się jeszcze bardziej i szare światło sztormowego dnia rozświetliło kabinę, powodując, że plecionka na rękawie capitulo Barrosoy paski, z których był taki dumny – zalsniła delikatnie. Złota plecionka, ale splamiona krwią, podobnie jak ta cholerna Nefretete.

„Centaur” zamarł na chwilę, jakby zastanawiając się, czy ma przewrócić się już teraz, czy jeszcze przez chwilę walczyć.

– Czy możemy spróbować wyjść przez bulaje? – zaproponował Lewis.

– To nie okręt wojenny, Lewis. W marynarce handlowej nazywamy je iluminatorami – warknął nieco poirytowany Kyle. – Te w sypialni są za małe, żeby się przez nie przecisnąć.

Natomiast te w przedniej części – prostokątne okna wychodzące na pokład studniowy, wystawione na działanie rozbijających się o nie z grzotem twardych jak kamienie fal – były wstawionymi na stałe płytami ze szkła pancernego. Miały powstrzymać napór oceanu. Albo osobników, których miał na myśli doktor Johnson.

– Chciałbym, Kyle, żebyś się dowiedział, zanim umrzemy – odezwał się Lewis – że nienawidziłem cię jak cholera od pierwszego spotkania w mieszkaniu babci Williamson, bo pomyślałem, że przyszedłeś do niej po Nefretete. A w czasie ostatnich kilku minut, żeby zmusić mnie do zmiany zdania, spierdoliłeś wszystko.

– Ostrożnie, marynarzu, wciąż jestem pierwszym. Mogę zapisać was w dzienniku za brak subordynacji – uśmiechnął się Kyle. W tej sytuacji nie było sensu wpadać w panikę. – A poza tym, skoro myślałeś, że zabiłem sierżanta Williamsona, dlaczego od razu nie wydałeś mnie policji?

– Ponieważ zamierzałem osobiście wyrównać rachunki za Teda – wzruszył ramionami Lewis. Skrzywił się, bo nie był to dobry pomysł. – Ale nie miałem stuprocentowej pewności, a nie mam zwyczaju działać na podstawie domysłów nie popartych żadnymi dowodami.

– Oczywiście, że nie – mruknął zmieszany Kyle.

– Dlatego załatwiłem w Korporacji Singha, żeby mnie zamustrowali na „Centaura”. Uznałem, że każdy, kto będzie chciał zabrać posążek, będzie musiał w czasie ostatniego rejsu znaleźć się na pokładzie.

– Ale jednak wyciągnąłeś fałszywy wniosek, widząc, że jestem pierwszym oficerem na „Centaurze” – bezwstydnie zwrócił mu uwagę Kyle. – To nie było zbyt sprytne, co? Przez cały rejs do Neapolu obserwowałeś nie tego człowieka.

– Masz szczęście, że to robiłem, Kyle – zripostował ponuro Lewis. To, że na pokładzie był Hackman, ocaliło cię przed powędrawaniem za burtę już pierwszej nocy. Nie mogłem się skapować, co on tu robi. Postanowiłem poczekać, aż któryś z was zrobi ruch, a wtedy...

Lewis nie zaryzykował ponownego wzruszenia ramionami, ale Kyle zrozumiał wszystko. Nagle przyszła mu do głowy kolejna, dość niepokojąca myśl. Tym bardziej niepokojąca, że był zamknięty razem z tym facetem.

– Chciałbym cię zapytać o zaświadczenie o zamustrowaniu, które okazałeś, Lewis. Nie zabiłeś Jaggersa, prawda?

– Nawet nie wiedziałem, że nie żyje, dopóki Stollenberg się do tego nie przyznał. Chociaż bardzo chętnie bym to zrobił. Przypuszczał, że chcę szybko opuścić kraj – zażądał stu funtów za pomoc.

– Przynajmniej nie udało mu się ich wydać – pocieszył go Kyle.

– Przydadzą się Mary. Zwłaszcza teraz. – Rysy Lewisa stężały. – To dla nich próbowałem. Dla Mary, dzieciaków i babci Williamson.

Tym razem Kyle wzruszył ramionami. Miał ochotę użalać się nad samym sobą, a nie komuś współczuć. – Pewnie kiedy się żeniłeś, byłeś w piechocie morskiej. Mary musiała wiedzieć, że nie jest to najbezpieczniejszy zawód na świecie.

– Z tego właśnie powodu namówiła mnie, żebym zrezygnował. Ale nie przewidziałem, że w cywilu spotkam wariata.

– Miałeś pecha ze Stollenbergiem.

– Nie miałem na myśli Stollenberga – odparł Lewis, spoglądając znacząco na Kyle’a.

Kyle pospiesznie postarał się zmienić temat. Przeszedł nad kapitanem i marszcząc brwi, spojrzął na przewody wentylacyjne i otwór, w którym tak długo leżała ukryta Nefretete. To było lepsze niż beczynne siedzenie i powtarzanie tych wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Skorodowane rury były zbyt wąskie, aby przedostać się nimi na pokład. Nawet dla maleńkiego dziecka byłoby to niemożliwe.

Poza tym perspektywa pójścia na dno w takiej rurze sprawiała, że śmierć w kabinie Starego wydawała się o wiele sympatyczniejszą perspektywą.

Podszedł pod górę do drzwi i pchnął je z roztargnieniem, a potem bez rezultatu spróbował zerknąć przez dziurkę od klucza. Była zablokowana z drugiej strony przez klucz, który sam tam włożył. Natomiast sam zamek był solidny, wykonany z mosiądzu i umocowany śrubami przechodzącymi na wylot przez ramę. Gdyby nawet mieli odpowiednie narzędzia, wydłubanie go stąd trwałoby tak długo, że statek zdążyłby zatonać.

Przypomniało mu to drzwi na Shipskull Lane. O podwójnych płytach, niegdyś niewątpliwie polakierowane, ale teraz pokryte warstwami źle położonej farby, której ostatnia, łuszcząca się warstwa miała przynajmniej dwadzieścia lat. Rosjanie nigdy nie dbali we właściwy sposób o swoje statki.

Kyle znowu pchnął górną płytę – wytrzymałaby uderzenie tarana. Cholerne niemieckie stocznie. Można by pomyśleć, że skoro wojna źle się układała i brakowało już surowców, musieli nieco obniżyć jakość budowanych przez siebie statków! Ale przecież właśnie dlatego „Jurij Rogów” wytrzymał dostatecznie długo, by zabrać ze sobą Lewisa i jego, a przedtem przyczynić się do śmierci Davida i innych. Wstał i spojrzął ponuro na te cholerne drzwi, desperacko zmuszając się do myślenia.

– Nie masz chyba zamiaru zaproponować, żebym wyważył je ramieniem? – zapytał z niepokojem Lewis.

Napis pod osypującymi się warstwami farby na dolnej płycie był ledwo widoczny. Umieszczono go tam bardzo dawno temu i w bocznym oświetleniu widoczny był jedynie jako szereg lekko wypukłych liter. Rosyjskich? Niemieckich? To przecież nie wygląda jak cyrylica? Die Fullu... Die Fullung mit dem...

– Jezu, właśnie mnie olśniło – mruknął Kyle, gdy zamajaczyła mu pewna myśl. – Lewis, przecież ten statek zbudowano w czasie wojny...

– Postaram się o tym nie zapomnieć, Kyle – obiecał Lewis.

– To znaczy, że był narażony na niebezpieczeństwo – bardzo poważne w tym okresie – że zostanie storpedowany. A kiedy statek trafia torpeda, konstrukcja często ulega odkształceniu. Niekiedy eksplozja blokuje drzwi i marynarze zostają uwięzieni w środku...

Die Fullung mit dem... Fusse stossen!

– ...dlatego, do diabła, na alianckich statkach w czasie drugiej wojny światowej drzwi w kabinach miały panele, które można było wybić kopniakiem!

Wypchnąć płytę nogą.

Kyle modlił się, by jego elementarna znajomość niemieckiego pomogła mu udowodnić, że naziści stosowali tę samą metodę. Kopnął dolną płytę tak, jakby od tego zależało jego życie.

Wypadła.

– Uważam, marynarzu Lewis – oznajmił Kyle – że powinniśmy już iść.

Przez jedną straszliwą chwilę, kiedy pędzili po stromo nachylonym korytarzu, aby dotrzeć na opuszczony mostek, Kyle zastanawiał się, czy rzeczywiście skorzystają na ucieczce z zamkniętej kabiny.

Widziany przez spływające wodą okna sterówki „Centaur” był przechylony o dobre dwadzieścia stopni, szpigaty przedniego pokładu studniowego znajdowały się pod wodą, a morze pieniało się nad zanurzoną fałszburką, by eksplodować, rozbijając się gwałtownie o zrębnicę luku i wystrzelić w górę porywanymi wiatrem, poszarpanymi ścianami pyłu wodnego. Każda nowa fala powodowała, że statek wzdrygał się ponownie, a jego pochylony przedni maszt zataczał pijane kręgi na tle nisko wiszących, wrogich chmur.

Ale Kyle wciąż mógł widzieć niebo. Kiedy zataczając się, prawie na czworakach dotarł do prawoburtowego skrzydła mostku i spojrzał w dół, poczuł wiatr szarpiący jego włosy, cudownie silny, z posmakiem i zapachem soli. I nagle umieranie wydało mu się zdecydowanie mniej przykrą rzeczą. Jeżeli musiało już nastąpić, to rzeczywiście jako cholernie wielka przygoda.

Lewis przyłączył się do niego, mówiąc:

– Ktoś mógłby powiedzieć, że nie jest to praca nawet dla wiejskiego idioty.

Dwudziestoosobowa tratwa ratunkowa została porwana przez sztorm w chwili, gdy napełniła się powietrzem. Teraz, ciągle bez ludzi, którzy by ją ustabilizowali, sunęła z wiatrem, oddalała się od statku i podskakując oraz ześlizgując się z jednego grzbietu fali na drugi, niczym wielki, czarnopomarańczowy bąk, płynęła w stronę brzegów Afryki Pomocnej. Jacyś źle przeszkoleni i ogarnięci paniką marynarze musieli zwolnić liny, zanim weszli do środka.

Mayday Centaur, Centaur, Centaur!

Na mostku ożyła antyczna VHF-ka – jesteś cudowny Chowdhury! Nadałeś sygnał „mayday”, zanim podjąłeś decyzję o opuszczeniu statku – albo ta pieprzona załoga podjęła ją za ciebie!

– Tu włoski okręt wojenny Leonardo da Vinci. Mamy was na radarze milą po nawietrznej.

Druga tratwa ratunkowa, na szczęście tym razem z ludźmi, odpływała od statku. Jej wciąż nie napompowana, pomarańczowa kopuła trzepotała śmiesznie. Kyle widział pierwszego mechanika Mohammada Ben Saaidiego w grupie rozbitków tłoczących się w otwartym wejściu do tratwy. Mechanik wyjął swoje wspaniałe porcelanowe zęby i patrząc w szerokim bezzębnym uśmiechem na stojącego nad nimi na mostku Kyle’a, pomachał nimi triumfalnie, a następnie wsunął je do kieszeni wyszmelcowanego kombinezonu.

Kyle odpowiedział nonszalanckim gestem, szczęśliwy, że niezmordowany czif zdołał się uratować. Przynajmniej na razie.

Trzecia tratwa ratunkowa – prawie zupełnie bez powietrza – jedynie żalony, ledwo widoczny balonik wciąż sterczący z pękniętego pojemnika z włókna szklanego. I czwarta. Prawie pusta.

Ale niezupełnie.

Jezu! Trzeci oficer Chowdhury, pierwszy kucharz Bokros i całkowicie bezużyteczny haitański drugi mechanik Beaubrun? Wszyscy czepiający się kurczowo linowych uchwytów. Całkowicie wypełniony był tylko jeden zbiornik powietrza tej neoprenowej ostatniej szansy ratunku o terminie gwarancyjnym przekroczonym o miesiąc, jeżeli nie o lata.

Tratwa ześlizgnęła się wariacko w czarną dolinę, a potem pofrunęła pionowo w górę, uniesiona następną falą. Znowu w dół, a potem w górę! Teraz kręciła się w niekontrolowany sposób na wielkim garbie skotłowanej wody. Jazda jak na kolejce górskiej w wesołym, nie, w koszmarnym miasteczku! Wariacki walc, jazda na złamanie karku!

Kyle patrzył z przerażeniem, zaciskając konwulsyjnie dłonie na wyszczerbionej tekowej poręczy mostka. Następny grzywacz zaczął się rozpadać zapienił się, a potem runął w dół na pływającą kryjówkę Chowdhury'ego. Przednia, nie wypełniona powietrzem część tratwy odwinęła się do tyłu, zakrywając trzech mężczyzn, zamykając ich w swoim mokrym objęciu, aby następnie przewrócić się do góry pomarańczowo-czarnym dnem.

– Popatrz! – krzyknął Lewis.

Na moment w mgłę pyłu wodnego pojawiła się niska, zawiadająca sylwetka włoskiego okrętu wojennego. Właśnie wykonywał zwrot i zwalniał, ustawiając się burtą do umierającego „Centaura”, aby ułatwić podniesienie znoszonych na niego wiatrem tratw. Potem widoczność znowu się pogorszyła, wiatr zawył jeszcze silniej i okręt ratowniczy zniknął, jakby go nigdy nie było.

„Centaur” zatoczył się pod naporem huraganowego podmuchu, a Kyle po nachylonym pokładzie wspiął się z powrotem do sterówki. Sięgnął po potrzebujący mikrotelefon VHF-ki, nie spuszczając jednocześnie wzroku z inklinometru – tym razem prawdziwego! Pokład przechylał się coraz bardziej – dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... dwadzieścia pięć stopni!

– Mayday, okręt wojenny, tu „Centaur”!

– Podejmujemy akcję ratunkową!

– Mam ludzi w wodzie – czterdziestu dwóch członków załogi. Opuszczamy...

– Centaur, tu okręt wojenny. Stoimy zawietrzną prawą burtą. Sieci ratunkowe opuszczone.

Powodzenia.

Dwadzieścia sześć... pierdolone dwadzieścia siedem stopni! Kyle słyszał wydobywający się z najbliższego wentylatora zawodzący świst sprężonego powietrza wypychanego z ładowni przez wdzierającą się do nich wodę.

Lewis musiał w tym czasie przeszukać kabinę nawigacyjną, ponieważ wyłonił się z niej, trzymając dwie pokryte śladami pleśni kamizelki ratunkowe. Jedną z nich podał Kyle'owi.

– Możemy już iść, pierwszy? – zapytał.

– Mam to w dupie – warknął Kyle, chociaż nie odniósł się negatywnie do tej propozycji. W końcu Lewis zachował się zgodnie z protokołem i poprosił o pozwolenie. – Wciąż nie znaleźliśmy Stollenberga.

Kiedy Kyle pomagał Lewisowi założyć przez głowę kamizelkę i zawiązał taśmy mocujące, były sierżant jedynie uśmiechnął się słabo. Trzeba było przyznać, że trzymał fason – zwłaszcza, jeżeli wzięło się pod uwagę, że miał niesprawną rękę, kamizelkę mniej więcej równie przydatną jak rozpuszczalny płaszcz przeciwdeszczowy, groziło mu utonięcie i tak dalej. Zresztą Kyle nie oczekiwałby innego zachowania po żołnierzu Królewskiej Piechoty Morskiej.

Jednak zadziwiająco tajemnicza odpowiedź Lewisa nieco go zirytowała.

– Jeżeli go znajdziemy, nie zbliżaj się zbyt do niego. – Towarzysz niedoli udzielił mu dość dziwnej rady. – I na litość boską, Kyle, jeżeli nadarzy się okazja, nie walnij skurwiela tą torbą z Nefretete, jak mnie!

Zobaczyli drugiego oficera Voorhoe... Stollenberga zaraz po tym, jak wybiegli z powrotem na skrzydło mostka. Tym razem, trzymając się z całych sił relingu, aby nie ześlizgnąć się po mokrych płytach i nie polecieć w morze, spoglądali uważnie w stronę rufy.

Męczył się rozpaczliwie, starając się przyciągnąć do krawędzi burty zasobnik z tratwą ratunkową, wyciągnięty z mocowania na pokładzie łodziowym. Pojemnik był ciężki i nieporęczny, ale drugi dawał sobie z nim radę. Jednak na razie nie wiadomo było, czy jego praca warta była zachodu. Dopiero, gdy szarpnięcie za nylonowy sznur uruchomi butle ze sprężonym powietrzem, okaże się, czy zada kłam na pewno dawno już przekroczonej dacie ważności.

W każdym razie, była to ostatnia tratwa na statku. W skotłowanej wiatrem kipieli, gdzie pomiędzy morzem a niebem znajdowała się warstwa gęstego pyłu wodnego, człowiek utrzymywany przez kamizelkę ratunkową w pozycji, w której nad tym, co teoretycznie nazywało się powierzchnią, sterczały jedynie usta i nos, był skazany na utonięcie bez względu na to, ile szkoleń ratownictwa morskiego zaliczył.

Tratwa uwolniła się z mocowań i Stollenberg, wciąż elegancki, chociaż jego mundur khaki był teraz całkowicie przemoczony pyłem wodnym, podciągnął ciężki zasobnik do samej krawędzi burty, przygotowując się do uruchomienia tratwy.

– Dalej! – warknął Kyle i rzucił się do trapu, nie patrząc, czy Lewis podąża z nim. Stollenberg musiał dostrzec ten ruch, ponieważ odwrócił się gwałtownie i znieruchomiał. Może i był psychopata, ale najwyraźniej w dalszym ciągu potrafił odczuwać zaskoczenie – jego pełną niedowierzania minę można było dostrzec nawet z takiej odległości. Capitao Ferreiro Cavaco Barrosa musiał okazać identyczne zdziwienie, gdy jeden z zaufanych oficerów nieoczekiwane stanął za fotelem i położył rękę na jego wspaniałej czapce.

Z tą jednak różnicą, że Stollenbergowi udało się przeżyć ten moment zaskoczenia. Spokojnie oparł stopę na chwiejącym się zasobniku. W tej sytuacji, to bardzo odpowiedni ruch, Stollenberg. Kyle mógł nawet przetłumaczyć słowa, które w rodzimym języku pojawiły się w umyśle młodego człowieka.

Die Fullung mit dem Fuss stossen!

Ale w tym wypadku bardziej odpowiednim słowem jest das Rettung-floss, Wilhelmie. Tratwę należy popchnąć mit dem Fuss, stopą. Ostatnią, pieprzoną Rettung-floss na statku! Biegając z całych sił w stronę Stollenberga i uważając jednocześnie, by nie stracić równowagi na pochylonym pokładzie, Kyle za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć, jak jest po niemiecku „ostatnia”.

Drugi oficer pchnął stopą i ciężki zasobnik wytoczył się za burtę. Potem Stollenberg szarpnął sznur i nawet poprzez wycie wiatru Kyle usłyszał gaz wydobywający się z butli. Był wdzięczny losowi, że Stollenberg był marynarzem – i to dobrym. Nie był do tego stopnia głupi, by po napełnieniu tratwy zwolnić ją, zanim wejdzie do środka.

W tym samym momencie zobaczył torbę leżącą na pokładzie – impregnowaną, brezentową torbę z Nefretete. Trwało to jednak tylko chwilę, ponieważ Stollenberg złapał ją i z wyciągniętą ręką przechylił się przez reling pokładu łodziowego. Jezu, ależ on był spokojny – nieludzko spokojny w swojej wyrachowanej determinacji. Nie miał zamiaru ryzykować skoku, ponieważ mógł z tej



wysokości nie trafić do tratwy. Ze stoickim spokojem chciał przejść do niej z niższego pokładu – spacerowego.

Dziesięć metrów – Stollenberg był na wyciągnięcie ręki! W tym momencie „Centaur” szarpnął się gwałtownie i przechylił jeszcze bardziej! Kyle zatoczył się gwałtownie, wyrznął w wentylator i oszołomiony runął na kolana na kilka najważniejszych sekund w tym pościgu. Pozwoliły one drugiemu oficerowi przejść przez reling i przygotować się do skoku.

Kiedy znajdzie się na pokładzie spacerowym i odzyska równowagę, będzie mógł wejść na tratwę podskakującą przy burcie. Potem odetnie linkę mocującą, znajdującym się przy niej na stałe nożem i pozwoli znieść się wiatrem do czekającego okrętu wojennego. A Kyle i Lewis pozostaną uwięzieni na tonącym dziesięcioletniku.

Wyciągając rękę i przygotowując się do upuszczenia Nefretete, Stollenberg odwrócił głowę, spojrzał na Kyle’a i uśmiechnął się straszliwym, – triumfalnym uśmiechem. Ale tym razem uśmiech wcale nie był czarujący. Ani nawet ludzki. Gdy Kyle spojrzał w oczy drugiego oficera, dostrzegł zamiast nich dwie plamy chemicznie czystego zła. Zobaczył to samo, co widział David w ostatnim momencie życia.

Wiedział, że spogląda na prawdziwy spadek Stollenberga.

Mimo wszystko, wciąż próbował. Wystartował ze swojej niewygodnej pozycji i rzucił się, by schwytać Stollenberga. Jego palce nawet otarły się o koszulę khaki, niemal wytrącając drugiego oficera z równowagi. Zaskoczony Stollenberg pospiesznie przeszedł przez reling, dosłownie cisnął torbę na niższy pokład i niezgrabnie skoczył w ślad za nią.

Kyle zdał sobie sprawę, że teraz ma szansę. Wychylony przez reling, zauważył, że Stollenberg upadł ciężko i wciąż leży na torbie z Nefretete. Kyle miał nadzieję, że przy zderzeniu ze statuetką złamał sobie przynajmniej dwa albo trzy żebra.

Również wspiał się na reling i prawie nieprzytomny z wściekłości szykował się do skoku na bezbronny mężczyzną, gdy nagle usłyszał krzyk:

– Nie, Kyle! Zostań tu, na litość boską!

Czyjaś dłoń schwyciła go za kołnierz, szarpnęła nim bezceremonialnie do tyłu, ściągając z relingu. Wymachując rękami, runął na pokład i przez czerwoną mgłę zobaczył cholernego marynarza Lewisa!

– Nic nie rozumiesz, Kyle – wrzeszczał do niego były sierżant. Dziwne. Dokładnie to samo zdanie Lewis krzyknął jakiś czas temu – na chwilę przed tym, jak Kyle uderzył go torbą z Nefretete.

Z Nefretete?

Było to coś niezwykle dziwnego.

Jak drugi oficer Wilhelm Stollenberg poczerniał w czasie trzydziestu sekund.

Po niecałej minucie, oczy, których widok tak wstrząsnął Kyle’em, zaczęły się rozplływać, ociekając przezroczystym płynem. Nawet znajdując się o pokład wyżej słyszeli, jak jego płuca ze świstem wciągają powietrze. Z kącików ust sączyła się krew, a niegdyś jasne włosy zdawały się skręcać jak druty. Pod poczerniałą skórą zaczęły się tworzyć obrzydliwe, żółte pęcherze, a twarz, na której malowało się nieopisane cierpienie, zmieniła się nie do poznania.

Nie mógł krzyczeć. Głowę miał odrzuconą do tyłu, zęby błyszcząły bielą w ostatnim, spazmatycznym uśmiechu, krtań zaciskało mu straszliwe cierpienie. Aż w końcu, po najwyżej dwóch

minutach, jego szamotanie przeszło w drgawki, a kiedy ustały i one, drugi oficer Wilhelm Stollenberg już nie żył.

– Jezu – szepnął Kyle, cofając się ostrożnie od krawędzi górnego pokładu, oszołomiony widzianym przed chwilą horrorem. – Co go zabiło?

– Stoff-381 – odparł Lewis.

Udało im się dotrzeć na pokład łodziowy, do ostatniej tratwy ratunkowej, niemal w ostatniej sekundzie. Dwie minuty, w czasie których umierał Stollenberg – i tak dłużej niż dawał swoim ofiarom – zdecydowanie zmniejszyły wysokość, z której się ewakuowali.

W końcu morze wdarło się na statek. Z hukiem i w pióropuszcach piany runęło na rufowy pokład studniowy, zrywając pokrywę zabezpieczenia z luku piątej ładowni i wielkim wirem wpadając do jej środka, uwalniając z nadwątlonych mocowań samochody, skrzynki z tanimi konserwami rybnymi i wiązki norweskiego drewna. To samo morze uniosło tratwę niemal do poziomu pokładu.

– Już! – ryknął Kyle. Złapał Lewisa za zdrową rękę, aby dodać mu w ten sposób otuchy i obaj rzucili się w stronę wirującego pod nimi wejścia do tratwy.

Wylądowali w kilkudziesięciu centymetrach wody pokrywającej dno osłonięte pomarańczową kopułą. Kyle zignorował stłumiony krzyk bólu Lewisa myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do noża umocowanego do linki. Ciachnął po niej, przecinając za jednym zamachem. W tym momencie poczuł ogromną ulgę. Wprawdzie linki mocujące tratw ratunkowych są wyposażone w hydrostatyczne zamki, które powinny ją uwolnić w chwili, gdyby została wciągnięta pod wodę, ale nie było żadnej gwarancji, że rzeczywiście zadziałają. Poza tym mogło to nastąpić dopiero w momencie, gdy tratwa znajdzie się już na głębokości wielu metrów.

W końcu zaczęli sunąć z wiatrem, ale „Centaur” wciąż piętrzył się nad nimi. Statek zaczął się przewracać, a Kyle patrzył bezradnie, jak sztagi masztu opadają w ich kierunku niczym wibrujące druty do cięcia sera. Tony białej wody, które poprzednio pędziły po pokładzie, by trysnąć fontannami po uderzeniu o lewoburtowe fałszyburty, teraz sunęły z powrotem, niosąc ze sobą rozłupane deski pokryw luków, strzępy brezentowych pokrowców oraz wszelkiego rodzaju nagromadzone przez pięćdziesiąt lat śmiecie i brudy, a także wszystko, co leżało luzem na pokładach.

– Lewis, padnij! – Kyle wrzasnął na dobrą sprawę niepotrzebnie, a potem osłonił głowę rękami, gdy śmiertelna powódź uderzyła w nie zapewniającą żadnej ochrony neoprenową kopułę. Wystarczyłaby ciężka szkła, nie mówiąc już o sosnowej belce czy samochodzie, aby ją przebić i ich pozabijać.

Przez otwór wejściowy trysnęła fontanna wody, zatapiając i tak wypełnioną już niemal do połowy wodą przestrzeń i rzucając Kyle’a na Lewisa, który po prostu trzymał się mocno i klął, nie przerywając nawet na chwilę. Rozległ się trzask rozdieranego metalu, gdy zgodnie z przewidywaniami coś ciężkiego rozdarło kopułę, a potem na tratwę spadł od góry jakiś większy i miękki przedmiot. Jednocześnie sztagi masztu przemknęły ze świstem tuż obok, jeszcze silniej pieniąc wzburzone morze.

Woda zaczęła wdzierać się do tratwy z przerwami, a potem powódź ustała całkowicie. Kyle widział przez wąską szczelinę, że rzeczywiście odpływają. Nie do końca jednak rozumiał, dlaczego

widzi pokłady od góry. Perspektywa ta była dostępna tylko dla marynarza, który wspiał się na czubek masztu i odważył spojrzeć w dół, albo dla mewy frunącej nad statkiem.

Wreszcie zdał sobie sprawę, że patrzy na „Centaura” – nie, na „Jurija Rogowa”, ponieważ tę nazwę nosił przez całe życie i teraz, schodząc do grobu miał prawo nadal nosić ją z pewną dumą. Statek leżał na boku, ale wciąż budził podziw. Wciąż osłaniał ich przed sztormem, ale jego elegancki komin kładł się na fali, pokłady nachylały się coraz bardziej, a żurawiki wypadały z mocowań.

Wreszcie przewrócił się dnem do góry i ze szczeliny w poszyciu kadłuba trysnęły białe pióropusze wodnego pyłu. Potem odwrócony do góry dnem dziób zanurzył się, ster oraz śruba uniosły do góry i statek zaczął ześlizgiwać się pod wodę. Początkowo powoli, z wahaniem, jakby obawiając się tego, co go czeka, a potem coraz szybciej, jakby uświadomiwszy sobie, że spocznie w bardziej godnym miejscu niż plaża na południe od Srivardhan, zaśmiecona przerdzewiałymi kośćmi setek innych niechcianych już statków.

Aż wreszcie zniknął.

Kyle na wpół pływał w wypełnionej wodą tratwie i trochę mrugał oczami, jak każdy marynarz, który widzi śmierć swojego statku. A potem spojrział do góry, na kopułę wciąż wygiętą pod ciężarem przedmiotu, który w nią uderzył. Osłona tratwy była już rozdarta przez szklę, a teraz, pod wpływem gwałtownych ruchów tratwy, dziura zaczęła rozszerzać się coraz bardziej. Odczepił wiosła oraz czerpak i klęcząc niewygodnie, ostrożnie szturchnął w górę, usiłując zepchnąć podskakujący na neoprenowej powierzchni nieprzewidziany ładunek.

Wreszcie przedmiot ten zsunął się niechętnie by zawisnąć w końcu nad otworem wejściowym.

– Jezu Chryste! – jęknął Lewis i mimowolnie odsunął się jak najdalej.

– Co z tobą u diabła, Lewis? – warknął poirytowany Kyle, wciąż wściekły na byłego sierżanta za to, że ściągnął go z relingu.

Odwrócił się, by spojrzeć na co gapi się Lewis i jęknął jak echo:

– Jezu Chryste!

W wejściu widniała odwrócona, czarna i opuchnięta twarz drugiego oficera Stollenberga, patrząc na ich kruchą kryjówkę wytrzeszczonymi oczami. Jego niegdyś blond włosy zwisały strąkami, a straszliwie rozdęte ramiona kołysały się bezwładnie.

– Nie dotykaj go, Kyle! – wrzasnął Lewis. – Nie tknij go nawet czubkiem palca!

– Wcale nie miałem takiego zamiaru – warknął w odpowiedzi Kyle, starając sienie zwymiotować.

Ostrożnie, z obrzydzeniem wetknął czubek wiosła pod brodę Stollenberga i popchnął. Drugi oficer bez oporu ześlizgnął się z kopuły i prawie bez plusku wpadł do wody. Całe szczęście, że nie miał kamizelki ratunkowej pomyślał Kyle – bo płynąłby za nami aż do okrętu wojennego.

– A teraz wyrzuć wiosło – powiedział szybko Lewis.

– Potrzebujemy go.

– Wcale nie. Słowo daję, Kyle.

W pojemniku było więcej wiosła, więc Kyle dla świętego spokoju odrzucił pagaja daleko od tratwy, a potem zmęczonym gestem wziął do ręki czerpak.

Kyle musiał wyjaśnić wszystko do końca.

– Słuchaj, chodzi mi o to, co zdarzyło się na pokładzie łodziowym? Chcesz mi wmówić, Lewis,

że Stollenberga zabił proszek do prania?

– Nie bądź głupi, Kyle! – burknął Lewis. Złamany obojczyk bolał go wściekle, trudno się więc było dziwić, że był skory do kłótni.

– Powiedziałeś, że to był Stoff-381.

– Tak.

Kyle zmarszczył brwi.

– Rushby powiedział, że to był proszek do prania.

Nie, skoro już o tym mowa, Rushby wcale nie twierdził, że był to proszek do prania. Ale z całą pewnością o nim wspominał. Kyle żałował teraz, że nie słuchał go uważniej.

– Nie wiem, kim u diabła jest ten Rushby, ale najwyraźniej nie przechodził kursu na temat tajnych chemicznych środków bojowych. Pewnie myślał o Trilonie-146 – była to ogólna nazwa kodowa popularnego w tym czasie w Niemczech detergentu. Zawsze wybierali kryptonimy, które brzmiały tym niewinnej, im bardziej szatańska była broń, którą nimi określano.

– No to co w końcu zabiło Stollenberga?

– Super pochodna Stoff-146 – to konkretne oznaczenie cyfrowe odnosi się do sarinu – gazu paralizującego system nerwowy. Stuprocentowa skuteczność i bardzo szybkie działanie. Naziści tuż przed końcem wojny przygotowali niewielkie ilości tego środka w Dyhernfurth. Dzięki Bogu, że nie uruchomili produkcji seryjnej. Widziałeś, co może zrobić z człowiekiem. Wystarczyło, aby w chwili, gdy pojemnik ostatecznie się rozpadł, na skórę Stollenberga trafiła kropelka wielkości główki szpilki.

Kyle był zadowolony, że od razu posłuchał Lewisa i wyrzucił wiosło.

– Jaki pojemnik?

– Znajdował się w torbie razem z Nefretete. Ponieważ był stalowy, a nie złoty, przebywając ponad pięćdziesiąt lat w nasyconej solą atmosferze skorodował jak wszyscy diabli. Ted Williamson ostrzegł mnie, podobnie jak Günther musiał ostrzec Wilhelma. Stary komandos zdawał sobie sprawę, że musi to być coś cholernie niebezpiecznego, chociaż nie wiedział, dlaczego. Po prostu zobaczył stosowaną w broni chemicznej trupa czaszkę z napisem, który jak sobie przypominał brzmiał Verboten nicht Touchen. Doszedł do wniosku, że może z tego być cholernie dobra mina-pułapka, na wypadek gdyby ktoś inny znalazł Nefretete, zanim on i jego żołnierze wrócą, by ją odzyskać. Możesz mi wierzyć, zrobiliby to, gdyby statku nie przekazano Sowiecom. Ted i mój tato byli twardymi żołnierzami.

Kyle wciąż nie mógł doszukać się w tym wszystkim sensu. Drugi oficer zawsze był taki dokładny... No dobrze, popełnił kilka błędów, ale właściwie nigdy nie podejmował zbędnego ryzyka.

– Ale skoro Stollenberg zdawał sobie sprawę, że pojemnik jest śmiertelnie niebezpieczny i pewnie jest w bardzo złym stanie, to dlaczego nadal trzymał go w torbie? Przecież nie był aż do tego stopnia szalony... Do diabła, nawet rzucił go na stalowy pokład, a potem skoczył za nim.

– Bo go nie zostawił – Lewis uśmiechnął się krzywo. – Kiedy zaskoczyłem go w kabinie Barrosy, zdążył już go wyjąć i starannie położył na koi Starego. Musiał mieć żelazne nerwy, żeby go brać do ręki. Na pewno zdawał sobie sprawę, że ten super-sarin mógł od wielu lat wyciekać z pojemnika.

– No i?

– Włożyłem mu go z powrotem do torby, kiedy wrzeszczałeś na niego. Wiesz, byłeś cholernie pompatyczny, gdy ryczałeś to swoje: „Jestem pierwszym oficerem, prawą ręką Pana Boga”. Na

miejscu Stollenberga natychmiast bym cię zastrzelił.

– Był z niego za dobry marynarz i przywykł myśleć jak drugi oficer. Nie ośmieliłby się – odparł Kyle, ale nie przekonał nawet sam siebie.

Czerpak zahaczył o jakiś metalowy przedmiot, tkwiący pod powierzchnią brudnej wody przelewającej się po dnie tratwy. Pewnie była to szkła, albo jakiś inny przedmiot, który rozdarł osłonę i niemal rozwalil mu głowę. Porwała go ta sama fala, która pomogła Stollenbergowi opuścić statek. Cholernie niebezpieczne, że przewalał się tam, niczym nie zabezpieczony.

Kyle pochylił się do przodu i wsunął rękę do wody, by go podnieść. Przedmiot błysnął delikatnie, zanim jeszcze wyjął go na powierzchnię.

To nie oksydowany metal. Mosiądz?

Nie. Również nie mosiądz. Kyle jak zahipnotyzowany patrzył na ściskany w dłoni ciężki przedmiot. Niewątpliwie było to najwspanialsze dzieło rak ludzkich, jakie kiedykolwiek widział.

– Może morską woda go odkaziła – rzekł z nadzieją Lewis. – Będziemy mieli pewność za jakieś trzydzieści sekund.

Nie tylko sierżant Williamson i kapral Lewis byli twardzi jak krzemień.

Kyle pragnął, żeby werdykt Lewisa był bardziej jednoznaczny. Wolalby usłyszeć, iż na pewno został już odkazony. Ten brak pewności sprawił, że kolejne pół minuty ciągnęło się straszliwie długo.

Kołysanie stało się mniej gwałtowne, gdy włoski okręt wojenny pozwolił popychanej wiatrem tratwie minąć go, a potem podszedł do niej od zawietrznej.

– Mały William będzie miał za dwa tygodnie przyjęcie urodzinowe powiedział Lewis. – Możesz przyjść, jeśli chcesz.

Kyle, zaprzysięgły stary kawaler, nie był tego pewien. Większość gości będzie miała jakieś sześć lat. Jak na razie wystarczy mu jeden psychopata. Nie był pewien, czy ma dość odwagi, by wejść do wypełnionego nimi pokoju.

Z drugiej jednak strony, pewnie będzie musiał powrócić do Wielkiej Brytanii, a zanim zacznie szukać następnego statku, powinien wyjaśnić kilka spraw. Poza tym, wciąż musiał odnaleźć zaginiony odkurzacz McDonalda. No i byłoby miło poczuć się znowu częścią rodziny.

Nefretete – do niedawna mityczna Nefretete – spoglądała na niego tajemniczo.

David byłby bardzo zadowolony.